

PAWEŁ ZAREMBA

**HISTORIA
DWUDZIESTOLECIA**
(1918 - 1939)



INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1981

**HISTORIA DWUDZIESTOLECIA
(1918-1939)**

BIBLIOTEKA « KULTURY »
TOM 333

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

PAWEŁ ZAREMBA

HISTORIA DWUDZIESTOLECIA (1918 - 1939)

Do druku przygotował
MAREK ŁATYŃSKI

TOM I

INSTITUT
PARYŻ



LITERACKI

1981

Marek ŁATYŃSKI

ZAMIAST WSTĘPU

Książka ta stanowi wybór pogadank radiowych, które Paweł Zaremba wygłaszał w rozgłośni polskiej Radia Wolna Europa. Dyrekcja RWE zgodziła się na ich opublikowanie drukiem. Było tych pogadank — tak je autor nazywał — łącznie ponad czterysta i nadawane były w latach 1967-1979 co tydzień z rzadkimi tylko przerwami. Autor opowiadał o współczesnej historii Polski — nie przemawiał. I to było zapewne jednym z sekretów powodzenia, jakie miał u słuchaczy, zarówno historyków, jak i zwykłych miłośników historii własnego kraju, a szczególnie może wśród studentów, którzy szukali u niego ocen odmiennych od oficjalnie obowiązujących w Polsce. Innym sekretem powodzenia była tematyka pogadank. Nie tu miejsce, by oceniać ich treść. Ale powiedzieć należy, że przedstawiał dzieje tego historycznego fenomenu, jakim było wskrzeszenie Polski i niepodległe istnienie Drugiej Rzeczypospolitej w sposób jasny, prosty i głęboki, że widział racje różne i że był obiektywny i sprawiedliwy.

Mówił także w swoich pogadankach o latach przed odzyskaniem przez Polskę niepodległości i o drugiej wojnie światowej. Ale zdążył się zająć tylko niektórymi aspektami obu tych okresów. Pogadanki o latach Polski niepodległej stanowiły już natomiast zamkniętą całość. Dlatego wybraliśmy je do druku.

Stanowiły całość zamkniętą, ale nigdy nie zakończoną. Wracał często do tematu już poruszonego i przerabiał wtedy i wzbogacał to, co napisał był przedtem. W takich wypadkach włączaliśmy naturalnie do tej książki wersję nowszą. Do tego ograniczyła się rola niżej podpisanego, a także do skreślenia powtórzeń, nieuniknionych, kiedy się wygłasza co tydzień przez radio pogadankę, z których każda musi się logicznie zaczynać i kończyć i być zrozumiała dla kogoś, kto może poprzedniej nie słyszał. Ale zale-

żało mi na tym, by zachować ten szczególny, autorski styl radiowej gawędy. Staratem się więc nie dopisywać niczego, poza koniecznymi tu i tam paru słowami.

Paweł Zaremba urodził się 12 października 1915 roku w Petersburgu jako syn Piotra i Nadziei-Jadwigi z domu Herwarth. Pochodził ze starej polskiej rodziny szlacheckiej. Miał też powiązania rodzinne z Anglią.

Kiedy jego rodzina uciekła z Rosji po rewolucji bolszewickiej, uczył się początkowo we Francji. Potem ukończył gimnazjum imienia Karola Marcinkowskiego w Poznaniu. W tymże Poznaniu studiował od roku 1933 prawo i ekonomię. Specjalizował się w historii ustrojów i w roku 1937 otrzymał stopień magistra praw. Tematem jego pracy magisterskiej były uprawnienia prezydenta w konstytucji Stanów Zjednoczonych. W czasie studiów pracował w Banku Gospodarstwa Krajowego i pisywał w prasie poznańskiej. Przygotowywał pracę doktorską o wpływach burgundzkich na ustrój Polski w wiekach średnich, ale jej nie ukończył.

W roku 1937-1938 służył w podchorążówce rezerwy piechoty w Kaliszu. Pod koniec hiszpańskiej wojny domowej wysłany został do Hiszpanii jako obserwator II Oddziału Sztabu Generalnego.

Zmobilizowany, walczył w kampanii wrześniowej 1939 roku jako podporucznik 60 pułku piechoty z Ostrowia Wielkopolskiego i został dwukrotnie ranny w bitwie o Łęczycę. Wzięty do niewoli, przebywał do końca wojny w Oflagu VIIA w Murnau w Bawarii. Brał udział jako wykładowca w zajęciach samokształceniowych więzionych tam polskich oficerów. Tematami jego wykładów były historia Anglii i Stanów Zjednoczonych oraz socjologia. Pracował też nad książkami, które chciał wydać po wojnie.

Po zwolnieniu z Murnau w kwietniu 1945 roku przyczynił się jako oficer polski przy dowództwie 7-ej Armii amerykańskiej do decyzji niewydawania dawnych sowieckich i serbskich jeńców wojennych z obozu w Memmingen komunistycznym władzom ZSSR i Jugosławii.

Służył następnie przez rok w 2-gim Korpusie we Włoszech jako współpracownik Wydziału Propagandy. Wykładał tam znowu i pisał w prasie wojskowej.

W roku 1946 osiedlił się w Anglii. Przez następnych lat dwadzieścia redagował różne polskie czasopisma, wśród nich *Orla Białego*, najstarsze pismo żołnierskie i kombatanckie. Pisał też na tematy historyczne i bieżące do *Kultury*, *Bellony* i *Tek Historycznych*. Kierował polskimi wydawnictwami i drukarniami. Współpracował z sekcją polską BBC.

W roku 1957 wydał „Historię Stanów Zjednoczonych”¹, pierw-

1. Biblioteka „Kultury”, tom XXIII.

szą napisaną przez Polaka, a w roku 1961 pierwszy tom „Historii Polski”². Napisał także „Historię 15 Pułku Ułanów”, ale nie zdołał ukończyć książki na jeden ze swych ulubionych tematów: miała nią być historia amerykańskiej wojny domowej.

Po okresie luźnej współpracy wszedł w roku 1967 w skład zespołu kierowniczego rozgłośni polskiej Radia Wolna Europa i przeniósł się do Monachium. Zmarł 23 kwietnia 1979 roku.

Takie są suche fakty życiorysu Pawła Zaremby — zbyt suche dla tych, którzy jak autor tych słów razem z nim w Monachium pracowali. Zbyt suche również, kiedy się zważy, kim i czym był.

Przed wszystkim był historykiem, chociaż nie historię studiował na Uniwersytecie Poznańskim. Historia była dla niego — człowieka pełnego życiowej pasji — pasją największą.

Jego pasją było także radio — rozgłośnia polska RWE, którą uważał zawsze za coś więcej niż tylko jedną z wielu rozgłośni nadających w eter audycje po polsku. Dla niej poświęcił wiele ze swych niespełnionych autorskich ambicji. Przyszły kronikarz rozgłośni znajdzie ślady jego pracy — redaktora, inspiratora, doradcy — w skryptach setek audycji, o historii, o polityce, o kulturze. Znajdzie je przeglądając redagowane przez niego pismo *Na Antenie*. Bo był również urodzonym dziennikarzem i potrafił napisać szybko i ciekawie o każdej niemal sprawie świata, w którym żyjemy. Pomagała mu w tym nadzwyczajna znajomość języków — angielskiego, francuskiego, hiszpańskiego, katalońskiego, niemieckiego, czeskiego, rosyjskiego, włoskiego. Pomagały mu sprawna pamięć i oszałamiająca erudycja, wiedza, która mogła onieśmielać współpracujących z nim. Wszystkie te walory oddawał bez reszty swojej rozgłośni. Przez kilkuletni okres ciężkiej choroby rwał się do pracy. Pilnował, by jego audycje szły co niedzielę na antenę. Pisał je mimo choroby i, póki mógł, sam je nagrywał. Później przysyłał do redakcji teksty, nieraz wprost z kliniki.

Ale nie był mołem książkowym. Marzył o karierze wojskowej — los mu na nią nie pozwolił. Kochał żonę, którą zostawił, i swoich dwoje dzieci. Doceniał urodę kobiet i lubił czerwone wino. Był świetnym, pełnym wdzięku rozmówcą i, choć stronił od głupoty, był wyrozumiały dla słabości człowieka. Nie używał wielkich słów. Potępiał zawsze podłość, dwulicowość i fałsz.

Był pośród nas jednym z najlepszych.

Marek ŁATYŃSKI

2. Biblioteka „Kultury”, tom LXXII.

CZĘŚĆ PIERWSZA
PIERWSZE LATA

U PROGU NIEPODLEGŁOŚCI

I

W 1918 roku odrywano kartki z kalendarza kończącej się pierwszej wojny światowej. Nie tylko w Polsce. Wszędzie czekano na upragniony moment poddania się Niemiec. Wiedziانو, że Niemcy nie walczą o zwycięstwo. Ich marzenia o kompromisie między niepokonanymi wrogami rozwiały się już w sierpniu. Niemcy walczyły dalej już tylko o najlepsze warunki kapitulacji. Zdobyte nowego dnia w kalendarzu nie było już zasługą niepokonanego w polu wojska niemieckiego, lecz wynikiem przetargów wewnętrznych wśród sprzymierzonych — wielkich i małych — oraz między sprzymierzonymi i „mocarstwem stowarzyszonym”, jak kazały się nazywać Stany Zjednoczone.

Jeśli jednak na koniec wojny czekano z upragnieniem wszędzie — wszędzie bo i w Niemczech — to w Polsce owo zrywanie karetek z kalendarza inny miało charakter. Nie czekano tylko na powrót do domu zmobilizowanych ojców, synów i braci. Gdy o Polakach mowa, o większości rodziny nie wiedziały nawet, gdzie ich losy wojny zagnały w zaborczym mundurze armii niemieckiej, austriackiej czy nieistniejącej już armii carskiej. Nie czekano też na otwarcie „normalnej” fabryki w budynku, który produkował z konieczności amunicję lub umundurowanie. Nie czekano nawet na powrót gospodarza wygnanego ze swej karłowatej ojcowizny jeszcze w roku 1915 podczas pierwszego odwrotu Rosjan. Oczywiście różnie było w każdej dzielnicy, w każdej niemal okolicy. Ale rzeczą podstawową i najważniejszą

była powszechna akceptacja Polski jako państwa niepodległego, rządzonego przez Polaków we własnym, polskim imieniu.

Przymiotnik „powszechna” przy rzeczowniku „akceptacja” może być i był przez pewien czas przedmiotem wątpliwości. Kwestionowano dojrzałość patriotyczną czy poczucie narodowe chłopów w niektórych częściach kraju. Dodawano do tych — wątpliwych zresztą — wątpliwości problemy prawdziwe, wyrastające z różnic interesów gospodarczych, które dzisiaj nazywa się czynnikiem „klasowym”, najczęściej bez logicznego uzasadnienia. A obok nich problemy inne — na przykład wcale nie bagatelne uprzedzenia dzielnicowe, jakimi obdarowali nas zaborcy. Wśród nich poczesne miejsce zajmowały wartości materialne. W nich przejawiały się różnice rzucające się boleśnie nieraz w oczy, drażniące i ponad miarę w umysłach wyolbrzymiane. Ważniejsze były różnice kultury, różnice stopnia rozwoju społecznego, przyuczenie do pierwocin demokracji politycznej w granicach tego lub innego państwa zaborczego, upowszechnienie oświaty. A również poziom i wartości moralne inteligencji w nowoczesnym, a także w tradycyjnym jeszcze, poziemiańskim wydaniu, by nie zapomnieć o roli duchowieństwa na wsi polskiej, jego wyrobienia społecznego obok kwalifikacji wyniesionych z seminarium duchownego.

Listę różnic, przyczyn powstawania różnic i ich skutków można by wydłużyć. Ale więź językowa i tradycyjno-kulturowa składała się na łańcuch o ogniwach różnej tęgości, a nawet kształtu czy wymiaru, lecz przecież tak mocny, że go wysiłek wiekowy trzech największych potęg europejskich rozerwać nie zdołał. Chociaż mocno go nadwątlili i to właśnie tuż przed wybuchem pierwszej wojny światowej, u końca okresu zapoczątkowanego Powstaniem Styczniowym, ostatnim — jak się wydawało — „polskim wybiciem się na niepodległość”, według słów, które przypisujemy Kościuszce.

Październik 1918. Żadne wątpliwości sprzed kilku jeszcze miesięcy nie liczą się już w grze politycznej. Cała Polska, wszyscy Polacy mówią o sobie „lud polski” i mówią o niepodległości, która jest tylko kwestią czasu, kwestią dni. Skąd ma nadejść? Jedni sądzą, że z Paryża, od sprzymierzonych. Inni, że ją osiągniemy wysiłkiem własnym tych ośrodków, które już są i działają — obojętnie, czy jest nim wierna Józefowi Piłsudskiemu POW, czy organa Rady Regencyjnej, czy zaczynające się tworzyć Rady Delegatów Robotniczych.

Jeszcze we wrześniu, kiedy generalny sztab niemiecki zawiadomił rząd, że nie ma żadnych złudzeń co do możliwości zmon-

towania jeszcze jednej ofensywy na froncie zachodnim, w okupowanej Warszawie dokonywano ciągle aresztowań wśród młodzieży należącej do Polskiej Organizacji Wojskowej. Akcja ta przybrała nawet na sile, co było oczywistym znakiem, że Rzesza Niemiecka obawia się powstania zbrojnego na terytorium Polski. Powstanie takie bowiem obaliłoby nadzieje osiągnięcia kompromisowego pokoju.

W październiku nadzieje te z każdym dniem słabły. Nawet Rada Regencyjna stawiała opór rozporządzeniom niemieckim. Ludność Królestwa Kongresowego, a także Polacy w zaborach pruskim i austriackim kierowali spojrzenia jednocześnie na Paryż i na Magdeburg. W Magdeburgu był internowany przez Niemców Piłsudski i zdawano sobie sprawę, że wystąpienie zbrojne na obszarze środkowej i południowej czy północnej Polski jest nie do pomyślenia bez jego udziału albo — by powiedzieć ściślej — bez jego rozkazu.

Ku Paryżowi spoglądano zaś dlatego, że działał tam Komitet Narodowy Polski pod przewodnictwem Romana Dmowskiego, już uznany przez rządy mocarstw sprzymierzonych jako organ reprezentujący państwo polskie i posiadający uprawnienia międzynarodowe rządu polskiego, sprzymierzonego z Francją, Wielką Brytanią, Stanami Zjednoczonymi i innymi państwami będącymi w wojnie z Niemcami. O działalności Komitetu wiedziano w kraju sporo albo raczej bardzo dużo. A o nastrojach ludności świadczy najlepiej fakt, że już od szeregu miesięcy Niemcy nie próbowali nawet zbyt drastycznie występować przeciwko publicznym pochodom i zgromadzeniom, w których oddawano hołd osobie prezydenta Wilsona. Reprezentował on bowiem w przekonaniu całego świata, a nie tylko Polski, konkretny plan urządzenia Europy powojennej w oparciu o poszanowanie prawa międzynarodowego, moralności w stosunkach między narodami i przede wszystkim ich samostanowienia o swym ustroju i niepodległości. Zresztą i rząd niemiecki z pewnymi zastrzeżeniami zaczął powoływać się także na deklarację Wilsona, zwłaszcza na zasadę samostanowienia.

Tymczasem przestawały istnieć Austro-Węgry — nie tylko jako mocarstwo walczące, ale po prostu jako organizm państwowy. Zarówno w zaborze austriackim, jak i w okupowanej przez Austrię części Kongresówki — to znaczy ogólnie w Lubelskiem, Kieleckiem i Zagłębiu Dąbrowskim — przygotowania do przejęcia władzy prowadzono zupełnie jawnie, choć w dużej mierze chaotycznie. Liczono się przy tym z szybkim utworzeniem siły zbrojnej, nie tylko spośród członków Polskiej Organizacji Woj-

skowej lecz także spośród licznych Polaków demobilizujących się już, najczęściej na własną rękę, z armii austriackiej. Zamiar ten nie powiódł się w pełni właśnie na odcinku wojskowym, gdyż zdołały mu postawić skuteczne przeszkody etapowe władze austriackie.

Ale przysłańiał to — i inne trudności — fakt, że w ostatnich dniach pierwszej wojny światowej wskrzeszenie niepodległej państwowości nie tylko było nieomal wyznaniem wiary, gdyż tym stało się już w roku 1916 czy 1917, lecz także uważano je za pewnik historyczny. Widziano w nim przywrócenie słusznego i sprawiedliwego stanu rzeczy, zdruzgotanego przez bezprawie i gwałt jakimi były rozbiory Polski. W piątym pokoleniu licząc od rozbiorów Polacy doczekali się zwycięstwa nad przemocą.

Zwycięstwa tego, to znaczy utworzenia niepodległego państwa polskiego, nie uważał naród polski za akt rewolucyjny. Żaden z Polaków, z wyjątkiem nielicznych komunistów skupionych w SDKPiL i PPS-Lewicy, nie kwestionował prawa Polski do niepodległego bytu. Nikt też nie poddawał w wątpliwość celowości i konieczności poniesienia ofiar osobistych.

Oczywiście powszechne były wśród chłopów, robotników, a także mieszczaństwa polskiego pragnienie, nadzieja, a niekiedy bodaj pewność, że niepodległość państwową połączy się z wprowadzeniem w życie zasad sprawiedliwości społecznej. W niektórych środowiskach te nadzieje wiązały się tak ściśle z myślą o niepodległości, iż mogło się zdawać, że powstające już rady robotnicze mają charakter rewolucyjny. Wrażenie to mogły wzmocnić wydarzenia, na które już niedługo trzeba było czekać, takie jak wystąpienie zbrojne robotników w Dąbrowie Górniczej lub tworzenie różnych „republik lokalnych”, z których najmocniej utkwiła w pamięci tak zwana „republika tarnobrzeska”, utworzona przez miejscowego księdza nazwiskiem Okoń. Niewątpliwie tego rodzaju wystąpienia i tendencje znajdowały natchnienie czy podniecie w wyidealizowanym obrazie rewolucji bolszewickiej z jej propagandowym hasłem „cała władza w ręce rad”. Od rewolucji tej nie upłynął rok i wiadomości o chaosie, anarchii, bezmyślnym okrucieństwie i celowym terrorze, głodzie i zupełnej katastrofie gospodarczej przyjmowano jeszcze często z powątpiewaniem. Może dlatego, że wydawały się wówczas zbyt potworne, by im wierzyć na podstawie opowiadań lub artykułów prasowych, zwłaszcza gdy się ukazywały w prasie prawicowej. Jeśli jednak tego rodzaju zapatrzenie w rewolucję bolszewicką było drobnym, lecz konkretnym składnikiem sceny politycznej na ziemiach polskich, to przestało nim być bardzo szybko.

Jakie więc były konkretne aktywa narodowo-polskie u progu niepodległego bytu? Po pierwsze — powszechna wiara i wola niepodległości. Po drugie — przyznanie Polsce prawa do niepodległości na arenie międzynarodowej i przyznanie jej miejsca sojusznika w obozie alianckim. I wreszcie pewność i wola, że — gdy tylko nastanie odpowiedni moment — będzie komu objąć władzę w Warszawie i stworzyć lub odtworzyć wojsko polskie.

Na tym kończyły się właściwie aktywa. Pozwalały może zapomnieć o codziennej poniewierce, lecz nie na długo. Polska była krajem wyniszczonym gospodarczo, połowa ludności lub więcej żyła w nędzy, a prawie cała reszta w biedzie. Pomimo strat liczba ludności wzrastała jednak z dnia na dzień, gdyż już wracali wywiezieni na roboty do Niemiec (tych było 700 tysięcy) oraz pierwsi repatrianci z Rosji z masy prawie dwumilionowej. Przemysł był unieruchomiony w 60 %. Fabryki nie miały maszyn, bo je wywieźli Rosjanie albo Niemcy. Kolejnictwo straciło 80 % taboru i zdatnych do użytku torów. W zaborze rosyjskim zniszczono 60 % dworców i 50 % mostów. Straszny był spadek produkcji rolnej, przeciętnie do połowy produkcji przedwojennej. W Galicji wydajność z hektara spadła w ziemniakach ze 117 kwintali do 52. Ziemia była wyjałowiona, nie było w ogóle nawozów sztucznych. Pogłowie bydła, a także koni, spadło do 54 %. Łącznie z nienaruszonym gospodarczo Poznańskiem produkowano zaledwie jedną trzecią cukru w porównaniu z rokiem 1913. Tragicznie przedstawiała się sytuacja w górnictwie węglowym — nie liczę tu Śląska, gdyż mógł pokryć zaledwie 40 % zapotrzebowania. Panowało więc bezrobocie i nędza mieszkaniowa. Zagęszczenie w Warszawie wynosiło 3,7 osób na izbę.

Z tego wszystkiego społeczeństwo zdawało sobie sprawę, lecz w swej większości wierzyło, że poradzi sobie z odbudową gospodarczą, gdy Polska stanie się niepodległa i gdy się skończy wojna.

II

By powiedzieć więcej o wojsku u progu niepodległości, trzeba się cofnąć wstecz. Bowiem rozbiorowe dzieje polskie wytworzyły szczególny, gdzie indziej nieznaną stosunek narodu do własnych sił zbrojnych. One to od Legionów Dąbrowskiego nadawały sens słowom hymnu narodowego: „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy”. Były to słowa porywające, które odzwierciedlały

uczucia i myśli ogarniające Polaków na magiczny nieomal dźwięk nazwy „Wojsko Polskie”. Było w tym uczuciu sporo legendy wyolbrzymionej i upiększonej przez przywiązanie i wdzięczność do żołnierzy-tułaczy, żołnierzy-powstańców, żołnierzy zwycięskich i żołnierzy sponiewieranych w klęskach. Był tak zwany niepoprawny w mniemaniu obcych, a niekiedy i swoich, polski romantyzm. Lecz była także potężna dawka zdrowej myśli politycznej, rozumiejącej, że wojsko nawet w załóżkowej i niedoskonałej postaci jest ważnym ciężarkiem, jaki Polacy rzucić mogą na szalę swych przeznaczeń. Bo reprezentuje konkretną wolę i konkretną siłę.

W pierwszej wojnie światowej polityka polska koncentrowała się na wyzyskiwaniu, a także na stwarzaniu korzystnych dla Polski koniunktur międzynarodowych. Lecz myśl o wojsku jako o nie jedynym, lecz na pewno ważnym elemencie dążenia do niepodległości uzupełniała pracę polityczną. Piłsudski był czołowym przedstawicielem idei wojska polskiego jako konieczności politycznej. Nie był w tym odosobniony. Bo wszędzie, gdzie była po temu najmniejsza możliwość, tworzono wojskowe oddziały polskie, widząc w nich nie tylko namiastkę przyszłych sił zbrojnych, lecz także namiastkę państwowości polskiej. Dlatego w roku 1917 istniało już wojsko polskie, choć nie istniało jeszcze państwo polskie. Istniało wiele formacji niepodobnych do siebie w niczym poza przymiotnikiem „polski” w nazwie. W listopadzie 1918 roku w oparciu o nie przyszło tworzyć siły zbrojne zdolne do obrony i do wywalczenia granic wskrzeszonego państwa. Nie było to dzieło łatwe. Ani w sensie organizacyjnym, ani nawet w sensie politycznym, gdyż poszczególne formacje miały już własne tradycje bojowe, a także własne tradycje polityczne czy poglądy, co zależało w dużej mierze od tego, który z polskich ośrodków politycznych patronował ich powstaniu.

Niestety pół roku przedtem korpusy polskie powstałe w Rosji uległy likwidacji pod wspólnym naciskiem zbrojnym Niemców i rządu leninowskiego. Kapitulacja w Bobrujsku, bitwa pod Kaniowem — oto wystarczające przykłady tego, co się w Rosji stało. Na terytorium Rosji pozostała jednak czwarta dywizja generała Żeligowskiego, którą czekała jeszcze długa wędrówka do Polski z Kubania przez Odessę i Besarabię. Podobnie rzecz się miała z dywizją syberyjską, której szczątki dotrą do Gdańska dopiero w połowie 1920 roku. Był także nieliczny oddział polski w Murmańsku, podlegający dowództwu armii polskiej we Francji.

Armia ta została uznana przez rządy zachodnie za sprzymie-

zoną Armię Polską. Nazwano ją Armią Błękitną od koloru mundurów lub armią Hallera od nazwiska generała, który objął nad nią dowództwo, przedostawszy się do Francji spod Kaniowa drogą przez Murmańsk. Armia ta podlegała Komitetowi Narodowemu Polakom w Paryżu. Służyli w niej jeńcy-Polacy z armii pruskiej i austriackiej i ochotnicy z Ameryki, Kanady i innych krajów zamorskich. Rozwinęła się z czasem w 6 dywizji.

W Polsce jedyną zorganizowaną siłą zbrojną w mundurach był pięciotysięczny korpus stworzony przez Niemców — żalosa raczej pamiątka poronionych planów niemieckich wyciągnięcia z Królestwa Polskiego rekruta za cenę mglistych obietnic. Żołnierz ten posłużył jako pierwszy załóżek wojska polskiego w kraju. 7 października 1918 roku Rada Regencyjna odebrała dowództwo nad nim niemieckiemu generałowi Beselerowi i powierzyła je generałowi Rozwadowskiemu.

Lecz właściwą siatką organizacyjną dla wojska polskiego było POW — Polska Organizacja Wojskowa, tajna i ogarniająca swymi komórkami wszystkie ziemie polskie. Od ostatnich dni października jej oddziały przystąpiły do rozbijania Austriaków, a od 10 listopada do rozbijania Niemców. Natychmiast też odtwarzają się dawne pułki legionowe, otrzymując zaszczytną numerację w pierwszej dziesiątce. Ich rdzeniem są legionści internowani przez Niemców w Szczypiornie i Beniaminowie. Równocześnie powstają samorzutnie tworzone oddziały ochotnicze. Niektóre z nich powstają w walce, jak na przykład we Lwowie, gdzie od 1 listopada trwa wojna między nieistniejącą jeszcze Polską a wojskiem Republiki Zachodniej Ukrainy. W Poznańskim tworzą się oddziały straży bezpieczeństwa i straży bojowej z Polaków demobilizujących się, najczęściej na własną rękę, z armii pruskiej. 11 listopada Józef Piłsudski obejmie funkcje Naczelnika Państwa i naczelnego wodza Polskich Sił Zbrojnych. Połączenie dwóch najwyższych stanowisk w jego osobie jest zarówno odbiciem przekonania ogółu Polaków, że niepodległość i posiadanie własnego wojska są pojęciami nierozdzielalnymi, jak i wyrazem prawidłowej oceny położenia międzynarodowego odradzającego się państwa. Bo państwo to nie ma jeszcze granic i nie ma ani jednego przyjaznego sąsiada. Wysilek organizacyjny jest ogromny. Wojsko osiąga stan 100 tysięcy w styczniu 1919 roku, później z każdym miesiącem przybywa mu kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy. Tymczasem wyłącznie zaciągu ochotniczego. Są to żołnierze dawnych Legionów, żołnierze korpusów polskich w Rosji, którym udało się przedostać się do kraju, członkowie POW,

Sokoli, harcerze, a także ci rezerwiści wyszkoleni w armii carskiej, których Rosjanie po wybuchu wojny nie zdążyli zmobilizować. Oficerów jest sporo, lecz mało jest takich, którzy posiadają doświadczenie potrzebne dla dowodzenia na wyższych szczeblach. Te braki zapełniają po części oficerowie-Polacy z armii austriackiej i rosyjskiej.

Przeszkodą w rozbudowie wojska nie jest brak ludzi, lecz brak broni, umundurowania, amunicji i koszar. Przeszkodą jest także brak czasu na przeszkolenie i organizację. Trwa bowiem pogotowie zbrojne przeciwko Niemcom od strony Prus Wschodnich, Białostoczczyzny i Śląska. Sama Wielkopolska jest już w pełnej wojnie własnymi siłami z państwem niemieckim. W Galicji Wschodniej też trwa wojna. W styczniu ma miejsce krótkie lecz krwawe starcie zbrojne z Czechosłowacją na Śląsku Cieszyńskim. A 17 lutego 1919 roku rozpoczyna się dwuletnia wojna z Rosją bolszewicką. W niej stawką jest istnienie Polski. Trwa dalej wyścig z czasem. Oddziały ochotnicze idą po kilku nieraz dniach do akcji w doraźnych związkach po kilka batalionów, baterii i szwadronów. Dopiero późną wiosną 1919 roku można przystąpić do tworzenia dywizji piechoty i brygad kawalerii. W pracy organizacyjnej na pamięć historii zasługują szefowie sztabów — kolejno generałowie Rozwadowski, Szeptycki, Stanisław Haller i znowu Rozwadowski — oraz z początku wice-minister, a później minister wojny generał Sosnkowski.

Bezcenny wkład w potencjał zbrojny narodu wnosi Armia Wielkopolska, która organizuje się w walkach z Niemcami. Sprawnie przeprowadzony pobór podnosi jej stany do ponad 70 tysięcy świetnie uzbrojonego i wyszkolonego żołnierza, nie licząc służb i oddziałów pomocniczych. Jej dowódcą zostaje wkrótce generał Dowbór-Muśnicki. Oficerowie Polacy z dawnej armii rosyjskiej obsadzają wyższe dowództwa. Lecz w większości kadra dowódcza Poznaniaków wywodzi się z twardych szeregowych i podoficerów mających za sobą cztery lata wojny. Niejednym batalionem dowodzi sierżant. Dopiero po podpisaniu Pokoju Wersalskiego Armia Wielkopolska może się połączyć z wojskiem Rzeczypospolitej, stając się bodaj czy nie najtęższym jej członem.

Z Francji przybywa Armia Hallera, niestety nie transportem morskim przez Gdańsk, lecz kolejowym przez Niemcy. Jej działania zadecydowały o zwycięstwie nad Ukraińcami. Musiano ją jednak zreorganizować z dywizji trzech-pułkowych na cztero-pułkowe na wzór pozostałych dywizji polskich. Jednocześnie zbyt pochopne zwalnianie starszych roczników, jak w wypadku ochot-

ników z Ameryki, nadszarpaneło wartość tych doskonałych zresztą dywizji. W roku 1920 będą już 24 dywizje, prawie 700 tysięcy żołnierza. Powstaną też wyższe związki operacyjne. By uprościć system dowodzenia w wojnie ruchomej na ogromnych przestrzeniach, a także z powodu niemożności obsadzenia sztabów, zrezygnuje się z tworzenia korpusów, łącząc dywizje od razu w armie, co zresztą odpowiada ówczesnej organizacji Armii Czerwonej, z którą toczyć się będzie wojna od Dźwiny po Kamieniec Podolski.

Wojsko to popełniało błędy, ponosiło klęski, bez których nie ma zwycięstw. W ogólnej ocenie jednak biło się dobrze i dowodzone nim dobrze. Wykształciło wartości żołnierskie otoczone troskliwością, jeśli nie miłością, całego społeczeństwa. Miłość ta przetrwała i nie wygasła w pamięci. Niedobrze by było, gdyby miała wygasnąć kiedykolwiek.

III

11 listopada 1918 roku przestały działać na większości terytorium Polski instytucje prawa publicznego, spełniające rolę tymczasowej administracji. W dniu tym ustała także kuratela okupacyjna Niemiec i Austro-Węgier na terenie Królestwa Polskiego i Galicji. Władzę objął Józef Piłsudski. Przekazanie władzy zostało dokonane przez trzy instytucje. Pierwszą była pozabawiona całkowicie wpływów i nie ciesząca się żadnym prestiżem w społeczeństwie Rada Regencyjna w Warszawie, utworzona swego czasu przez Niemców. Ważniejsze było podporządkowanie się Piłsudskiemu Rządu Lubelskiego, utworzonego 7 listopada i reprezentującego niepodległościowe i postępowe elementy, które odcięły się wyraźnie i zdecydowanie od jakiegokolwiek zależności. Trzecią wreszcie instytucją była działająca w Krakowie Komisja Likwidacyjna, która postawiła sobie za zadanie natychmiastową likwidację stosunków z władzami monarchii habsburskiej. 16 listopada Piłsudski notyfikował telegraficznie państwu europejskim i Stanom Zjednoczonym powstanie niepodległego państwa polskiego oraz powołał pierwszy rząd Rzeczypospolitej Polskiej z działaczem socjalistycznym, Jędrzejem Moraczewskim, na czele.

Nowopowstałe państwo posiadało więc rząd, posiadało wyrosłą spod ziemi armię i posiadało terytorium, chociaż jego granice nie były jeszcze ściśle określone. W rzeczywistości pierwsze

dwa lata niepodległego bytu poświęcone były przede wszystkim na wywalczenie i obronę granic. Drugim zadaniem nowego państwa było przygotowanie gmachu ustrojowego, który by odpowiadał życzeniom większości jego mieszkańców. Łączyło się to z szeregiem reform społecznych i gospodarczych, które w swej postępowej koncepcji wykraczały daleko poza stosunki w innych państwach na zachód, południe i wschód od Polski. Podstawowe zdobycze świata pracy, żeby wspomnieć tylko ośmiogodzinny dzień pracy, wprowadzenie systemu ubezpieczeń społecznych i ochronę lokatorów w domach czynszowych, zostały wprowadzone przez rząd Moraczewskiego już 23 listopada. Była to odpowiedź na wyrazy niepewności czy obawy, czy tworzący państwo polskie „inteligenci”, owa — jak często jeszcze mówiono — szlachta, nie czynią wszystkim na rachunek własny i we własnym interesie. Podejrzenia takie dość łatwo zbywano wzruszeniem ramion tam, gdzie „lud” — jak to mówiono — osiągnął wysoki stopień uświadczenia i umiejętności organizacyjnych. Tak było w Galicji, gdzie chłopskie stronnictwa polityczne nie były nowością, tak było w Poznańskim czy na Pomorzu, gdzie chłop był czymś więcej niż współgospodarzem ziemi polskiej, bo był głównym jej obrońcą i dumnym ze swej roli piastunem polskości. Ale inaczej było na niektórych obszarach Kongresówki, gdzie dopiero odejście Rosjan wprowadziło obowiązek szkolny i gdzie pańszczyzna nie była odległym wspomnieniem. W ciągu paru lat wojny i tutaj jednak rozwinął się chłopski ruch polityczny, częściowo naniesiony z Galicji, częściowo własnego chowu. Niemniej w Kongresówce — geograficznym, a w przekonaniu obcych, niekiedy i swoich, także duchowym sercu Polski — inteligentowi w walce o sprawy polskie rzadziej towarzyszył ów dziś tak romantycznie w naszych uszach brzmiący „lud wiejski”, a częściej klasa ciągle jeszcze młoda i prężna, nawiązująca do tradycji polskiego rzemiosła, zahartowana wielką pamięcią postępowego socjalizmu. Czyli klasa robotnicza. A więc jeszcze prościej i prawdziwiej: robotnicy.

IV

Jednolita była nowa Polska tylko pod jednym względem. Wśród wszystkich Polaków panowała jednomyślność, że niepodległe państwo jest ich prawem i ich życzeniem. Wszelkie

obawy dotyczące przyszłości ginęły i cichły w nastroju powszechnego entuzjazmu narodowego. Powstanie Polski niepodległej witały z radością wszystkie warstwy społeczne i wszystkie orientacje polityczne. Pod tym względem ze wszystkich krajów europejskich, które odzyskały niepodległość u końca pierwszej wojny światowej, Polska była w położeniu najszcześniejszym: posiadała pełnię świadomości narodowej. Jej uchronienie pod rozbiorami było największym historycznym sukcesem narodu polskiego.

Połączona z wolą utrzymania niepodległości w ramach jednego państwa, świadomość ta nie była wszakże jednoznaczna z natychmiastowym scaleniem obszarów rządzonych dotychczas przez trzy państwa zaborcze. Nie była jednoznaczna z niwelacją wszystkich różnic, zarówno tych, które wyznaczały odmienne systemy gospodarcze i odmienna baza materialna, jak i tych, które wytworzyły się w ciągu stu kilkudziesięciu lat przebiegania obcych granic państwowych przez polskie terytorium narodowe. W dodatku do niwelowania tych różnic nie można było przystąpić od razu. Państwo polskie powstawało wśród walk o poszczególne części swego terytorium, granice jego miano dopiero wyznaczyć, a walka o granice przeradzała się w walkę o utrzymanie bytu państwowego.

Jest pozornym paradoksem historii, że dwa pierwsze lata niepodległości Polski, której trzeba było bronić na wschodzie i na zachodzie, wzmocniły te wartości psychiczne, które stanowiły o pełni świadomości narodowej i o woli twórczego niepodległego bytu państwowego. Był to, historycznie biorąc, pozytywny skutek niebezpieczeństw wojennych. Lecz miał i odwrotną stronę. Pogłębiał trudności gospodarcze, opóźniał reformy społeczne, a przede wszystkim nie pozwalał na stworzenie konsekwentnego planu niwelacji różnic między dzielnicami. W tym okresie głównym niwelatorem, podstawowym czynnikiem pracującym nad zespoleniem narodowym i nad niwelacją lokalnych nawyków i umiłowań dzielnicowych było wojsko polskie. Jego zespolenie z tak różnych części składowych było zachętą dla społeczeństwa i najwyraźniejszym symbolem jedności międzydzielnicowej. Wojsko polskie w tym okresie było nie tylko najważniejszą, ale też najsprawniej funkcjonującą instytucją państwową.

Były i inne przeszkody na drodze do likwidacji pozostałości rozbiorowych, którym na imię różnice obyczajów, struktury, prawodawstwa cywilnego i w sensie gospodarczym także interesów poszczególnych dzielnic. Płynna była jeszcze ustrojowo-polityczna koncepcja państwa. Sytuacja na obszarach położonych mię-

dzy wschodnią granicą etnicznego osiedlenia Polaków a ziemiami zamieszkałymi przez Rosjan nasuwała pomysły tworzenia związków federacyjnych Polski z państwami narodowymi Litwinów, Białorusinów i Ukraińców, z państwami, które jeszcze nie istniały i które własnym wysiłkiem powstać by nie mogły. Koncepcję federacyjną reprezentował Józef Piłsudski. Myśl o związku z państwami narodowymi położonymi między Polską a Rosją łączyła się jednocześnie z potrzebą zabezpieczenia przyszłości dla Polaków, którzy na tych terenach mieszkali i którzy, choć nie wszędzie liczni, byli przecież elementem przodującym kulturalnie i — co może w danej chwili wydawało się ważniejsze — ambicjonalnie.

Z koncepcją tą ścierała się inna, dążąca do utworzenia państwa scentralizowanego, o charakterze wyłącznie polskim, z pozostawieniem tylko pewnego marginesu swobód narodowych dla innych narodowości na terytorium państwowym Polski zamieszkałych. Wynik wojny polsko-bolszewickiej miał przesądzić na rzecz koncepcji centralistycznej, która do zadań niwelacji różnic dzielnicowych dodała zagadnienie ułożenia stosunków z mniejszościami narodowymi. Na tym polu nadzieje wciągnięcia mniejszości narodowych do pełnego zaangażowania psychicznego w życie państwa polskiego spełniły się tylko w drobnej części i to głównie wśród mniejszości żydowskiej, która nie stanowiła nigdzie grupy zwartej osiedlenia, choć procentowo w wielu miastach Polski środkowej i wschodniej sięgała jednej trzeciej mieszkańców.

Na przeszkodzie wciągnięciu dzielnic rozbiorowych w jednolity rytm życia państwowego stały skutki ponad stuletniego rozwoju w ramach różnych i to diametralnie różnych systemów prawnych. Kodyfikacja była pracą bardzo trudną, zwłaszcza, że chcąc przestrzegać zasad praworządności w życiu obywateli nie można jej było dokonywać w sposób mechaniczny, bez oglądania się na skutki gospodarcze.

Odmienny system prawny był zresztą w pewnej mierze odbiciem odmiennych procesów rozwoju gospodarczego w poszczególnych dzielnicach. To z kolei łączyło się z różnicami społecznymi. Już sam fakt zniesienia poddaństwa włościan w różnych okresach w różnych zaborach i na różnych w każdym z nich zasadach powodował dalekosiężne skutki społeczne a także kulturalne. Zadaniem najważniejszym bodaj było przestawienie produkcji zarówno rolniczej jak i przemysłowej na nowe rynki zbytu przy jednoczesnej przebudowie systemu kredytowego i przy radykalnej

zmianie źródeł kredytowych. W ramach dawnej Rzeszy Niemieckiej Poznańskie było spichlerzem żywnościowym. Kierunek wywozu nadwyżki płodów szedł na zachód. Górny Śląsk także znajdował główny odpływ na terenie Niemiec bądź też na rynkach eksportowych, do których droga prowadziła przez Niemcy. Galicja była krajem o produkcji rolnej nie wystarczającej nawet na potrzeby własne i o bardzo słabo rozwiniętym przemyśle. Kierunek wymiany handlowej z ziemią byłego zaboru rosyjskiego był dla niej kierunkiem zupełnie nowym i przekształcającym dotychczasową synchronizację potrzeb i możliwości. Przemysł byłego Królestwa Polskiego — węglowy, metalowy i włókienniczy — zaopatrywał dawne imperium rosyjskie i z handlu tego ciągnął zyski, które chociaż w pewnej mierze wynagradzały niedostatki wypływające z niskiego poziomu kultury rolnej. Obecnie wszystkie te różne systemy i przeciwstawne kierunki obrotu handlowego trzeba było zsynchronizować w system nowy, szukać możliwości eksportowych całości kraju i wyrównywać niedobory produkcyjne poszczególnych dzielnic w oparciu o nowy wspólny ośrodek planowania gospodarczego. Nie mogło się to obyć bez wstrząsów. Wstrząsy te znajdowały odbicie w pogarszaniu lub polepszaniu się położenia poszczególnych obszarów Polski. Różnice stopy życiowej zatrzeć się od razu nie dały.

Nie mniej ważne były różnice uwarstwienia społecznego. Nie pozostawały bez wpływu na układ sił politycznych i przekonania polityczne dominujące w poszczególnych dzielnicach. Zdrowy instynkt narodowy zapobiegł powstawaniu stronnictw politycznych regionalnych, a więc reprezentujących przede wszystkim jedną dzielnicę. Oba podstawowe i najsilniejsze kierunki ideologiczne — to jest Polska Partia Socjalistyczna, po jej formalnym połączeniu się z Partią Socjal-Demokratyczną Galicji i Śląska Cieszyńskiego, oraz wyrosła z ogólnopolskiej Ligi Narodowej Narodowa Demokracja — dążyły konsekwentnie i jeszcze przed odzyskaniem niepodległości do zdobycia wpływów we wszystkich dzielnicach. Trochę odmiennie kształtowały się stosunki w stronnictwach chłopskich czyli w ruchu ludowym. I ten jednak stał się natychmiast po odzyskaniu niepodległości ruchem ogólnopolskim. Natomiast wpływy poszczególnych stronnictw były różne w różnych dzielnicach. I tak Wielkopolska i Pomorze o bardzo niewielkiej ilości elementu robotniczego skłaniały się ku kierunkom pravicowym, wyznając zasady solidaryzmu klasowego, który zresztą pozwolił tej dzielnicy przeprowadzić skuteczną, przez pokolenia trwającą walkę gospodarczą i kulturalno-narodową z Niemcami i z Niemcami. I wreszcie niejednorodność kadry przywódców

czej. W byłym zaborze rosyjskim, w Królestwie przede wszystkim, inteligencja wywodziła swój rodowód przeważnie ze środowisk drobno-szlacheckich, pozbawionych ziemi, lecz pozostających w pewnym psychiczno-obyczajowym stosunku do ubogiego w swej większości ziemiaństwa. Wzmagał ją ilościowo napływ elementów robotniczych i chłopskich, a także ludzi spośród asymilowanej mniejszości żydowskiej. W zaborze pruskim inteligencja była w swym głównym zrębie przedstawicielką wolnych zawodów lub polskiego kupiectwa. Nie utożsamiała się z ziemiaństwem. W Galicji za to inteligencja była przede wszystkim urzędnicza i intelektualna. Wynikało to z trwających przez kilka pokoleń swobód samorządowych i kulturalnych. Inteligencja galicyjska miała też pewien zasób doświadczenia administracyjnego, dzięki któremu mogła i musiała zapełnić luki powstające w innych dzielnicach z chwilą, gdy odpłynęła z nich administracja zaborcza. Nie spotykało się to z przychylnym przyjęciem już choćby z powodu na pozór mało istotnych, lecz w życiu bardzo ważnych różnic obyczaju towarzyskiego. Galicja też dostarczyć musiała kadry nauczycielskiej w szkolnictwie, od najniższego po uniwersytety włącznie.

Polskie ośrodki intelektualne wyższego rzędu rozwijać się mogły przed odzyskaniem niepodległości w oparciu o uniwersytety we Lwowie i w Krakowie. Na terenie zaboru pruskiego szkół wyższych nie było, jeśli nie liczyć całkowicie niemieckich we Wrocławiu i Gdańsku. W zaborze rosyjskim polski uniwersytet w Warszawie odtworzony został dopiero w czasie wojny. Stary Uniwersytet Stefana Batorego w Wilnie nie istniał już od dawna, a Polacy wyższe wykształcenie zdobywać mogli w Kijowie, Petersburgu, Rydze lub Dorpacie, jeśli nie udało się im wyjechać na studia do Krakowa lub Lwowa. Szkolnictwo średnie było celowo hamowane w zaborze rosyjskim, a jako polskie istniało tylko w austriackim. Nierówny więc był poziom oświaty — i pod względem formalnej wartości szkoły, i pod względem zagęszczenia szkół, i pod względem możliwości pielęgnowania polskiej kultury naukowej.

Taka była mozaika społeczna, gospodarcza, kulturalna i prawna Polski u progu niepodległości. Dodajmy do tego decentryczność sieci kolejowej i drogowej, różnice budownictwa mieszkaniowego, różnice jakości i przyzwyczajzeń w sposobie odżywiania i obraz nam się wypełni. Różnice te na szczęście nie sięgały spraw językowych, jeśli nie liczyć lokalnego akcentu i różnych naleciałości gwarowych. Nad stworzeniem i pogłębieniem różnic pracowali zaborcy celowo przez sto lat. Ich niwelacja trwała lat

niespełna dziesięć. To, co z nich pozostało, zaliczyć można było w latach trzydziestych do różnic anegdotycznych. Wyjątkiem były różnice położenia gospodarczego. Te utrzymywały się dłużej, choć malały z roku na rok. Malały konsekwentnie i — co najważniejsze — malały wspólnym wysiłkiem społeczeństwa, które pracę nad niwelacją różnic uważało za konieczność oczywistą i naturalną. Poza pracą kodyfikacyjną i ujednoczaniem administracji władze państwowe nie potrzebowały nikogo do niczego zmuszać ani nawet nakłaniać. Tak szybka i dogłębna likwidacja skutków rozdarcia rozbiorowego była zjawiskiem bez precedensu. Uznać ją można za jeden z największych sukcesów historycznych, na jakie zdobył się naród polski. A równocześnie za zbiorowy dowód wielkiej prężności społecznej.

REWOLUCJA PAŹDZIERNIKOWA I NIEPODLEGŁOŚĆ POLSKI

I

Dzisiejsza publicystyka i historiografia komunistyczna podaje jako pewnik, że rewolucja październikowa i jej bezpośrednie skutki były najważniejszą, jeśli nie jedyną przyczyną odzyskania przez Polskę niepodległości. Jest to dogmat polityczny, którego nie wolno poddawać w wątpliwość i nad którym nie wolno dyskutować. Podpiera się ten dogmat z jednej strony tak zwaną leninowską zasadą „samostanowienia narodów”, z drugiej zaś kilkoma deklaracjami, awansowanymi do rzędu wielkich wydarzeń politycznych o historycznym znaczeniu.

Wśród tych deklaracji znajdujemy uchwałę Piotrogrodzkiej Rady Robotniczej i Żołnierskiej z dnia 27 marca 1917 roku, tak zwany dekret o pokoju, Deklarację Praw Narodów Rosji, uchwaloną na drugim ogólnorosyjskim zjeździe Sowietów 8 listopada 1917 roku i wreszcie — jako dokument rzekomo najważniejszy — dekret numer 698 uchwalony przez Radę Komisarzy Ludowych 29 sierpnia 1918 roku. Dekret ten nazywa się obecnie po prostu „przekreśleniem rozbiorów Polski”.

Teza ogólna sprowadza się do twierdzenia, że Polska nie

mogłaby odzyskać niepodległości, gdyby nie wielkoduszność Rosji, która po rewolucyjnym ugruntowaniu władzy bolszewickiej unieważniła rozbiory i dołożyła wszystkich starań na polu międzynarodowym, by w Polsce mogło powstać niepodległe państwo. Oczywiście logicznym wnioskiem tego rodzaju tezy jest podkreślanie swojego rodzaju braku wdzięczności ze strony „burżuazyjnego” czy „nacjonalistycznego” rządu i Sejmu odrodzonej Rzeczypospolitej, które na ten prezent sowiecki odpowiedziały polityką wrogą wobec Rosji, polityką rzekomego imperializmu i wysługiwania się interesom kapitału zachodniego. W tej interpretacji wszystko, co się stało po 11 listopada 1918 roku, było wywichnięciem prawidłowej linii rozwoju na ziemiach polskich.

Ta oficjalna interpretacja komunistyczna jest dosyć świeżej daty. Do roku 1936 historiografia i publicystyka sowiecka nie przypisywała rewolucji październikowej takich zasług. Sprawę odzyskania przez Polskę niepodległości przedstawiała w sposób niezwykle brutalny i wrogi, lecz o wiele bliższy prawdy. Do roku 1936 Polska była tworem Traktatu Wersalskiego, owego „traktatu złodziei i rabusiów”, jak mówił Lenin. Jej powstanie było klęską dla Rosji, stworzyło barierę w poprzek drogi zwycięskiego marszu rewolucji bolszewickiej w głąb Europy. Polska była tworem „nacjonalistów” i „burżuazji”. Jej niepodległość stanowiła krzywdę dla interesów przyszłych proletariackich Niemiec. Ponoсила Polska winę za załamanie się rewolucji w Niemczech i w „Austro-Węgrzech”, bo tak z uporem określano wszystkie kraje, które kiedyś wchodziły w skład monarchii habsburskiej. Dopiero w roku 1936 potępiono tak zwaną historyczną szkołę Pokrowskiego i kazano dokonać rewizji historii, przede wszystkim na odcinku polityki narodowościowej ZSSR i leninowsko-stalinowskiej doktryny samostanowienia narodów. Potępienie było raczej gwałtowne, gdyż wiązało się z wyrokiem śmierci na kilkudziesięciu historyków sowieckich z Andriejem Bubnowem i Nikołajem Łukinem na czele. Rewizja poglądów historycznych pozostawała w związku z nową taktyką czy strategią dialektyczną, która przygotowywała się do stworzenia tezy o możliwości pogodzenia rewolucji socjalnej z powstaniem państw o charakterze narodowym. Rewizja ta dokonywała się bardzo długo, gdyż jeszcze w październiku 1939 roku, po rozbiore Polski dokonanym przez Związek Sowiecki w przymierzu z Niemcami hitlerowskimi, Wiaczesław Mołotow nazywał Polskę „poronionym płodem Traktatu Wersalskiego”.

Nowa teza została ugruntowana ostatecznie w latach 1943-44

i stała się częścią obowiązującej dogmatyki politycznej Związku Sowieckiego. Od tej chwili niepodległość Polski w roku 1918 przestała być dziejowym nieszczęściem dla ludzkości. Przeciwnie — stała się dziełem rewolucji październikowej.

Nowa doktryna historyczna przyczyniła sporo kłopotów, gdy chodzi o ocenę działalności SDKPiL oraz PPS-Lewicy czyli — inaczej mówiąc — Komunistycznej Partii Polski w okresie powstawania państwa polskiego. Komuniści polscy występowali wówczas jako bezwzględnie wierne placówki dywersyjne Rosji sowieckiej, zwalczając — jak im kazano — ideę niepodległości i starając się dopomóc w jej obaleniu. Znaleziono więc dziś formułę naszpikowaną określeniami w rodzaju dogmatyzm, lewactwo, brak obiektywnej oceny ówczesnej sytuacji i tak dalej. Po to, by w dalszym ciągu udowodnić, że pomimo wszystko komuniści najlepiej rozumieli polską rację stanu, co im pozwoliło tę rację stanu urzeczywistnić przy pomocy Armii Czerwonej w roku 1944.

Uporządkujmy fakty. Odezwa pietrogradzkiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich rzeczywiście stwierdzała, że „Polska ma prawo do całkowitej niepodległości pod względem państwowo-międzynarodowym”. Był to dezyderat nigdy nie powtórzony przez rząd Lenina ani też przez partię bolszewicką. Lenin był zresztą jeszcze wtedy w Zurychu, a Rada pietrogradzka posiadała większość socjal-demokratów — mienszewików, to znaczy antykomunistów. Deklarację redagował Henryk Erlich, członek Bundu, to znaczy żydowskiej partii socjalistycznej w Polsce. Rozstrzelano go w 1942 roku w Moskwie razem z Wiktorem Alterem jako rzekomych „szpiegów niemieckich”. Deklaracja była ogłoszona na długo przed rewolucją październikową i na długo przed opanowaniem Rady pietrogradzkiej przez bolszewików.

Następnym dokumentem była uchwała drugiego zjazdu Sowieców. Mówiła o potrzebie „pokoju bez odszkodowań i bez aneksji” oraz określała tak zwane „prawa narodów Rosji”. Dekret o pokoju był przygotowaniem do porzucenia koalicji walczącej z mocarstwami centralnymi i do zawarcia odrębnego pokoju z Niemcami. Deklaracja praw narodów Rosji wyklądała ówczesnie obowiązującą doktrynę o samostanowieniu. Z samej nazwy wynika, że jeśli chodzi o Polskę, traktowała ją właśnie jako „jeden z narodów Rosji”. Istniała wówczas sprzeczność między poglądami Lenina i Róży Luksemburg. W praktyce przeważało zdanie komisarza do spraw narodowości w rządzie bolszewickim.

Był nim Józef Stalin. Według niego zasada samostanowienia polegać miała na powstawaniu „Rad jako władzy” i „Republik Rad” jako formacji państwowych z zadaniem przyłączenia się do już istniejącej Rosyjskiej Republiki Sowieckiej, zwanej wówczas federacyjną. Tworzyć rady i określać na czym polega wola narodu miał nie ogół mieszkańców, ale proletariatus, proletariatus robotniczy, bez względu na swoją liczebność w stosunku do ogółu ludności. Lecz jednocześnie dyktatura proletariatus polegała na centralizmie demokratycznym. Z czego wynikało, że o tym, czego chce proletariatus, decydować ma grupa ludzi, którym udało się opanować władzę i utrzymać się przy niej w drodze terroru. W stosunku do „narodów Rosji” nierosyjskiej narodowości „deklaracja” miała zapewnić władzę przywódcom rosyjskiego proletariatus robotniczego nad masą obcojęzycznego chłopstwa. Było to rządowi bolszewickiemu potrzebne w jego walce z kontrrewolucją, która operowała siłami wojskowymi głównie na terenach nierosyjskich rosyjskiego imperium.

Lenin przychylił się do tej interpretacji w przededniu pokoju brzeskiego, w którym kapitulował przed Niemcami i zdradzał sprzymierzeńców. Stwierdził wówczas, że „interes socjalizmu stoi znacznie wyżej od zasady samostanowienia narodów”. Interes socjalizmu — w tym wypadku interes Rosji — wymagał zawarcia pokoju z Niemcami za wszelką cenę. Bolszewicy ani nie wierzyli w zwycięstwo koalicji, ani sobie jego nie życzyli. Wierzyli w siłę Niemiec i chcieli być z nimi w zgodzie, nawet wtedy, gdy stracili nadzieję na rewolucję w Niemczech. W roku 1918 nadzieję tę mieli i tym byli skłonniejsi do zawarcia z Niemcami pokoju.

Dekret „unieważniający rozbiory” wreszcie był po prostu dopełnieniem warunków postawionych przez Niemcy w Traktacie Brzeskim. Gdy bolszewicy odnawiali Traktat w sierpniu 1918 roku, zażądano od nich, by ogłosili spis wszystkich umów międzynarodowych zawartych przez Rosję carską i by je unieważnili jako sprzeczne z postanowieniami traktatu pokojowego zawartego w Brześciu. Umów tych było około dwóch tysięcy. Były wśród nich umowy celne z nieistniejącym już księstwem Oldemburskim, umowa o spłatę posagu jednej z księżniczek meklemburskich, umowa dotycząca handlu z księstwem Sachsen-Meininger oraz traktaty rozbiorowe. Odrębny artykuł, trzeci w numeracji, dotyczył spraw polskich. Nie wchodził w szczegóły, lecz stwierdzał, że rząd sowiecki anuluje akty prawne zawarte przez rząd cesarstwa rosyjskiego z królestwem pruskim i cesarstwem austriackim na temat podziału terytoriów polskich. Naturalnie

traktaty rozbiorowe były na długiej liście najciekawsze z punktu widzenia dziennikarskiego. Dlatego wspominała o nich w tytule artykułu o dekreście moskiewska *Prawda*. Redakcja zamieściła przy tym kilka słów od siebie, być może na zlecenie Lenina, że rozbiory są niezgodne z rewolucyjnym poczuciem prawnym narodu rosyjskiego, który uznaje prawo narodu polskiego do niepodległości i zjednoczenia. Lecz pomysł nadawania dekretowi znaczenia prawno-twórczego w odniesieniu do Polski jest kiepskim chwytem propagandowym. Przyszedł do głowy Rosjanom dopiero po upływie dwudziestu lat. Dla narodu polskiego twierdzenie, iż jego niepodległość zależała od unieważnienia przez Rosję traktatów rozbiorowych jest zwykłą obelgą. Traktaty rozbiorowe Polski nie obowiązywały, a niepodległość swą Polacy wywalczyli w roku 1918 własnymi siłami.

Prawdą jest natomiast, że rewolucja październikowa była jednym z czynników, które Polakom ułatwiły zdobycie niepodległości. Jedynym komunistą, który to rozumiał i próbował uzasadnić, był Julian Marchlewski. Twierdził zgodnie z prawdą, że gdyby nie rewolucja, carat decydowałby sam o losie Polski w razie zwycięstwa koalicji. Rewolucja — lecz przede wszystkim zawarcie odrębnego pokoju z Niemcami przez Rosję bolszewicką — rozwiązały ręce mocarstwom zachodnim w sprawie Polski. Ułatwiło to znakomicie pracę Komitetu Narodowego Polskiego. Spowodowało także aktywizację Polaków w kraju. Dlatego, że przestała istnieć sytuacja, w której rozsądek nakazywał szukanie pomocy u jednego z zaborców. Po pokoju brzeskim Rosja wyszła z wojny, oddała całość terytorium polskiego Niemcom i przestała mieć jakikolwiek wpływ na sprawy polskie. Od tej chwili pozostawał już tylko jeden nieprzyjaciel, jeden okupant. Tym były Niemcy. Rosja przestała być nieprzyjacielem, nie dlatego, że ktoś coś deklarował, lecz dlatego, że została wytracona z gry. Natomiast potęgę Niemiec zdruzgotały wojska koalicji zachodniej, pomimo pokoju brzeskiego, który Niemcy wzmocnił, na co rząd Lenina z góry się godził. Naród polski wykorzystał klęskę Niemiec dla osiągnięcia niepodległości.

Państwo polskie powstało w listopadzie 1918 roku. Bolszewicy ustosunkowali się do niego negatywnie. Nie rezygnowali z politycznego programu maksymalnego, który przewidywał utworzenie Polskiej Republiki Rad jako części składowej Związku Sowieckiego. Miała służyć jako pomost łączący Rosję z rewolucyjnymi Niemcami. Ponieważ pomostem tym dobrowolnie Polska być nie chciała, postanowiono zmusić ją do tego siłą. Decy-

zja użycia siły zapadła już 18 listopada 1918 roku, gdy rząd Lenina nakazał rozpoczęcie „operacji Wisła”.

Plan się nie udał. Nie tylko z powodu załamania się rewolucji w Niemczech, lecz przede wszystkim dzięki woli obronienia swej niepodległości przez naród polski. Ani Czerwona Armia, ani dywersja prowadzona przez KPRP niepodległości Polski nie zlikwidowała. Lecz plan w zasadniczych swoich zrębach nie uległ zmianie. Ulegały tylko zmianom taktyka i strategia dyktowane przez dialektykę polityczną.

Istnieje więc niewątpliwie związek przyczynowy między niepodległością Polski a rewolucją październikową. Jest on jednak całkowitym zaprzeczeniem głoszonej przez komunistów interpretacji faktów historycznych.

II

Reakcja społeczeństwa polskiego w kraju na wiadomość o rewolucji leninowskiej nie była zrazu nieprzychylna. Uważano ją za eksperyment, być może lepszy niż bezwład cechujący rządy Kiereńskiego i — znowu być może — zmierzający szczerze do poprawy losu rosyjskiego robotnika i chłopca. Oczywiście poglądy nie były jednolite. Komitet Narodowy Polski ustosunkował się do rewolucji leninowskiej niechętnie, zarówno z przyczyn ideologicznych, jak i z obawy politycznej panującej w stolicach mocarstw zachodnich, że Lenin urzeczywistni swój cel zawarcia odrębnego pokoju z Niemcami, co stworzy wyjątkowo niebezpieczne położenie na froncie zachodnim, grożąc zwycięskim dla Niemiec zakończeniem wojny. Poglądy Komitetu wywierały ogromny wpływ na społeczeństwo w kraju, zwłaszcza na klasy średnie w Królestwie.

Institucja „rad delegatów robotniczych” interesowała lewicę polską. Nie towarzyszyła temu zainteresowaniu chęć ślepego naśladownictwa ani, co ważniejsze, dawanie posłuchu hasłu „cała władza w ręce rad”, którym Lenin zapowiadał już od kwietnia likwidację demokracji parlamentarnej i zasad socjalizmu demokratycznego. W Polsce chciano widzieć w radach robotniczych skuteczne narzędzie walki o prawa świata pracy, a także sposób uruchomienia produkcji, zdewastowanej wskutek wojny.

Lecz ów kredyt zaufania wobec wydarzeń w Rosji łączył się z kategoriycznym oporem przeciwko jakimkolwiek powrotowi

Rosji na ziemi polskiej. O „zanieśieniu rewolucji do Polski” deklamować mogli bolszewicy polskiego pochodzenia czy narodowości we władzach leninowskich. Deklamowali zresztą najczęściej o zanieśieniu rewolucji do całej Europy, przy czym status Polski był im albo w ogóle obojętny, albo zaliczał się do spraw drugorzędnych.

Ale wydarzenia toczyły się szybko. Już za kilka miesięcy z kredytu zaufania pozostaną tylko wspomnienia lub teoretyczne dyskusje na temat, co skłoniło Lenina do „popętnienia błędów”. „Błędów”, których Lenin bynajmniej za błędy nie uważał. Chodziło o zawarcie z Niemcami odrębnego pokoju. Dla Polaków perspektywa zwycięstwa Niemiec po klęsce Rosji była zmorą na pewno bardziej ponurą niż dla Anglików czy Francuzów.

Polska niepodległość swą wiązała ze zwycięstwem sprzymierzonych nad Niemcami, a nie z tym, co się dalej będzie działo w leninowskiej Rosji. Zwycięstwo sprzymierzonych miało poprzez własny polski wysiłek zbrojny.

I tak się rzeczywiście stało. I taka jest prawda historyczna. Ani w roku 1917, ani w następnych, z rokiem 1920 włącznie, nie tylko się w Polsce nie spodziewano pomocy ze strony rewolucyjnej Rosji, lecz nie było też żadnej obietnicy czy oferty takiej pomocy. Do chwili pokonania Niemiec przez mocarstwa zachodnie na temat Polski panowało w Moskwie głucho milczenie. Po pokonaniu Niemiec pojawiło się konkretne zagrożenie wojenne i głośna zapowiedź, że „przez trupa Polski wiedzie droga do rewolucji europejskiej”.

Polska swą niepodległość i tym samym ocalenie Europy przed stworzeniem niemiecko-rosyjskiego olbrzyma bolszewizmu z granicą na Renie, jeśli nie dalej, musiała wywalczyć na polach bitew z Armią Czerwoną. Rewolucja październikowa nic jej w tym nie pomogła.

KOMUNISCI

Entuzjazmu, z jakim całe społeczeństwo polskie w trzech zaborach witało odradzające się do niepodległego bytu państwo polskie nie podzielali przywódcy dwóch tylko ugrupowań politycznych. Jednym była Socjaldemokracja Królestwa Polskiego

i Litwy, drugim PPS - Lewica, która powstała po rewolucji 1905 roku wskutek rozłamu w Polskiej Partii Socjalistycznej między Frakcją Rewolucyjną, uważającą niepodległość Polski za podstawowy cel polityczny i konieczny warunek reform społecznych i gospodarczych, a Lewicą, dla której niepodległość nie była celem najważniejszym. W ciągu niewielu lat Frakcja Rewolucyjna stała się właściwą Polską Partią Socjalistyczną, ostoją idei walki zbrojnej o niepodległość. W oparciu o nią działał Józef Piłsudski. I choć rozstał się z socjalizmem formalnie w roku 1916, PPS w roku 1918 była najbardziej aktywnym ugrupowaniem niepodległościowym w Królestwie i rdzeniem pierwszego rządu polskiego. Jej najwybitniejszym w tym okresie przywódcą był Ignacy Daszyński.

Natomiast PPS - Lewica przechodziła zupełnie inną ewolucję w ciągu czterech lat pierwszej wojny światowej, lawirując coraz to bardziej ku SDKPiL, stronnictwu, które od początku swego istnienia zwalczało aktywnie ideę niepodległości państwowej, widząc przyszłość polskiej klasy robotniczej w ścisłym związku z państwem zaborczym, w którego granicach powinna pozostać. Wodzowie SDKPiL i ojcowie komunizmu polskiego — tacy jak Adolf Warski, Leon Jogiches-Tyszko, Julian Marchlewski czy Róża Luksemburg — występowali gwałtownie przeciwko — jak to określali — „sprowadzaniu proletariatu polskiego na grunt szowinizmu i walki narodowościowej”. Rozumowanie swe wspierali następującą argumentacją: „więź ekonomiczna między poszczególnymi dzielnicami zaborczymi zacieśnia się coraz bardziej, toteż postulat zjednoczenia ziem polskich w niepodległe państwo kapitalistyczne nie odpowiada obiektywnym tendencjom historycznym i ekonomicznym”. Za tym wywodem ekonomicznym wysuwała SDKPiL też polityczną, argumentując, że wspomniane tendencje ekonomiczne są przyczyną całkowitego rzekomo braku zainteresowania niepodległym państwem polskim zarówno w szeregach proletariatu, jak i wśród burżuazji. Niepodległości pragnąć miała jakoby tylko drobna garstka drobnomieszczańskiej inteligencji. Wobec tego całość działalności rewolucyjnej miała się sprowadzać do popierania wyzwolenia społecznego w Niemczech i w Rosji, a ambicje narodowe proletariatu polskiego ograniczyć się do ochrony języka. W myśl tych założeń Róża Luksemburg i Marcin Kasprzak propagowali wśród robotników polskich w Wielkopolsce i na Śląsku myśl ścisłego współdziałania z socjaldemokracją niemiecką w imię walki o wspólne i jedynie ważne cele, osiągalne — ich zdaniem — tylko w granicach państwa niemieckiego.

Gros sił SDKPiL znajdowało się — rzecz jasna — na terenie zaboru rosyjskiego. Na czwartym zjeździe partii, odbytym w Berlinie w roku 1904, uchwalono konieczność organizacyjnego zjednoczenia się z ogólnorosyjską partią socjaldemokratyczną. Postawiono wówczas tylko jeden, zaiste zdumiewający warunek pod adresem towarzyszy rosyjskich. Mianowicie domagano się od Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej Rosji skreślenia z jej programu punktu głoszącego prawo narodów do samostanowienia. Jest rzeczą ciekawą, że partia rosyjska ten właśnie postulat odrzuciła i do zjednoczenia wówczas nie doszło.

SDKPiL jednak obstawała przy swym stanowisku antyniepodległościowym i z biegiem czasu stała się w rzeczywistości częścią partii rosyjskiej, opowiadając się za jej skrzydłem bolszewickim. Jednocześnie coraz wyraźniej i z coraz większym naciskiem działacze SDKPiL podkreślali, że wszelkie swobody językowe czy narodowościowe powinny obejmować tylko Królestwo i ewentualnie Galicję Zachodnią, natomiast nie dotyczą zaboru pruskiego. Róża Luksemburg i Julian Marchlewski przenieśli zresztą całą działalność w czasie wojny i bezpośrednio przed nią na teren Niemiec i stali się działaczami niemieckiej socjaldemokracji, zwalczającej od zjazdu w Jenie w roku 1913 istnienie polskich organizacji robotniczych. Miało to szczególną wymowę zwłaszcza na Górnym Śląsku.

Antyniepodległościowy charakter SDKPiL uległ nieznacznej tylko ewolucji w ciągu lat wojny światowej. Ewolucja ta pozostawała w ścisłym związku ze zmianami, jakim podlegał w okresie poprzedzającym rewolucję październikową i po niej komunizm rosyjski. Socjaldemokraci polscy — a pamiętać trzeba, że ich właściwa czołówka opuściła kraj wraz z cofającą się armią carską i działała w Rosji — przyjęli leninowską wykładnię samostanowienia narodów. Nie odbiegała ona w swej istocie od ich własnych tradycyjnych poglądów, bo głosiła zasadę, że tylko uświadomiony proletariat ma prawo zabierać głos na temat ustroju każdego terytorium narodowego. Jednocześnie jednak inna zasada — tak zwanej „dyktatury proletariatu” — miała skupić całość decyzji w ręku nielicznej grupki przywódczej, która w żadnym wypadku nie miała pochodzić z powszechnego wyboru. Tym samym przewidywano z góry dyktat komunistyczny jako jedyny objaw woli narodu. Dyktat musiał być poparty siłą posługującą się terrorem jako najskuteczniejszym narzędziem działania. Elementu siły dostarczać miała Rosja bolszewicka w każdym wypadku, gdy lokalne Rady Delegatów Robotniczych nie mogły siły takiej wytworzyć. Albo też wtedy, gdy przedstawi-

ciele proletariatu w tych właśnie Radach byli niedostatecznie uświadomieni w duchu komunistycznym.

Rozwinięcia tej swoistej wykładni samostanowienia narodowego dokonał już w sierpniu 1917 roku Józef Stalin. Stwierdził on, że logicznym następstwem tak pomyślanego proletariackiego „samostanowienia narodowego” jest utworzenie w każdym kraju „socjalistycznej republiki rad” podporządkowanej władzom centralnym bolszewickiej Rosji i związanej z nią pod każdym względem — nie tylko podobieństwem ustroju, lecz także bieżącą polityką i wspólnym, nadrzędnym aparatem władzy.

Mniej już było w tym okresie mowy o internacjonalistycznym charakterze rewolucji, przy którym upierała się Róża Luksemburg. SDKPiL używała dalej argumentów propagandowych w rodzaju zbędności państwa wobec nieuchronnego zwycięstwa rewolucji socjalnej we wszystkich krajach Europy, która zdezaktualizuje pojęcie granic i podważy aspiracje narodowe. Brzmiały one głucho, zważywszy kryzys zaufania, jaki się rozwinął w stosunku do nowej władzy bolszewickiej w europejskim ruchu robotniczym po zawarciu przez Lenina pokoju z Niemcami w Brześciu Litewskim. Rosja bolszewicka oddawała w nim Niemcom bez zastrzeżeń terytoria zamieszkałe przez Polaków, Białorusinów i Ukraińców, nie pytając o zdanie ani tych narodów jako całości, ani nawet ich „proletariacko uświadomionych” przywódców.

Niepokój komunistów polskich wzrastał się w miarę narastania w całym społeczeństwie, a przede wszystkim w środowisku robotniczym i wśród chłopów, zdecydowanej woli odzyskania niepodległości państwowej. Wiadomość o Traktacie Brzeskim wywołała falę gwałtownych protestów. Ich ostrze, na tle sprawy Chełmszczyzny, oddanej Ukraińcom, skierowało się przeciwko okupantom niemieckim i austriackim. Wywołało też jednak odpływ sympatii do rewolucji socjalnej w Rosji. Zwłaszcza, że rok 1918 mijał w Rosji pod znakiem potęgującej się z dnia na dzień wojny domowej, niesłychanego chaosu i bezgranicznej nędzy mas. Terror jako środek walki z kontrrewolucją budził przerażenie, zwłaszcza gdy jego ofiarą padali robotnicy, chłopci, kobiety i dzieci. Jego ofiarą padała też masa uchodźców polskich, sięgająca zapewne miliona osób.

Wśród niej bolszewicy wraz z oddaną im teraz bez zastrzeżeń czołową SDKPiL, przebywającą w Rosji, chcieli znaleźć sojuszników. Udało się to im w bardzo nieznacznym stopniu. Z masy żołnierzy narodowości polskiej udało się wcielić do Armii

Czerwonej pewną ilość ludzi w jednostkach o szumnych polskich nazwach. Nie cieszyły się zresztą zaufaniem bolszewików. Kto mógł z Polaków starał się przedostać do oddziałów polskich o charakterze narodowym. Sława zupełnie swoista, jaką zdobyli sobie ludzie pokroju Dzierżyńskiego na służbie rządu bolszewickiego, budziła przerażenie zamiast stanowić zachętę do współpracy z SDKPiL.

PPS - Lewica i SDKPiL dysponowały jednak w dalszym ciągu pewnymi wpływami w środowiskach robotniczych w samej Polsce, chociaż malały one w miarę rozwoju wydarzeń w Rosji i w Polsce. PPS staje się czołowym ośrodkiem organizacyjnym nowego państwa polskiego. Rząd polski realizuje społeczne postulaty socjalizmu, wytrącając SDKPiL i ten argument propagandowy. Bierze ona czynny udział w powstawaniu Rad Delegatów Robotniczych, lecz nie może występować sama, a nawet tam, gdzie występuje, nie ośmiela się jawnie zwalczać niepodległości. Hasło PPS - Lewicy i SDKPiL „Precz z białą gęsią” wywoływało często reakcje wręcz tragiczne dla polskich komunistów. W ciągu kilku miesięcy tracą całkowicie wpływy w większości Rad Delegatów Robotniczych. Przyczyną bezpośrednią jest opowiedzenie się ich przeciwko powszechnemu wyborom do Sejmu Ustawodawczego.

W końcu listopada i w grudniu zapada w Moskwie decyzja nakazująca komunistom w Polsce odsłonięcie przyłbicy i wystąpienie otwarcie z programem likwidacji dopiero co zdobytej niepodległości Polski na rzecz przyłączenia się do federacji sowieckiej. Platforma programowa uchwalona na zjeździe jednoczącym SDKPiL oraz PPS - Lewicę w Komunistyczną Partię Robotniczą formułowała cele następujące:

Po pierwsze: Należy zapobiec wyzwoleniu dzielnic pruskiej, to jest Śląska, Poznańskiego i Pomorza, gdyż osłabi to Niemcy, w których zatriumfuje rewolucja bolszewicka.

Po drugie: Należy przez opanowanie Rad Delegatów Robotniczych wytworzyć konkurencyjny dla rządu polskiego ośrodek władzy rewolucyjnej, który by z Kongresówki i ewentualnie także Galicji Zachodniej stworzył jedną z Republik Rad włączonych do Rosyjskiej Federacyjnej Republiki Socjalistycznej Rad.

Po trzecie: Dopóki ten postulat nie zostanie urzeczywistniony, należy pogłębić w kraju stan wrzenia i nieładu, przeciwstawiając się wszystkiemu, co prowadzi do poprawy warunków bytu wymęczonej przez wojnę ludności. W ujęciu szczegółowym należy prowadzić propagandę przeciwko wyborom do Sejmu, gdyż są one wyrazem demokracji burżuazyjnej. Należy przeciwstawiać się reformie rolnej, gdyż rozwiązanie sprawy chłopskiej leży w

kolektywizacji. Należy przeciwstawić się tworzeniu wojska polskiego, gdyż utrudni ono zwycięstwo sił rewolucji w Niemczech — to znaczy na ziemiach polskich w granicach dotychczasowego państwa niemieckiego — i będzie przeszkodą dla Armii Czerwonej w „wyzwalaniu” Białorusi, Litwy i Ukrainy spod rządów nacjonalistycznych oraz w zadaniu ugruntowania władzy sowieckiej w Polsce.

Były to zadania, a raczej postulaty, które wzbudzą zgrozę w społeczeństwie polskim. Rzucając w ten sposób wyzwanie całemu narodowi, nowokreowana KPRP rzuca również radykalne hasła społeczne. Nie stanowią one atrakcji dla robotników. Po pierwsze dlatego, że wiele z tych haseł wchodzi już w życie na podstawie dekretów rządu Moraczewskiego, inne zaś mają być przedmiotem obrad Sejmu Ustawodawczego. Jednocześnie KPRP kopie przepaść między sobą a ludnością chłopską.

Dzisiejsza historiografia komunistyczna stawia KPRP zarzut niewłaściwej oceny ówczesnych warunków. Jednocześnie głosi jej sławę za to, że rzekomo ona jedna zrozumiała dziejowe znaczenie rewolucji październikowej. Niezasłużona to pochwała i niesłuszne zarzuty. Bo w roku 1918 komuniści polscy wykonywali wiernie zarządzenia swej centrali moskiewskiej. Klęska Niemiec dawała Rosji możliwość zerwania Traktatu Brzeskiego. Liczono w otoczeniu Lenina na zwycięstwo rewolucji w Niemczech. Dopomóc w tym miała Armia Czerwona, w myśl planu „operacja Wisła”.

Jedyną przeszkodę na drodze do zlania się rewolucyjnej Rosji z rewolucyjnymi Niemcami stanowiło niepodległe państwo polskie. Jego likwidacja była głównym, jeśli nie wyłącznym zadaniem powołanej do życia 16 grudnia 1918 roku Komunistycznej Partii Robotniczej Polski. Postawa całego narodu polskiego, łącznie z masami robotniczymi, nie pozwoliła komunistom zadania tego wykonać. Ani w roku 1918, ani w 1919 czy 1920.

Nie wynikało z tego jednak, by KPRP od zadania likwidacji niepodległości Polski kiedykolwiek odstąpiła. Zmieniła tylko taktykę i dialektyczną treść słowa „niepodległość”.

W listopadzie 1918 roku powstały na terenie Kongresówki Rady Delegatów Robotniczych w kilkudziesięciu ośrodkach miejskich. Niemal jednocześnie powstawały podobne w swym charakterze organizacyjny Rady Robotniczo-Chłopskie, Rady Delegatów Chłopskich oraz Rady Delegatów Robotników Folwarcznych. Te ostatnie doszły na terenie Lubelszczyzny do dużego znaczenia.

Powstanie Rad Delegatów Robotniczych na ziemiach polskich poprzedziły tak zwane Komitety Fabryczne w poszczególnych zakładach przemysłowych. Na nich też, przynajmniej w pierwszej fazie działania, oparła się akcja samoobrony świata pracy przeciwko anarchii przemysłowej, która zagrażała krajowi równoległe z niebezpieczeństwem anarchii administracyjnej. Z Komitetów Fabrycznych pochodzili też w ogromnej większości delegaci zasiadający w Radach, które robotnicy uznali za konieczny człon organizacyjny wyższego rządu.

Miesiące poprzedzające klęskę Niemiec i Austrii, a tym samym usunięcie niemieckich i austriackich władz okupacyjnych z Królestwa, z jednej strony osłabiły terror policyjny i wojskowy zaborców, z drugiej zaś pogorszyły i tak już bardzo ciężką sytuację gospodarczą. Przemysł Królestwa, reprezentujący przed rokiem 1914 jedną czwartą siły wytwórczej całego imperium carskiego, wytwarzał w roku 1918 zaledwie kilka procent swej pierwotnej produkcji.

Przyczyną ogólną tego stanu rzeczy była wojna prowadzona na ziemiach polskich przez państwa Polsce i Polakom wrogie. Wrogość ta przejawiała się nie tylko w płaszczyźnie politycznej. Sięgała głębiej. Polegała na celowej polityce zabiedzenia kraju. Im bardziej stawało się prawdopodobne, że w wyniku wojny Królestwo otrzyma jakiś status autonomiczny, tym większe były starania Berlina, by odebrać mu możliwości konkurowania z przemysłem niemieckim. Od lata roku 1918 Niemcy i Austriacy liczyć się musieli już nie z autonomią, ale z niepodległością Polski. Wzmacniało to ich postanowienie dyskryminacji w stosunku do polskiego przemysłu — i w pewnym stopniu także rolnictwa — w drodze dalszego utrudniania dostaw i tak niedostatecznego surowca oraz zwykłej dewastacji urządzeń fabrycznych. Absolutny brak krajowego kapitału dopełniał resztę. W listopadzie roku 1918 robotnik polski żył w stanie granicznym z całkowitą nędzą, przybierającą na odcinku aprowizacyjnym i mieszkaniowym rozmiary tragiczne. Wartość płac realnych nie mogła zaspokoić potrzeb żadnej rodziny robotniczej. Jeszcze gorzej, rzecz jasna, przedstawiało się położenie masy bezrobotnych, sięgającej co najmniej połowy siły roboczej.

Element robotniczy w Królestwie był dobrze uświadomiony i pomimo przeszkód w tworzeniu związków zawodowych wykazywał wielkie zdolności organizacyjne. Komitety fabryczne powstawały w ogromnej większości wypadków samorzutnie. Miały na celu przede wszystkim ochronę warsztatów pracy przed zamknięciem. Była to więc forma kontroli nad fabrykantem, który

— niekiedy ze złej woli, niekiedy z powodu fizycznej niemożności zdobycia surowca i kapitału — skłonny był zamykać deficytowe przedsiębiorstwa.

Oczywiście ten partykularizm zakładowy nie zadowalał polskiej klasy robotniczej w Królestwie, zaprawionej w walce rewolucyjnej od roku 1905 i nieugiętej w walce o reformy społeczne. Dezyderaty takie jak ośmiogodzinny dzień pracy, ubezpieczenia społeczne, inspektoraty i sądy pracy, prawo do zrzeszania zawodowego, zbiorowe umowy o pracę, zabezpieczenie minimum płacy, poprawa warunków mieszkaniowych były przedmiotem nie pobożnych wzdychań, lecz głośno i od dawna formułowanych żądań. Walka o nie dawno przeszła z płaszczyzny wyłącznie społeczno-gospodarczej na płaszczyznę szerszą, to znaczy polityczną. Klasa robotnicza miała swą organizację partyjno-polityczną. Należała formalnie lub przynajmniej popierała którąś z trzech partii socjalistycznych, to jest Polską Partię Socjalistyczną, Socjaldemokrację Królestwa Polskiego i Litwy lub PPS - Lewicę. Robotniczy proletariats żydowski popierał własne stronnictwo socjalistyczne, to jest Bund. W przekonaniu wszystkich robotników, nawet tych nielicznych zgrupowanych przy Narodowym Stronnictwie Robotniczym, ustrój całego kraju powinien uwzględniać postulaty socjalizmu i demokracji. Było pragnieniem całej klasy robotniczej, by na miejsce rządów okupacyjnych zapanowała w Polsce władza ludowa.

Urzeczywistnieniu tego postulatu służyć miały między innymi Rady Delegatów Robotniczych.

Zarówno nazwa, jak i forma organizacyjna Rad wzorowane były na Rosji. Ale posługując się przykładem rosyjskim czy raczej nazwą ukutą w Rosji, klasa robotnicza nie utożsamiała go bynajmniej z wzorem bolszewickim. Stawiano w pewnym sensie znak ciągłości między tym, co się stało w Rosji w marcu 1917 roku, i tym, co się stało w listopadzie tegoż roku, to znaczy w czasie rewolucji październikowej. Rady Robotnicze miały — podobnie jak w Królestwie — podjąć obronę interesów świata pracy i dopomóc w zaprowadzeniu ustroju demokratycznego i parlamentarnego. Miały stworzyć konkretną siłę w służbie demokracji i socjalizmu. Rewolucja bolszewicka jednak nie tylko nie stanowiła dalszego kroku w tym kierunku, lecz przeciwnie, kierunek ten całkowicie wypaczyła. Hasło „Cała władza w ręce Rad” oznaczało zupełnie co innego w Będzinie czy Płocku niż zaczęło oznaczać po rewolucji październikowej w Rosji, gdzie Rady uległy natychmiastowej likwidacji faktycznej, stając się sztydem dla rządzącej terrorem garstki komunistów.

Dla socjalistów-demokratów, socjalistów-patriotów Rady były środkiem do celu. Dla komunistów także były środkiem do celu. Lecz ich cel był sprzeczny z założeniami Rad i sprzeczny zarówno z interesem jak i z dążeniami robotniczymi. Nie każdy sobie z tego mógł zdawać sprawę jesienią 1918 roku.

Niemalą rolę grał w tym pomieszaniu pojęć czynnik psychologiczny. Polska klasa robotnicza zachłysnęła się wprost perspektywą odzyskania niepodległości państwowej. Wydarzenia następowały jedno po drugim z tak zawrotną szybkością, że nie było czasu zastanawiać się nad przeszłością ideologiczną poszczególnych działaczy. Polska wyrastała wokół z żywiołową siłą, władza okupantów padała pod ciosami historii dla każdego widocznej. Rady Delegatów Robotniczych siłą rzeczy stawały się czymś więcej niż organem obrony interesów społecznych i platformą walki o reformy społeczne. Stawały się także organem ładu i spokoju publicznego, zastępczym czy tymczasowym szczeblem władzy państwowej i narzędziem działania dla demokratycznego rządu, gdy tylko w odrodzonej Polsce powstanie. Tak rozumowała ogromna większość robotników i tak myśleli ich przywódcy z Polskiej Partii Socjalistycznej. A także radykalni i niepodległościowi działacze chłopscy, zwłaszcza ci, którym na sercu leżał los bezrolnego proletariatu wiejskiego.

W tym duchu powstała pierwsza w Polsce Rada Delegatów Robotniczych. Utworzyła ją Polska Partia Socjalistyczna w Lublinie 5 listopada 1918 roku. Powołała do życia milicję ludową, zgłosiła postulat natychmiastowych reform społecznych, między innymi ośmiogodzinnego dnia pracy, zapowiedziała strajk generalny jako środek nacisku zarówno na okupantów, jak i na Radę Regencyjną.

Dwa dni później powstał w Lublinie pierwszy rząd Polski Ludowej z Ignacym Daszyńskim na czele. Ogłoszony przezeń manifest zawiera wszystkie dezyderaty społeczne i polityczne polskiej klasy robotniczej. Podejmuje je nowy, już ogólnopolski rząd Moraczewskiego w oswobodzonej Warszawie. Kilka dekretów podpisanych przez niego i przez Naczelnika Państwa wprowadza te dezyderaty w życie. Zanim zbierze się Sejm Ustawodawczy, Rady Robotnicze, których w ciągu listopada powstało kilkadziesiąt, mają w przekonaniu rządu, w przekonaniu Polskiej Partii Socjalistycznej, w przekonaniu Bundu i Narodowego Związku Robotniczego oraz w przekonaniu 90 % robotników służyć poparciem i poradą rządowi socjalistycznemu Polski Ludowej. Mają ułatwić wprowadzanie reform w życie, pilnować porządku publicznego, organizować milicję ludową, pełnić za-

stępcze funkcje administracji państwowej. Mają też wziąć nadzór nad aprowizacją miast i ośrodków przemysłowych oraz nad produkcją przemysłową w fabrykach. Podobne zadania mają spełniać Rady Chłopskie czy Robotniczo-Chłopskie na swym odcinku.

Manifest rządu lubelskiego, dekrety rządu Moraczewskiego i ordynacja wyborcza były ciosem druzgocącym dla agitatorów nasłanych z Rosji w masie uciekających przed terrorem bolszewickim chłopów i robotników polskich wywiezionych z Polski przez rząd carski. Zasilili oni już poprzednio szeregi czołówki SDKPiL i współpracującej z nią PPS-Lewicy. Przez krótki, bo zaledwie kilkudniowy okres udało im się opanować Radę Delegatów Robotniczych w Dąbrowie Górniczej. Rzucili tam hasło „całej władzy dla Rad” w duchu bolszewickim, utworzyli oddziały Czerwonej Gwardii i osiągnęli tyle, że doszło do strzelaniny i do krwawych ofiar. Nie powiodło się im natomiast w Łodzi i w innych ośrodkach. Zaciętą walkę z niepodległościową PPS prowadzili w Warszawie, gdzie stworzyli Radę pod własną egidą w dniu 11 listopada. Popelnili przy tym błąd taktyczny, który im dziś wyrzuca historiografia komunistyczna, nazywając go „sekiarskim”, „lewackim” czy jeszcze inaczej. W rzeczywistości błąd polegał po prostu na odsłonięciu kart. Pisała *Nasza Trybuna*, organ SDKPiL, 2 listopada: „Hasło niepodległości Polski jest osią, dokoła której skupiają się siły reakcji społecznej, wrogowie mas pracujących”. Uchwałała rezolucję konferencja SDKPiL i PPS-Lewicy 15 listopada: „Socjalistyczne republiki Niemiec i Rosji wyzwolą nie tylko proletariat, lecz Polskę i ludzkość całą”.

Tego rodzaju tezy były nie do przyjęcia dla polskiego robotnika. Zwłaszcza, że powtórzyła je w formie jak najbardziej programowej uchwała inauguracyjna Komunistycznej Partii Robotniczej Polski 16 grudnia.

Resztę wpływów w Radach i poza nimi odebrał komunistom ogłoszony przez nich bojkot wyborów do Sejmu Ustawodawczego. W Radzie warszawskiej po przeprowadzeniu prawidłowych wyborów w komitetach załogowych stracili większość. Pozostawało im jedynie organizowanie incydentów w rodzaju buntu w Zamościu, już pod jawnie antypolskimi hasłami.

Natomiast oczyszczone z wpływów komunistycznych Rady Delegatów Robotniczych dobrze spełniły swe zadania. W wielu wypadkach przyczyniły się do szybkiego uruchomienia zakładów pracy zamkniętych przez okupantów niemieckich lub nie mogących prowadzić produkcji wskutek braku maszyn i surowców. Był to jak najbardziej pożyteczny nacisk społeczny, stosowany

przez uświadomioną klasę robotniczą i zmierzający ku zażegnaniu chaosu gospodarczego. W niektórych zaś ośrodkach Rady Delegatów Robotniczych, prowadzone przez socjalistów lub członków związków zawodowych, niektórych nawet o poglądach zbliżonych do Narodowej Demokracji, dopomogły w opanowaniu chaosu administracyjnego i stały się podstawą samorządowych zarządów miejskich.

DEMOKRATYCZNE PODSTAWY PAŃSTWA

Wskreszenie niepodległej państwowości przywracało słuszny i sprawiedliwy stan rzeczy, pogwałcony przez bezprawie i gwałt, jakim były rozbiory Polski.

Pozostawały jednak niewiadome. Ich lista była bardzo długa. Można je jednak zgromadzić w dwa zespoły zagadnień.

Pierwszy dotyczył sprawy granic. Jaki obszar ma Polska zajmować? Czy zostaną uwzględnione jej dezyderaty nie tylko pod względem połączenia wszystkich Polaków w jednym państwie, lecz także pod względem jej przyszłego bezpieczeństwa wojskowego i gospodarczego? Kto i kiedy ma o tym stanowić?

Koncepcje zasięgu granic opracował dokładnie Komitet Narodowy Polski. Znaczna część społeczeństwa gotowa była przyznać mu prawo reprezentowania jego interesów, a także prawo wcielenia w życie swych koncepcji ustrojowych, które były zresztą niezbyt wyraźne. Lecz nie wiadano, czy Komitet w odległym Paryżu zdoła postulaty swe obronić.

Nic dziwnego, że wiedzione zdrowym instynktem politycznym społeczeństwo polskie liczyło się z koniecznością walki prowadzonej własnymi siłami. Naprzód o wytyczenie takich granic, jakie odpowiadałyby interesom państwowym i dążeniom narodowym, a później w obronie granic już wytyczonych. Walka o granice i walka w ich obronie wymagała skupienia wysiłku na możliwie szybkim stworzeniu własnego wojska. Pokrywało się to całkowicie z przekonaniem Józefa Piłsudskiego, gdy obejmował tymczasową władzę nad nowopowstającym państwem polskim. Tworzenie wojska stało się najpierwszą i przez nikogo nie kwestionowaną funkcją państwową. Wojsko też, gdy pow-

stało, dostarczyło najmocniejszych argumentów w sporach o to, jaki ma być obszar państwa polskiego.

Drugi pod względem ważności zespół niewiadomych gromadził się dokoła pytania, jakie mają być podstawy prawne odradzającego się państwa. Innymi słowy, jaki ma być jego ustrój; kto ma w państwie sprawować władzę i w czym konkretnie imieniu. Z wielu przyczyn nie były to sprawy proste. Przede wszystkim dlatego, że wśród Polaków ścierały się najróżniejsze ideologie polityczne i najprzeróżniejsze programy działania, reprezentowane przez ludzi i ugrupowania różniące się między sobą tradycjami, przekonaniami i także — rzecz bardzo istotna — animozjami wpływającymi z dotychczasowych „orientacji”.

Słowem „orientacja” określano w czasie wojny szukanie pomocy w walce o niepodległość lub przynajmniej o polepszenie politycznego położenia Polaków u różnych prawdziwych lub domniemych sprzymierzeńców. Poza bezpośrednim otoczeniem Piłsudskiego mało kto liczył na jednoczesne załamanie wszystkich trzech zaborców, skoro znaleźli się we wrogich sobie obozach.

Jedenasty listopada wyrzucił „orientację” do lamusa historii. Nie przekreślił jednak od razu nagromadzonych niechęci i animozji, zwłaszcza że łączyły się z nimi podziały programowe i ideologiczne, pokrywające się z grubsza, choć nie w pełni, z sympatiami w stosunku do tego lub innego stronnictwa politycznego. Tych — rzecz jasna — było wiele w prężnym i niespokojnym społeczeństwie, zwłaszcza w epoce dziejowej przynoszącej gorączkowe wyczekiwanie na wielkie zmiany, mogące po części lub w pełni ucieleśnić marzenia wolnościowe. Fakt, że dotychczas działające partie polityczne prowadziły żywot w mniejszym lub większym stopniu zakonspirowany, że nie miały nie tylko tradycji rządzenia, ale nawet żadnego doświadczenia w rządzeniu, wzmagał chaos poglądowy i dodatkowo roznamiętniał. Tragiczne położenie gospodarcze stwarzało dodatkowe linie podziału i zaostrzało konflikty klasowe.

Kto w tym położeniu cieszył się większymi od innych wpływami, do kogo społeczeństwo miało zaufanie? Pytanie to precyzował Piłsudski, mówiąc, że każdy go zapewnia o swoich wpływach, lecz nikt nie umie przedstawić na nie dowodów. I stąd decyzją, którą społeczeństwo przyjęło chętnie i jako rzecz oczywistą: należy przeprowadzić wybory do Sejmu, wybory absolutnie wolne i swobodne. One tylko mogą dać prawdziwy obraz sympatii i nastrojów społeczeństwa.

Wybory były zresztą potrzebne także i z innego, kto wie czy

nie ważniejszego względu. Potrzeba było legalizacji władzy, stworzenia instytucji, która mogłaby o sobie powiedzieć, że reprezentując wolę społeczeństwa ucieleśnia suwerenność państwową.

11 listopada, choć nie był aktem rewolucyjnym w mniemaniu narodu polskiego, był nim niewątpliwie z punktu widzenia prawa międzynarodowego. Rozbrojono Niemców. Istniejąca z ich woli Rada Regencyjna Królestwa Polskiego przekazała władzę Piłsudskiemu i rozwiązała się 14 listopada. Rząd rewolucyjny powstały 7 listopada w Lublinie podporządkował się Piłsudskiemu. Podobnie uczynić miała Komisja Likwidacyjna w Krakowie. Akty te stanowiły dostateczną podstawę praktyczną by Piłsudski objął władzę, zaczął organizować wojsko polskie i powołał rząd, to znaczy ciało nazwane rządem a mające sprawować administrację nad tymi terenami Polski, z których zniknęła już okupacyjna władza niemiecka czy austriacka.

Istniały praktyczne podstawy działania, lecz nie były to podstawy wystarczające w sensie prawnym. Ani Piłsudski, ani rząd nie miał zamiaru „przejmować władzy” od Rady Regencyjnej, instytucji, której powszechnie odmawiano prawa do reprezentowania interesów Polski i prawa do rządzenia Polską. Nie inaczej zapatrywały się na sprawę mocarstwa sprzymierzone, które nie zareagowały na depeche notyfikujące powstanie Państwa Polskiego. Nie inaczej też zapatrywał się na sytuację w kraju Komitet Narodowy Polski, który dopiero po dwóch miesiącach, w styczniu 1919 roku, już po wyborach do Sejmu i po objęciu premierostwa przez Ignacego Paderewskiego, podporządkuje się władzom Polski niepodległej, na specjalnych zresztą zasadach.

Uregulowano sprawę w trybie tymczasowym przy pomocy kilku dekretów, które stwierdzały tymczasowość istniejącego stanu rzeczy. 22 listopada wyszedł podpisany przez Piłsudskiego i kontrsygnowany przez Moraczewskiego dekret o „najwyższej władzy reprezentacyjnej Republiki Polskiej”. Piłsudski określał się w nim jako tymczasowy Naczelnik Państwa i stwierdzał, że wszelkie dekrety rządu nabędą ostatecznej mocy tylko w razie przedstawienia ich na pierwszym posiedzeniu Sejmu Ustawodawczego. Tym samym uznawano najwyższą władzę Sejmu zanim jeszcze powstał. Tym samym demokratyczny i parlamentarny charakter ustroju Polski, bez przesądzania jakichkolwiek szczegółów, został ugruntowany nieomal jednocześnie ze zrzuceniem obcego panowania. Nie były to pociągnięcia symboliczne. Wyborów nie odkładano na nieokreśloną przyszłość. Przeciwnie, uznano je za zadanie bodaj najpilniejsze i wytyżono siły, by prowizorium państwowo-prawne zakończyć jak najszybciej. Już

28 listopada, a więc zaledwie po 17 dniach od daty rozbrojenia Niemców w Warszawie, rząd Moraczewskiego ogłosił ordynację wyborczą, wyznaczając termin wyborów nieodwołalnie na 26 stycznia 1919 roku. Tylko jeden dekret wyprzedził w czasie dekret o ordynacji wyborczej, a mianowicie dekret wprowadzający ośmiogodzinny dzień pracy.

Ordynacja wyborcza poszła jak najdalej w kierunku całkowitej demokratyzacji życia politycznego i ustroju. Nakazywała wybory pięcio-przymiotnikowe, to znaczy równe, powszechne, bezpośrednie, proporcjonalne i tajne. Znosiła wszelkie cenzusy majątku czy wykształcenia i przyznawała prawo głosu każdemu pełnoletniemu mieszkańcowi ziem polskich — zarówno tych, które już były pod władzą rządu polskiego, jak i tych, które dopiero się pod jego władzą znajdują. Jako rzecz całkowicie oczywistą przyznano też prawo wyborcze kobietom, w czym Polska wyprzedziła większość państw europejskich, a nawet Stany Zjednoczone.

Przeciwko rozpisanu wyborów w tak szybkim terminie i w oparciu o bardzo demokratyczną ordynację wyborczą występowała prawica. Według koncepcji Dmowskiego i Komitetu Narodowego Polskiego, w obliczu nieuregulowanych stosunków międzynarodowych Polski oraz chaosu wewnętrznego bardziej celowe miało być powołanie Najwyższej Rady Narodowej, ograniczonej do 150 członków, z których 100 miało reprezentować ziemie już wyzwolone spod obcej władzy, a pozostałych 50 zabory pruski i austriacki. Rada miała powstać na podstawie porozumienia między stronnictwami politycznymi i miała być siłą rzeczy ciałem zastępczym i oczywiście tymczasowym. Z koncepcji tej prawica zrezygnowała od razu, gdy rząd socjalisty Moraczewskiego ustąpił miejsca fachowemu i mającemu znamiona koalicyjne gabinetowi pod przewodnictwem Ignacego Paderewskiego. Główną wszakże przyczyną poniesienia zastrzeżeń przeciwko powołaniu Sejmu pochodzącego z wyborów był entuzjazm społeczeństwa, które w swej ogromnej większości uważało sprawę tę za najpilniejszą. W Sejmie zarówno Naczelnik Państwa, jak i naród polski widzieli ucieleśnienie majestatu państwa i symbol jego suwerenności.

Już w grudniu więc rozpisano wybory do rad gminnych. Wybory do Sejmu przeprowadzono w przewidzianym terminie. Odbyły się bez zakłóceń, w atmosferze powszechnego entuzjazmu, o czym świadczy frekwencja wyborcza sięgająca w niektórych okręgach 90 % uprawnionych do głosowania. Hasła bojkotu głoszone przez partię komunistyczną nie znalazły nigdzie echa. Uznano je za nowe potwierdzenie stanowiska komunistów, zwal-

czających jak najgoręcej samą ideę niepodległości Polski. Odbiło się to praktycznie także w Radach Delegatów Robotniczych, gdzie komuniści tracili resztki wpływów.

Najważniejsze były trudności wynikające z sytuacji wojennej w Galicji Wschodniej i w Poznańskim. Wybory odbyć się mogły tylko w Kongresówce i Małopolsce Zachodniej. Dla pozostałych dzielnic zastrzeżono miejsca w Sejmie, zapewniając je po części i tymczasowo reprezentacją złożoną z posłów-Polaków zasiadających dotychczas w parlamencie austriackim lub pruskim. Przewidziano też na przyszłość mandaty dla przedstawicieli Polaków zamieszkałych na ziemiach litewskich i ruskich, czyli na obszarach na północ i wschód od Bugu, okupowanych jeszcze przez Niemców.

Na ławach poselskich zasiadło 340 posłów. Z wyboru pochodziło tylko 296 — 226 wybranych w Królestwie i 70 w Galicji Zachodniej. Pozostałe miejsca zajęli posłowie-Polacy z dotychczasowych parlamentów zaborczych.

Posłowie zgrupowali się w dziesięciu klubach sejmowych. Największy był prawicowy Związek Ludowo-Narodowy ze 116 posłami, wśród których rolę przywódczą grali między innymi Stanisław i Władysław Grabski, ksiądz Lutosławski, Stanisław Głabiński, Wojciech Trąmpczyński z Wielkopolski i Wojciech Korfanty ze Śląska. Polskie Stronnictwo Ludowe „Wyzwolenie” ze Stolarskim, Juliuszem Poniatowskim, Maciejem Ratajem i Janem Dębskim dysponowało 56 mandatami. Polskie Stronnictwo Ludowe „Piast” z Wincentym Witosem, Janem Dąbskim i Kiernikiem miało 44 posłów. PPS uzyskała tylko 32 mandaty, lecz reprezentowała ją wielu wybitnych i doświadczonych polityków jak Ignacy Daszyński, Jędrzej Moraczewski, Feliks Perl, Henryk Diamand, Mieczysław Niedziałkowski i Kazimierz Pużak. Z pozostałych stronnictw czy klubów poselskich było kilka prawicowych, jak Stronnictwo Pracy Konstytucyjnej, oraz lewicowych, jak Stronnictwo Ludowe Lewicy, z Dąbalem i Stapińskim na czele. Mniejszość żydowska miała 10 przedstawicieli. Było też dwóch Niemców reprezentujących ludność tej narodowości z terenu Łodzi i innych ośrodków w Kongresówce. W ogólnym układzie ugrupowania prawicowe, ugrupowania centrum i lewica podzieliły się z grubsza mandatami w równych prawie liczbach, z nieznaczną przewagą prawicy. Resztę stanowili posłowie niezależni oraz przedstawiciele mniejszości.

Gdy o skład klasowy Sejmu chodzi, przewagę mieli ludzie pochodzenia chłopskiego lub związani w ten czy inny sposób z ruchem ludowym.

Sejm zebrał się 10 lutego. W słowach przepojonych wzruszeniem witał posłów Naczelnik Państwa:

„Półtora wieku walk, krwawych nieraz i ofiarnych, znalazło swój triumf w dniu dzisiejszym. Półtora wieku marzeń o wolnej Polsce czekało swego ziszczenia w obecnej chwili... W tej godzinie wielkiego serc polskich bicia czuję się szczęśliwy, że przypadł mi zaszczyt otwierać pierwszy Sejm polski, który znowu będzie domu swego ojczystego jedynym panem i gospodarzem”.

Na drugim posiedzeniu Sejmu dokonano wyboru marszałka. Został nim kandydat prawicy Wojciech Trąpczyński, otrzymawszy o kilka głosów więcej niż Ignacy Daszyński. Wicemarszałkami zostali Bojko z „Piasta”, Moraczewski z PPS, Osiecki z „Wyzwolenia” i Ostachowski z Polskiego Zjednoczenia Ludowego.

Trzecie posiedzenie Sejmu w dniu 20 lutego uznać należy za właściwy początek prac ustawodawczych. Nastąpił na nim pierwszy podział funkcji państwowych i określenie kompetencji Sejmu jako władzy w państwie suwerennym.

Na posiedzeniu tym Naczelnik Państwa przekazał Sejmowi władzę. Mówił: „Wśród zawieruchy, gdy miliony ludzi rozstrzyga sprawy jedynie gwałtem i przemocą, dążyłem, by właśnie w naszej Ojczyźnie konieczne i nieuniknione starcia społeczne były rozstrzygane w sposób jedynie demokratyczny — za pomocą praw, stanowionych przez wybrańców narodu. Starłem się osiągnąć ten cel jak najspieszniej. Chciałem bowiem, by kładąc trwałe fundamenty pod swe odrodzenie Polska wyprzedziła sąsiadów i w ten sposób stała się siłą przyciągającą. Skoro Sejm się ukonstytuował, rola moja jest skończona. Jestem szczęśliwy, że posłuszny swej żołnierskiej przysiędze i swemu przekonaniu postawić mogę do dyspozycji Sejmu władzę, którą dotąd w narodzie piastowałem”.

Sejm na wniosek nagły Daszyńskiego, Korfantego i stu kilkudziesięciu innych posłów uchwalił, że „przyjmuje do wiadomości oświadczenie Józefa Piłsudskiego, że składa on w ręce Sejmu urząd Naczelnika Państwa, i składa mu podziękowanie za pełne trudów sprawowanie tego urzędu w służbie Ojczyzny. Aż do ustawowego uchwalenia tej części Konstytucji, która określi zasadnicze przepisy o organizacji naczelnych władz w państwie polskim, Sejm powierza mu dalsze sprawowanie urzędu Naczelnika Państwa”.

Określono jednocześnie na tym samym posiedzeniu, na czym ma polegać urząd Naczelnika Państwa, oraz jakie będą jego i Sejmu kompetencje i wzajemne stosunki. Ustawa ta, nazwana

oficjalnie „zasadami sprawowania urzędu”, określona została potocznie jako Mała Konstytucja i stała się podstawą ustroju Polski i podstawą funkcji państwowej od jesieni roku 1922. Obowiązywała zatem w okresie dla odrodzonej Rzeczypospolitej najtrudniejszym i najniebezpieczniejszym.

Mała Konstytucja stwierdzała przede wszystkim, że „władzą suwerenną i ustawodawczą w państwie polskim jest Sejm Ustawodawczy. Ustawy ogłasza marszałek Sejmu z kontrsygnaturą prezydenta rady ministrów i odnośnego ministra fachowego. Naczelnik Państwa jest przedstawicielem Państwa i najwyższym wykonawcą uchwał Sejmu w sprawach cywilnych i wojskowych. Naczelnik Państwa powołuje Rząd w pełnym składzie na podstawie porozumienia z Sejmem. Naczelnik Państwa oraz Rząd są odpowiedzialni przed Sejmem za sprawowanie swego urzędu. Akty państwowe Naczelnika Państwa wymagają podpisu odnośnego ministra”.

Trudno o bardziej dobitne sprecyzowanie zasady absolutnej supremacji w państwie Sejmu pochodzącego z wolnych i powszechnych wyborów, zasady, że Sejm jest jedynym przedstawicielem woli narodu i że skupia w sobie zarówno symboliczną jak i praktyczną stronę suwerenności państwowej. Było to w porównaniu z innymi ówczesnymi, a także później powstałymi ustrojami demokratycznymi ujęcie skrajnie demokratyczne, w istocie swej prawie bez precedensu. Sejm przejmował na siebie nie tylko stanowienie praw, lecz także dużą część funkcji rządzenia. Naczelnik Państwa był nie tyle głową państwa, ile szefem władzy wykonawczej — z tym dodatkowym zastrzeżeniem, że ponosił bezpośrednią odpowiedzialność przed Sejmem, a nie tylko pośrednią przez powołanych przez siebie ministrów.

System ten wywołał sporo kontrowersji. Na niejednym praktycznym przykładzie można by wykazać jego wady, jak utrudnienie sprawności działania władzy wykonawczej, tak bardzo uzależnionej od Sejmu, jak stwarzanie pola do popisu demagogii posłów często nieobeznanych z potrzebami państwa i nie posiadających dostatecznych kwalifikacji parlamentarnych. Rządzić w oparciu o przepisy Małej Konstytucji nie było łatwo. Lecz nad wadami przeważały strony dodatnie. W okresie kształtowania się państwowości dosłownie od podstaw i budowy gmachu państwowego w oparciu przede wszystkim, jeśli nie wyłącznie, o entuzjazm, zapał i patriotyzm społeczeństwa tak wyraźnie podkreślona supremacja ciała pochodzącego z wyboru i obradującego nad każdą sprawą państwową jawnie, na oczach własnych oby-

wateli i całego świata, była zjawiskiem politycznie twórczym i wychowawczym zarazem.

I nie spory czy nieporozumienia między Naczelnikiem Państwa a pierwszym Sejmem Rzeczypospolitej stanowią właściwą treść wewnętrznych dziejów Polski w pierwszych latach jej niepodległego bytu, lecz właśnie fakt, że pomimo trudności i nieporozumień system ten mógł w ogóle działać i to działać sprawnie. Tak właśnie z perspektywy lat jego działanie możemy określić, chociaż sprawność ta uchodziła często uwadze ówczesnych aktorów na scenie państwowej, zaprzągniętych zagadnieniami dnia codziennego i często podatnych na nastroje i grę uczuć.

W każdym razie w dniu 20 lutego 1919 roku kończył się stan tymczasowości w życiu Polski. Wyłaniał się symbol suwerenności i powstawały możliwości działania w oparciu o wolę całego społeczeństwa, wyrażaną w Sejmie przez społeczeństwo wybranym. Nie inaczej oceniono ten fakt za granicą, skoro po lutowym posiedzeniu Sejmu nie zwlekano już dłużej z uznaniem państwa polskiego. Jako pierwsze uczyniły to Stany Zjednoczone, wyprzedzając o kilka dni Francję i Wielką Brytanię.

RZĄD MORACZEWSKIEGO

I

„Zasługą, której nikt nie może odjąć Polskiej Partii Socjalistycznej, jest, że jako dawna i silnie zorganizowana partia, o jasnej wypracowanej doktrynie politycznej i społecznej, skierowała początkową budowę państwowości polskiej na drogę demokracji parlamentarnej”. Tak pisał jeden z czołowych działaczy PPS, a jednocześnie czołowy myśliciel polityczny, Mieczysław Niedziałkowski, charakteryzując położenie Polski w pierwszych miesiącach, a może nawet tygodniach jej niepodległego bytu.

Słowa Niedziałkowskiego nie były laurką wystawioną własnej partii. Były też czymś więcej niż pochwałą działalności pierwszego rządu odrodzonej Polski, jakim był stworzony w oparciu o PPS i ugrupowania poglądowo pokrewne rząd Jędrzeja Moraczewskiego. Były i pozostają najtrafniejszą oceną tego wszystkie-

go, co się w Polsce stało w decydujących dla jej przyszłego bytu miesiącach listopadzie i grudniu roku 1918 i w styczniu roku 1919. Rząd Moraczewskiego w tym właśnie czasie sprawował swe funkcje. Powiedziawszy ściślej: rząd ten istniał niespełna dwa miesiące: od 18 listopada do 16 stycznia.

Był rządem tymczasowym, tak jak tymczasowy był cały układ władzy państwowej w Polsce aż do chwili ukonstytuowania się Sejmu Ustawodawczego. Był też rządem postępującym w zgodzie z założeniami polityczno-społecznymi PPS. Nie była to droga łatwa i nie była to droga jedyna. Możliwość było więcej i każda z nich, gdyby ją zastosowano, stawiałaaby pod znakiem zapytania demokratyczny charakter Polski. Jedną z nich zaś, głoszona przez komunistów, zmierzała nie tylko do likwidacji w zarodku demokratycznego ustroju, lecz do likwidacji niepodległości państwowej.

Ważniejsze od ekwilibrystyki komunistycznej myśli politycznej jest zagadnienie, w jakim stopniu komuniści zagrażali odradzającemu się państwu polskiemu w pierwszych miesiącach jego istnienia. Od odpowiedzi na to pytanie zależy także ocena działalności pierwszego rządu polskiego i ocena zasług Polskiej Partii Socjalistycznej. Rząd ten doprowadził do powstania systemu demokracji parlamentarnej. Lecz jeśli alternatywa komunistyczna była nierealna i tak daleko odbiegała od pragnień i woli narodu, to czyż nie wyolbrzymiamy zasługi rządu Moraczewskiego? Może miał przed sobą zadanie zupełnie łatwe?

W listopadzie 1918 roku tylko część ziem polskich stała się w pełni niepodległa i mogła organizować władze państwowe. Były to Kongresówka z wyłączeniem kilku powiatów północnych i Galicja Zachodnia. Kongresówka była krajem wyniszczonym do ostateczności. Obowiązujący pod zaborami system społeczno-gospodarczy był pogwałceniem interesów ogromnej większości społeczeństwa, którą stanowili chłopci, oraz mniej licznej, lecz o wiele bardziej aktywnej klasy robotniczej. W ich pragnieniach, w ich przekonaniach i w ich żądaniach niepodległość łączyła się nierozdzielnie z reformami społeczno-gospodarczymi. Było to pragnienie i żądanie uznawane przez wszystkich. Nawet najsilniejsze ugrupowanie polityczne, Narodowa Demokracja — a pamiętajmy, że było to ugrupowanie prawicowe — nie negowało konieczności takich reform. Lecz wszystko zależało od tego, jaki będzie zasięg reform i kiedy nastąpią.

Namiętności odgrywały dużą rolę w tym okresie tak namiętnym entuzjazmem z jednej strony, a biedą i nędzą z drugiej. Namiętności i entuzjazm znaczyły więcej, więcej na umysły ludzkie wywierały wpływy niż trzeźwa ocena polityczna. Hasła

były podobne. Hasło Polski Ludowej powtarzali wszyscy, lecz, jak to stwierdzał Piłsudski, każdy co innego pod hasło to podkładał. W dodatku prąd rewolucji społecznej ogarniał całą nieomal Europę. Towarzyszyła mu niezajomość prawdziwych założeń i celów rosyjskiej partii bolszewickiej i żadna prawie znajomość rzeczywistości, jaka pod rządami bolszewickimi w Rosji zapanowała. Propaganda komunistyczna dopełniała zamieszania. Po prostu nie zdawano sobie sprawy, że bolszewizm, walcząc z burżuazją, naprawdę walczy z demokracją, z parlamentaryzmem, ze swobodami obywatelskimi i z ludzką godnością. W grudniu 1918 roku domyślano się już, czego chcą komuniści dla Polski. W listopadzie jeszcze nie wiadano. Skoro rządaniem powszechnym jest, by niepodległość przyniosła ze sobą reformy społeczne, cóż w przekonaniu wielu stanowiło różnicę między tym czy innym ugrupowaniem lewicowym a całą prawicą? Zdawać by się mogło, że tylko sprawa reform, gdyż niepodległość jest już sprawą przesądzoną.

Nie była sprawą przesądzoną. Rozumieli to przywódcy polityczni. Zdawała sobie z tego przede wszystkim sprawę Polska Partia Socjalistyczna. I ona jedna miała związać praktycznie dezyderat niepodległości z dezyderatem reform społecznych. Dlatego też Naczelnik Państwa zrezygnował z prób tworzenia rządu tymczasowego w oparciu o koalicję stronnictw, gdyż nawet stronnictwa ludowe nie miały jasnej koncepcji połączenia w jedno obu dezyderatów narodowych. Powołał więc rząd socjalistyczny spośród działaczy nie najsilniejszego stronnictwa, gdyż PPS nim nie była, lecz ze stronnictwa najbardziej doświadczonego na obu płaszczyznach życia, to znaczy na płaszczyźnie politycznej i społecznej.

Ryzyko było wielkie. Lecz jeszcze większym ryzykiem byłaby każda inna decyzja w przełomowych miesiącach poprzedzających wybory do Sejmu.

II

Pytanie „jaka ma być Polska?” stanowiło w końcu 1918 roku kryterium podziałów politycznych i poglądowych. Każde społeczeństwo zna takie podziały, których wyrazem jest walka polityczna i walka o przebudowę społeczną lub gospodarczą. Różnica nie leżała w nasileniu podziałów poglądowych, lecz w sposobach

ich uzewnętrzniania. Z konieczności każdy zabór szukać musiał dawniej rozwiązań dla swych problemów społecznych w ramach państwowości zaborczej. Siłą rzeczy też problematyka inaczej się rozwijała w poszczególnych zaborach. Z drugiej zaś strony na stopień ostrości zagadnień społecznych i gospodarczych wpływał stopień ich powiązania z dążeniami narodowo-wyzwoleńczymi w poszczególnych dzielnicach rozbiorowych. W zaborze pruskim, w Poznańskim zwłaszcza, zagadnienia społeczne i gospodarcze wiązały się w jedną i nierozzerwalną całość z dążeniami narodowymi. Jedne były drugim podporządkowane, jedne z drugimi jak najściślej sprzężone. Stąd zgoła wyjątkowe zjawisko całkowitego braku sprzeczności między aspiracjami narodowymi a interesem klasowym w społeczeństwie wielkopolskim. Inaczej było na ziemiach Królestwa Polskiego, gdzie w łonie klasy robotniczej powstała rozbieżność między wymogami walki klasowej o poprawę bytu a walką o interesy narodowe. Socjalizm polski, socjalizm demokratyczny, reprezentowany przede wszystkim przez Polską Partię Socjalistyczną i socjaldemokrację galicyjską, wiązał postulat reform społeczno-gospodarczych z postulatem niepodległości państwowej. W tym układzie myślowym odzyskanie niepodległości stawało się podstawowym warunkiem przeprowadzenia reform społecznych i gospodarczych.

Listopad 1918 roku stworzył warunki dla realizacji tej właśnie koncepcji, czego praktycznym wyrazem było utworzenie rządu ludowego w Lublinie i jego kontynuacji, jakim był rząd Moraczewskiego. Jak już powiedzieliśmy, PPS przewodziła w nim nie dlatego, by była najsilniejszym stronnictwem w Polsce. Wcale nim nie była, co wykazać miały dowodnie wybory do Sejmu Ustawodawczego. Naczelnik Państwa powołał rząd socjalistyczny, gdyż tylko on dawał gwarancję, że zapoczątkuje reformy społeczne stwarzając przez to fakt dokonany, któremu już żaden układ polityczny zagrozić nie powinien. Piłsudski a także przywódcy PPS widzieli w tym jedyny sposób, by realizacja reform społecznych dokonana już w okresie tymczasowym, wyprzedzając ustalenia natury politycznej i ustrojowej, przekreśliła niebezpieczeństwo konfliktów między postulatami walki klas i postulatem niepodległości w środowisku robotniczym i chłopskim.

Cel ten został osiągnięty. Niepodległość państwową stawała się bezsprzeczną wspólną wartością wszystkich Polaków bez względu na podziały klasowe i polityczne. Poza nawiasem byli tylko komuniści.

Ośmiogodzinny dzień pracy, ubezpieczenia społeczne, regulacja czynszów mieszkaniowych, uprawnienia związków zawodo-

wych i szereg innych reform wysuwały Polskę na czoło postępowych państw europejskich. One też, a obok nich natychmiastowe rozpisanie demokratycznych wyborów do Sejmu Ustawodawczego, dawały częściową przynajmniej odpowiedź na pytanie „jaka ma być Polska” z chwilą gdy stawała się państwem niepodległym.

Lecz nie była to odpowiedź wyczerpująca całość pytania i nie była to odpowiedź wystarczająca dla całego społeczeństwa i dla wszystkich dzielnic Polski. Otwarte pozostawały problemy przekraczające możliwości praktycznego załatwienia w oparciu o jedno tylko ugrupowanie polityczne, jakim była PPS i jej najbliżsi zwolennicy. Problemy te należało rozwiązać pod groźą stoczenia się w odmet zupełnego chaosu gospodarczego i politycznego w obliczu niebezpieczeństw zewnętrznych zagrażających dopiero co odzyskanej niepodległości.

Zwłaszcza, że nie całe społeczeństwo doceniało wagę reform społecznych; znaczne jego odłamy treści ich nie rozumiały bądź oceniały ją fałszywie. Zjawisko to wiązało się z całym szeregiem animozji politycznych i ideologicznych, mających swe źródło w okresie poprzedzającym listopad 1918 roku. Odgrywały przy tym rolę nie tylko partykularyzmy dzielnicowe i programowa część działalności stronnictw politycznych, lecz także odmienna ocena potrzeb młodego państwa oraz niebezpieczeństw, jakie mu zagrażały. Nie bez wpływu też były poglądy sojuszników zachodnich. Te zwłaszcza odgrywały rolę w kształtowaniu poglądów całej polskiej prawicy politycznej. Jej rdzeniem a jednocześnie najsilniejszym organizacyjnie stronnictwem była Narodowa Demokracja, przeciwna socjalizmowi w każdej postaci. Dodać trzeba, że opór przeciwko socjalizmowi nie oznaczał bynajmniej zaprzeczenia konieczności jakichkolwiek reform społecznych. Oznaczał natomiast na pewno krańcowo inne metody działania.

Rząd Moraczewskiego z pełnym poparciem Piłsudskiego zastosował metodę faktów dokonanych. Wprowadził zmiany typu rewolucyjnego w porównaniu ze stanem rzeczy, jaki istniał pod władzą zaborczą. Wprowadził je bez rewolucji, zapobiegając jej tym samym i spajając je w jedną nierozzerwalną całość z koncepcją demokracji parlamentarnej. Tego nowego stanu rzeczy nikt nie tylko nie mógł, ale i nie chciał odwrócić.

A gdyby reform nie wprowadzono, fizyczne zagrożenie ze strony Rosji, oczywiste dla każdego już w zimie 1919 roku, spowodować by mogło wezbranie nastrojów reakcyjnych, chociażby jako środek samoobrony narodowej przed rewolucją niesioną

obcymi siłami z zewnątrz. Dzięki reformom społecznym zaś Polska miała przed sobą jasną drogę i jasny punkt widzenia podzielany przez większość narodu. Bo wiedziała, że inwazja ze wschodu nie niesie rewolucji społecznej, lecz tylko i wyłącznie niewolę w postaci groźniejszej niż wszystkie dotychczasowe doświadczenia narodu polskiego.

RZĄD PADEREWSKIEGO

I

Rząd Moraczewskiego świadomie i celowo kładł podwaliny pod ustrój demokracji parlamentarnej, uważając go za jedyny, na który cały naród polski gotów jest wyrazić zgodę. W rzeczywistości większość Polaków nie brała nawet pod uwagę innej możliwości niż uczynienie z Sejmu wybranego przez wszystkich obywateli najwyższej i suwerennej władzy w państwie. Za ustrojem parlamentarnym opowiadała się także zdecydowanie prawica czyli Narodowa Demokracja. W praktycznym ujęciu właśnie jednak rząd Moraczewskiego, a także Naczelnik Państwa, rozumieli najlepiej konieczność pośpiechu w przeprowadzeniu wyborów, nie tylko z uwagi na potrzebę legalizacji działalności państwa, lecz także dla zapobieżenia próbom podważenia zasad demokratycznych w drodze faktów dokonanych i na korzyść koncepcji autorytarnych. Próby takie nie mogły liczyć na poparcie ogółu obywateli. Mogły jednak pogłębić chaos organizacyjny, tak niebezpieczny w okresie gdy młode państwo nie miało jeszcze ani określonych granic, ani pełnego uznania na arenie międzynarodowej, i znajdowało się w stanie niesłychanego zubożenia materialnego, co ułatwiało zadanie różnego pokroju demagogom.

Choć ważna, nie była to jednak jedyna przyczyna pośpiechu w dążeniu do stabilizacji ustrojowej państwa. Stabilizacji, która miała przynajmniej zarysować fundamenty ustrojowe na tyle mocne, by móc w oparciu o nie przystąpić do dalszej pracy ustawodawczej i organizacyjnej. Dopóki nie przeważało w społeczeństwie przekonanie, że fundamentem tym powinien być ustrój demokracji parlamentarnej, należało jak najszybciej potwierdzić tę

wolę powszechną przez wybór Sejmu Ustawodawczego i przyznanie mu suwerennej roli w życiu państwowym.

Dokonano tego i tym samym zapobieżono niebezpieczeństwu podważenia czy wypaczenia zasady demokracji parlamentarnej w drodze faktów dokonanych ze strony tych ugrupowań, które sobie ustrój Polski inaczej wyobrażały. Należały do nich z jednej strony nieliczne, lecz hałaśliwe i działające przy pomocy metod wywrotowych elementy komunizujące w Radach Delegatów Robotniczych, choć ogłoszony przez Komunistyczną Partię Robotniczą Polski bojkot wyborów i bojkot reformy rolnej przekreślił wszelkie nadzieje wzrostu wpływów komunistycznych. Był jednoznaczny z ich całkowitą klęską polityczną. Z tej strony więc niebezpieczeństwo dla demokracji ustrojowej i dla niepodległości Polski zostało usunięte. Niebezpieczeństwo to mogło się znowu pojawić i pojawiło się, lecz tylko w oparciu o najazd zbrojny ze strony Rosji komunistycznej. Przestało natomiast być niebezpieczeństwem wewnętrznym.

Zrozumiano to, choć nie od razu, także w kołach prawicowych ukształtowanych na poglądach Narodowej Demokracji. Miały one w swym ręku dwa nad wyraz ważne ośrodki działania politycznego. Jednym był Komitet Narodowy Polski w Paryżu, drugim Naczelna Rada Ludowa jako najwyższa władza polityczna Wielkopolski. W obu tych ośrodkach, choć niezupełnie z tych samych pobudek, obawiano się i wyolbrzymiano wpływy skrajnej lewicy, pod jakimi mieli się rzekomo znajdować i sam Piłsudski, i rząd socjalistyczny w Warszawie. W reformach społecznych dopatrywano się ulegania wpływom „bolszewickim”, jak potocznie wtedy mówiono. Większe od tego demagogicznego określenia znaczenie miała szczerza obawa przed anarchią. Tak zapewne rozumował polityk tej miary i umysłu co Roman Dmowski. Ale prawica wiedziała, że faktów nie można już odwołać ani odrobić. Komitet Narodowy Polski przyglądał się z niepokojem rozpisananiu wyborów do Sejmu. Uważając, że jest to krok przedwczesny z uwagi na brak politycznego i parlamentarnego doświadczenia ogółu społeczeństwa, a tym samym i przyszłych posłów, nie mógł opowiadać się przeciwko wyborom, skoro zostały rozpisane. Nie było zresztą warto, skoro prawica, i to zarówno Narodowa Demokracja, jak i prawicowe ugrupowania ludowe, liczyć mogła na pokaźną liczbę mandatów, a może nawet na większość sejmową. Dmowski i inni działacze prawicowi uznali więc słuszność i celowość natychmiastowego przelania suwerenności państwowej na Sejm czyli na wolę ogółu obywateli. Trudniej im było natomiast zgodzić się na sankcjonowanie tymczasowych rządów Naczelnika

Państwa i powołanego przez niego rządu socjalistycznego, o którym było wiadomo, że nie dysponuje poparciem większości społeczeństwa. Było to tym trudniejsze, że Komitet Narodowy Polski w pojęciu państw sprzymierzonych miał także znamiona rządu polskiego.

Kluczowym zagadnieniem była niewiara prawicy polskiej w zdolność zorganizowania skutecznej obrony młodego państwa przed niebezpieczeństwem grożącym ze strony Rosji bolszewickiej. W polityce zagranicznej zapatrywania Piłsudskiego i Dmowskiego były krańcowo przeciwne. Dmowski pokładał całkowitą wiarę w sojusznikach zachodnich. Uważał, że zarówno ich interes polityczny jak i moralne zobowiązania zaprowadzenia demokratycznego ładu w powojennej Europie spowodują nie tylko sprawnie dla Polski decyzje w sprawie jej granic wschodnich, lecz nakazą im także stanąć w jej obronie przed inwazją bolszewicką. W tym okresie zresztą, bo nie później, gotów był oczekiwać zwycięstwa „białej” Rosji nad „czerwoną”, w czym szedł po linii rozumowania Francji. Piłsudski natomiast nie wierzył w zbawczą rolę ochronną sprzymierzonych zachodnich. Nie wierzył także, by w interesie polskim leżało opowiadanie się po stronie jakiegokolwiek Rosji, gdyż obie uważał za równie groźne. Miał własne koncepcje rozwiązania zagadnień wschodnich, określane ogólnie i niezbyt ściśle jako federacyjne. Tym Dmowski był zdecydowanie przeciwny. Prawica obawiała się też, że inwazja Armii Czerwonej nastąpi wcześniej niż w rzeczywistości nastąpiła i że władze krajowe nie zdołają jej się przeciwstawić. Stąd z jednej strony żądania, by wojska zachodnich sprzymierzonych przejęły po wojskach niemieckich linię demarkacyjną z Rosją komunistyczną, z drugiej zaś dezyderat organizacyjno-ustrojowy, by wybory do Sejmu poprzedzić utworzeniem bliżej nieokreślonego tworu, złożonego z delegatów poszczególnych dzielnic, któremu zlecono by opracowanie Konstytucji. Wybory do Sejmu miałyby nastąpić dopiero później, już w oparciu o Konstytucję. Plan był całkowicie nierealny i ośrodek polityczny w Paryżu szybko z niego zrezygnował.

Zwłaszcza po sprawozdaniu swego przedstawiciela wysłanego z Paryża do Polski. Był nim Stanisław Grabski, który już w grudniu 1918 roku w swych raportach rozwiął fantastyczne nieraz oceny sytuacji panującej w kraju. Nie bez wpływu też były naciski rządów sprzymierzonych, które domagały się od Komitetu Narodowego Polskiego rezygnacji z pretensji do nazwy „rząd” i jak najszybszego uregulowania stosunków z rządem polskim w Warszawie. Dmowski, z charakterystyczną dla siebie

trzeźwością, postanowił przerzucić ciężar działalności prawicy polskiej na normalną pracę polityczną na terenie kraju, w przygotowaniu do wyborów. Skrystalizował się wówczas szybko silny ruch opozycyjny, zwłaszcza w samej Warszawie, występujący nie tyle przeciwko osobie i instytucji Naczelnika Państwa, ile przeciwko rządowi Moraczewskiego.

W dniach 4 i 5 stycznia doszło do humorystycznego w swym przebiegu zamachu stanu w Warszawie. Zorganizowali go — jak dziś wiemy, bez porozumienia z Dmowskim — pułkownik Marian Januszajtis, Tadeusz Dymowski, Eustachy Sapieha i Jerzy Zdziechowski, obwołując powstanie „rewolucyjnego rządu narodowego”. Udało im się na kilka godzin „aresztować” Moraczewskiego i ministra spraw wewnętrznych Thugutta. Piłsudski zwymsłał przywódców od „niepoczytalnych smarkaczy” i na tym zamach się skończył. Stwarzało to korzystną koniunkturę dla rządu Moraczewskiego.

A jednak po dziesięciu dniach rząd zgłosił dymisję. Spotkały go za to krytyki. Patrząc z perspektywy historycznej, krok ten jednak wydaje się konieczny. Przeciwnieństwa poglądów nie pozwalały bowiem na luksus polityczny gwałtownego przeciwstawiania ich sobie i czekania na zwycięstwo jednej ze stron. Polski nie było stać na dwutorowość polityki. Nie wolno było przenosić wewnętrznego sporu na forum międzynarodowe. Polsece potrzebne było miejsce przy stole konferencyjnym w pertraktacjach pokojowych z Niemcami. Potrzebna była pomoc materiałowa i żywnościowa z Zachodu.

Stąd decyzja kompromisu politycznego, którą powzięli jednocześnie, choć każdy w inny sposób i bez porozumienia ze sobą, Naczelnik Państwa w Warszawie i Roman Dmowski w Paryżu.

Treścią polityczną kompromisu było uznanie Komitetu Narodowego Polskiego w powiększonym składzie za pełnoprawną reprezentację Polski na Zachodzie oraz uznanie rządu w Warszawie za jedyną władzę krajową.

Rządem tym nie mógł być gabinet socjalistyczny. Zrozumiała to także — i jest to jej ogromną zasługą — sama PPS z Moraczewskim na czele. Rządem tym nie mógł jednak być także gabinet prawicowy. Rozumiano bowiem, że dopóki w państwie nie powstanie suwerenna władza w postaci Sejmu Ustawodawczego, rząd musi opierać się na powszechnym zaufaniu do kogoś, kto stoi poza partiami politycznymi, a jednocześnie ma autorytet wśród swoich i obcych. Człowiekiem tym był Ignacy Paderewski — jeden z niewielu ludzi, którzy mogli się równać popularnością z Piłsudskim.

Paderewski współpracował dotychczas czynnie z Komitetem Narodowym Polskim. Nie obciążała go jednak żadna przeszłość polityczna. Jego zasługi dla Polski i jego bezinteresowność nie podlegały dyskusji. Podobnie jak jego zapał i patriotyzm.

Rząd, na którego czele stanął, nie mógł być nazwany ani lewicowym, ani prawicowym. Pozytywne skutki jego powołania nie dały na siebie czekać: nastąpiło porozumienie i podział funkcji między władzami polskimi w Warszawie i Komitetem Narodowym Polskim w Paryżu. Rządy państw zachodnich natychmiast nawiązały stosunki dyplomatyczne z rządem polskim. Zniknęła płaszczyzna tarć między rządem w Warszawie a Naczelną Radą Ludową w Poznaniu. A wybory do Sejmu z tak zwanej „inicjatywy lewicowej” przekształciły się w pierwszy powszechny i przez nikogo nie kwestionowany akt prawny narodu polskiego. Nie znalazł się też nikt, kto by kwestionował autorytet moralny i ustrojowy Sejmu Ustawodawczego.

Co nie mniej ważne, reformy społeczne i gospodarcze zadekretowane przez socjalistyczny rząd Moraczewskiego otrzymały w tym właśnie Sejmie sankcję całego narodu. Od takiego rozwiązania zależało bardzo wiele. Bo gdyby Sejm, w którym większość zdobyły ugrupowania prawicowe i centrowe, odrzucił reformy społeczne albo podważył ich rozciągłość i zasady, naruszona by została podstawa demokratycznych dążeń narodu polskiego, który w tej epoce entuzjazmu chciał nie tylko parlamentu jako wyrazu suwerenności i instrumentu swobód politycznych, lecz także demokracji w pełnym tego słowa znaczeniu, a więc wolności politycznej w symbiozie ze sprawiedliwością społeczną.

Powiedzmy sobie od razu, by nie wypaczać całości obrazu Polski niepodległej, że ideał ten w ciągu lat dwudziestu osiągnięty nie został, a na wielu odcinkach, zarówno w dziedzinie politycznych swobód obywatelskich, jak i w dziedzinie sprawiedliwości społecznej, po okresie postępu nastąpić miał regres. Przyczyny tego stanu rzeczy to właściwa treść dziejów dwudziestolecia międzywojennego. Także pierwszy Sejm Ustawodawczy w ciągu czterech lat swego istnienia zbliżył się tylko do tego ideału, bo w pełni go nie zrealizował. Lecz pozostał faktem historycznie ważnym, że choć optymizmowi pierwszych miesięcy swobodnego życia we własnym państwie przeciwstawiła się szybko bardzo twarda rzeczywistość, ideał demokracji politycznej i sprawiedliwości społecznej zdobył sobie w umysłach i odczuciu Polaków pierwszeństwo właśnie wtedy.

W owych nabrzmiałych nadzieją, choć na codzien tak bardzo głośnych, pierwszych latach niepodległości ideał ten wiązał się

w jakiś sposób z przymiotnikiem „ludowy”. Znaczenie słów ulega zmianie — zwłaszcza słów używanych bez zastanowienia lub nadużywanych dla określonych celów. W roku 1919 w Polsce słowo „ludowy” miało żywą barwę jako oznaczenie demokratycznych podstaw ustroju i przeciwstawienie się wszystkiemu, co było obce, wrogie i co chciało krzywdzić. Był w tym określeniu i element swojszczyzny i godności ludzkiej, było dążenie do wolności i wyraz siły, jaką daje świadomość odrębności i świadomość własnej liczebności. Słowo „lud” to był z jednej strony nieomal synonim pojęcia „naród”, a z drugiej tradycja kraju rolniczego, gdzie lud w swej ogromnej większości był chłopski lub z chłopów pochodził. Różne były odcienie znaczeń tego słowa w różnych dzielnicach — w zaborze pruskim „lud” to byli po prostu Polacy, w miastach ludzie pracy walczący z obcym przeważnie kapitałem, w Kongresówce i w Galicji przede wszystkim chłopcy spragnieni ziemi, przywiązani do rodzimego obyczaju i chcący sami sobą rządzić.

„Ludowy” był rząd w Lublinie, lecz „Ludowa” też była Rada Naczelna w solidarystycznym Poznańskim. „Ludem” byli Polacy na Śląsku. A gdy Paderewski stawał przed Sejmem, by podziękować Moraczewskiemu za to, co przed nim dla Polski zrobił, i przedłożyć jego dekrety o reformach społecznych Sejmowi do zatwierdzenia, miał przed sobą ławy, gdzie połowa posłów pochodziła ze wsi, a wszyscy nieomal przymiotnik „ludowy” mieli w nazwie swej partii łącznie z Narodową Demokracją. Wszyscy zaś uważali się za przedstawicieli ludu w znaczeniu ogółu pełnoprawnych obywateli Rzeczypospolitej.

I żaden z nich na tym pierwszym posiedzeniu Sejmu ani się nie ważył, ani nie chciał głosować przeciwko reformom społecznym i przeciwko demokratycznej ordynacji wyborczej.

II

Dla Zachodu, dla Stanów Zjednoczonych przede wszystkim, Ignacy Paderewski był uosobieniem polskiego patriotyzmu. Nie był obciążony żadnymi zarzutami politycznymi. Nie wypominano mu żadnej „orientacji” z czasów wojny. Uważano go za sprzymierzeńca bez żadnych zastrzeżeń. Liczono także na to, jak okazała praktyka niesłusznie, że nie będąc politykiem z powołania czy z zawodu będzie łatwiejszym partnerem rozmów niż dający

się nie raz we znaki swym rozmówcom angielskim, francuskim czy amerykańskim Roman Dmowski. Ponadto nie podejrzewano go o radykalizm społeczny, o który obwiniano Piłsudskiego i oczywiście innych przywódców lewicy krajowej jak Daszyńskiego czy Moraczewskiego.

W roku 1919 operowano innymi pojęciami i innymi skalami porównawczymi niż dziś. Zwłaszcza gdy chodzi o kierunki polityczne i ideologiczne istniejące w Europie środkowo-wschodniej, nie wyłączając Niemiec. Gdy o sprawy polskie chodzi, rozróżnienie między SDKPiL i PPS uchodziło uwagi obserwatorów politycznych. Także granice między socjalizmem demokratycznym i parlamentarnym a frazesem leninowskim o „centralizmie demokratycznym” w ramach „dyktatury proletariatu” łatwo się zacierały. Odstraszał przykład socjaldemokracji rosyjskiej, której odłam przekształcił się w bolszewickie wydanie komunizmu. „Rządy socjalistyczne” w Polsce łączono pojęciowo z jakimś kiepskim wydaniem kiereńszczyzny, prowadzącej do komunizmu w wydaniu bolszewickim.

Zamieszanie pogładowe sięgało także w masy robotnicze na Zachodzie. Z tym wszakże, że wśród nich dezinformacja lub brak informacji prowadziły do krańcowo odmiennych wniosków niż w środowiskach polityków burżuazyjnych. Na Zachodzie działacze socjalistyczni gotowi byli dawać ogromny kredyt zaufania i Leninowi, i jego poplecznikom, biorąc słowa za prawdę, a deklaracje za czyny. Nie znając rzeczywistości, jaka panowała w Rosji, ustosunkowując się nieufnie do skąpych źródeł rzeczowych informacji, gotowi byli potępiać PPS chociażby dlatego, że zwalczała ją Róża Luksemburg. Trudno było zresztą o rzetelną analizę w atmosferze wydarzeń rozgrywających się szybciej niż je mogły zanotować nagłówki rozentuzjzmowanej zwycięstwem nad Niemcami zachodniej prasy.

W tej sytuacji Polska zyskiwała bardzo dużo dzięki osobie Paderewskiego. Zwłaszcza że przeprowadził demokratyczne wybory w oparciu o ordynację obmyśloną przez swych socjalistycznych poprzedników. Tworząc swój rząd, Paderewski objął także tekę ministra spraw zagranicznych. Był też przewidziany na delegata polskiego przy paryskim stole konferencyjnym i przy podpisywaniu pokoju w Wersalu. Drugim delegatem był Dmowski. Kończyła się więc dwutorowość polskiej polityki zagranicznej. Tak to oceniono na Zachodzie. Tak też oceniono w Warszawie. I uznano ten stan rzeczy za właściwy. Sejm Ustawodawczy przekształcił rząd Paderewskiego z tymczasowego w kons-

tytuczny, podobnie jak z urzędu Naczelnika Państwa uczynił urząd stały do czasu opracowania pełnej konstytucji państwowej.

Z objęciem teki spraw zagranicznych przez Paderewskiego ustępował najlepszy wśród żyjących Polaków znawca Rosji i spraw wschodnioeuropejskich, Leon Wasilewski. Nie oznaczało to końca jego usług jako doradcy przede wszystkim Naczelnika Państwa. Bo losy Polski w roku 1919 nie zależały bynajmniej tylko od umiejętności dyplomatycznych rozwijanych w cieniu mocarstw sprzymierzonych.

Piłsudski, właśnie w rozmowie z Wasilewskim, ocenił sytuację w sposób lapidarny. Może nawet nazbyt skrótowny, co mu miano często za złe. Podzielił mianowicie zagadnienie granic państwa polskiego i tym samym sprawę jego bezpieczeństwa na to wszystko, co dotyczy bezpośrednio Niemiec i co dotyczy Rosji. Uważał, że pomimo korzystnego faktu dokonanego w postaci zwycięskiego już Powstania Wielkopolskiego granice na zachodzie zależą od decyzji sprzymierzonych zachodnich, gdyż oni Niemcy pokonali i oni mają siłę wymuszenia na nich swej decyzji. Sprawy bezpieczeństwa Polski od wschodu natomiast, od strony Rosji, Piłsudski sprzymierzonym zachodnim pozostawiać nie chciał. Twierdził, że na wschodzie możemy liczyć tylko na własne siły. Poza tym nie tylko Piłsudski, ale razem z nim cała lewica i prawica polska nie chciały krucjaty przeciwko bolszewizmowi w interesie rosyjskiej reakcji. Chciano zabezpieczyć interesy własne i interesy narodów nierosyjskich między Polską a Rosją mieszkających.

Następował więc z konieczności rozdział polityki zagranicznej polskiej na zachodnią i wschodnią. Jest rzeczą charakterystyczną, że Paderewski — ów rzekomo niedoświadczony polityk — potrzebę tego rozdziału zrozumiał i pod nią się podpisał.

Popularność Paderewskiego różne przechodziła koleje, by doprowadzić po 10 miesiącach do upadku jego rządu. Nie ulega wątpliwości, że rezultaty działalności dyplomatycznej nie odpowiadały wszystkim dezyderatom polskim ani w sprawie ustalenia granicy z Niemcami, ani na odcinku zagadnień Galicji Wschodniej oraz sporu z Czechosłowacją o Śląsk Cieszyński. Rezultaty byłyby zapewne jeszcze gorsze, gdyby nie fakty dokonane w postaci samodzielnego wyzwolenia się Wielkopolski, powstań śląskich i zwycięskiej wojny z Republiką Ludową Zachodniej Ukrainy. Niemniej rządy Paderewskiego wprowadziły ostatecznie Polskę na forum międzynarodowe jako państwo sprzymierzeńce w wojnie z Niemcami i jako czynnik ładu i konkretnej siły politycznej w tej części Europy.

Położenie zaboru pruskiego w okresie pierwszej wojny światowej było znacznie trudniejsze niż położenie innych ziem polskich. Myślę o widokach na odzyskanie wolności, a nie o sytuacji gospodarczej. Gdy o położenie gospodarcze chodzi, było ono lepsze niż w Królestwie, w Galicji i na ziemiach wschodnich. Ani rolnicze Poznańskie i Pomorze, ani wysoko uprzemysłowiony Śląsk nie uległy dewastacji wojennej. Nie przewalały się przez nie fronty.

Doczekał więc zabór pruski końcowych dni wojny bez naruszenia swej substancji materialnej, ani w przemyśle, ani w rolnictwie. Przeciwnie, potrzeby wojenne Rzeszy niemieckiej stały się podniętą dla inwestycji w górnictwie węglowym i w stalowniach śląskich. Dopomogły też przemysłowi w Poznańskim. Także rolnictwo Wielkopolski na wojnie nie straciło. Można jedynie powiedzieć, że eksploatowano je na niemieckie potrzeby aprowizacyjne z uszczerbkiem dla wyżywienia miejscowych ośrodków miejskich. Lecz i to uznać można za zjawisko marginesowe, stwierdzając, że w sumie zabór pruski z zawieruchy wojny wyszedł w sensie gospodarczym obronną ręką, a nawet że potencjał jego się wzmocnił w porównaniu z rokiem 1914.

Będzie to miało ogromne znaczenie dla całokształtu gospodarki Polski odrodzonej. Poznańskie i Pomorze będą jedynymi dzielnicami posiadającymi rzeczywiste nadwyżki produkcyjne i nie przechodzącymi wyraźnego kryzysu gospodarczego. Siła gospodarcza Wielkopolski odznaczała się jeszcze jedną cechą specyficzną, pozytywną w ówczesnych warunkach, wymagających ciągłej improwizacji. Mianowicie większość dyspozycyjnych środków kapitałowych i rezerw finansowych ulokowana była w bankach i kasach oszczędności znajdujących się na miejscu. Oczywiście istniały nieodzowne i rentowne powiązania z niemiecką siecią bankową — nie było jednak zależności. Ustanie swobodnego obrotu pieniężnego, a także towarowego, z Niemcami pociągnęło za sobą straty gospodarcze. Straty te jednak były obustronne i w dużym stopniu wzajemnie się kompensowały. W każdym razie nie oznaczały nadwątlenia substancji majątkowej rolnictwa i przemysłu poznańskiego.

Politycznie sytuacja wyglądała inaczej. Pod względem prawnym zabór pruski stanowił część państwa niemieckiego. Traktowano te ziemie inaczej w naradach i deklaracjach państw sprzymierzonych, traktowano też inaczej w codziennym życiu. Niemniej nie ulegało wątpliwości dla żadnego Polaka, że zabór pruski musi się zjednoczyć z przysłą niepodległą Polską i to zjednoczyć się natychmiast. Z tej konieczności zdawali już sobie także sprawę Niemcy, przewidując, że rozejm, a potem pokój ze zwycięskimi państwami zachodnimi zawierać będzie klauzulę oswobodzenia, jeśli nie całości polskich ziem etnicznych, to w każdym razie ich części. Chociaż wojna toczyła się jeszcze, parlament Rzeszy niemieckiej i parlament pruski w obradach swych wspominał o czterestu punktach deklaracji Wilsona i zastanawiał się nad ich znaczeniem i zakresem. Stało się to przede wszystkim dzięki inicjatywie Koła Polskiego składającego się z posłów-Polaków zasiadających w Reichstagu. Przemawiając w imieniu Koła 5 października 1918 roku, Władysław Seyda nawiązał do czterestu punktów Wilsona i zażądał uznania przez Niemcy prawa narodu polskiego do niepodległego, zjednoczonego państwa z dostępem do morza. Wywołało to rzecz jasna burzę wśród nacjonalistów niemieckich w parlamencie, lecz nie zdjęło zagadnienia z porządku obrad. Rząd Rzeszy, urabiając niejako opinię własną i zachodnią, wystąpił 24 października z własną interpretacją poszczególnych punktów deklaracji Wilsona. Uczynił to ustami ministra spraw zagranicznych Rzeszy Solfa. Mówił on, że w razie rozejmu w grę wchodzić mogą „ziemie bezspornie polskie”, przy czym stosował interpretację zwężającą to określenie. Wspominając o wolnym dostępie do morza mówił, że chodzić może o udogodnienia komunikacyjne i portowe w Gdańsku dla państwa polskiego, za które rząd Rzeszy uważał Kongresówkę z jej Radą Regencyjną na czele.

Przemówienie Solfa pozostawało w pewnym związku logicznym z nie dość jasnym postawieniem sprawy przez koalicję zachodnią, co budziło poważne obawy w łonie Komitetu Narodowego Polskiego w Paryżu. Roman Dmowski udał się do Ameryki, gdzie stwierdził, że słowa Wilsona o dostępie do morza są interpretowane dość mgławicowo. Nie było jasne, czy chodzi o przyłączenie do Polski Pomorza Gdańskiego, czy też o „neutralizację Wisły” i „wolny port w Gdańsku”.

Spowodowało to wystosowanie przez Dmowskiego specjalnego memoriału do Wilsona, memoriału w którym określał wyraźnie dezyderaty polskie jako linię demarkacyjną, a później graniczną, od Koszalina przez Gorzów Wielkopolski na Głogów,

Wrocław i miasto Nysę. W przewidywaniu rozejmu członek Komitetu Narodowego Polskiego Erazm Piltz podjął 29 października 1918 roku *démarche*, żądając zajęcia tej linii przez wojska sprzymierzone i wojska polskie natychmiast po przewidywanym rozejmie. Mówiąc „wojska polskie” Komitet Narodowy Polski miał na myśli przede wszystkim armię polską we Francji.

Na terenie Niemiec i ziem polskich pod zaborem pruskim natychmiastową reakcją na przemówienie Solfa była replika udzielona mu w Reichstagu 25 października imieniem Koła Polskiego przez Wojciecha Korfantego. Mówił on: „Polacy domagają się zjednoczonej z wszystkich trzech zaborów Polski z bezpiecznym dostępem do morza, to znaczy z wybrzeżem polskim, zamieszkałym przez ludność bezspornie polską. Żądamy polskich powiatów Górnego i Średniego Śląska, żądamy Poznańskiego, Prus Zachodnich i polskich powiatów Prus Wschodnich”.

Trudno było o wyraźniejsze i jaśniejsze określenie stanowiska społeczeństwa polskiego w zaborze pruskim. Tezy które formułowali Seyda i Korfanty miały pełne poparcie we wspólnej deklaracji wszystkich organizacji politycznych zaboru pruskiego.

Znajdowały też wyraz praktyczny w żądaniu zaprzestania przesładowań językowych i narodowościowych, zwłaszcza na Górnym Śląsku, oraz w dokonującej się praktycznie polonizacji w urzędach i szkołach w Poznaniu.

W pierwszych dniach listopada wybucha w Niemczech rewolucja, Rady Żołnierskie i Robotnicze przejmują władzę w Berlinie i Hamburgu. Podobne rady powstają w Poznaniu i w innych miejscowościach Poznańskiego, Pomorza i Śląska. Po 11 listopada Polacy w Poznaniu opanowują bez większego wysiłku Rady Żołnierskie w poszczególnych miejscowościach. Jedynie Rada poznańska jest radą mieszaną polsko-niemiecką, lecz i w niej element polski zdobywa szybko przewagę. Rady współpracują z polskim Centralnym Komitetem Obywatelskim, do tej pory tajnym. Wytwarza się nowa sytuacja. Powstaje pewnego rodzaju rozbieżność metod i środków między polskimi elementami zachowawczymi a bardziej radykalnie nastawionymi członkami Rad Robotniczych i Żołnierskich. Gdy elementy skupione w Centralnym Komitecie Obywatelskim występują przeciwko samorzutnemu oderwaniu się od Niemiec, pokładając pełną nadzieję w aliantach zachodnich i w korzystnych dla Polski wynikach konferencji pokojowej, w Radach przeważa chęć stworzenia faktów dokonanych. Motywem jest tu nieufność w stosunku do Niemców i obawa, że swojego rodzaju „legalizm” doprowadzić może

do stwarzania faktów dokonanych właśnie przez Niemców. Jest to obawa uzasadniona. Rząd Rzeszy ma ciągle nadzieję ograniczenia do minimum nieuniknionych strat terytorialnych na ziemiach etnicznie polskich, a jednocześnie za jego przecież wiedzą tworzą się z Niemców miejscowych, przy dużej pomocy Niemców z terenu Rzeszy, zbrojne oddziały *Heimatschutz*'u. Jego zadaniem ma być „obrona Poznańskiego i Pomorza” przed Polakami.

Po stronie polskiej, częściowo w oparciu o opanowane przez Polaków Rady Żołnierskie, zaczynają się także przygotowania wojskowe. Prowadzą je „Sokół”, harcerstwo i Polska Organizacja Wojskowa zaboru pruskiego. Powstają oddziały Straży Ludowej oraz oddziały Służby Straży i Bezpieczeństwa. Są one tylko częściowo zakonspirowane. W Poznańskim wzrasta też z każdym dniem liczba wracających do domu żołnierzy-Polaków z armii pruskiej. Niekiedy są demobilizowani oficjalnie, często demobilizują się sami. Ten napływ elementu bojowego i wyszkolonego wzmacnia nastroje sprzyjające przejściu władzy siłą i zabezpieczeniu jej własnym wojskiem przed wszystkim, co Rzesza niemiecka lub miejscowi Niemcy mogliby przedsięwziąć przeciwko dziełu niepodległości i zjednoczenia. W grudniu w Poznaniu i w wielu innych miejscowościach działają już porządnie prowadzone biura werbunkowe, gdzie zgłaszający się żołnierze-Polacy otrzymują przydziały do mających powstać jednostek, instrukcje alarmowe i skierowania po odbiór broni do różnych magazynów. Broń, wynoszoną z koszar i arsenałów, składa się przeważnie w kawiarniach. Jest rzeczą charakterystyczną, że organizacja wojska odbywa się w warunkach całkowitej improwizacji przy minimum narad i planowania, z tym wynikiem, że w momencie wybuchu powstania jednostki wojskowe do batalionu i pułku włącznie powstaną w ciągu kilku godzin, dowodzone najczęściej przez podoficerów i w pełni gotowe do boju.

Lecz nie jest jeszcze pewne, czy powstanie wybuchnie i czy będzie potrzebne. Natychmiast po kapitulacji Niemiec powstaje Komisariat Organizacyjny Naczelnej Rady Ludowej. Komisariat zwołuje na 3 grudnia do Poznania sejm dzielnicowy złożony z półtora tysiąca delegatów z całego zaboru pruskiego. Postanawia on zlecić obronę sprawy polskiej Komitetowi Narodowemu Polskiemu, nawiązuje kontakt z rządem Moraczewskiego w Warszawie, uznaje naczelną władzę Józefa Piłsudskiego i wybiera Naczelną Radę Ludową jako władzę najwyższą dla całego zaboru pruskiego. Ma ona działać do chwili, gdy traktat pokojowy rozgraniczy ostatecznie państwo polskie od niemieckiego i w sposób

legalny doprowadzi do zjednoczenia dzielnicy pruskiej z resztą niepodległej Polski. Jest to więc stanowisko ostrożne, lecz równocześnie bardzo zdecydowane. Nie podporządkowano się natychmiast i całkowicie rządowi polskiemu w Warszawie przede wszystkim z obawy, że krok taki mógłby utrudnić pertraktacje Komitetu Narodowego Polskiego z rządami alianckimi. Nie bez znaczenia były też sympatie polityczne większości społeczeństwa poznańskiego. Popierało ono prawie w stu procentach Narodową Demokrację i żywiło obawy, czy rząd w Warszawie nie jest zbyt lewicowy względnie, jak mówiono wtedy w Poznaniu, zbyt czerwony. Naczelna Rada Ludowa pozostawała z nim w kontakcie, lecz domagała się jego reorganizacji w kierunku koalicji obejmującej także elementy prawicowe. Przyczyną ostatnią była chęć zachowania zdrowej substancji gospodarczej Poznańskiego, czemu służyć miało jej tymczasowe oddzielenie od chaotycznych stosunków panujących w reszcie Polski. Jednocześnie jednak Rada wstrzymała dostawy żywności do Niemiec, stosując to jako środek nacisku po to, by wymusić rozwiązanie niemieckiego *Heimatschutz*'u i wycofanie oddziałów *Grenzschutz*'u czyli straży granicznej, która niepostrzeżenie stawała się tylko nazwą dla regularnych i licznych oddziałów wojska niemieckiego, zgrupowanych przede wszystkim na styku między Poznańskim a Pomorzem, to znaczy w rejonie Bydgoszczy. Niemcy próbują pertraktować z Naczelną Radą Ludową. Premier pruski Hirsch przybywa do Poznania na narady, które żadnego rezultatu nie dają, zwłaszcza, że jednocześnie w Warszawie rząd polski usuwa pierwszą dyplomatyczną reprezentację Niemiec. Do konferencji pokojowej jest jeszcze daleko, armia Hallera pozostaje we Francji, sprzymierzeni niczego nowego konkretnego nie mówią. W końcu grudnia sytuacja staje się napięta i niebezpieczna. Staje się oczywiste, że jeśli Polacy nie stworzą faktów dokonanych popartych własną siłą zbrojną, to fakty dokonane zostaną stworzone przez Niemców. Agresywność niemiecka tymczasem wzrasta. Do Poznania przybywają niemieckie jednostki wojskowe złożone z Niemców, pozornie dla demobilizacji, ta jednak się opóźnia. Oddziały te okupują lotnisko na Ławicy i obsadzają arsenały i koszary. Dopuszczają się też prowokacji. Największa z nich ma miejsce 26 grudnia. W dniu tym przybył do Poznania w drodze do Warszawy Ignacy Paderewski. Powitał go entuzjazm ludności i ogromny wiec polski. Żołnierze niemieccy zaczęli zrywać flagi polskie i obsadzać ulice. 27 grudnia bez niczyjego rozkazu, samorzutnie rozpoczyna się w Poznaniu Powstanie Wielkopolskie.

Zbrojne oddziały polskie zorganizowały się w ciągu kilku godzin w oparciu o trwające już od dwóch miesięcy prace przygotowawcze. W godzinach wieczornych 27 grudnia przypuszczono szturm na gmach prezydium policji w Poznaniu. W walce padli pierwsi polegli. W ciągu nocy opanowano Zamek, dworzec główny i kompleks koszar piechoty, gdzie przystąpiono natychmiast do tworzenia większych związków wojskowych. Szeregi zapewniały się szybko nadbiegającymi zewsząd Polakami, żołnierzami z armii pruskiej. Po największej części byli to żołnierze już zdemobilizowani, choć spora ich część w chwili rozpoczęcia powstania przebywała jeszcze w koszarach.

Pod względem wojskowym powstanie było arcydziełem improwizacji. Kompanie piechoty tworzyły się dosłownie w biegu na ulicy z żołnierzy i młodzieży podporządkowującej się rozkazom pierwszego z brzegu podoficera Polaka. Rzadziej dowódcą był oficer. Polaków-oficerów rezerwy z armii pruskiej nie było w Poznaniu więcej niż trzydziestu. Było ich zawsze bardzo mało, gdyż Polacy służący z poboru w armii pruskiej rzadko ubiegali się o stopień oficerski. Oficerów zawodowych było zaledwie kilku. Pomimo to już w trzecim lub czwartym dniu powstania Polacy występowali w związkach taktycznych w sile kilku batalionów i baterii. 4 i 6 stycznia mogły one przeprowadzić regularne natarcie na lotnisko w Ławicy i opanować obóz manewrowy w Biedrusku. Jeszcze wcześniej zdobyto w samym Poznaniu cytadelę oraz składy broni i amunicji, z tym skutkiem, że dowództwo powstania z miejsca dysponowało zapasami broni i wyposażenia wystarczającymi na wystawienie kilkudziesięciu tysięcy wojska.

W samym Poznaniu duże zasługi organizacyjne położyła Polska Organizacja Wojskowa Zaboru Pruskiego. Na jej czele stał Wincenty Wierzejewski. Poza Poznaniem wszakże cały ciężar organizacyjny powstania spadł na lokalne Rady Żołnierskie, stąd w szeregu miast i miasteczek powstanie miało charakter jeszcze bardziej spontaniczny niż w stolicy Wielkopolski. Obywając się bez skoordynowanych planów i działając wyłącznie w oparciu o logikę i znajomość podstawowych zasad prowadzenia walki, poszczególni dowódcy dążyli do opanowania węzłów komunikacyjnych, zwłaszcza takich, które zabezpieczały Poznań przed wpływem posiłków niemieckich. I tak już 28 grudnia kapitan Kopa na czele pięciu kompanii wystawionych przez miasteczka

Środę i Kórnik zdołał opanować ważną linię kolejową wiodącą na Zbąszyń i dalej do Berlina.

W pierwszych dwóch tygodniach walk nie udało się wszakże siłom powstańczym opanować Bydgoszczy i tym samym wybić sobie drogi na Pomorze. W ciężkich i krwawych walkach pod Szubinem, Kołaczkowem i Rymarzewem Niemcy powstrzymali natarcie na Bydgoszcz. Na innych odcinkach frontu walki także przybierały na sile i powiększała się liczba ofiar. Powodzenie sprzyjało jednak oddziałom wielkopolskim. Na północy udało się ustalić front na linii Noteci, opanowując także Inowrocław i Chodzież. Na zachodzie oczyszczono teren pod Wieleń, Międzychód i Zbąszyń. Na południu wojska wielkopolskie dotarły do linii kolejowej Rawicz - Ostrów Wielkopolski. Był to front trudny, obejmujący łukiem prawie cały obszar Poznańskiego, i wymagał stworzenia naczelnego dowództwa, zorganizowania sztabów i służb oraz związków taktycznych wyższego stopnia niż batalion czy pułk.

Przez pierwszych kilkanaście dni powstania panowała sytuacja paradoksalna. Naczelna Rada Ludowa i jej wydział wykonawczy — Komisariat — były przeciwne akcji zbrojnej, pokładając pełne zaufanie w wynikach konferencji pokojowej. Powstanie było wynikiem impulsu i zarazem zwycięstwa czynników energiczniejszych, które nie ufały ani Niemcom, ani decyzjom, które ktoś w dalekim Paryżu miał wydać o losie Wielkopolski. Zdrowy instynkt ludności, a przede wszystkim byłych żołnierzy, stworzył fakt dokonany, od którego rzecz jasna nie było odwrotu. Zmysł ładu i zrozumienie potrzeby jednolitego kierownictwa politycznego spowodowały jednak podporządkowanie się oddziałów powstańczych tej samej Naczelnej Radzie Ludowej i Komisariatowi, które wybuchowi były przeciwne. Był to jednocześnie dowód ogromnego zaufania do tych instytucji, zaufania, którego nie zawiodły.

Naczelna Rada Ludowa wzięła fakt dokonany za podstawę swej dalszej działalności. Przejęła natychmiast administrację Poznańskiego, zlecając spolszczenie wszystkich urzędów, szkół i sądów. Rozpoczęła też pertraktacje rozejmowe z władzami niemieckimi, chcąc zapobiec dalszemu rozlewowi krwi, zwłaszcza po niepowodzeniach pod Bydgoszczą. Miało to ten niekorzystny skutek, że wstrzymało odruchy powstańcze na Pomorzu. Skutkiem dodatnim było zaoszczędzenie sił, które tak bardzo przydały się i Poznańskiemu, i całej Polsce w ciągu następnych dwóch lat.

W dziedzinie najważniejszej Naczelna Rada Ludowa przystą-

piła energicznie do tworzenia silnego wojska w oparciu o już istniejące i walczące oddziały. Powstało Główne Dowództwo Wojsk Wielkopolskich. Przeprowadzono też pobór powszechny trzech roczników. Później powołano następne, z tym skutkiem, że w maju 1919 roku stany armii wielkopolskiej osiągnęły 72 tysiące ludzi, a po upływie kilku dalszych miesięcy przekroczyły 100 tysięcy. Armię tę wystawiało dwadzieścia kilka powiatów przyszłego województwa poznańskiego, o łącznym zaludnieniu nie przekraczającym miliona głów. Armia składała przysięgę na wierność Naczelnej Radzie Ludowej.

Kadrę dowódczą i obsadę sztabów zapełnili lub uzupełnili licznie w Warszawie przebywający byli oficerowie polskich korpusów wschodnich, zwłaszcza I korpusu generała Dowbór-Muśnickiego. On sam został dowódcą głównym wojsk wielkopolskich, na miejsce dotychczasowego, którym był oficer w stopniu kapitana, Stanisław Taczak. „Dowborczycy” na stanowiskach dowódczych w armii wielkopolskiej zżyli się na ogół szybko i dobrze z wojskiem, pomimo różnic wykszolenia, gdyż w przeciwieństwie do żołnierza szkolonego w armii pruskiej wywodzili swój rodowód wojskowy z armii rosyjskiej. Z Warszawy przybyli w porozumieniu z rządem polskim. Była to decyzja słuszna także i z tego względu, że większość z nich uchodziła za politycznych zwolenników Narodowej Demokracji i tym samym Komitetu Narodowego Polskiego. Ich sympatie polityczne pokrywały się zatem z przekonaniem ogromnej większości żołnierzy, którymi mieli dowodzić.

W końcu stycznia rząd niemiecki postanowił przystąpić do ofensywy przeciwko Wielkopolsce, znowu w imię zasady tworzenia faktów dokonanych, zanim nie zapadną ostateczne decyzje konferencji pokojowej. Ofensywa rozwinęła się głównie na odcinku między Nakłem i Bydgoszczą, w oparciu o dokonane koncentracje na terenie Pomorza. Walki objęły jednak całą linię frontu i były wyjątkowo ciężkie i krwawe, zwłaszcza pod Babimostem, Kcynią, Kargową i Rawiczem na południu. Przeciagały się do połowy lutego, gdy pod naciskiem marszałka Focha Niemcy musieli się zgodzić na rozejm w Trewirze, zawarty 16 lutego. Rozejm narzucał linię frontu jako tymczasową linię demarkacyjną. Tym samym front wielkopolski się ustabilizował, co nie oznaczało jednak końca walk. Toczyły się one dalej, choć z mniejszym nasileniem, aż po koniec czerwca, to jest do podpisania traktatu pokojowego w Wersalu. Nieraz były to walki krwawe, choć o znaczeniu lokalnym. Rozejm w Trewirze można też uznać za datę końcową Powstania Wielkopolskiego, które właściwie

należałoby nazwać regularną wojną prowadzoną przez jedno polskie województwo przeciwko całej Rzeszy Niemieckiej. Było to też w długim szeregu polskiego wysiłku powstańczego jedyne powstanie zakończone pełnym i całkowitym zwycięstwem, okupionym śmiercią ponad dwóch tysięcy poległych.

Zasięg zwycięstwa próbowano rozszerzyć już po zawarciu rozejmu. Grupa oficerów z szefem sztabu armii wielkopolskiej podpułkownikiem Władysławem Andersem na czele chciała wykorzystać ciągłe łamanie rozejmu pod Bydgoszczą i uderzyć znacznymi siłami w kierunku na Toruń i dalej, wzdłuż Wisły na Gdańsk. Zajęcie Gdańska zbiec by się miało z wyładunkiem tam oddziałów generała Hallera. Wielkopolska posiadała dostateczne siły, by pokusić się o ruch zaczepny. Jej armia wykańczała organizację brygadową i tworzyła już związki dywizyjne. Plan został zarzucony wskutek prośb Paderewskiego i przedstawicieli Galicji Wschodniej, by wysłać grupę generała Konarzewskiego na odsiecz Lwowa. Prośbie tej uległa Naczelna Rada Ludowa, częściowo dla podkreślenia solidarności z pozostałymi dzielnicami Polski, po części zaś z obawy przed komplikacjami w stosunkach z aliancami. Grupa Konarzewskiego poszła pod Lwów. Anders zgłosił wówczas rezygnację z szefostwa sztabu i przeszedł do linii na dowódcę pierwszego pułku ułanów wielkopolskich czyli piętnastego pułku ułanów poznańskich, okrytego później sławą w wojnie bolszewickiej.

Pomorze czekać musiało na wyzwolenie do decyzji konferencji pokojowej. Planowana ofensywa wielkopolska dałaby być może korzystniejsze granice na Pomorzu, zabezpieczyłaby lepiej interesy polskie w Gdańsku i wpłynęła na losy Mazur, pozostawione niepewnej grze plebiscytowej. Ale mogła także wywołać niekorzystne dla Polski skutki międzynarodowe. I bez tej ofensywy jednak skutki Powstania Wielkopolskiego były ogromne. Dzięki niemu Poznańskie, a pośrednio także Pomorze, nie mogło już być przedmiotem przetargów i kompromisów. Wola ludności została wyrażona w sposób nie pozostawiający żadnych wątpliwości. To sukces pierwszy. Pożytkiem dalszym był przykład Poznańskiego, który podziałał na Śląsk. Trzecim wreszcie korzystnym aspektem Powstania było stworzenie na kilka miesięcy przed Traktatem Wersalskim silnej armii wielkopolskiej. Był to nieoceniony wkład w życie młodego państwa polskiego. Już w kwietniu 1919 roku dowództwo wielkopolskie podporządkowało się pod względem operacyjnym polskim władzom wojskowym i Naczelnemu Wodzowi. Już w lipcu armia wielkopolska mogła wziąć udział w walkach na Białorusi. W roku 1920 cztery

pełne dywizje doskonale wyszkolonego i wyposażonego żołnierza, nie licząc pułków kawalerii, jednostek artylerii pozadywizyjnej, saperów, służb i eskadr lotniczych, zaliczały się do najlepszych jednostek młodego wojska polskiego, zdolnych do najtrudniejszych działań. Udział dywizji wielkopolskich w Bitwie Warszawskiej był decydujący. „Tam, gdzieście byli, byliście najlepsi, mówię to wam szczerze i otwarcie” — powiedział w Poznaniu po zwycięskiej wojnie żołnierzom wielkopolskim Józef Piłsudski.

Gospodarczo armia wielkopolska zależała od ośrodków poznańskich nawet po ostatecznym jego scaleniu z resztą armii polskiej w grudniu 1919 roku. Także ten fakt przyczyniał się do wzmocnienia jej wartości bojowej. Zaopatrywała tę armię dzielnica gospodarczo niezniszczona, zapobiegliwa i bardzo o swojego żołnierza dbała.

Nie oznacza to, by wysiłek Poznańskiego w dramatycznie ciężkich miesiącach wojny bolszewickiej i u samego zarania niepodległej Polski ograniczał się do wystawiania i zaopatrywania oddziałów wielkopolskich. Poznańskie, znalazłszy się w jednym organizmie państwowym z pozostałymi dzielnicami Polski, wносиło tak bardzo pożądany element ładu i zasobności, co wyrażało się między innymi w ważnym w powszechnej biedzie wkładzie podatkowym i aprowizacyjnym.

1 czerwca 1919 roku, nie czekając na podpisanie traktatu pokojowego i na formalne zjednoczenie z resztą Polski, przeprowadzono w Poznańskim wybory do Sejmu tymczasowego odrodzonej Rzeczypospolitej.

III

Cele Powstania Wielkopolskiego łatwiej jest określić podsumowując jego skutki. Metoda ta także dlatego wydaje się najszuszniejsza, że nikt w Poznaniu i w całej Wielkopolsce nie zakładał tych celów z góry. Nikt nie prowadził nad nimi długich wstępnych dyskusji, nikt ich nie ujmował w formę deklaracji i manifestów. Jedyne proklamacje, jakie Poznańscy poznawali z prasy, ograniczały się do wezwań do zachowania porządku i dyscypliny społecznej. Tak było w fazie przygotowawczej i tak było w pierwszej fazie Powstania. Później Naczelna Rada Ludowa, jej Komisariat oraz Dowództwo Główne Wojsk Wielkopolskich

podawały do wiadomości konkretne zarządzenia i sprawdzone informacje. Do informacji należało obwieszczenie o przejęciu całokształtu władzy w Poznańskim przez Naczelną Radę Ludową w dniu 9 stycznia 1919 roku, mianowanie tegoż dnia Wojciecha Trąmpczyńskiego prezydentem prowincji, Jarosława Drwęskiego prezydentem miasta Poznania, Karola Rzepeckiego szefem policji. Zarządzenia miały charakter dekretów ustawodawczych i regulowały całokształt spraw publicznych, to znaczy skarbowych, administracyjnych, szkolnych i wojskowych, łącznie z ogłoszeniami poboru poszczególnych roczników.

A więc działalność jak najbardziej pragmatyczna, z ogromną oszczędnością słów, zwłaszcza słów górnolotnych. Działalność oparta o całkowite zaufanie do własnego społeczeństwa, do jego karność i patriotyzmu. Nie trzeba było nikogo przekonywać o konieczności istnienia władzy polskiej, o konieczności wspólnego wysiłku solidarności, płacenia podatków, sprawnego funkcjonowania poczty i kolei, zaciągu do wojska. Wydawanych zarządzeń nie trzeba było uzasadniać ani ich tłumaczyć. Co ważniejsze, przy trwających działaniach wojennych i improwizowanej administracji, opartej po największej części o współdziałanie obywateli, trudne byłoby stosowanie przymusu — innymi słowy, urzędowa egzekucja wydawanych zarządzeń. Nie było to z reguły potrzebne.

W tej sytuacji, gdy jedynym właściwie przymusem był przymus moralny, dyktowany przez poczucie narodowe i solidarność obywatelską, nie potrzebowała Wielkopolska w okresie powstania żadnego dyktatora, czy byłaby nim jednostka wyniesiona na fali powszechnego entuzjazmu, czy też jakaś dobrze zorganizowana grupa polityczna lub wojskowa. Większość decyzji, zarówno zasadniczych jak i codziennych, regulujących życie od wypadku do wypadku, podejmowano kolegalnie. Zasada narady i większości głosów, często przy użyciu perswazji w stosunku do oponentów, obowiązywała od Rady Naczelnej Ludowej i jej Komisarjatu aż po komitety obywatelskie w gminach. Wybierano do nich ludzi powszechnie znanych i cieszących się zaufaniem. Bardzo rzadkie przy tym były wypadki zawierania kompromisów personalnych między ludźmi reprezentującymi różne kierunki polityczne. Różnice poglądów były zresztą w społeczeństwie wielkopolskim minimalne. Mogły dotyczyć metod działania, nigdy spraw o zasadniczym znaczeniu. Do tych należało przede wszystkim wyzwolenie spod wiekowej niewoli.

Kim byli ludzie, którzy stanęli na czele Wielkopolski w dziejowym momencie wyzwolenia? Myślę w tej chwili nie o dowód-

cach wojskowych, gdyż wśród nich przeważała młodzież żołnierska, sportowa i harcerska, ciesząca się zaufaniem swych kolegów, lecz do chwili wybuchu walki zbrojnej mało znana szerszemu ogółowi. Myślę o członkach Komitetu Obywatelskiego, który przekształcił się w załączek Naczelnej Rady Ludowej. Myślę o komitetach lokalnych, a także o Radach Robotniczo-Żołnierskich, na które spadł ciężar przygotowania wystąpienia zbrojnego.

Wymieńmy z konieczności tylko parę nazwisk. A więc prezydium Naczelnej Rady Ludowej. W nim prezesem był doktor Bolesław Krysiewicz, wiceprezesami dwaj księża, Władysław Wolsztyger i Paweł Pośpiech, a sekretarzami lekarz Czesław Meissner i Karol Rzepecki. Rząd Wielkopolski czyli Komisarjat Naczelnej Rady Ludowej składał się także z sześciu członków. Byli wśród nich Słazak Wojciech Korfanty, dziennikarz i polityk Władysław Seyda, ziemianin Adam Poszwiński, ksiądz Stanisław Adamski (ten był działaczem związku spółek zarobkowych), kupiec Józef Rymer i doktor Stefan Łaszewski. A obok nich na różnych stanowiskach znani społeczeństwu lekarze, adwokaci, dziennikarze, ziemianie, proboszczowie parafii wiejskich, działacze robotniczy, chłopci zasłużeni w akcji spółdzielczej, wreszcie kierownicy związków śpiewaczych, sportowych, Sokoli i harcerze. Wierny przekrój społeczeństwa zahartowanego w wiekowej walce o utrzymanie i pomnożenie polskiego stanu posiadania.

POLACY I UKRAIŃCY

I

Jest ironią historii, że pierwsze starcie zbrojne po odzyskaniu niepodległości stoczyli Polacy nie z którymś z zaborców, ale z siłami dążącymi do własnej wolności — z Ukraińcami. Terenem tego starcia, zanim nie rozwinęło się w poważny konflikt wojskowy, było miasto Lwów. Fakt ten zabarwił dalszy rozwój wypadków w bardzo szczególny sposób, zaciemniając niekiedy polityczną i racjonalną stronę zagadnienia wielkim nagromadzeniem elementów uczuciowych.

Przez cały czas trwania rozbiorów Lwów był jednym z najwyższych i najbardziej twórczych ośrodków polskości, zarówno

pod względem kulturalnym, pod względem pielęgnowania tradycji i aspiracji narodowych, jak i dlatego, że od drugiej połowy XIX wieku był to jedyny właściwie swobodnie działający polski ośrodek polityczny. Konkurował z nim Kraków. Z tych dwóch miast Lwów był miastem większym, był ponadto siedzibą władz Galicji, a jego ludność, co nie jest faktem bez znaczenia, odznaczała się żywiołową energią i indywidualnością. Poczucie polskości było dla mieszkańców Lwowa czymś w rodzaju zawołania bojowego, co wynikało w sposób naturalny z tradycji miasta kresowego, położonego na terytorium o ludności mieszanej, ze zdecydowaną liczebną przewagą Ukraińców a tradycyjno-kulturalną Polaków. Za czasów przedrozbiorowych Lwów był klasycznym przykładem zgodnego współżycia nie dwóch, ale trzech narodowości, skupionych na małym obszarze miejskim. Dumny był ze współżycia elementu polskiego, ruskiego i ormiańskiego. Tradycje te były ciągle żywe wśród Polaków mieszkających we Lwowie, nie wywierały jednak żadnego wpływu na psychikę budzących się do pełnej świadomości narodowej Ukraińców. Dodałmy nawiasem, że element ormiański uległ już dawno całkowitej polonizacji, pielęgnowując jedynie odrębności obrządkowe w ramach Kościoła katolickiego.

Samo miasto Lwów miało charakter zdecydowanie polski. Polacy stanowili 62 % mieszkańców. Drugą grupą byli Żydzi, w swych obyczajach w dość znacznym stopniu spolonizowani. Ukraińców było około 20 %.

Tak się jednak składało, że z wszystkich enklaw polskich na etnicznym terytorium ukraińskim w Galicji Lwów był otoczony najbardziej zwartym zaludnieniem ruskim. Używamy tu celowo tych dwóch określeń: ruski i ukraiński, gdyż u końca pierwszej wojny światowej oba terminy były używane i to nie tylko przez Polaków. W pozostałej Galicji Wschodniej większe skupiska polskie gromadziły się raczej we wschodniej i południowej części, z największym nasileniem w okolicach Tarnopola, to znaczy na tak zwanym Podolu galicyjskim. W stosunku procentowym w Galicji Wschodniej, przyjmując rzekę San za granicę, na 5 milionów 400 tysięcy mieszkańców Polaków było półtora miliona, to znaczy 28 %, a Ukraińców 3 miliony 200 tysięcy, to znaczy 59 %. Resztę — około 12 % — stanowili Żydzi. Dla pełni obrazu warto może przytoczyć kilka dodatkowych cyfr. Wśród Polaków ludność rolnicza nie przekraczała 40 %, podczas gdy pośród ludności ukraińskiej na wsi mieszkało 91 %. Z ogólnej sumy podatków płaconych do kasy kraju koronnego Galicji i do skarbu austriackiego wkład Ukraińców wynosił zaledwie 18 %.

Wniosek stąd, dość prosty, był dla współczesnych zupełnie oczywisty. Elementem zamożniejszym, zorganizowanym i nadającym ton całemu życiu byli Polacy.

Dodać trzeba, że cała prawie warstwa urzędnicza, na wszystkich szczeblach do namiestnictwa włącznie, była złożona z Polaków. Powodowało to niewątpliwie dyskryminację w stosunku do ludności ukraińskiej, co wyrażało się między innymi także w dziedzinie najważniejszej, to jest w szkolnictwie. Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie i Politechnika Lwowska miały bardzo nieznaczny procent studentów-Ukraińców, a językiem wykładowym był polski. To rzeczywiste uprzywilejowanie elementu polskiego znajdowało też wyraz z ordynacji wyborczej, zarówno do Sejmu galicyjskiego jak i do parlamentu austriackiego w Wiedniu.

Opór czy bunt przeciwko temu stanowi rzeczy rozwinął się w stopniu poważniejszym dopiero w wieku dwudziestym. Ruchowi ukraińskiego odrodzenia narodowego przewodzili z jednej strony duchowni unicycy, z drugiej zaś strony stosunkowo nieliczna, lecz patriotyczna i energiczna grupa inteligencji ukraińskiej. Warto tu dodać, że wiele rodzin inteligencji ukraińskiej przechodziło proces nawrotu do swej pierwotnej narodowości. Były to bowiem rodziny ruskie, niegdyś spolszczone, najczęściej szlacheckie, które zachowały związek z kulturą ukraińską dzięki wyznaniu unickiemu, choć i to nie było regułą. Zdarzały się bardzo często wypadki, że rodzeni bracia przyznawali się do innych narodowości. Najbardziej znany jest przykład rodziny Szeptyckich, gdzie jeden brat — Andrzej — był unickim metropolitą Lwowa i w pewnym sensie moralnym dyktatorem nacjonalistycznego skrzydła Ukraińców galicyjskich, a drugi — Stanisław — był generałem wojska polskiego.

W przededniu pierwszej wojny światowej Ukraińcy galicyjscy zaczęli już stanowić konkretną siłę polityczną, z czego — choć może się to wydawać dziwne — nie zdawali sobie w pełni sprawy ich sąsiedzi-Polacy. Ukraińców dzieliły, co jest rzeczą zrozumiałą, granice tak zwanych „orientacji”, tym się między sobą różniące, że z innej strony oczekiwali spełnienia swych marzeń i ambicji narodowych, zresztą bardzo umiarkowanych.

Istniał ruch moskalofilski. Nie można go utożsamiać z zaprzecaniem swej odrębności narodowej i z dawaniem posłuchu carskiej, rosyjskiej propagandzie i polityce, które — jak wiadomo — negowały istnienie odrębnego narodu ukraińskiego, a język ukraiński nazywały „dialektem małorosyjskim”. Moskalofile

wśród Ukraińców galicyjskich spodziewali się po prostu, że w konflikcie austriacko-rosyjskim zwycięży Rosja, co pozwoli im na wywalczenie jakiegoś zakresu autonomii. Czynne wśród nich było także skrzydło zwolenników prawosławia, w którym widzieli — niesłusznie zresztą — skuteczniejsze zabezpieczenie przed polonizacją niż w kościele unickim. W roku 1914, gdy Rosjanie okupowali Galicję Wschodnią, nadzieje i wpływy moskalofili rozplynęły się bezpowrotnie. Przyczyną była gwałtowna rusyfikacja przeprowadzana przez wojskowy zarząd rosyjski i brutalne określenie wszystkich Ukraińców jako Rosjan.

O wiele silniejsza była orientacja austrofiliska. Narodowi przywódcy ukraińscy widzieli przyszłość w związku z federacyjną Austrią. W czasie pierwszej wojny światowej pracowali usilnie nad koncepcją przekształcenia Galicji Wschodniej w austriacki kraj koronny, obejmujący także Bukowinę i Ruś Zakarpacką, ówczesnie część Węgier. Krokiem podstawowym do realizacji tej koncepcji byłaby zgoda Wiednia na podział Galicji na dwie prowincje. Przeciwwstawiali się temu energicznie i skutecznie Polacy. Wśród działaczy ukraińskich jedyny doktor Panejko próbował u końca wojny tworzyć orientację pro-aliancką, unikając jednak starannie prób porozumienia z Polakami.

W październiku 1918 roku Austria była w stanie rozkładu. Główna Rada Ukraińska pod przywództwem Lewickiego i Eugeniusza Petruszewycza zwołała 19 października wielki wiec we Lwowie, który opowiedział się za stworzeniem państwa ukraińskiego w związku z Austrią, tłumacząc, że jest to jedyny sposób zabezpieczenia Ukraińców galicyjskich „przed naporem imperialistycznych sąsiadów”. Jest rzeczą charakterystyczną, że na tym samym wiecu poseł Hankiewicz zgłosił wniosek proklamowania niepodległości całej zjednoczonej Ukrainy. Chodziło o to, że w październiku w Kijowie obalono proniemiecki rząd hetmana Skoropadzkiego i z chaosu partyzantki wyłonił się Dyktariat, stworzony przez Symona Petlurę i Winniczenkę. Wniosek ten na wiecu upadł. Ukraińcy galicyjscy odnosili się wtedy raczej sceptycznie do praktycznych możliwości Ukraińców naddnieprzańskich. Nie chcieli też, przynajmniej w pierwszej fazie swej walki o wolność, ryzykować zakreślania zbyt szerokich celów. W ten sposób dwa odłamy narodu ukraińskiego nie miały jeszcze wspólnej postawy i wspólnego planu działania. Chciały tworzyć dwa odrębne organizmy państwowe o niezależnym kierownictwie politycznym i wojskowym, chociaż w najbliższych miesiącach działały w przyjaznym ze sobą porozumieniu.

Jednocześnie zaczęto przygotowania wojskowe do uchwycenia

nia władzy. Najważniejszą komórką organizacyjną była zgrupowana na Bukowinie brygada Strzelców Siczowych. Była to organizacja, która powstała równoległe do polskich Związków Strzeleckich i późniejszych Legionów, z tą wszakże zasadniczą różnicą, że politycznie reprezentowała kierunek narodowy co prawda, lecz wyraźnie austrofilski. Zgadzało się to zresztą z założeniami Ukraińskiej Rady Narodowej i parlamentarnego koła ukraińskiego, na którego czele stali działacze tej miary co Mikołaj Wasilko i członek wiedeńskiej Izby Panów Julian Romańczuk. Duże nadzieje wiązano z osobą arcyksięcia Wilhelma Habsburga, w którego korpusie znajdowali się Strzelcy Siczowi i który był domniemanym kandydatem na króla ukraińskiego. Polacy zwali go pogardliwie „Wasył Wyszywany”. Dopomógł on Ukraincom o tyle, że pod jego wpływem dowództwo austriackie skierowało do Lwowa i na cały teren Galicji Wschodniej oddziały złożone prawie w stu procentach z Ukraińców. Na tym jednak pomoc austriacka się kończyła. Było to dużo. Nie było jednak tyle, by móc nazwać wybuch zbrojny we Lwowie pomysłem Wiednia i Berlina, jak twierdzić miała publicystyka polska.

Przygotowania wojskowe Ukraińców były w pełnym toku zarówno we Lwowie, jak i w wielu innych miastach garnizonych. Wybuch przewidywano na 3 listopada. Jego zadaniem nie było formalne zerwanie z Austrią, lecz usunięcie władz i urzędów z personalną obsadą polską. Dowódcą został „sotnik” czyli kapitan Dymitr Witkowski.

28 października powstała w Krakowie Polska Komisja Likwacyjna. Zapowiedziała ona przeniesienie się do Lwowa jako do głównego ośrodka administracyjnego i stolicy Galicji. Dla Polaków był to krok oczywisty i naturalny. Jest rzeczą charakterystyczną, a z perspektywy czasu zdumiewającą, że Polacy we Lwowie nie zdawali sobie w ogóle sprawy z przygotowań ukraińskich, nie interesowali się życiem politycznym Ukraińców, a na ostrzeżenia czy alarmy podnoszone przez oficerów-Polaków odpowiadali zapewnieniami, że Ukraińcy nie podejmą żadnej akcji. Kilka polskich oddziałów ochotniczych, o łącznej liczebności około 400 ludzi, kwaterowało spokojnie w szkole Sienkiewicza oraz w domu Akademika i domu Technika.

Na wiadomość o zamierzonym przeniesieniu Komisji Likwacyjnej do Lwowa Dymitr Witkowski przesunął termin wybuchu na noc z 31 października na 1 listopada. Rano 1 listopada posterunki ukraińskie opanowały miasto Lwów. Reakcja była natychmiastowa i spontaniczna. Młodzież gimnazjalna i studencka, robotnicy-Polacy, a zwłaszcza mieszkańcy polskich przed-

mieść chwycili natychmiast za broń. Wywiązała się niezorganizowana walka, bardzo krwawa, która stała się początkiem prawie rok trwającej wojny. Ukraińcy opanowali wszystkie ośrodki we Wschodniej Galicji z wyjątkiem Zasania, dzielnicy Przemyśla położonej na zachodnim brzegu Sanu. Ze Lwowa poszły wołania o pomoc, której do dnia 9 listopada nie miał kto udzielić. Lecz wojna toczyła się w całej pełni siłami ochotników. Działo się to przed 11 listopada.

II

Opór polski wymagał przynajmniej załączków organizacyjnych. Poza Lwowem strona polska nimi nie dysponowała. Nawet w Przemyślu, gdzie z inicjatywy Hermana Liebermana z PPS istniała komisja mieszana polsko-żydowsko-ukraińska. Polakom udało się jedynie utrzymać most na Sanie. Podobnie było w Borysławiu i Drohobyczu, gdzie grupa robotników przemysłu naftowego stawiała bezskuteczny opór miejscowemu garnizonowi ukraińskiemu. Opór ten załamał się już po czterech dniach.

Sytuacja w mieście Lwowie była lepsza. Co prawda wojskowych oddziałów polskich było zaledwie kilka, lecz ich inicjatywa podjęcia walki spotkała się z całkowitym poparciem ludności. Lwów był miastem polskim. Istniały i działały tam polskie organizacje społeczne, szkoły i urzędy. Silny był polski element studencki. Polskie były szkoły średnie. One też, obok harcerstwa, Sokoła i różnych związków sportowych, dostarczyły większości ochotników. Organizacyjnie grupowali się oni wokół dość licznej kadry członków POW z jednej strony i Polskich Kadry Wojskowych z drugiej.

Polskie Kadry Wojskowe były związane politycznie z Narodową Demokracją. Na ich czele stał kapitan Czesław Mączyński. Przypadek zrzucił, że był jednocześnie austriackim komendantem składnic uzbrojenia. Podlegał mu też dworzec kolejowy. Fakt ten miał duże znaczenie, ułatwił bowiem zaopatrzenie polskich oddziałów ochotniczych w broń, a jednocześnie nie dopuścił do opanowania dworca przez dowództwo ukraińskie. Dworzec zaś był zatłoczony transportami demobilizowanych żołnierzy austriackich. Przybywały też nań transporty docelowe, przywożące żołnierzy zarówno z frontu włoskiego, jak i z terenów okupacji austriackiej spoza Zbrucza.

Wśród przybywających było sporo Polaków, którzy natychmiast zasilili szeregi improwizowanych oddziałów polskich. Żołnierze innych narodowości wśród coraz silniejszej strzelaniny w mieście chcieli tylko jednego: wydostać się jak najszybciej ze Lwowa. Następową dziką demobilizacja, która ogarnęła także, nie bez wpływu polskich kolejarzy, najliczniejszy element pośród demobilizowanych, to znaczy Ukraińców. Kierownictwo polityczne ukraińskie i ukraińskie dowództwo wojskowe liczyły na napływ żołnierzy ukraińskich do Lwowa jako na naturalne wzmocnienie swych oddziałów. Nie zdołali jednak rozpracować planu organizacyjnie i większość Ukraińców z transportów kolejowych rzucała po prostu broń, nie zdając sobie sprawy z powstałej sytuacji. Powszechne wśród nich hasło „do domu” ogarnęło nawet niektóre posterunki ukraińskie z miejscowego garnizonu, który w pierwszych dniach walk podporządkował się dowództwu ukraińskiemu.

Przyspieszenie terminu akcji wojskowej dało Ukraińcom korzyść całkowitego zaskoczenia Polaków. Miało jednak i tę ujemną stronę, że nie pozwoliło na przybycie zwartych oddziałów Strzelców Siczowych. One zaś miały stanowiąc — i stanowiły zresztą — rdzeń narodowej armii ukraińskiej. Był to element doskonale uświadomiony narodowo i szcycący się pięknymi tradycjami bojowymi.

Strzelcy Siczowi, ściągani śpiesznie z Pokucia i Bukowiny, napotkali na skuteczny opór polski w rejonie przedmieść lwowskich, Kleparowa i Persenkówki. Do miasta przeniknęły tylko nieliczne garstki. Po pierwszym błyskawicznym sukcesie Ukraińcy znaleźli się w trudnym położeniu. Przygotowanie konspiracyjne objęło nie więcej niż dwa tysiące ludzi. Pozostała część żołnierzy, wciągnięta do walki bez przygotowania, czuła się źle w mieście dla wielu z nich nieznanym, mając do czynienia z ludnością polską zdecydowaną na wszystko. Już 3 listopada Ukraińcy zaczęli się wycofywać ze śródmieścia i z niektórych przedmieść pod naporem bohatersko walczącej polskiej młodzieży.

Wycofawszy się z miasta, Ukraińcy otoczyli je jednak zwarłym pierścieniem. Lwów pod dowództwem Mączyńskiego był obleżony i czekał na pomoc z zewnątrz.

Wytworzyła się sytuacja pełna nerwowego napięcia. Wprowadziła ona społeczeństwo polskie we wszystkich częściach kraju w nastrój ogromnego podniecenia patriotycznego. Ukraiński zamach zbrojny i ogłoszenie niepodległego państwa — Zachodnio-Ukraińskiej Narodowej Republiki — większość Polaków traktowała jako niewczesny żart, reagując nań z tym większym zapa-

mięciem, im dłużej przeciągała się walka, w niejednym przypominająca wojnę domową. Myśl, że Lwów miałby się znaleźć poza granicami niepodległej Polski, wydawała się potworną. Najbardziej ugodowo nastawieni Polacy nie przewidywali dla Ukraińców ustępstw innych niż przyznanie im swobód kulturalnych jakie posiadali pod panowaniem austriackim. Lecz Ukraińcy nazywali stosunki w Galicji panowaniem „polsko-austriackim” i przeciwko niemu właśnie chwycili za broń. Jednak sporo było Polaków cierpiących szczerze z powodu bratobójczej walki. Ukraińców, a raczej ich kierownictwo polityczne i dowództwo główne, które po niepowodzeniach we Lwowie obrały sobie za siedzibę Stanisławów, uważano za ślepe narzędzie w ręku „Wiednia i Berlina”. Wniosek był z tego tylko jeden: trzeba jak najszybciej rozprawić się z „buntem” i z „hajdamakami”, jak mawiano, i urządzić życie „Rusinom”. Lecz Ukraińcy nie chcieli być „Rusinami”, a walki z Polakami nie uważali za bratobójczą.

Nie było więc podstaw do ugody. Nie chciała jej żadna ze stron. Dla sprzymierzonych, dla całej Europy Zachodniej, wojna była zaskoczeniem równie wielkim jak dla Polaków. „Sprawa” czy „zagadnienie” ukraińskie nie istniało w ogóle w dyplomacji zachodniej, która po pokonaniu Niemiec głowiła się nad urządzeniem Europy.

Wykorzystali to „biali” Rosjanie. Zwłaszcza zgromadzeni w Paryżu dyplomaci i politycy carscy przypomnieli natychmiast żądania rosyjskie sprzed roku 1917, głosząc tezę, że Ukraińcy to część narodu rosyjskiego i że po „uporządkowaniu anarchii” w Rosji ziemie te — to jest Galicja Wschodnia, Bukowina i Ruś Zakarpacka — przyspaść powinny przysłemu państwu rosyjskiemu.

Zdawał sobie z tego stanu rzeczy sprawę rząd ukraiński w Stanisławowie. Trzeba pamiętać, że okres od jesieni roku 1918 do lata roku następnego był pasmem powodzeń „białych” wojsk rosyjskich właśnie na Ukrainie. Wspomagani przez Francuzów z Odessy wydawali się bliscy zwycięstwa zarówno nad Armią Czerwoną, jak i nad oddziałami Petlury, które były ramieniem zbrojnym rządu niepodległej Ukrainy Naddnieprzańskiej.

W ogólnym roznamiętnieniu sprawy te zdawały się uchodzić uwadze załączkowych organów państwa polskiego i całego narodu polskiego. Nie absorbowały też uwagi walczącego żołnierza ukraińskiego. „Odsiecz Lwowa” lub „zdobycie Lwowa” były natomiast dla obu stron hasłami zrozumiałymi i zaciemniającymi długofalową perspektywę polityczną.

9 listopada major Julian Stachiewicz uderza przez San i zajmuje Przemyśl. 11 listopada powstaje w Warszawie niepodległa Polska. 13 listopada Józef Piłsudski wydaje rozkaz uderzenia „czym się da” w kierunku Lwowa. Wzdłuż linii kolejowej Przemyśl-Lwów rusza natarcie polskie pod dowództwem pułkownika Tokarzewskiego. Po całodziennym zażartym walce siły ukraińskie wycofują się z zajmowanych jeszcze przez siebie dzielnic Lwowa. 22 listopada Lwów jest w ręku polskim i ma połączenie z resztą kraju wąskim językiem wzdłuż torów do Przemyśla. Nie obeszło się bez tragicznych wypadków zemsty, zwłaszcza nad ludnością żydowską, która sprzyjała Ukraińcom ku ogromnemu rozżaleniu Polaków. Ustala się schematyczny front, z trzema rejonami nasilenia walk. Jednym jest przedpole ostrzeliwanego przez artylerię ukraińską Lwowa, drugim obszar koło Chyrowa, trzecim wreszcie front pod Rawą Ruską. Z tego rejonu udaje się grupie generała Romera w styczniu 1919 roku usztywnić linię frontu poprzez Żółkiew i Kulików na Lwów.

Daleko jest jednak do rozstrzygnięcia. Armia Ukrainy Zachodniej przewyższa oddziały polskie pod względem liczby, często także pod względem uzbrojenia. Zorganizowana w trzy korpusy, zrezygnowała z zaciągu ochotniczego i ogłosiła pobór. Jednocześnie w grudniu i w styczniu zawiązuje się współdziałanie z wojskami Ukrainy Naddnieprzańskiej, co jest skutkiem symbolicznej raczej deklaracji rządu w Stanisławowie i rządu w Kijowie o przyszłym zjednoczeniu obu państw ukraińskich. Ataman Osiłko, podwładny Petlury, uderza na linię Bugu. Po ciężkich walkach odiera go grupa polska generała Majewskiego, osiągając w lutym linię rzeki Stochod.

Polska nie jest jednak jeszcze zdolna do decydującego uderzenia, co powoduje oburzenie społeczeństwa, dla którego dźwięk nazwy Lwów ma znaczenie magiczne. Wojna z Ukraińcami nie jest jedynym obciążeniem słabych jeszcze wojsk polskich. Trwa spór z Czechami na Śląsku Cieszyńskim, Wielkopolska prowadzi wojnę z Niemcami, na Wileńszczyźnie i na Białorusi grozi starcie z wlewającymi się za ustępującymi okupacyjnymi wojskami niemieckimi oddziałami armii bolszewickiej.

Rząd polski musi się ponadto liczyć ze sprzymierzeńcami zachodnimi. Kongres pokojowy w Wersalu, zwłaszcza kierująca nim „Wielka Trójka” — to jest Ameryka, Francja i Anglia — starają się zrozumieć, na czym w ogóle konflikt polega. Wiedzą już, że istnieje w Galicji Wschodniej naród ukraiński, który nie ma nic wspólnego z Rosjanami, który zorganizował się państwowo i który odmawia porozumienia z Polską. Nie ulega wątpli-

wości, że Lwów jest miastem polskim i że walczy bohatercko, by polskim pozostać. Lecz nie ulega też wątpliwości, że Polacy są równie nieprzejednani jak Ukraińcy i że zgłaszają pretensje do tego samego terytorium. Alianci proponują podział Galicji Wschodniej. Dwie trzecie Ukraińcom, reszta ze Lwowem i zagłębiem naftowym Polsce. Ma to być zresztą rozwiązanie tymczasowe, do czasu aż nie uda się sprawy załatwić inaczej, tak, by zadowolić obie strony. Propozycji towarzyszą pogrożki skierowane pod adresem obu stron walczących.

Strona polska lepiej prowadzi grę niż Ukraińcy. Zwleka z odpowiedzią, pozwalając się wyprzedzić Ukraińcom w kategoriach odmowie. Daje to Polakom pewną przewagę dyplomatyczną. W marcu Ukraińcy stawiają wszystko na jedną kartę.

III

Rząd Zachodnio-Ukraińskiej Republiki Ludowej Eugeniusza Petruszewycza zrywa w porozumieniu z przybyłym z Kijowa Petlurą rokowania rozejmowe, prowadzone w Chyrowie, i zarządza nową ofensywę. Ukraińcy odnoszą sukces. Udaje im się rozerwać łączność ugrupowań polskich w rejonie Lwowa, pod Gródkiem Jagiellońskim i pod Rawą Ruską z ich zapleczem w Małopolsce Zachodniej, na Lubelszczyźnie i na Wołyniu Zachodnim. Opanowują linię kolejową na Przemyśl. Lwów jest ponownie miastem obleżonym.

Było to jednak krótkotrwałe powodzenie strategiczne. Polski front wschodni pod dowództwem generała Iwaszkiewicza, wzmocniony silną grupą operacyjną wojsk wielkopolskich, już 14 marca przystąpił do przeciwnatarcia, rozrywając po tygodniu walk pierścień okalający Lwów i wyprostowując linię frontu na innych odcinkach. Po stronie polskiej wydarzenia te otrzymały nazwę „drugiej odsieczy Lwowa”. Powodzenia wywołały falę entuzjazmu w społeczeństwie polskim. Po niej nadeszła nowa fala oburzenia, podniecanego zwłaszcza przez koła prawicowe, w związku z przerwaniem dalszych działań zaczepnych na rozkaz Piłsudskiego.

Decyzję Naczelnika Państwa tłumaczono słabością wojsk polskich, zaangażowanych już na Wileńszczyźnie i na Białorusi przeciwko oddziałom bolszewickim. Zarysowała się możliwość przedłużenia ich wysiłku na teren krajów bałtyckich. Istniał też

ciągle front obronny w Wielkopolsce i konieczność tworzenia rezerw na wypadek konfliktu zbrojnego z Niemcami o Śląsk.

Właściwą przyczyną wstrzymania ofensywy były jednak względy polityczne. Sytuacja międzynarodowa uległa zmianom. Na nie ani strona polska, ani ukraińska nie miały bezpośredniego wpływu, lecz obie musiały wyciągać z nich wnioski. Zmiany następowały w Paryżu. Następowyły też na Ukrainie Naddnieprzańskiej. Wszystko, co się działo na przedpolu Odessy czy Kijowa miało natychmiastowy oddźwięk w Paryżu.

Dotychczas rząd Zachodnio-Ukraińskiej Republiki Ludowej unikał zbyt bliskich powiązań z Ukrainą Naddnieprzańską. Deklaracje o przyszłym zjednoczeniu miały charakter symboliczny, a pomoc wojskowa, jaką oddziały petlurowskie dawały Ukraincom galicyjskim była tylko dywersją, wiążącą część sił polskich na Wołyniu. W Stanisławowie panowało przekonanie, że prowadzona przez Petlurę wojna na dwa fronty jest zadaniem ponad jego siły. Naddnieprzańska Ukraińska Republika Ludowa walczyła bowiem przeciwko Armii Czerwonej wspierającej fikcyjny rząd Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Rad, na którego czele stał Bułgar Rakowski. Jednocześnie walczyła przeciwko Denikinowi, walczącemu z ciężką Armią Czerwoną. „Biali” Rosjanie Denikina, wspierani przez ekspedycyjny korpus francusko-grecki działający z Odessy, zadali ostatnio poważną klęskę wojskom Petlury. Francuzi, a pośrednio także pozostałe mocarstwa alianckie liczyły na to, że Petlura z dwóch wrogów wybierze Denikina i że połączy z nim swe siły przeciwko bolszewikom.

Petlura odrzucał bez dyskusji koncepcję wspólnej walki przeciwko Rosji „czerwonej” po to, by zapewnić zwycięstwo Rosji „białej”. Dojrzała w nim myśl szukania oparcia o Polskę, która podobnie jak on gotowa była bić się z bolszewikami w obronie interesów własnych, lecz nie w interesie reakcyjnej „jednej i niepodzielnej Rosji” czy w obronie kapitałów francuskich. Kierowała nim ukraińska racja stanu. Pojmował ją jednak nie jako potulne podporządkowanie się Polsce, lecz jako układ równego z równym. Sądził, że wspierając bratnią Republikę Ukrainy Zachodniej wzmocni swe własne położenie i stworzy korzystniejszą platformę przyszłego porozumienia z Polską. Stąd jego krótkotrwała współpraca z rządem Petruszewycza. Jej wynikiem była marcowa ofensywa ukraińska na Lwów i wznowienie działań petlurowskich na Wołyniu.

Skuteczna kontrofensywa polska nie przekreślała tej koncepcji. Armia zachodnio-ukraińska nie była rozbita, a powstrzyma-

nie natarcia polskiego umożliwiło nawiązanie nowych rokowań rozejmowych. Prowadzono je tym razem w Paryżu pod przewodnictwem południowoafrykańskiego generała Bothy. Był to dobry wybór. Botha, choć niezorientowany w subtelnościach wschodnioeuropejskich, lub może właśnie dlatego, przewodniczył rozmowom nie po to, by zabezpieczyć część lub całą Galicję Wschodnią dla „przyszłej białej Rosji”. Nie reprezentował więc stanowiska Francji, przekonanej o bliskim zwycięstwie „białych” nad „czerwonymi” i dającej posłuch podszeptom wpływowego ośrodka rosyjskiego w Paryżu, złożonego z byłych ministrów carskich, doskonale obeznanych z metodami zakulisowej dyplomacji.

Rokowania paryskie zostały jednak zerwane z winy obustronnego zaciętrzewienia. Po stronie polskiej Roman Dmowski uzasadniał wobec aliantów zerwanie rokowań zbyt małą wartością Ukraińców jako partnerów w walce z bolszewikami. Dodawał do tego argumenty natury historycznej i gospodarczej, będące dokładnym odwróceniem argumentów polskich na rzecz przyznania Polsce Śląska. O nich to pisał Piłsudski w liście do Paderewskiego, datowanym 31 maja: „Nie można używać jedynie tych samych argumentów o naszych prawach historycznych, o bolszewizmie Rusinów i wszystkich innych, które nie są zdatne do przeciągania sytuacji. Trzeba wymyślić nowe...”.

Umowę z Kurdybowskiem, reprezentującym Ukrainę Naddnieprzańską, zawarł Ignacy Paderewski w Paryżu 24 maja. Ustalała ona ramowe zasady, na których oprzeć by się mógł sojusz polsko-ukraiński. Polska miałaby się zobowiązać do poparcia dyplomatycznego i wojskowego w walce Ludowej Republiki Ukraińskiej przeciwko bolszewikom. W zamian za to Ukraina Naddnieprzańska uznałaby prawo Polski do ustalenia granicy na Zbruczu i Styrcy, z tym wszakże zastrzeżeniem, że Galicja Wschodnia otrzymałaby autonomię, o której zresztą w sposób dość ogólnikowy dyskutował Sejm warszawski.

Umowa dowodziła zniechęcenia Petlury do równie nieprzejednanego jak stanowisko Dmowskiego stanowiska rządu Petruszewycza. Czas nie grał na korzyść Ukraińców. W przeciwnieństwie do Petruszewycza Petlura zdawał sobie z tego dobrze sprawę. Po zerwaniu pertraktacji pod przewodnictwem Bothy armia polska przeprowadziła w połowie maja szybkie uderzenie i przesunęła front nieco dalej na wschód, ograniczając swobodę operacyjną dowództwa ukraińskiego. Rumuni opanowali Bukowinę, docierając pod Kołomyję. Czechosłowacja zajęła Ruś Zakarpacką. To zwłaszcza powinno było dać do myślenia rządowi Ukrainy

Zachodniej. Czesi oświadczyli, że zajmują ten teren jako „depozyt dla Rosji”. Takiego wyrażenia użył czeski minister spraw zagranicznych Kramarz.

Pociągnięcia te miały poparcie Francji, zaniepokojonej przechyleniem się szali losów wojennych na korzyść bolszewików w walce z Denikinem. Nie bez wpływu był też wybuch rewolucji komunistycznej na Węgrzech. Alianci zabezpieczali się przed ewentualnością klęski „białej” Rosji kordonem przeciwko Rosji „czerwonej”. Używali w tym celu Rumunów i Czechów.

Chcieli też użyć Polaków. Stąd słaby stosunkowo protest przeciwko obecności pierwszej dywizji hallerowskiej na froncie galicyjskim. Wysłano ją do Polski z zastrzeżeniem, że nie będzie użyta w walce z Ukraińcami. Piłsudski zresztą dywizję tę wycofał, besztając ponadto Hallera za jego pompatyczny rozkaz sławiący jej udział w walkach, co było grubym błędem dyplomatycznym.

Strona polska nie przejawiała jednak ochoty do przyjmowania roli jednego z ogniw łańcucha, mającego strzec interesów Ententy po to, by Francja mogła także Galicję Wschodnią uznać za „depozyt”, który będzie można kiedyś ofiarować „białej” Rosji, gdyby się jej udało pokonać Rosję „czerwoną”.

Polska podtrzymywała myśl Petlury — ciągle jeszcze z nią walczącego. Świadczy o tym między innymi układ z Kurdybowski. Wstrzymując ponownie ofensywę w Galicji, dawała też szansę rządowi Petruszewycza, by się do tej koncepcji przyłączył.

Petruszewycz jednak nie dawał za wygraną. Zamykał oczy na niebezpieczeństwo rosyjskie, choć był jak najdalej od myśli o związku z Rosją, obojętnie jakiej maści. Nie zrażało go coraz wyraźniejsza gra Ententy. Nie zrażało go nawet całkowite rozejście się z Petlurą. Może należy podziwiać jego siłę woli, gdy „potrafił mieć nadzieję wbrew nadziei” i wracał w pogarszającej się z dnia na dzień sytuacji do punktu wyjściowego swej polityki. Tym punktem wyjściowym było wywalczenie niepodległości Galicji Wschodniej bez oglądania się na losy całej Ukrainy. Wierzył do gorzkiego końca, że zdoła stworzyć stan faktyczny, z którym liczyć się będą i koalicja, i Czechosłowacja, i Rumunia, i Rosja — każda Rosja. I z którym będą się musieli pogodzić Polacy.

W czerwcu 1919 roku, gdy Armia Czerwona pokonała już Ukraińską Republikę Ludową, uważając ją za większe niebezpieczeństwo niż reakcyjną armię Denikina, gdy tylko resztki wojsk Petlury oddzielały bolszewików od Zbrucza, gdy w Paryżu fala

nastrojów przechylała się na korzyść maksymalnych żądań polskich zgłaszanych przez Dmowskiego, armia Zachodnio-Ukraińskiej Republiki Ludowej rozpoczęła ostatnią wielką ofensywę przeciwko Polakom na Podolu galicyjskim. I tym razem odniosła poważne sukcesy. Lecz były to powodzenia, które niosły w sobie zapowiedź śmierci. 25 czerwca Rada Najwyższa w Paryżu upoważniła Polskę do okupacji całego terytorium po rzekę Zbrucz, pozwalając jednocześnie na użycie wojsk generała Hallera. Pod osobistym dowództwem Piłsudskiego zacięty opór armii ukraińskiej został złamany. Osiągnięto styk z Rumunami na Pokuciu. Petruszewycz schronił się do Wiednia, resztki armii zachodnio-ukraińskiej przeszły pod rozkazy Petlury.

Zakończyła się ośmiomiesięczna wojna, w której drzemiące od lat namiętności wyładowały się siłą fatalną dla przyszłego współzycia narodów polskiego i ukraińskiego. Państwo zachodnioukraińskie upadło w walce. Nikt z nim nie zawierał pokoju. Władzę rządu ukraińskiego w Galicji Wschodniej zastępowała władza polska. Dla Polaków tam mieszkających było to zjawisko naturalne, sprawiedliwe i słuszne. W przekonaniu wszystkich Polaków Galicja Wschodnia, nazwana Wschodnią Małopolską, wchodziła w granice Polski na mocy prawa, na mocy historii, na mocy logiki politycznej.

Lecz dla większości jej mieszkańców, dla Ukraińców, którzy nie chcieli być „Rusinami” a polonizacji nie uważali za zaszczyt, była to władza okupacyjna. Tym boleśnieszka, im wyżej się wzniósł płomień patriotycznego uniesienia, wykrzesany w walkach w obronie niepodległości.

Rada Najwyższa w Paryżu nie przesądzała o ostatecznym uregulowaniu statusu Galicji Wschodniej. Z mgławicy projektów takich jak mandat Ligi Narodów, związek federacyjny z Polską, nawet zarząd czesko-rumuński wyłoniła się wreszcie decyzja przekazania władzy Polsce z tym zastrzeżeniem, że Polska miała przyznać Galicji Wschodniej szeroką autonomię kulturalną i polityczną. Do roku 1923 mocarstwa zachodnie nie rezygnowały z nacisku w tym właśnie kierunku. Przeszkody okazały się nie do pokonania. Nieprzejednana była Polska, nieprzejednani byli także ci Ukraińcy, dla których autonomia nie była rozwiązaniem zadowalającym.

Zdobycie przez Polskę ziem po Zbrucz nie zamykało wszakże dziejowego problemu współzycia obu narodów. Jesienią 1919 roku Ukraińcy galicyjscy z winy zaciętrzewienia własnego i zaciętrzewienia Polaków zostali odsunięci poza nawias wielkiej wi-

zji wywalczenia niepodległości Ukrainy wspólnym wysiłkiem Ukraińców i Polaków.

Wizję tę chciało realizować dwoje ludzi: Józef Piłsudski i Symon Petlura.

POLACY I LITWINI

Problem stosunków polsko-litewskich należy do jednego z najbardziej zawikłanych w historii naszej części Europy. Żaden ze składników tego problemu nie da się wyodrębnić w sposób całkowicie przejrzysty. Nie wystarczy na przykład ograniczyć się do suchego stwierdzenia, że w roku 1918 czy 1919 wywiązał się konflikt graniczny między dwoma młodymi organizmami państwowymi, jakimi były Polska powracająca do niepodległego bytu i Litwa podejmująca dzieło wskrzeszenia państwowości w formach nie mających bliższego nawiązania do własnej tradycji państwowej niż legendarne nieomal wspomnienia z epoki Witoldowej lub w najlepszym razie z czasów Aleksandra Jagiellończyka.

Polska była natomiast faktem kulturalnym i narodowym o ściśle określonych kształtach. Państwowość polska była logicznym wynikiem pomyślanej po raz pierwszy od stu lat koniunktury politycznej. Nieustający przez cały czas trwania rozbiorów ferment walki o utrzymanie świadomości narodowej i odrębności kulturalnej polskiej masy etnicznej pozwolił z koniunktury tej wyciągnąć natychmiastowe korzyści. Ponadto wysiłek własny Polaków pozwalał im zachować zawsze aktualny ideał własnej niepodległej państwowości.

Naturalnie obraz niepodległości do której naród polski dążył w czasie rozbiorów przybierał różne formy ideologiczne i jej zasięg uzależniał się od zmieniającej się rzeczywistości politycznej. Jeszcze Powstanie Styczniowe, a przecież między nim a rokiem 1918 upłynęło mniej niż 60 lat, objęło swym zasięgiem całość zaboru rosyjskiego, to znaczy ziemie sięgające po granicę pierwszego rozbioru. Prawda, że nasilenie ruchu powstańczego było na ziemiach etnicznie niepolskich bardzo małe. Na Ukrainie lewobrzeżnej przyniosło całkowite rozczarowanie, z którego Polacy dość szybko wyciągnęli właściwy wniosek. Wniosek ten, mó-

wiąc językiem obrazowym, nakazał im z romantycznego herbu przyszej Rzeczypospolitej usunąć kijowskiego Archanioła, który nie był symbolem krzepnącego już narodowego ruchu ukraińskiego. Stąd po 11 listopada 1918 roku nikt w Polsce nie myślał o Ukrainie jako o części składowej państwa polskiego, choć myślano o dopomożeniu Ukraińcom w ich walce o własną wolność. Nie zmienia tej prawdy fakt walki o Galicję Wschodnią.

Natomiast trwała dalej konfuzja pojęciowa w odniesieniu do dawnych ziem Wielkiego Xięstwa Litewskiego. Słowa „Litwa” i „Litwin” jeszcze w początkach XX wieku oznaczały w umysłach Polaków prawie to samo, co w ustach Kościuszki, Mickiewicza lub tysięcy czołowych postaci polskiej historii i kultury. Polski charakter miasta Wilna i Wileńszczyzny właściwej — obszaru, gdzie Polacy stanowili około 60 % ludności — wrażenie to wzmacniał i narzucał wnioski praktyczne. Ziemie etnicznie litewskie traktowano często jako historyczną „Żmudź”, tym tylko od reszty ziem litewsko-polsko-białoruskich różną, że trwającą przy starym języku litewskim. Nie doceniano też renesansu języka litewskiego i wypływającego zeń odrodzenia świadomości narodowej Litwinów. Nierzadkie były głosy, że „litewskość” w nowym ujęciu jest po prostu wynikiem antypolskiej polityki rosyjskiej, który zblednie i straci na znaczeniu, gdy tylko przed Litwinami — i tymi, co mówią po polsku i za Polaków się uważają, tak jak uważał się za Polaka Mickiewicz, i tymi, co wolą mówić po litewsku — odsłonią się perspektywy wznowienia związku państwowego z Polską, w którym tak ogromny mieli udział i znaczenie ich ojcowie.

Wyznawała ten pogląd większość polskich ugrupowań politycznych i był on wyznaniem wiary przeciętnego Polaka we wszystkich trzech zaborach. Nawet lewe skrzydło klasowego ruchu socjalistycznego pogląd ten podzielało. Uwidoczniało je po prostu w swej nazwie. Socjaldemokracja Królestwa Polskiego i Litwy chciała utrzymać ściśle związek Polski z Rosją i odrzucała ideę niepodległości.

Na drugim skrzydle polskiej myśli politycznej Narodowa Demokracja także traktowała ziemie litewsko-polsko-białoruskie jako część większej całości zwanej Polską. Stwarzając Komitet Narodowy Polski i przygotowując się do ostatecznego boju o granice Polski przy konferencyjnym stole w Wersalu, Roman Dmowski widział większość terytorium Litwy historycznej oraz całość terytorium Litwy etnicznej w granicach państwa polskiego. W memoriale złożonym prezydentowi Wilsonowi w październiku

1918 roku przyznawał, że w ciągu ostatnich 40 lat litewski ruch narodowy poczynił „znaczne postępy”. Dodawał jednak, że jest to ruch „bardzo jeszcze młody” i że pomimo protestów części polityków litewskich przeciwko związkom z Polską można co prawda przyznać Litwinom prawo do „wolnego rozwoju narodowości”, lecz należy Litwę zorganizować „jako kraj odrębny, związany z państwem polskim na zasadzie autonomii”. Tak zorganizowana Litwa byłaby częścią Polski i to Polski nie federacyjnej, gdyż tę zasadę Dmowski odrzucał. Nie wypowiadał się też wyraźnie na temat Wilna: czy miałyby się znaleźć w takim autonomicznym okręgu litewskim, czy też poza nim.

Józef Piłsudski stawiał Litwinom alternatywę do wyboru. Jedną było utworzenie tworu państwowego litewskiego o narodowości mieszanej, to znaczy bez przewagi żywiołu litewskiego lecz nazwanego Litwą. Twór ten pozostawałby w jakimś związku z Polską, posiadając jednak autonomię polityczną i kulturalną opartą o całkowite równouprawnienie wszystkich elementów ludnościowych. Drugą koncepcją było uznanie niepodległości Litwy w jej granicach etnicznych. To znaczy bez Wilna, bez Grodna i oczywiście bez Białegostoku czy Nowogródka.

Koncepcję „federacyjną”, choć jest to nazwa orientacyjna tylko, podtrzymywał Piłsudski dość długo, z tym wszakże, że ulec miała modyfikacji.

Na społeczeństwo polskie, wychowane na hasłach braterstwa z Litwinami, spadała jak grom świadomość ich nieprzejednanej wobec Polski wrogości. Była to wrogość tak świeżego chowu, że trudno się dziwić polskiemu zaskoczeniu. Wiedziano, że Niemcy utworzyli na Litwie ściśle sobie podporządkowaną Tarybę — namiastkę władzy państwowej. Miała mniej samodzielności działania niż warszawska Rada Stanu i rządy powoływane przez Radę Regencyjną. Sądono, że koniec okupacji niemieckiej przekreśli jej istnienie w sposób równie spontaniczny, jak to się stało w Warszawie. Ale na Litwie stało się inaczej.

Przyczyną było skryształizowanie się ambicji narodowych litewskich. Szły one w dwóch kierunkach. Z jednej strony przywódcy litewscy — zarówno przebywający w kraju, jak i działający na emigracji — wysunęli, po pewnych zresztą wahaniach, dezyderat suwerennego i niepodległego państwa. Z drugiej strony opowiedzieli się za tak zwaną litewską koncepcją przynależności narodowej. Koncepcja ta była bardzo szczególna i z góry uniemożliwiała dyskusję. Polegała na twierdzeniu, że każdy kto zamieszkuje terytorium należące do Litwy przed jej związkiem z Polską jest Litwinem — bez względu na to, jakim mówi językiem i czy

się uważa za Litwina czy nie. Pewną korekturę wprowadzano na korzyść Białorusinów, lecz tylko tam, gdzie zdaniem historyków litewskich Białorusini mieszkali od zarania dziejów, a więc już przed XIV stuleciem. W zasadzie koncepcja ta głosiła, że przynależność do narodowości litewskiej nie jest sprawą swobodnego wyboru, lecz jest zdeterminowana przez fakt zamieszkania na określonym terytorium. Język i przekonania mieszkańców nie mają żadnego znaczenia. Każdy mieszkaniec Grodna, Wilna lub Nowogródka jest Litwinem — bez względu na to, czy się uważa za Litwina, Polaka lub Białorusina. Zadaniem państwa litewskiego jest zmusić go do powrotu w ramy narodu litewskiego. Zasada ta obowiązuje także wstecz i dotyczy na przykład Mickiewicza. Mickiewicz pisząc „Litwo, Ojczyzno moja...” myślał o tej Litwie, jaką znał. Lecz czytając go, należy jego słowa rozumieć inaczej niż on je rozumiał.

Istnienie tej koncepcji, tej swoistej filozofii etnograficznej uchodziło uwadze ogółu Polaków. Nie brakło wszakże ostrzeżeń. Takimi były deklaracje Taryby. Najistotniejsza ze wszystkiego, co zdołała Taryba, była deklaracja z 3 grudnia 1917 roku. Unieważniała ona uroczyste wszelkie związki zawarte w przeszłości przez Litwę z innymi państwami i zakazywała ich na przyszłość. Chodziło tu o unię polsko-litewską, a nie o związek z Rosją carską, czy w ogóle z jakąkolwiek Rosją, jak niekiedy starano się tłumaczyć. Bo Litwa nigdy nie była „w związku z Rosją”. Po prostu dostała się pod panowanie rosyjskie wskutek zaborów dokonanych przemocą, które zlikwidowały państwowość dawnej Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Ta sama deklaracja Taryby mówiła wyraźnie, że stolicą Litwy i państwa litewskiego — jest to ważne rozróżnienie! — jest miasto Wilno. Oświadczenia podobnej treści ogłosiły kolejne zjazdy emigracyjnych działaczy litewskich w Zurychu i Bernie jeszcze przed deklaracją Taryby oraz zjazd w Sztokholmie. Ten wypowiedział się jeszcze wyraźniej, wyjaśniając powody, dla których naród litewski zrywa dawne i zastrzega się przeciwko jakimkolwiek przyszłym związkom z Polską. Stwierdzono w Sztokholmie, że Litwini w związku z Polską stracili swą osobowość narodową wskutek polonizacji i rutenizacji. Niebezpieczeństwo to istnieje nadal w stosunku do odrodzonego poczucia narodowego. Litwini życzą Polakom jak najlepiej, lecz związków z nimi nie chcą, bo w każdym związku grozi im przegrana narodowa. Państwo litewskie ma prawo i obowiązek zlitwinizować mieszkańców tych ziem, których roszadownie ulegli polonizacji lub rutenizacji.

Argumenty polityczne były dostatecznie przekonujące, by się z nimi liczyć. Inaczej przedstawiała się sprawa litewskich argumentów o przynależności etnicznej nie-Litwinów do narodu litewskiego. Tych argumentów Polacy czy spolonizowani Litwini uznać nie chcieli i nie mogli.

Tak się przedstawiała strona koncepcyjna czy ideologiczna. Jakie były jej odpowiedniki praktyczne? Musimy je rozpatrzeć z zachowaniem chronologii wydarzeń, która uwypukla też charakter i nasilenie ingerencji trzeciego czynnika w sporze o przynależność Wilna i Ziemi Wileńskiej. Czynnikiem tym była Rosja bolszewicka.

11 listopada 1918 roku całość terytoriów byłego cesarstwa rosyjskiego aż po Dniepr, Dźwinę i Narwę znajdowała się pod okupacją i zarządem wojskowym niemieckim. Na mocy warunków kapitulacyjnych terytoria te — *Ober-Ost* — w przeciwieństwie do Kongresówki miały być ewakuowane etapami, bez wyraźnie określonych terminów. Komu mieli Niemcy przekazywać opuszczane terytoria, miała zadecydować Rada Najwyższa sprzymierzonych. Nie miała ona ustalonego w tych sprawach poglądu. Wahala się i ociągała z uznaniem władz litewskich wyłonionych z Taryby, która nie sprawowała władzy *de facto* ani w Kownie, ani w Wilnie.

18 listopada Rosja bolszewicka „unieważniła” traktat pokojowy zawarty z Niemcami, na mocy którego wyrzekła się praw i pretensji do terytoriów okupowanych przez Niemcy. Co ważniejsze, rozpoczęły się tajne narady przedstawicieli bolszewickich z Joffem na czele z oficerami niemieckimi i przedstawicielami niemieckich rad żołnierskich. Postanowiono przekazywać tereny białoruskie i litewskie wojskom bolszewickim z dodatkowym zobowiązaniem pozostawiania dla nich uzbrojenia. Zgrupowana w okolicach Witebska i Orszy grupa operacyjna Armii Czerwonej rozpoczyna natychmiast „czerwony marsz na zachód”. Powstaje „rząd robotniczo-włóściański rewolucyjnej Litwy” z Mickiewiciusem-Kapsukasem na czele. Osobno powstaje rząd sowieckiej Białorusi. Następnie oba „rządy” federują się proklamując „zjednoczoną republikę Litwy i Białorusi”, by znowu rozpaść się na dwa człony. Odezwy rządu Kapsukas wydawane są wyłącznie w języku polskim...

W grudniu komuniści, przeważnie żydowscy, tworzą w Wilnie „radę delegatów robotniczych”, która podporządkowuje się władzom bolszewickim w Mińsku. Rząd litewski Valdemarasa nie jest w stanie niczemu przeciwdziałać i chroni się wraz z odstępującymi oddziałami niemieckimi do Kowna. Jediną obronę

miasta stanowi polska Samoobrona pod dowództwem generała Wejtki. Rozpoczyna ona walkę jednocześnie z wojskami bolszewickimi i z popierającymi je Niemcami. Opór trwał do 5 stycznia 1919 roku. W tym dniu Wejtko nakazał wycofanie na linie zajęte przez wojska polskie na południowy wschód od Grodna. Wilno jest w rękach rosyjskich. Nie poprzestając na tym, Armia Czerwona zajmuje 17 stycznia także Kowno. Rząd litewski musi się schronić pod opiekę wojsk niemieckich pilnujących komunikacji przez teren Żmudzi z Łotwą, ciągle przez Niemców okupowaną.

Pozostanie rządem bez władzy aż do końca kwietnia 1919 roku, gdy będzie mógł powrócić do Kowna opuszczonego przez Armię Czerwoną wskutek zdobycia Wilna przez wojska polskie. Nastąpiło to 19 kwietnia. Operacja miała otrzymać nazwę „pierwszej wyprawy wileńskiej”. Była to operacja błyskawiczna, lecz niełatwa. Po ciężkich walkach Wilno zostało ku nieopisanej radości mieszkańców odbite. Cztery dni później Józef Piłsudski ogłasza swą odezwę do „Mieszkańców byłego Wielkiego Xięstwa Litewskiego”. Jej treść zapowiada pomoc wojska i władz polskich w wypowiedzeniu swobodnej woli ludności polskiej, litewskiej i białoruskiej. Odezwa ogłoszona w dwóch tylko językach — po polsku i po litewsku — zwraca się jednak także do Białorusinów, zachęcając wszystkie narodowości na obszarze Litwy historycznej do wyrażenia swej woli co do własnej przyszłości pod osłoną Polski, która chce je zabezpieczyć przed ponownym zaborem rosyjskim.

Piłsudski nie miał jednak złudzeń co do odzewu, z jakim spotka się jego manifest. Nie przewidywał, by odzew ten mógł się wyrazić w konkretnych koncepcjach politycznych. Koncepcję federacyjną traktował jako ideał, nie wysuwając jednak propozycji, jak federacja tego typu miałaby wyglądać. Z jednej strony uważał, że każdą tego rodzaju propozycję przyjęto by jako zakamuflowany dyktat polski. Z drugiej strony zdawał sobie dobrze sprawę z nieprzejednanego stanowiska rządu litewskiego. Wiedział też, że rząd w Kownie ma bardzo ograniczone możliwości działania wobec faktu, że większość Litwy etnicznej znajdowała się pod faktyczną okupacją wojsk niemiecko-białorusyjskich. Usunięcie ich z Litwy uważał Piłsudski za najważniejsze i najpilniejsze zadanie. Był w tym względzie całkowicie zgodny z Łotyszami i Estończykami, którym Polska pomagała w ich walce zarówno przeciwko Niemcom i „białym” Rosjanom, jak i przeciwko bolszewikom. Liczył na to, że wspólne niebezpieczeństwo zbliży Litwinów do porozumienia zarówno z ich bałtyckimi są-

siadami jak i z Polską. Przekonał się szybko, że są to obliczenia błędne. Wówczas też umocnił się w przekonaniu, że myśląc o przygotowaniu warunków pod porozumienie w odległej może przyszłości należy jednocześnie pamiętać o zabezpieczeniu polskiego miasta Wilna i polskich powiatów Wileńszczyzny. Nie chciał się zgodzić, by były przedmiotem przetargów i ceną porozumienia z polityką dyktowaną przez irracjonalne przesłanki litewskiego nacjonalizmu, jakimi kierował się rząd w Kownie.

Rząd ten istotnie stawia jako warunek współżycia i w ogóle jakichkolwiek rozmów przekazanie mu Wilna. Odpowiedzią jest gotowość pertraktacji w myśl zalecenia Piłsudskiego: „nie zrażajcie się protestami”. Wilno nie chce być litewskie, lecz rząd polski nie dokonuje jego przyłączenia. Polska nie chce niczego przesądzać, dopóki jej i ziemiom całej Białorusi i Litwy zagraża agresja bolszewicka. Polityka ta nie znajduje zrozumienia w społeczeństwie polskim i u znacznej części ludności Wileńszczyzny, gdyż przestaje ona wierzyć w możliwość ułożenia stosunków z rządem litewskim, który powtarza uparcie swe argumenty historyczne i zapowiada przymusowy powrót na łono narodowości litewskiej.

SEJM USTAWODAWCZY

I

O pracach Sejmu Ustawodawczego wiemy dużo z dokumentów i z monografii historycznych. Trudniej natomiast odtworzyć klimat uczuć i nastrojów kilkusetosobowego zespołu ludzi, którzy z woli narodu brali na swe barki odpowiedzialność za państwo powstające prawie z niczego w sensie organizacyjnym i materialnym. Podobnie jak cały naród, posłowie zgromadzeni w gmachu sejmowym na ulicy Wiejskiej w Warszawie tchnęli ogromnym entuzjazmem. Wypływał ze świadomości wielkiego wydarzenia historycznego, jakim było wskrzeszenie państwa po przeszło stuletnim okresie niewoli zaborczej.

Entuzjazm ten i zapał musiał większości posłów zastąpić doświadczenie parlamentarne, a także zwykłą wiedzę o sprawach politycznych, społecznych czy gospodarczych. Jak cała Polska mu-

sieli mierzyć siły na zamiary, gdyż innego wyjścia nie było. W dodatku uchwalając Małą Konstytucję zakreślili zakres kompetencji i tym samym odpowiedzialności Sejmu bardzo szeroko. Sejm miał przy tym zadania swe wykonywać bez formalnych ram prawnych lub przynajmniej regulaminowych. Posłowie mieli dopiero prawa tworzyć, przemyśleć i wprowadzać w życie. Stawali przed zadaniem o ileż trudniejszym niż zwykła praca parlamentu w zorganizowanym państwie.

Przy tak szeroko zakreślonym zakresie działania nie mógł się Sejm ograniczyć do spokojnego przegłosowywania ustaw inicjowanych przez rząd i Naczelnika Państwa, do uchwalania czy zatwierdzania budżetu, by większość energii skupić na opracowaniu Konstytucji. Będąc w dużej mierze nie tylko ciałem uchwalającym, lecz także rządzącym, musiał z konieczności dawać pierwszeństwo sprawom palącym i wymagającym natychmiastowego załatwienia.

A spraw tych było znacznie więcej niż mógłby z góry przewidzieć najtęższy ustawodawca. Aby zrozumieć ogrom zadań związanych z tworzeniem podstaw państwowości polskiej w roku 1919, rozpatrzmy, jakimi realnymi aktywami dysponowali Sejm, rząd i Naczelnik Państwa.

Lista nie jest długa.

Na arenie międzynarodowej do aktywów należało uzgodnienie stanowiska Naczelnika Państwa i stanowiska Komitetu Narodowego Polskiego. Wzajemny stosunek daleki był od sielanki, niemniej porozumienie przerywało niebezpieczny stan dwutorowości.

Drugim aktywem było istnienie Polskich Sił Zbrojnych, rosnących z każdym dniem w liczbę i już skutecznie zaangażowanych w walkę w obronie żywotnych interesów polskich na terenie Wielkopolski, Galicji Wschodniej i na kierunku Wilna i Wołynia. Wojsko Polskie nie osiągnęło jeszcze jedności organizacyjnej. Ale wszystkie jednostki uznawały władze utworzone w Warszawie jako legalne władze Rzeczypospolitej i czyniły przygotowania do podporządkowania się im w sensie operacyjnym i organizacyjnym.

Trzecim wreszcie aktywem było związanie w rękę Józefa Piłsudskiego funkcji Naczelnika Państwa i funkcji Naczelnego Wodza. Okazało się to zbawienne nie tylko w sensie zwiększenia osobistego autorytetu Piłsudskiego, lecz także w sensie praktycznym. Gdyby funkcja Naczelnika Państwa została oddzielona od funkcji Naczelnego Wodza, a dążyli do tego politycy Narodowej

Demokracji, Sejm miałby do czynienia z dwoma ludźmi, z których każdy przy braku wyraźnie określonych kompetencji byłby na codzień i w każdej sprawie zdany na pertraktację polityczną i z Sejmem, i z rządem. Nie ulegało zaś dla nikogo wątpliwości, że dopóki nie będzie zawarty traktat pokojowy z każdym z sąsiadów Polski, naczelne dowództwo nad wojskiem jest w państwie funkcją najważniejszą, na której potrzeby trzeba wiele poświęcić. Fakt, że obie funkcje łączył właśnie Piłsudski, człowiek o największym osobistym autorytecie, sytuację dodatkowo ułatwiał, gdyż nawet zacięci dotychczasowi jego wrogowie przyznawali, w tym przynajmniej okresie, że nikt inny w Polsce nie mógłby obu tych funkcji sprawować.

Można by na tym zamknąć wykaz konkretnych aktywów politycznych państwa polskiego w chwili, gdy otrzymywało swą władzę suwerenną w postaci Sejmu. Lecz dla pełni obrazu należałoby dodać kilka faktów o podstawowym znaczeniu dla przyszłego ustroju. Wszystkie wyznaczały nieodwołalnie kierunek demokratyzacji politycznej i społecznej. Jednym był sam fakt powołania Sejmu w tak szybkim terminie i przekazania mu całości kształtu władzy państwowej. Innymi faktami o podobnym znaczeniu były dekrety Naczelnika Państwa wydane przed zwołaniem Sejmu i natychmiast przez Sejm zatwierdzone, wprowadzające w życie zasady sprawiedliwości społecznej i ochrony świata pracy przed wyzyskiem.

Istniało więc już państwo polskie z władzami naczelnymi, choć bez konstytucji. Posiadało wojsko i prowadziło politykę zagraniczną. Lecz nie miało ustalonych granic, nie miało skarbu, nie miało administracji w dosłownym znaczeniu. Gospodarka była w ruinie.

II

Rząd w ówczesnej nomenklaturze określano najczęściej jako Radę Ministrów, jakby dla podkreślenia kolegialności władzy wykonawczej i jej zbiorowej odpowiedzialności przed Sejmem i przed Naczelnikiem Państwa jednocześnie.

Prezes Rady Ministrów czyli premier był w tym układzie krępowany w swej działalności, a przede wszystkim w swej inicjatywie politycznej. W niektórych fazach pracy organizacyjnej tworzyło to system nieporęczny, powodujący potrzebę ciągłych

obrad i porozumień między poszczególnymi ministrami przy ciągłej też konieczności konsultowania Sejmu przez rząd, a także konsultowania stronnictw politycznych przez poszczególnych ministrów. Rząd Ignacego Paderewskiego, którego skład Sejm zatwierdził 22 lutego, nie był rządem „silnej ręki”. A taki właśnie rząd byłby zapewne sprawniejszy w okresie kiełkowania życia państwowego. Powstawały bowiem co chwila sytuacje zaskakujące i nieprzewidziane. Szybkość decyzji wydawała się najpierwszą państwową potrzebą. Tej szybkości Mała Konstytucja nie ułatwiała, co było jej oczywistym minusem.

Skutki tego stanu rzeczy w niektórych przynajmniej dziedzinach naprawiał Naczelnik Państwa i Naczelny Wódz zarazem. Podejmował decyzje bez konsultacji, wyzyskując osobisty aurytet. Niebezpieczeństwo z zewnątrz skupia z reguły ludzi i wysuwa tak zwaną „potrzebę chwili” przed mgliste często poglądy „ideologiczne” lub zwykłe zaciętrzewienie. Ułatwiała to bezsprzecznie sytuację Piłsudskiego, a także współpracę Sejmu z kolejnymi prezesami Rady Ministrów.

Lecz był jeszcze jeden element pozwalający na sprawne wykonywanie funkcji państwowej i to w trudnym czasie wojny. Społeczeństwo godziło się na to, by i Sejm, i Naczelnik Państwa — choć nigdy rząd — przymykał oko na formalną stronę litery prawa. Godziło się, bo miało poczucie śmiertelnego zagrożenia bytu państwowego. Lecz nie była to jedyna przyczyna. Godziło się także dlatego, że nie gwałcono przy tym zasad praworządności.

Minusów nowej struktury państwowej dopatrzeć się oczywiście można więcej. Już sama struktura Sejmu Ustawodawczego wywoływała niepokój wskutek zbyt dużej liczby stronnictw łączących się w bloki i zgrupowania o niezbyt określonym obliczu programowym. Bloki te ulegały częstym przesunięciom w zależności od zagadnień, które w danej chwili znajdowały się na porządku obrad i głosowań. Rezultatem była konieczność zawierania kompromisów, niekiedy bardzo celowych i skutecznych, kiedy indziej niepotrzebnych. Układ tego rodzaju byłby kłopotliwy nawet w spokojnych czasach i w państwie dobrze zorganizowanym, dysponującym doświadczonym aparatem administracyjnym, o zapewnionych środkach finansowych, nie zagrożonym przez nieprzyjaciół zewnętrznych i nie szarpanym trudnościami gospodarczymi.

Tymczasem jednak państwo polskie było po prostu niezorganizowane, ludność cierpiała nędzę, nie istniał budżet państwowy,

nie było nawet jednolitej waluty. Rozpoczął się dopiero proces scaleniowy ziem rozdartych przez granice zaborcze. Każda z nich miała inną strukturę gospodarczą, a po części także społeczną, w każdej obowiązywały inne prawa i w każdej inaczej wyglądało codzienne życie.

Jednaka była tylko wola zdobycia niepodległości państwowej i wola jej obrony. Był to kapitał najważniejszy i w ocenie historycznej kapitał jedyny. On też, a nie jakiegokolwiek obliczenia materialistyczne, przeciwdziałał skutecznie zarówno egoizmowi klasowemu i dzielnicowemu, jak i propagandzie komunistycznej atakującej zaciekle samą ideę niepodległości.

Jest też podziwu godne, że młode państwo nie pozwoliło potrzebom wojennym przesłonić konieczności reform społecznych i pracy nad budową gmachu państwowego w oparciu o zasady praworządności. Na prawdziwy zaś podziw zasługuje fakt, że żadne ugrupowanie polityczne nie wysunęło hasła rządów silnej ręki, które by zastąpiły system oparty o supremację Sejmu i o wzajemną współzależność Naczelnika Państwa, rządu i władzy ustawodawczej. Jak wspomnieliśmy, był to system w działaniu trudny i nieporęczny. W dodatku i z samego założenia, i z nazwy był to system tymczasowy. A zatem pomyślany na czas krótki, zanim nie zostanie uchwalona właściwa konstytucja państwowa. System tymczasowy, zwłaszcza w okresie tak ciężkim, nie nadaje się z pozoru do eksperymentów w kierunku pełnej demokracji.

Lecz ten właśnie kierunek wybrano i trzymano go się mocno, choć nie brakło powodów, by się dać ponieść zniechęceniu. Powodem bardzo istotnym na przykład było opóźnienie reformy walutowej, a właściwie opóźnienie uporządkowania spraw finansowych w ogóle. Wprowadzono w obieg jednolitą markę polską, przeliczając zmusznie wartość koron austriackich, marki okupacyjnej niemieckiej i marki niemieckiej, rubli carskich i tak zwanych „kierenek” — wszystko w ramach przygotowań do założenia państwowego banku emisyjnego i wprowadzenia nowej waluty złotowej. Lecz najlepsze chęci kolejnych ministrów skarbu — Englicha, Bilińskiego i Władysława Grabskiego — rozbiły się o zupełną niemożność zrównoważenia budżetu, o brak kredytów i o uchwały sejmowe nie liczące się z rzeczywistością gospodarczą. Było w tym wiele czynników obiektywnie trudnych do opanowania, lecz było też sporo dowodów zupełnego braku przygotowania gospodarczego wśród posłów, wśród przywódców partii w Sejmie i wśród kierowników resortów ministerialnych. Sejm jako ostateczna instancja zarządzeń finansowych i planowania gospodarczego egzaminu nie zdawał.

Lecz korzyści wypływające ze ścisłego przestrzegania zasad demokratycznych przeważały nad szkodami. Chodziło przecież o przyszłość, o ugruntowanie ustroju na całkowitej wolności obywatelskiej i na zasadach sprawiedliwości społecznej. Zdaniem zagranicy Polski nie było stać na reformy społeczne, jakie Sejm uchwalał, a rząd zapoczątkowywał — reformy takie jak postępowe ustawodawstwo pracy, przestrzeganie prawa do strajku i wprowadzanie ubezpieczeń chorobowych i zasiłków dla bezrobotnych. Lecz nie mogło być inaczej. Polska niepodległa chciała w każdym szczególe zerwać z systemami uprawianymi przez zaborców. Nie zadowalała się samą niepodległością, chciała, by niepodległość zadowalała wszystkich obywateli. Było to ważniejsze niż niedobory budżetowe, niż swary dyskusyjne i niż natychmiastowe usprawnienie administracji państwowej.

Nie mogłaby sobie Polska na tę swobodę w samym zaraniu swego bytu pozwolić, gdyby nie absolutna zgodność całego społeczeństwa i wszystkich ugrupowań politycznych, ilekroć w grę wchodziło zagadnienie bezpieczeństwa czyli siły zbrojnej. Tu spory i komeraże miały znaczenie trzeciorzędne i obracały się tylko w wąskim zakresie spraw ściśle personalnych. Zasady, że za wolność trzeba się bić, by ją obronić, nikt nie kwestionował.

Improwizować musiano wszystko — i wojsko, i administrację państwową, i skarb, i produkcję przemysłową. Nawet politykę zagraniczną. Dziś wiemy, że improwizacja była skuteczna. Bo obroniła młode państwo przed zagładą z ręki sąsiadów i potrafiła przeprowadzić szereg reform, na które szczęśliwsze, bogatsze i bardziej doświadczone społeczeństwa nie mogły się zdobyć.

III

Opozycja rzecz jasna istniała i przed wyborami do Sejmu, i po jego wyborze. Inaczej być nie mogło i — co ważniejsze — inaczej być nie powinno w ustroju demokratycznym, który zapewnia prawo decyzji większości, przyznając wszakże mniejszości prawo szukania alternatywy i prawo krytyki poczyniła i poglądów zarówno władzy wykonawczej powołanej przez większość jak i poglądów większości, która ją powołała. Tak też było w Polsce, choć była państwem, które dopiero się organizowało.

Zdawano sobie sprawę z istnienia ogromnych różnic zarówno

w poglądach, jak i w stopniu przygotowania społeczeństwa do czynnego udziału w politycznym życiu kraju. Układały się one w najprzedziwniejszy nieraz sposób, tylko w pewnym stopniu będąc odpowiednikiem podziałów klasowych czy wyrazem dążeń gospodarczych. Mocniejsze niekiedy były względy emocjonalne, niezwiązane ze sprawami materialnymi. Przywiązanie do katolicyzmu, o którym myślano nieraz jako o najmocniejszej ostoi życia narodowego, zwłaszcza w zaborze pruskim, odgrywało bardzo istotną rolę w kształtowaniu się sympatii do poszczególnych stronnictw politycznych. Także różnice położenia gospodarczego, struktury społecznej i potrzeb kulturalnych rozkładały się odmiennie w poszczególnych dzielnicach kraju. Stąd odmiennosc poglądów wtórująca odmiennosci odczuwanych potrzeb. Inna też w poszczególnych dzielnicach była moralność społeczna, zrozumienie potrzeby ładu i dyscypliny. Inne były doświadczenia samorządowe. Inne wreszcie doświadczenia życiowe ostatnich lat. Stąd programy partii politycznych — choć wszystkie w mniejszym lub większym stopniu dążyły już przed wojną do zdobycia charakteru „ponadkordonowego” czyli ogólnopolskiego — niekiedy uwzględniały przede wszystkim potrzeby miejscowe, dzielnicowe. Kiedy indziej znów program zdawałoby się jednolity w zastosowaniu praktycznym przybierał inne kształty w Poznaniu, a inne w Warszawie czy we Lwowie. Jak głęboka jednak była świadomość tych specyficznie polskich problemów w kierownictwach poszczególnych partii politycznych? Wydaje się, że ulegały one wielu złudzeniom i stąd zapewne wpływało szczere przekonanie wielu z nich, że wybory umocnią ich pozycję.

Józef Piłsudski jako Naczelnik Państwa miał w tym względzie najwięcej wątpliwości i tym samym najmniej złudzeń. Na pewno oceniał trafniej wpływy prawicy niż socjaliści w rządzie Jędrzeja Moraczewskiego. Sam uważany powszechnie za lewicowca, nie chciał jednak w tak trudnym dla państwa czasie z lewicą się utożsamiać. Stąd też zapewne wpływała po części jego decyzja przyjęcia tuż przed wyborami dymisji Moraczewskiego i powołania na premiera Ignacego Paderewskiego.

Zmiana rządu nie miała poważnego wpływu na wynik wyborów. Być może, że osoba Paderewskiego wpłynęła w jakimś stopniu wśród wyborców na oddanie głosu „bardziej w prawo” niż zamierzali. Z drugiej za to strony ustąpienie rządu Moraczewskiego, co rozumiano także jako gest pojednawczy, wzmogło popularność PPS i „Wyzwolenia”. Wzorowa procedura głosowania i brak jakichkolwiek nacisków, jeśli nie liczyć bardziej

lub mniej sprawnej agitacji prowadzonej przez wszystkie stronnictwa bez wyjątku, wyrównywała szanse każdego z nich, z tym skutkiem, że żadne nie kwestionowało wyników ani nie zgłaszało protestów.

Niemniej wynik był niespodzianką dla lewicy, zwłaszcza dla PPS i „Wyzwolenia”. W Kongresówce ogromna liczba głosów chłopskich padła na listę Narodowej Demokracji. Ogólna liczba głosujących w tej dzielnicy na prawicę osiągnęła 45 %. W całej Polsce zdobyła prawica 36 % głosów — już po czerwcowych wyborach w Poznańskim — i 140 mandatów w Sejmie. Lewica zdobyła tylko 27 % i 106 mandatów, z czego 59 „Wyzwolenie”, a 35 PPS po zjednoczeniu z socjaldemokracją galicyjską. 33 % głosujących opowiedziało się po stronie czterech stronnictw uważanych za centrum, dając mu 131 mandatów. Najsilniejsze w centrum były chłopski i konserwatywny „Piast” oraz Polskie Zjednoczenie Ludowe.

Nie stwarzało to warunków do powstania zdecydowanej większości sejmowej, która mogłaby wyłonić rząd o jednolitym składzie i całkowicie sprecyzowanym programie. Stwarzało natomiast konieczność koalicji stronnictw, często o zupełnie różnych programach politycznych. Co gorzej — były to koalicje o zmiennym charakterze, tworzone od wypadku do wypadku, dla przegłosowania lub dla zapobieżenia uchwaleniu jakiejś określonej ustawy. Także dyscyplina partyjna była w Sejmie pojęciem raczej względnym, z tym wynikiem, że już po roku skład klubów poselskich przedstawiał się zupełnie inaczej niż na pierwszym posiedzeniu, i to tak dalece, że nawet orientacyjny podział między centrum, prawicę i lewicę uległ koniunkturalnym zmianom. Znajdowało to swe odbicie we władzy wykonawczej czyli w rządzie. Kolejne gabinety musiały uwzględniać koniunktury i koalicje sejmowe, choć autorytet i uprawnienia Naczelnika Państwa pozwalały na powoływanie ministrów fachowych i nie związanych z rozgrywkami partyjnymi w Sejmie. Stan ten był nieunikniony wobec niemożności powstania zdecydowanej większości na ławach poselskich.

Niemniej Sejm pracował i pracował owocnie, zwłaszcza w dwóch pierwszych latach swego istnienia. Działo się tak dlatego, że wiele spraw o istotnym znaczeniu wszystkie partie uznały za niepodlegające dyskusji, przynajmniej gdy o zasadę chodzi. I tak nie kwestionowano w Sejmie konieczności zachowania demokratycznego rozwoju.

W tym względzie Sejm był wiernym odzwierciedleniem na-

strojów społeczeństwa. Na tym polegała ówczesna „ludowość”. Natomiast niespodzianką było rozbitcie ruchu ludowego w znaczeniu chłopskim na cztery podstawowe i parę mniejszych ugrupowań o odmiennych programach — od radykalnego po konserwatywny. Nie ułatwiło to przeprowadzenia najważniejszej dla Polski reformy, jaką była reforma rolna.

REFORMA ROLNA

W sensie społecznym rolnictwo i ustrój rolny były dla Polski zagadnieniem najważniejszym. Na nim też skupiała się uwaga opinii publicznej, ustępując pierwszeństwa tylko sprawom wojska i walki o granice.

W każdym razie „reforma rolna”, bo tą nazwą obejmowano całokształt zagadnienia w jego aspekcie zarówno gospodarczym jak i społecznym, była w przekonaniu opinii publicznej i w przekonaniu Sejmu sprawą pilniejszą i donioślejszą niż opracowanie konstytucji państwowej, uregulowanie stosunków walutowych, obmyślenie struktury szkolnictwa, a nawet prace scalające dotychczasowe dzielnice rozbiorowe w jednolity organizm administracyjny. Jej też poświęcił Sejm najwięcej uwagi w pierwszym roku istnienia niepodległego państwa polskiego.

Zestawmy fakty, które tłumaczą przyczyny tego stanu rzeczy. W roku 1919 określenie Polski jako kraju rolniczego obrazowało wiernie rzeczywistość nie tylko gospodarczą, lecz także społeczną i polityczną. Wszystkie dzielnice Polski, z wyjątkiem Górnego Śląska, nie objętego jeszcze granicami państwowymi, były krajem rolniczym. Ośrodki przemysłowe takie jak Zagłębie Dąbrowskie, rejon Łodzi, rejon Warszawy czy Białystok tworzyły tylko enklawy skupiające niewiele więcej niż 15 % do 20 % ludności. Ich produkcja łącznie z produkcją lokalnych ośrodków nie znajdowała dostatecznego zbytu na rynku wewnętrznym, właśnie dlatego, że był to rynek w ogromnej większości rolniczy. Przemysł ucierpiał już i miał jeszcze ucierpieć nie tylko wskutek dewastacji spowodowanej wojną i okupacją, wskutek braku konserwacji, inwestycji i surowców, lecz także wskutek przerwania szlaków eksportowych. Jego przebudowa i rozbudowa była zagadnieniem wymagającym ogromnego nakładu kapitałowego. Była także

kwestią czasu. Poza tym szanse rozbudowy przemysłu zależęć musiały w dużej mierze od podniesienia się stopy życiowej i zdolności konsumpcyjnej masy ludności rolniczej. W tej sytuacji, by móc w ogóle myśleć o rozbudowie gospodarstwa narodowego, trzeba było zacząć od reformy rolnej. Trzeba ją było tak poprowadzić, by zapewnić minimum środków utrzymania 70 % ludności mieszkającej i pracującej na wsi. I to nie w drodze przereczenia nadwyżki ludnościowej do przemysłu, który nie mógł jej pochłoniąć, lecz w drodze pomnożenia liczby samodzielnych gospodarstw rolnych oraz zapobieżenia ich nieopłacalności.

Pochodną przesłanki gospodarczej były przesłanki społeczne i polityczne. Wyrażały się one w dążeniach typowych dla społeczności chłopskiej. Postulat sprawiedliwości społecznej głosił potrzebę oparcia posiadania ziemi o zasadę pracy na ziemi. Pracy osobistej, wykonywanej własnymi rękami. Towarzyszył temu postulatowi postulat wyrównania różnic pozycji społecznej, zmniejszenia ostrości przedziałów klasowych. Stąd hasło parcelacji wielkiej własności ziemskiej łączyło się z dążeniem chłopów do przejęcia funkcji kierowniczej w życiu wsi, powiatu i całego państwa z rąk warstwy zwanej ziemiańską. A jednocześnie istniał problem ludności bezrolnej, wegetującej na marginesie gospodarczym i społecznym wsi. W zależności od dzielnicy proletariat wiejski w Polsce stanowił masę od 10 % do 40 % ogółu ludności utrzymującej się teoretycznie z pracy na roli. Tylko część zaliczała się do kategorii zwanej niezbyt ściśle służbą folwarczną albo właściwiej robotnikami rolnymi. Ich położenie było różne w różnych okolicach. W Poznańskim, gdzie pracodawcą był uprzemysłowiony „majątek ziemski”, położenie było znośne, a w każdym razie lepsze niż samodzielnego gospodarza w reszcie Polski. Choć i tu uogólnienia są niebezpieczne. W niektórych powiatach Pomorza na przykład panowały stosunki przypominające strukturę farmerską na zachodzie Europy. Gospodarstwa kilkunastohektarowe zapewniały byt i właścicielowi, i jego najemnym pomocnikom. Nadwyżki produkcyjne umożliwiały kapitalizację i inwestycje. Pozwalały zaopatrywać w żywność miasta i pozwalały żywność eksportować. Poznańskie było spichlerzem państwa pruskiego. Natomiast wieś galicyjska nie mogła dostarczyć żywności samej sobie.

Różnic tego rodzaju było więcej i sięgały bardzo głęboko, bo i w dziedzinę kulturalną. Były one wynikiem bardzo złożonych procesów historycznych, w których i zasługami, i winą dzielić się musieli Polacy z zaborcami, którzy — jak Rosjanie w Królestwie — prowadzili politykę zmierzającą do celowego

zubożenia ludności i tym samym do ułatwienia sobie rządów nad obcym społeczeństwem.

Z różnic wynikały odmienne potrzeby i dążenia ludności wsi polskiej, w której mieściło się i gospodarstwo zamożnego chłopca spod Kcyni czy Jarocina, i „nędza galicyjska” z okolic Jasła czy Rzeszowa, i problemy bezrolnych, i problemy robotników rolnych, i pamięć o konieczności zachowania zdolności produkcyjnej wielkich obszarów skupionych w ręku właścicieli przemysłowych majątków ziemskich.

Stąd też i spory wokół zakresu i charakteru reformy rolnej przybrały charakter debaty ustrojowej, wykraczającej daleko poza sprawy rolnictwa. Ścierały się ze sobą poglądy skrajne, zmierzające z jednej strony do wyłączenia bez odszkodowania, a z drugiej strony domagające się uprzywilejowania wielkiej własności pod kątem jej lepszej wydajności produkcyjnej. Wolańiom o parcelację gruntów należących do Kościoła katolickiego, tak zwanej własności „martwej ręki”, przeciwstawiły się koła zachowawcze i prawicowe. Opór ich miał zresztą charakter formalny raczej, gdyż punktem wyjścia była zasada dobrowolnego zrzeczenia się ziemi za zgodą władz kościelnych w przeciwstawieniu do wyłączenia przymusowego. Radykalne ugrupowania chłopskie w Sejmie domagały się uprzywilejowania ludności bezrolnej, to jest robotników rolnych, podczas gdy „Piast” opowiadał się za polityką tworzenia gospodarstw mocnych i samowystarczalnych w oparciu o już zagospodarowanych chłopów. Najliczniejsze „Wyzwolenie” nie zacieśniało swego programu do zagadnień rolnictwa, lecz łączyło postulat parcelacji gruntów z reformami gospodarczymi w przemyśle. Był to oczywisty skutek jego powiązań z Polską Partią Socjalistyczną. Wreszcie bardzo silne ugrupowanie posłów reprezentujących wieś w ramach Związku Ludowo-Narodowego stawiało na pierwszym miejscu problematykę racjonalnej gospodarki, przewidując nie bez słuszności, że parcelacja i tak nie rozładuje nadwyżki ludnościowej wsi polskiej i nie zaspokoi minimum jej potrzeb. Sporne rzecz jasna były sprawy tempa, w jakim reformę rolną należy przeprowadzać, kredytów potrzebnych do zagospodarowania nowych warsztatów pracy, sprawy melioracji i komasacji i wiele innych spraw pokrewnych.

Zwolna jednak sprawy sporne traciły na ostrości w kompromisowych projektach reformy rolnej. Decydujące znaczenie miało stworzenie nowej frakcji sejmowej składającej się z posłów różnych stronnictw o wyraźnym obliczu chłopskim. Nazwano ją trochę szumnie Związkiem Posłów Ludowych. Związek był

ugrupowaniem taktycznym dla przeciwstawienia się prawicy sejmowej. Liczył 134 posłów, co było liczbą zbyt małą na przeprowadzenie swojej woli, lecz dostatecznie dużą, by móc nadać kierunek obradom i wyeliminować kłopotliwe projekty coraz to wysuwane przez całe partie. Związek mógł zresztą liczyć na głosy posłów socjalistycznych i z kilku innych ugrupowań.

Generalnie przy tym rzecz wzięwszy, nikt w Sejmie i poza nim nie kwestionował konieczności jakiejś reformy gospodarczo-społecznej, która by uzdrowiła rolnictwo jako część gospodarki narodowej i zadośćuczyniła dezyderatom i potrzebom społecznym ludności wiejskiej. Jednolitość ta przejawiała się także w zasadach, jakimi przy reformie chciano się kierować. We wszystkich projektach reform, nawet tych, jakie przedkładała prawica sejmowa lub broniący swych interesów klasowych Związek Ziemi, mieściły się nieodmiennie następujące zasady:

- gospodarstwo chłopskie oparte o własność indywidualną;
- pierwszeństwo przy parcelacji dla fachowych rolników dotychczas ziemi nie posiadających, to znaczy dla robotników rolnych, tracących pracę w związku z parcelacją folwarków;
- konieczność tworzenia gospodarstw zdolnych zapewnić właścicielowi utrzymanie, to znaczy nie karłowatych;
- zapewnienie przez państwo kredytów potrzebnych i na odszkodowanie dla tracącego ziemię, i na zagospodarowanie się nowego właściciela.

Tu wyjaśnić wypada, że dezyderaty parcelacji bez odszkodowania służyły w Sejmie raczej jako argument taktyczny. W praktyce chciano go zastosować przy parcelacji dóbr państwowych lub takich jak powstałe z wykupu własności polskiej przez instytucje zaborcze, przede wszystkim przez rosyjski Bank Włościański i pruską Komisję Kolonizacyjną.

I wreszcie zasada ostatnia, dotycząca metody. Uznawano, że przeprowadzenie reformy rolnej należy tylko i wyłącznie do Sejmu i że tym samym musi być ona przeprowadzona w drodze ustawodawczej.

Był to punkt nad wyraz istotny w sytuacji tak chaotycznej i zbliżonej w niejednym do anarchii jak ta, która panowała na ziemiach polskich w chwili załamania się władzy zaborczej. Wytrącał też oręż z ręki elementom żerującym na niepokoju i biedzie wsi polskiej. Wśród nich Komunistyczna Partia Polski zdobyła sobie pewne wpływy tylko w Związku Zawodowym Robotników Rolnych. Związek ten odbył w roku 1919 dwa zjazdy — w maju i w sierpniu — wysuwając hasła parcelacji bez

odszkodowania oraz objęcia parcelacją także większych gospodarstw chłopskich. Komuniści mieli jednak sytuację utrudnioną, gdyż — jak już pisaliśmy — popełnili dwa błędy. Jeden był błędem natury ogólnej, tym samym, który przekreślił ich wpływy w środowiskach robotniczych. Polegał na negowaniu potrzeby tworzenia niepodległego państwa polskiego. Błędem drugim było opowiedzenie się przeciwko parcelacji jako zapobiegającej powstawaniu kołchozów. Koncepcja tego rodzaju była nie do przyjęcia także dla robotników rolnych, podnieconych nadzieją spełnienia marzeń o własnym kawałku ziemi. W rezultacie kierunek radykalny wśród ludności wiejskiej reprezentowała zaczęła PPS wśród robotników rolnych i frakcyjne ugrupowanie Dąbala wśród ludności małorolnej.

Działalność radykałów sprowadziła się do kilku strajków, które odegrały rolę pozytywną w tym sensie, że przyspieszyły prace Sejmu nad reformą rolną. Nie doszedł natomiast do skutku powszechny strajk rolny zapowiedziany na październik 1919 roku, gdyż odmówiły mu poparcia zarówno PPS jak i „Wyzwolenie”. Byłby to zresztą strajk niepotrzebny, gdyż już w lecie z mgławicy projektów wyłoniła się koncepcja reformy rolnej pomyślanej rzeczowo, a jednocześnie zapobiegającej chaosowi gospodarczemu. Na tym odcinku Sejm wykazał daleko posuniętą dojrzałość polityczną i skutecznie podkreślił, że on tylko jest kompetentny o reformie stanowić. W tym względzie panowała zgodność poglądów we wszystkich stronnictwach reprezentowanych w Sejmie, ze stronnictwami chłopskimi na czele. Wyrazem tej zgodności były ustawy i rozporządzenia wykonawcze zabraniające z jednej strony parcelacji ziemi folwarcznej przez robotników rolnych bez czekania na ustawę, z drugiej zaś tak zwanej „dzikiej parcelacji”, przy pomocy której niektórzy ziemianie sprzedawali ziemię z wolnej ręki zamożniejszym chłopom.

W końcu czerwca 1919 roku jedyną sprawą naprawdę sporną pozostawało tak zwane maksimum obszaru gospodarstwa rolnego. Stronnictwa ludowe i lewica sejmowa chciały je ustalić na 180 hektarów. Prawica nie odrzucała tej granicy jako podstawy reformy, lecz wносиła poprawki dla terenów rzadziej zaludnionych oraz dla tych własności obszarniczych, które stanowiły zamknięte przedsiębiorstwa uprzemysłowione. Nad artykułem szóstym, te właśnie sprawy regulującym, doszło do dramatycznego głosowania 7 lipca. Za maksimum 180 hektarów głosowało 180 posłów, przeciw ta sama liczba. Wówczas to posłowie ludowi i socjalistyczni opuścili salę sejmową śpiewając „O cieść wam, panowie magnaci”.

10 lipca w powtórnym głosowaniu artykuł szósty uzyskał większość. Tym samym „Uchwała w przedmiocie zasad reformy rolnej” została przyjęta przez Sejm jako podstawa przyszłego ustroju rolnego.

Wytyczne w niej zawarte przewidywały silne gospodarstwo chłopskie jako podstawową jednostkę społeczno-gospodarczą. Rezerwat ziemi w dyspozycji państwa, rezerwat przeznaczony na parcelację, miał się składać z tak zwanych dóbr skarbowych i majorackich, z dóbr Banku Włościańskiego i Komisji Kolonizacyjnej, z dóbr kościelnych, z dóbr zebranych w drodze spekulacji gruntowej i wreszcie w ostatniej kolejności z nadwyżek gruntowych majątków ziemskich ponad maksimum od 60 do 180 hektarów w Polsce środkowej i południowej oraz ponad 400 hektarów na Kresach Wschodnich i w niektórych częściach byłego zaboru pruskiego — tam, gdzie zmniejszenie obszaru mogło zagrozić już istniejącemu przemysłowi rolnemu. Uchwała przewidywała pierwszeństwo w nadziale parcelowanej ziemi dla robotników rolnych, zapowiadała państwowe długoterminowe kredyty dla nowych właścicieli oraz wprowadzała zasady ochrony pracy najmniej na roli w postaci między innymi ubezpieczeń społecznych.

Wiele jeszcze było przeszkód natury praktycznej na drodze do stworzenia nowego ustroju rolnego w oparciu o uchwałę o reformie rolnej. Niektóre z nich nie dały się usunąć bądź usuwanie ich zajęło więcej czasu niż przewidywano. Niemniej „Uchwała w przedmiocie zasad reformy rolnej” była jednym z największych osiągnięć Sejmu Ustawodawczego, gdyż dotyczyła najważniejszego dla ówczesnej Polski problemu i usuwała schronienia narosłe w ciągu wieków, których zaborcy celowo usunąć nie chcieli.

O Ś W I A T A

Niwelacja różnic między zaborami była najtrudniejsza, a zarazem najpilniejsza, na odcinku szkolnictwa i oświaty. Zdawał sobie sprawę rząd Moraczewskiego, zdawały też sobie sprawę rządy następane, Paderewskiego, Ponikowskiego, Skulskiego, Grabskiego czy Witosa. Zdawał sobie przede wszystkim sprawę Sejm Ustawodawczy.

Zarówno rządy jak i Sejm, a równoległe z nimi władze samo-

rządowe i administracyjne na poszczególnych obszarach dziedziczyły po zaborcach całkowicie niewystarczającą bazę materialną dla całego szkolnictwa. Dziedziczyły systemy szkolnictwa pozostawiające wiele do życzenia w świetle wymogów oświaty pomyślanej w sposób nowoczesny i demokratyczny. Co gorzej, systemy dotychczas istniejące (z wyjątkiem zaboru austriackiego) pomyślane były w ten sposób, by hamować i utrudniać rozwój polskiej kultury narodowej. Były więc z samego założenia systemami nie tylko obcymi, ale i wrogimi.

W zaborze pruskim szkoła służyła wynaradawianiu Polaków. Język polski rugowano bezlitośnie nie tylko z programów lekcyjnych, lecz także ze stosunków między nauczycielem i uczniem, a nawet ze stosunków między uczniami. Nie wolno go było używać w rozmowach na terenie szkoły. Większość nauczycieli szkół podstawowych — czyli, jak je wówczas zwano, powszechnych — pochodziła z Niemiec lub rekrutowała się z elementu ziemczonego. Z chwilą przejęcia administracji oświaty przez Naczelną Radę Ludową w Poznaniu było zaledwie kilkudziesięciu nauczycieli szkół średnich mogących prowadzić lekcje w języku polskim. Podobnie przedstawiała się sprawa na Śląsku. Fakt, że Polacy w zaborze pruskim umieli czytać i pisać po polsku należy w tych warunkach uznać za zadziwiający dowód prężności i odporności narodowej. Zasługą dzielił się tu Kościół z prywatną działalnością oświatową, w której rolę naprawdę decydującą odgrywało wychowanie domowe.

Wynaradawianie nie łączyło się wszakże w zaborze pruskim z obniżaniem ogólnego poziomu oświaty. Polak w Poznaniu, na Pomorzu czy na Śląsku umiał czytać i pisać i posiadał minimum wiadomości potrzebnych dla samokształcenia i utrzymania się na ponad przeciętnym poziomie kultury.

Inaczej przedstawiała się sprawa w zaborze rosyjskim, z tym, że położenie było lepsze w Kongresówce niż na terenach położonych na wschód i na północ od Bugu. Polityka rusyfikacyjna łączyła się tu z ogólnym zacofaniem. Było ono udziałem całego imperium carów. Na ziemiach zamieszkałych przez Polaków było to zacofanie zamierzone i celowe. Polityka carska dążyła do utrzymania oświaty i kultury na jak najniższym poziomie, w przekonaniu, że im poziom ten będzie niższy, tym trudniej będzie Polakom krzewić swą świadomość narodową i tym łatwiej będzie utrzymać ludność w ryzach.

Do chwili przejścia władzy przez państwo polskie na terenie zaboru rosyjskiego nie istniał powszechny obowiązek szkolny. W roku 1911 zaledwie 19 % dzieci w wieku szkolnym uczęsz-

czało w Kongresówce do szkół elementarnych, w ogromnej większości jednoklasowych. W roku 1917, a więc już pod rządami Rady Regencyjnej, na tysiąc dzieci w Królestwie pobierało naukę zaledwie 76, wobec 143 w Galicji i ponad 200 w Poznaniu. Na wschód od Bugu naukę pobierało zaledwie 30 dzieci na tysiąc.

Szacunkowo można też przyjąć, że w dniu odzyskania niepodległości ponad połowa Polaków nie umiała czytać i pisać. Biorąc pod uwagę warunki, należy wyrazić zdziwienie, że procent analfabetów nie był wyższy. I tu zasługą dzielił się Kościół z inicjatywą prywatną. W środowiskach robotniczych ogromną rolę spełniały kółka samokształcące prowadzone zwłaszcza przez partie polityczne — przez PPS w nawiązaniu do pięknej tradycji zapoczątkowanej przez Waryńskiego na łamach „Proletariatu” oraz przez Narodową Demokrację.

Powszechny obowiązek szkolny wprowadziło odrodzone państwo polskie na podstawie dekretu Naczelnika Państwa z 7 lutego 1919 roku, zatwierdzonego później i poszerzonego przez Sejm Ustawodawczy. Był to pierwszy krok ujednolicający system szkolnictwa we wszystkich dzielnicach.

Daleko było wszakże do osiągnięcia minimum zakreślonego przez ustawę. Było nim wprowadzenie zasady bezpłatnego nauczania w wieku od 7 do 14 lat w ramach siedmioklasowej szkoły powszechnej. Ideał ten zaczęto osiągać przy końcu lat dwudziestych, a więc stosunkowo szybko. Lecz w roku 1919 wydawał się bardzo odległy. Warto jednak podkreślić, że już po dwóch latach, w roku 1921, liczba dzieci w szkołach powszechnych na terenie byłego Królestwa podniosła się do 66 %.

Powróćmy do trudności, na jakie natrafiała organizacja szkolnictwa. Niedomogi bazy materialnej obejmowały przede wszystkim brak budynków szkolnych. Dekret z 7 lutego przewidywał, że maksymalna odległość między szkołą a miejscem zamieszkania ucznia nie powinna przekraczać 3 kilometrów. Zamierzenia tego nie można było osiągnąć wobec trudności finansowych, z którymi borykało się państwo w pierwszych latach niepodległości. Z konieczności musiano się zadowolić stopniowym i żmudnym postępem. Zorganizowanie szkoły jednoklasowej lub dwu- czy trzechklasowej wymagało znacznie mniej nakładów i do takich właśnie szkół musiano się w większości wypadków ograniczyć.

Zwłaszcza że obok trudności materialnych istniała trudność nie mniejsza w postaci braku nauczycieli. W Królestwie potrzebowano 25 tysięcy, a było zaledwie 10 tysięcy. W Poznaniu zastępowano część kwalifikowanych nauczycieli szybko podszkolanymi siłami pomocniczymi. Dekret z 7 lutego kładł ogromny

nacisk na organizację seminariów nauczycielskich, przewidując również kursy skrócone. Lecz i one mogłyby zaradzić potrzebie nie wcześniej niż po dwóch lub trzech latach, zwłaszcza, że znaczna część potencjalnych kandydatów na nauczycieli służyła w wojsku, ochotniczo lub z poboru.

Na szczęście niedobór nauczycieli mogła zaspokoić w pewnej mierze Galicja. Ona jedna dysponowała pełną kadrą, a nawet nadwyżkami — podobnie zresztą jak i w innych działach administracji państwowej. Pod tym względem nadprodukcja inteligencji — bólączka zaboru austriackiego — okazała się błogosławieństwem dla młodego państwa polskiego. Pełny samorząd w Galicji wykorzystywano na wielu odcinkach. Z nich szkolnictwo i oświata były odcinkami najważniejszymi. Co prawda daleko było do zapewnienia wszystkim dzieciom w wieku szkolnym pełnego siedmioklasowego wykształcenia elementarnego. Lecz liczba analfabetów była minimalna, a — co ważniejsze — naukę pobierano w języku polskim tam wszędzie, gdzie Polacy stanowili większość. W Galicji Wschodniej część szkół była ukraińska, lecz język polski także był obowiązkowy. Zresztą w szkołach polskich uczono też ukraińskiego. Polskie w ogromnej większości było szkolnictwo średnie, bardzo rozbudowane. Przede wszystkim zaś istniały polskie szkoły wyższe, jedyne polskie szkoły wyższe dla wszystkich ziem polskich. Uniwersytety Jagielloński w Krakowie i Jana Kazimierza we Lwowie oraz Politechnika Lwowska kształciły także Polaków z dwóch pozostałych zaborów. Były prawdziwymi ośrodkami nauki i kultury polskiej, osiągając przy tym renomę naukową na skalę europejską.

Galicja dostarczyła kadr dla pozostałych dzielnic, przede wszystkim dla szkół średnich i dla nowotworzonych uniwersytetów. Uniwersytet i Politechnika Warszawska, przed wojną rosyjskie i nie o pełnych prawach akademickich, zaczęto polonizować już za czasów Rady Regencyjnej. Po roku 1918 rozrosły się szybko i okrzepły jako placówki naukowe i dydaktyczne. W roku 1919 natychmiast po zajęciu Wilna przez wojska polskie reaktywowano stary Uniwersytet Stefana Batorego. W połowie tegoż roku zaczęto prace nad utworzeniem Uniwersytetu w Poznaniu. Zabór pruski był pozbawiony wyższej uczelni, a ci z Polaków którzy chcieli iść na studia wyższe obierali albo Kraków czy Lwów, albo też specjalizowali się w naukach rolniczych i technicznych we Wrocławiu i Gdańsku względnie w głębi Rzeszy Niemieckiej.

Obok uniwersytetów uruchamiano w miarę posiadanej kadry naukowej inne szkoły wyższe, jak Akademię Górniczą w Krako-

wie, Wyższą Szkołę Handlową czy Wolną Wszechnicę w Warszawie. W roku 1920 powstał Katolicki Uniwersytet Lubelski. Nie mogły one zaspokoić potrzeb na dłuższą metę. Ścierały się więc wówczas dwa poglądy wśród fachowców. Jedni uważali, że należy tworzyć jak najwięcej szkół wyższych nie oglądając się na możliwości szczupłej kadry naukowej. Inni, i ci zwyciężyli, stali na stanowisku ograniczenia liczby wyższych uczelni do absolutnie koniecznych po to, by osiągnąć na nich jak najwyższy poziom w oparciu o pełną autonomię uczelnianą. Autonomię tę zapewniono wyższym uczelniom na podstawie specjalnej ustawy, którą Sejm uchwalił w roku 1920.

Szczupłość kadry naukowej w przeciwieństwie do nauczycielskiej trudno było wyrównać w szybkim tempie. Pomoc okazali Polacy, którzy pokończyli uniwersytety i politechniki zagraniczne. Wielu pośpieszyło na wezwanie odrodzonej Ojczyzny.

Pozostawała do wykonania ogromna praca ustalenia i ujednolicenia programów dla wszystkich szkół. I tu korzystano po części z doświadczeń galicyjskich. Zastanawiano się też nad ogólną koncepcją szkolnictwa. Dyskutowali nad tym nauczyciele na licznych zjazdach — pierwszy odbył się w Warszawie w marcu 1919 roku. Już wówczas wystąpiono z nowoczesnym projektem połączenia szkolnictwa podstawowego ze średnim w jeden system dwunastoletnich studiów. Względę praktyczne nie pozwoliły przystąpić do jego realizacji przed rokiem 1930. Lecz już po dwóch latach licząc od listopada 1918 roku mówić można było o szkolnictwie polskim wszystkich szczebli jako o systemie jednolitym dla wszystkich dzielnic. Co ważniejsze, system ten mógł się wykazać rezultatami, które w znacznej mierze odrobiły już celowe zaniedbania zaborców, przede wszystkim rosyjskiego.

KONFERENCJA POKOJOWA

I

Podstawą rozejmu między koalicją zachodnią i pokonanymi Niemcami było tak zwane „czternaście punktów” Wilsona. Niemcy przyjęli je do wiadomości w listopadzie 1918 roku i na tej

podstawie naczelny dowódca wojsk sprzymierzonych, marszałek Ferdinand Foch, podyktował im warunki zawieszenia broni. „Czternaście punktów” miało też stanowić ramowe podstawy przyszłego traktatu pokojowego.

Prezydent Stanów Zjednoczonych Woodrow Wilson ogłosił swoją deklarację celów wojny — właśnie owe „czternaście punktów” — 8 stycznia 1918 roku, a więc już po przystąpieniu Ameryki do wojny, lecz zanim jeszcze jej siły mogły zaważyć na przebiegu działań wojennych i zanim bolszewicka Rosja zawarła odrębny pokój z Niemcami w Brześciu Litewskim. W chwili jej ogłaszania deklaracja prezydenta Wilsona była raczej ideologicznym wyznaniem wiary niż wiążącym dokumentem międzynarodowym.

Lecz sytuacja uległa w tym względzie szybkiej ewolucji. Już chociażby z tego powodu, że Stany Zjednoczone tę deklarację właśnie uznawały za określenie celów wojny i istotny warunek czynnego w niej udziału po stronie sprzymierzonych. Określiły się nie jako „sprzymierzeniec” koalicji zachodniej, lecz jako mocarstwo „stowarzyszone”. Miało to oznaczać, że walczą nie o egoistyczne cele narodowe ani własne, ani tym mniej Anglii, Francji lub któregośkolwiek z innych państw walczących z Niemcami i z ich sojusznikami, lecz o „położenie kresu wszystkim wojnom”. Czyli po to, by wywalczyć nowy ład międzynarodowy oparty o zasady międzynarodowej moralności i międzynarodowej demokracji. Zwornikiem tego nowego ładu miała być Liga Narodów, a także uznanie przez zwycięzców i przez zwyciężonych zasady samostanowienia narodów o swym własnym losie.

Zasada ta w swym praktycznym wykonaniu przewidywała stworzenie nowych państw na gruzach imperiów niemieckiego, austro-węgierskiego i tureckiego bądź też przywrócenie niepodległego bytu tym narodom, które swą państwowość kiedyś utraciły wskutek obcej przemocy. Konkretnie chodziło tu przede wszystkim o Polskę, co wyraźnie precyzował punkt trzynasty deklaracji Wilsona.

Z tych względów deklaracja prezydenta Stanów Zjednoczonych była dokumentem bez precedensu. Narzucała warunki nie tylko przeciwnikom, lecz i nowym towarzyszom broni narodu amerykańskiego. Wielka Brytania, Francja i Włochy ustosunkowały się do niej początkowo z dużą dozą ostrożności. Wiązały je bowiem zawarte już poprzednio porozumienia dotyczące ochrony ich własnych interesów w razie zwycięstwa nad państwami centralnymi. Porozumienia te obejmowały także Rosję, której w pierwotnym układzie pozostawiano wolną rękę w urzędzeniu

Europy wschodniej i środkowej, co się wyrażało w praktyce zgodą na rozszerzenie jej terytorium państwowego kosztem Niemiec, Austrii i po części także Turcji. Sprawa polska w myśl tych porozumień miała się zmieścić w planach Rosji na wypadek zwycięstwa. Po rewolucji bolszewickiej Rosja przestała jednak być sprzymierzeńcem państw zachodnich. Zawarła z Niemcami odrębny pokój w Brześciu. Polska, dostawszy się w czasie wojny w całości pod panowanie niemiecko-austriackie, była obecnie objęta bez zastrzeżeń postulatami „czternastu punktów”.

Mocarstwa zachodnie wyciągały konsekwencje z tego stanu rzeczy. Nie było zastrzeżeń, które by mogły hamować ich zgodę na odtworzenie państwa polskiego po pokonaniu Niemiec. Ustały też opory przeciwko polskiej akcji dyplomatycznej na zachodzie Europy. Komitet Narodowy Polski osiągnął bardzo wiele, zanim jeszcze uznano go za półoficjalne przedstawicielstwo mającego powstać państwa polskiego. Dużo osiągnął zwłaszcza na trzech odcinkach.

Po pierwsze zmusił rządy zachodnie w Europie, a także rząd amerykański, do objęcia planami odtworzenia państwowości polskiej ziem zaboru pruskiego. W odniesieniu do tego zaboru zachowywano w Waszyngtonie i w Londynie oraz w mniejszym stopniu w Paryżu taktykę wstrzeźliwości w nadziei, że może to przyspieszyć kapitulację Niemiec. Romanowi Dmowskiemu, Erazmowi Piltzowi, geografowi Eugeniuszowi Romerowi udało się przełamać tę barierę ostrożności właśnie w oparciu o wilsonowską zasadę samostanowienia. Dzięki temu polski „dostęp do morza” nie miał być linią kolejową i strefą wolnoctw w Gdańsku, jak starali się już po zawarciu rozejmu przekonywać Niemcy, lecz miał oznaczać wyzwolenie zaboru pruskiego. Komitetowi Narodowemu Polskiemu nie udało się jednak przekonać mocarstw sprzymierzonych, że należy z góry wyznaczyć granice tych polskich ziem zachodnich, jakie Niemcy mają przyszej Polsce odstąpić. Udało się natomiast tę sprawę jako jedną z zasadniczych wprowadzić na porządek dzienny przyszłej konferencji pokojowej.

Innym osiągnięciem Komitetu było skuteczne w dużej mierze przeciwdziałanie naciskom i wpływom przedstawicieli byłej Rosji carskiej lub liberalno-demokratycznej Rosji Kiereńskiego. Tu najsilniejsze opory spotykały Polaków ze strony Francji. Amerykanie i Anglicy wykazywali więcej sceptycyzmu co do możliwości zwycięstwa Rosji „białej” w jej walce przeciwko władzy „czerwonej”.

Trzecim wreszcie sukcesem Komitetu było uznanie Polski, jeszcze nie istniejącej w sensie państwowym, za sprzymierzeńca i tym samym zapewnienie jej miejsca przy stole konferencyjnym nie w charakterze petenta, lecz jako partnera rozmów i pertraktacji. Osiągnięcia te, choć doniosłe, nie oznaczały jednak jeszcze pełnego zwycięstwa postulatów państwowych i narodowych polskich. Dawały jedynie formalnie podstawy do właściwej akcji dyplomatycznej. Wprowadzały Polskę jako czynny, a nie bierny element polityki międzynarodowej. Stanowiły fundament, w oparciu o który Polska będzie mogła w następnych kilku miesiącach przystąpić do walki politycznej o swe prawa i interesy.

Nie był to na szczęście dla jej interesów fundament jedyny. Rozwój wypadków poszedł po linii stworzenia w Polsce faktów dokonanych, które Komitet Narodowy Polski powinien był wyzyskać w swej dalszej działalności, nawet jeśli nie we wszystkich były po jego myśli. Fakty te sprowadzały się do dwóch. Pierwszym było powstanie państwowości polskiej bez oglądania się na decyzje zwycięzców zachodnich. Stwarzało to sytuację zupełnie nową, utrudniającą politykę Paryża i Londynu, lecz wzmacniającą położenie Polski. W Królestwie Kongresowym i w Galicji rozbrojono Niemców i Austriaków własnymi siłami, nie oglądając się na niczyje uchwały. Stworzono rząd i wojsko. Przeprowadzono wybory do Sejmu Ustawodawczego i jemu oddano najwyższą, suwerenną władzę nad państwem. Przystąpiono też własnymi siłami do walki o wytyczenie i obronę granic państwowych.

Podobny charakter i znaczenie miało Powstanie Wielkopolskie. Stwarzało także fakt dokonany i było wyrazem woli Polaków w zaborze pruskim. Dzięki niemu losy ziem polskich w obrębie państwa pruskiego przestały być przedmiotem przetargów prowadzonych w zaciszu odległych od Polski gabinetów bez udziału ludności zainteresowanych ziem. Przetargi i spory o granice Polski na Zachodzie toczyły się dalej i strona polska odnosiła w nich tyleż porażek co sukcesów. Toczyły się jednak z jej czynnym udziałem.

Ów czynny udział w pracach nad urządzeniem powojennej Europy, a przede wszystkim w obronie praw i interesów polskich na paryskiej konferencji pokojowej uznać należy za pierwsze i bezcenne zwycięstwo polityczne odrodzonej Rzeczypospolitej. Było ono zaskoczeniem nie tylko dla pokonanych Niemiec lecz także, a może przede wszystkim, dla mocarstw zachodnich, które nazwano nie bez racji „dyktatorami traktatu wersalskiego”, z wyjątkiem zapewne Stanów Zjednoczonych, których przedstawiciele z prezydentem Wilsonem na czele najwierniej stali na gruncie

„samostanowienia” czyli nie załatwiania spraw terytorialnych, politycznych i gospodarczych bez współudziału zainteresowanych.

Inne stanowisko zajmowała przede wszystkim Francja. Posługując się chętnie tytułem tradycyjnego i oddanego przyjaciela Polski, uzurpowała sobie niejako rolę jej opiekuna i obrońcy. Z tym wszakże, że interesy Polski traktowała jako pochodną i uzupełnienie interesów własnych. Najbardziej wyniszczona z państw zachodnich w czasie wojny, najsłabsza wśród swych wielkich partnerów, powodowała się zarówno chęcią rewanżu wobec pokonanych Niemiec jak i troską o swe przyszłe bezpieczeństwo. A także interesem gospodarczym kapitału francuskiego, który poniósł tak dotkliwe straty wskutek rewolucji rosyjskiej. Była najlepszym sprzymierzeńcem Polski, ilekroć w grę wchodziły sprawy niemieckie. Lecz z drugiej strony uważała Polskę za zastępczy element przeciwwagi wobec Niemiec od strony wschodniej, ważny dopóki nie powstanie „nowa Rosja”. Ta stanie się znowu wielkim sprzymierzeńcem Francji w polityce i terenie francuskiej ekspansji gospodarczej. Wśród Francuzów panowała swoista obsesja rosyjska i przekonanie o nietrwałości rewolucji bolszewickiej. Wyrażała się ona nie tylko w zapałach interwencyjnych i w popieraniu sił Rosji „białej”, lecz także w przeciwstawianiu się wszystkiemu, co godziło w doktrynę „jednej i niepodzielnej”. Odbiło się to jak najfatalniej na interesach narodów dążących do wolności, lecz na konferencję pokojową nie dopuszczonych, jak Ukraina. Ta sama obsesja powodowała Francją w jej zamiarach uczynienia z Polski jednego z ogniw kordonu sanitarnego, który miał przyspieszyć upadek rządu Lenina.

Polska, jej rząd i Sejm, a przede wszystkim jej Naczelnik Państwa, tym namowom francuskim postawili zdecydowany opór. Walkę z Rosją, obojętnie czy „białą” czy „czerwoną”, prowadziła tylko i wyłącznie w obronie swych własnych interesów i dla umożliwienia stanowienia o sobie tych narodów między Polską a Rosją położonych, o których prawie do samostanowienia w Paryżu nie myślano.

Innym terenem rozbieżności interesów polskich i francuskich były wewnętrzne sprawy polskie. I tu Francja widziała siebie w roli oswobodziciela i dobroczyńcy, którym nie była. Widziała-by chętnie w Polsce rządy prawicowe na modłę burżuazyjną i skłonne do jak najbliższej współpracy z Paryżem. Na tym tle znajdowała do czasu poparcie w Komitecie Narodowym Polskim, dopóki pretendował on do stanowiska równorzędnego lub nawet nadrzędnego w stosunku do rządu utworzonego w Warszawie.

I tutaj jednak udało się stronie polskiej doprowadzić w czas do porozumienia między rządem w Warszawie a Komitetem w Paryżu. Dzięki temu na konferencji pokojowej w Paryżu Polska wystąpiła już niepodległe, a nie wyczekując na przyznanie jej niepodległości. Był to podstawowy warunek prowadzenia naprawdę samodzielnej polityki w decydującym dla losów Europy pierwszym półroczu 1919 roku.

Konferencja pokojowa, gdy o Polskę chodzi, nie polegała na obronie jej interesów w bezpośrednim zetknięciu z Niemcami i z Rosją. Z nimi walka toczyła się na polach bitew. W Paryżu natomiast walkę polityczną prowadzić trzeba było z mocarstwami zachodnimi, dla których stanowisko wobec Polski było funkcją ich stosunku do pokonanych Niemiec i do nieobecnej na konferencji Rosji. Zgadzały się w jednym tylko — w uznaniu odbudowy państwa polskiego za nieuniknioną konieczność dziejową.

„Czternaście punktów” Wilsona odegrało w ustaleniu tego stanowiska rolę wielką, lecz nie jedyną.

II

Czynny udział w konferencji pokojowej był sprawą pierwszorzędnej znaczenia dla Polski. Dążyła do zapewnienia go sobie w oparciu o inne przesłanki niż decyzja wielkich mocarstw. W dniu rozpoczęcia konferencji 18 stycznia 1919 roku była pełnoprawnym partnerem wielkich mocarstw. Formułowała jasno określone żądania i cele polityczne i miała środki, którymi mogła żądania swe podeprzeć. Była więc w niewspółmiernie lepszym położeniu niż szereg narodów, które pragnęły, by konferencja pokojowa dopomogła im lub zgoła umożliwiła „wybicie się na niepodległość”, żeby użyć pięknego określenia Tadeusza Kościuszki. Z narodów takich tylko trzy państwa bałtyckie niepodległość zdobyły, nie tyle z życzliwości mocarstw, ile wysiłkiem własnym i korzystając z bezpośredniej lub pośredniej pomocy Polski. Natomiast narody ukraiński i białoruski, nie mówiąc już o narodach kaukaskich, nie skorzystały z dobrodziejstw zasady samostanowienia narodów pomimo zabiegów u rządów obradujących w Paryżu. Potraktowano je jako wewnętrzną sprawę rosyjską.

Stanowisko mocarstw wobec Polski było na konferencji pokojowej, jak już wspominałem, funkcją ich stosunku do pokona-

nych Niemiec i nieobecnej na konferencji Rosji. Myśl tę chcę rozwinąć, gdyż polityka polska była w istocie walką o przeciwdziałanie zgubnym skutkom tego stanowiska Francji, Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych oraz o wyzyskanie wydarzeń w danej chwili dla Polski korzystnych.

Formalnie ani Niemcy, ani Rosja w konferencji pokojowej nie uczestniczyły. Konferencja miała ustalić warunki pokoju i podać je Niemcom do wiadomości. Dano im tylko prawo wypowiedzenia swoich uwag i sugestii. Lecz ostateczny tekst traktatu mogły albo przyjąć w całości, albo w całości odrzucić, co oznaczałoby w praktyce wznowienie wojny i okupację całego ich obszaru.

Nieobecność Rosji wyływała z innych przyczyn. Formalnie Rosja po rewolucji bolszewickiej przestała być państwem sprzymierzonym. Zawarła z Niemcami odrębny pokój, odstępując im terytoria od Narwy po Morze Czarne. Rozejm koalicji zachodniej z Niemcami zobowiązywał je do opuszczenia wszystkich zajętych w czasie wojny terytoriów. Miały być natychmiast przekazane wojskom sojuszniczym. Nie było żadnych wahań, jak postanowienie to interpretować w wypadku Belgii czy północnej Francji. Były natomiast wahania, gdy chodziło o niemieckie zdobycze na wschodzie. Marszałek Foch proponował wysłanie na ziemie niemieckiego *Ober-Ost*’u dywizji francuskich, brytyjskich i amerykańskich, a także dywizji armii polskiej we Francji. Jules Cambon, przyszły przewodniczący komisji dla spraw polskich na konferencji pokojowej, proponował w pierwszym impulsie przekazanie Polsce wszystkich ziem aż po granicę pierwszego rozbioru. Być może nie orientował się w geograficznej treści tego żądania. Nie orientował się na pewno w rzeczywistości, jaka panowała i na tych ziemiach, i w samej Rosji.

Brak orientacji nie ograniczał się do Cambona. W Paryżu przeważał pogląd, że trwałość rządów bolszewickich jest wątpliwa. Ponieważ rządu tego nie uznawano, można było wyciągać wnioski, że także pokój brzeski nie wiązał Rosji i że należy jej się miejsce przy stole konferencyjnym. Przekonanie tego rodzaju znajdowało pożywkę w rozwoju wypadków w samej Rosji. Okres pierwszego półrocza 1919 roku — to jest okres trwania obrad konferencji pokojowej — przynosił zwycięstwa sił kontrrewolucyjnych wspomaganych w ten czy inny sposób przez siły interwencyjne aliantów zachodnich. Francja wiązała z tym największe nadzieje, których ofiarą padały ambicje niepodległościowe Ukraińców i na których cierpiały interesy Polski. Rzeczywistość wyglądała więc w ten sposób, że sprawę polskich granic

wschodnich pozostawiono w zawieszeniu. Miał je określić, podobnie jak granicę z Litwą, artykuł 87 traktatu pokojowego, według dosłownego brzmienia: „później”. Ich wytyczenie — jak okaże przyszłość — nie będzie też miało żadnego związku z pracami konferencji pokojowej, będzie wynikiem wojny polsko-bolszewickiej.

Dodać warto, że próbowano zapewnić Rosji głos na konferencji zwołując przedstawicieli wszystkich ugrupowań politycznych rosyjskich na wyspę Prinkipo w celu uzgodnienia między nimi różnych stanowisk. Pomysł z góry skazany na niepowodzenie w obliczu toczącej się w Rosji wojny domowej.

Zadaniem polskiej reprezentacji na konferencji paryskiej było oddzielenie interesów Polski na wschodzie od zagadnień wewnętrzno-rosyjskich. Wbrew pomysłom francuskim wciągnięcia Polski w krucjatę antybolszewicką wspierającą rosyjską kontrrewolucję, zarówno Dmowski stojący na czele delegacji polskiej w Paryżu jak i Naczelnik Państwa i rząd w kraju domagali się po prostu uwzględnienia polskich dezyderatów terytorialnych i ewentualnej pomocy przeciwko zbrojnemu najazdowi od strony Rosji. Panowała tu zresztą, jak wiemy, rozbieżność między Dmowskim i Piłsudskim. Gdy pierwszy domagał się przyznania Polsce korzystnej dla niej granicy wschodniej, Piłsudski, a w tym okresie także Sejm w Warszawie, dążył do rozciągnięcia zasady samostanowienia na ziemi na wschód od polskich granic etnicznych. Gdy Dmowski przedkładał konferencji pokojowej żądanie przyznania Polsce granicy na linii łączącej z grubsza Witebsk z górnym Dnieprem i biegnącej do Dniestru na wschód od Kamieńca Podolskiego, Sejm głosował nad wnioskiem o zabezpieczenie praw narodowych ludności Litwy historycznej i Ukrainy w jakimś związku z Polską.

Rozbieżność ta między władzą w kraju a jej reprezentacją w Paryżu nie zaważyła wszakże na osiągnięciach politycznych na odcinku spraw wschodnich. Przyznanie Polsce określonych granic byłoby niczym innym niż darowaniem Niderlandów metodą Pana Zagłoby. Brak odpowiedniego postanowienia stwarzał swoiste uznanie samodzielności politycznej państwa polskiego, które problem swej granicy wschodniej musi załatwić ze stronami zainteresowanymi, na konferencji nieobecny. Tragedią dalszego rozwoju wydarzeń było, że stroną tą stała się Rosja sowiecka, a nie niepodległe państwa ukraińskie i białoruskie. Drugim osiągnięciem, równie ważnym, było przyjęcie do wiadomości odmowy Polski posłużenia się nią jako jednym z ogniw krucjaty antykomunistycznej.

Powstały o to pretensje na Zachodzie i to wcale głośne. Posługując się nimi argumentowano o konieczności bardziej względnego potraktowania Niemiec, skoro nie można liczyć na Polskę jako na barierę przed zalewem bolszewickim całej środkowej, a może i zachodniej Europy. Był w tym brak znajomości polskiego charakteru narodowego i rzeczywistości politycznej, jaka w tym okresie na tym obszarze Europy powstawała. Najbliższa już przyszłość miała wykazać, że właśnie Polska zatrzymała zwycięski marsz Armii Czerwonej w głąb kontynentu europejskiego i to nie przy pomocy Niemiec, bo pomoc w roku 1920 okazała Kremlowi właśnie Niemcy. Nie były to bynajmniej Niemcy rewolucyjne.

Na przełomie roku 1918 i 1919 natomiast dyplomacja niemiecka — nie bezczynna przecież, choć nie dopuszczona do stołu konferencyjnego — przekonywała polityków zachodnich, że właśnie Niemcy są jedynym czynnikiem ładu strzegącym Europę wschodnią i środkową przed anarchią, którą nie bez racji utożsamiano z bolszewizmem. Niemcy rozprawiły się krwawo z rewolucją spartakusowców w grudniu 1918 roku. Zginęli w niej zamordowani Karol Liebknecht i Róża Luksemburg. Wojsko niemieckie wycofujące się z ziem na wschód od Bugu nie uległo rozprzeżeniu pomimo istnienia rad żołnierskich. W próżnię w ten sposób powstającą wlewały się, jak to określała prasa, „bandy bolszewickie”, niosąc z sobą chaos, rabunek i krwawe rządy Czerezwyczajki. Była to prawda. Lecz prawdą było również, że wycofujący się Niemcy pozostawiali bolszewikom broń i współdziałali z nimi w tłumieniu poczynań wolnościowych ludności Białorusi.

Wzmagало to wszystko psychozę strachu przed bolszewikami, zwłaszcza że i Komitet Narodowy Polski jej ulegał, nie dowierając prężności organizacyjnej Polaków w kraju i odnosząc się z największą niechęcią do rządu, na którego czele stał socjalista. Sytuacja uległa jednak szybko radykalnej poprawie. Nastąpiła ona w dwóch fazach. Fazą pierwszą było szybkie ugruntowanie się władzy państwowej w kraju, pozwalające na rozpisanie i przeprowadzenie wolnych wyborów do Sejmu z równoczesnym nieomal w czasie powołaniem nowego rządu i porozumieniem między Naczelnikiem Państwa a Komitetem Narodowym.

Faza druga nastąpiła już w czasie trwania konferencji pokojowej, w miarę napływania wiadomości o zatrzymaniu naporu wojsk bolszewickich własnym wysiłkiem wojsk polskich. Przyniosło to uspokojenie umysłów i upewniło polityków zachodnich

o rzeczywistej sile młodego państwa polskiego. Nie bez znaczenia też było opowiedzenie się Paderewskiego za myślą federalcyjną Piłsudskiego, dzięki czemu straciły moc przekonującą oskarżenia Polski o zachłanny imperializm na wschodzie, wzniecane jednocześnie przez koła sprzyjające Niemcom i przez wpływowe ośrodki emigracyjne rosyjskie.

W tym stanie rzeczy łatwiej już było przystąpić do skutecznej akcji politycznej mającej na oku zabezpieczenie praw i interesów Polski na odcinku zachodnim. To znaczy do walki o jej granice zachodnie. Na tym odcinku działalności obracano się w sferze bardziej konkretnej. Nie tylko dlatego, że wszystkie postulaty polskie można było precyzować w sposób łatwiej zrozumiały dla polityków zachodnich, lecz i dlatego, że walczone o decyzje, którym traktat pokojowy mógł nadać moc obowiązującą i zapewnić klauzule wykonawcze.

III

Paryską konferencję pokojową zakończyło 28 czerwca 1919 roku uroczyste podpisanie traktatu pokojowego z pokonanymi Niemcami. Podpisywano go w tej samej sali lustrzanej pałacu wersalskiego, w której ogłoszono niegdyś utworzenie Cesarstwa Niemieckiego pod władzą Hohenzollernów. Stąd dokument pokojowy nazwano Traktatem Wersalskim. Niemcy a za nimi Rosja Sowiecka używały chętnie określenia „dyktat wersalski”, co miało oznaczać, że traktat pokojowy narzucono Niemcom bez dyskusji, wymuszając na nich ustępstwa terytorialne, zwłaszcza na wschodzie. Interpretacja sowiecka podtrzymywała przy tym całkowicie fałszywą tezę, że Traktat Wersalski stworzył niejako państwo polskie, krzywdząc tym samym i Niemcy, i Rosję. Klasycznym przykładem było słynne zdanie w przemówieniu Mołotowa z dnia 31 października 1939 roku. Mołotow stwierdzał, że wspólnym wysiłkiem sprzymierzonych ze sobą Niemiec hitlerowskich i stalinowskiej Rosji zlikwidowano „obrzydliwego bękarta Traktatu Wersalskiego” czyli państwo polskie.

Dwie sprawy wymagają jasnego postawienia w ocenach historycznych paryskiej konferencji pokojowej i Traktatu Wersalskiego. Po pierwsze, dominująco europejski charakter zarówno nowego ładu jak i poprzedzającej go pierwszej wojny światowej. Wszystko co się działo w czasie wojny poza Europą, i wszystkie

postanowienia traktatowe wykraczające poza obszar Europy miały znaczenie marginesowe i drugorzędne. Znaczenie praktyczne i obowiązujące od zaraz miały natomiast te postanowienia traktatowe, które dotyczyły Europy. Stało się to tym bardziej oczywiste, gdy Kongres Stanów Zjednoczonych odmówił poparcia polityki prezydenta Wilsona, nie ratyfikując traktatu i odmawiając przystąpienia do Ligi Narodów. Tym samym Wilson, którego imieniem nazwano place, parki i dworce kolejowe we wdzięcznych krajach Europy środkowo-wschodniej, pozostał współtwórcą nowego ładu europejskiego, lecz kraj jego w ładzie tym nie uczestniczył.

Drugą sprawą o której należy pamiętać w rozważaniach nad konferencją pokojową jest charakter udziału państwa polskiego. Traktat Wersalski nie stwarzał Polski. Państwo polskie złożyło swój podpis pod Traktatem Wersalskim jako pełnoprawny uczestnik. A ponieważ zarówno udział Polski w walce przeciwko Niemcom, jak i jej ciężar gatunkowy były bez porównania większe niż państw takich jak Brazylia czy Nikaragua, przeto sprawy dotyczące Polski były przez cały czas trwania konferencji jednym z najważniejszych punktów obrad. Z tego też względu prace delegacji polskiej musiały siłą rzeczy być wielkim egzaminem politycznym — pierwszym, jaki odrodzona Rzeczypospolita składała na forum międzynarodowym. Zwłaszcza że warunki w jakich jej przyszło pracować były bardzo trudne.

Jak już mówiliśmy, głównym zadaniem delegacji polskiej było nie dopuścić do sytuacji, w której interesy polskie traktowano by jako funkcję stosunku wielkich mocarstw zachodnich do Rosji i do Niemiec. Polityka polska odniosła na tym polu szereg sukcesów. Poniosła też porażki, bardzo bolesne.

Gdy chodzi o sukcesy, wspomnieć trzeba przede wszystkim o wyłączeniu spod postanowień Traktatu Wersalskiego sprawy granic wschodnich i przyszłego ułożenia stosunków między Polską i Rosją Sowiecką. Swój brak kompetencji w tym względzie uznały mocarstwa zachodnie, choć nie uczyniły tego w sposób wyraźny. Nie zdołała Polska zapewnić wolności narodom białoruskiemu i ukraińskiemu. Nie zdołała nawet przekonać o istnieniu takiego problemu swych kontrahentów w Paryżu. Zdołała wszakże odciąć się wyraźnie od wszelkich planów interwencji przeciwko rządowi bolszewickiemu w interesie „jednej i niepodzielnej” Rosji. Wszystko co o Rosji mówiono i co o granicach polskich na wschodzie chciano postanawiać było tylko „rachunkiem bez gospodarza”. Zdawał sobie z tego sprawę Józef Piłsudski, mówiąc do Leona Wasilewskiego, rzeczywistego kierownika polskiej poli-

tyki wschodniej, że na wschodzie zdani jesteśmy i pod względem wojskowym, i pod względem dyplomatycznym tylko na własne siły, natomiast nasze granice zachodnie są w zasięgu decyzji sprzymierzonych zachodnich. Na tym zagadnieniu też skupił się głównie wysiłek Dmowskiego i całego Komitetu Narodowego Polskiego.

Po powołaniu w Warszawie rządu Paderewskiego Komitet otrzymał bardzo daleko sięgającą samodzielność, wyjmującą go w praktyce spod zależności od ministerstwa spraw zagranicznych. Rozszerzono skład Komitetu o dziesięciu członków przysłanych z kraju z Kazimierzem Dłuskim i Michałem Sokolnickim, który został sekretarzem polskiej delegacji na konferencję pokojową. Wzmocniono też biuro studiów i dokumentacji, na którego czele stał Franciszek Pułaski i gdzie ogromną rolę odegrał Eugeniusz Romer. Lecz rolę decydującą pozostawiono Romanowi Dmowskiemu. Został on jednym z dwóch delegatów polskich. Drugim był Paderewski. Ten jednak mógł przybyć do Paryża dopiero 9 kwietnia. Do tego czasu zastępował go Erazm Piltz. Z nim też wystąpił Dmowski po raz pierwszy przed Radą Najwyższą sprzymierzonych 29 stycznia i przed komisją dla spraw polskich 12 lutego.

Wypada w tym miejscu wyjaśnić technikę pracy konferencji pokojowej. W zebraniach plenarnych — odbyło się ich ogółem siedem — brali udział wszyscy delegaci. Wielkie mocarstwa miały po 5 delegatów, pozostałe państwa od trzech do jednego. Polsce przyznano dwóch. Lecz zebrania plenarne przyjmowały do wiadomości tylko wnioski przedstawiane przez Radę Najwyższą, złożoną z premierów Wielkiej Brytanii, Francji, Włoch i Japonii oraz prezydenta Stanów Zjednoczonych. Określono je jako „państwa o interesach ogólnych”, w przeciwstawieniu do państw o interesach „ograniczonych”. W praktyce „Wielka Piątka” skurczyła się do „Wielkiej Trójki” w osobach Lloyd George’a, Clemenceau i Wilsona. Japonia zgłosiła *désintéressement* we wszystkim, co dotyczyło Europy, Włochy zaś zaczęły bojkotować zebrania na znak protestu przeciwko nieuwzględnianiu ich postulatów dotyczących granicy z nowopowstającą Jugosławią. Z czasem Wielka Trójka czy Wielka Piątka przestała nawet powoływać na posiedzenia własnych ministrów spraw zagranicznych. Nie zawsze też wysłuchiwała delegatów państw zainteresowanych i wniosków komisji kongresowych, w których zresztą jej przedstawiciele mieli przewagę.

Jedną z nich była komisja dla spraw polskich pod przewodnictwem Cambona i z udziałem wielkiego znawcy spraw polskich

i przyjaciela Polaków, amerykańskiego profesora Lorda. Komisja, gdy o polskie granice zachodnie chodziło, poparła z nieznacznymi poprawkami dezzyderaty Dmowskiego. Obejmowały one cały zabór pruski z Gdańskiem, Górny Śląsk z Opolem i skrawki Dolnego, cztery powiaty Prus Wschodnich na prawym brzegu Wisły oraz obszar jezior mazurskich. Jako dokumentację ludnościową przyjęto pruski spis ludności z roku 1910. Odnosnie terenów o przewadze niemieckiej, między innymi Gdańska, poza argumentami historycznymi posługiwano się koniecznościami gospodarczymi, strategicznymi i komunikacyjnymi. Z terenów tych tylko Poznańskie wyzwoliło się już własnym wysiłkiem powstańczym, wzmacniając skutecznie argumenty dyplomatyczne konkretnym elementem siły wojskowej.

Dyplomacja niemiecka przeciwstawiła argumentom polskim różnego rodzaju zastrzeżenia. Wśród nich argumenty gospodarcze trafiały premierowi brytyjskiemu najbardziej do przekonania. Utrata Śląska stawiała zdaniem Niemców pod znakiem zapytania niemiecką zdolność wywiązania się z odszkodowań wojennych. Groziła ponadto katastrofą całego przemysłu niemieckiego. Gdy chodzi o Gdańsk, głównym argumentem była zasada samostanowienia ludności. Ten argument znajdował posłuch u Wilsona. Największy spośród swych kolegów idealista, przychylił się wraz z Anglikami do zasady plebiscytowej. Lecz wzięła ona górę nie w odniesieniu do Gdańska, dla którego wymyślono status wolnego miasta pod kontrolą Ligi Narodów, lecz w wypadku Mazur, Warmii i Górnego Śląska.

Maj i czerwiec 1919 roku były okresem największej rozprawy dyplomatycznej o polskie granice zachodnie. Stawiano właściwie ultimatum i Niemcom, i Polsce. Działał tu niewątpliwie element obawy, że Niemcy odrzucą cały tekst traktatu pokojowego. 28 czerwca traktat podpisano. Dawał on Polsce wiele, lecz nie wszystko czego żądała. Nie tylko w sprawach granicznych. Narzucał Polsce obowiązek udziału w odszkodowaniach wojennych z ziem odbieranych państwu niemieckiemu w wysokości dwóch i pół procent całości odszkodowań. Niejasne były i niekorzystne przepisy procedury plebiscytowej. Do traktatu dołączano ograniczenie suwerenności w postaci tak zwanego traktatu o ochronie mniejszości narodowych. Sformułowanie zawarte we wstępie do traktatu, że Polska zawdzięcza swą wolność orężowi państw sprzymierzonych było tylko w części prawdziwe i godziło w godność narodową. Zupełnie niezrozumiałe było powołanie się na deklarację rządu Kiereńskiego z marca 1917 roku jako na jedno ze „źródeł” niepodległości Polski.

Pomimo gorącej obrony przez Paderewskiego w Sejmie traktat nie spotkał się z powszechnym entuzjazmem. Grupa posłów socjalistycznych i ludowych pod wodzą Macieja Rataja głosowała przeciwko ratyfikacji. Uchwalono ją jednak razem z ratyfikacją traktatu o mniejszościach 31 lipca 1919 roku. Obiektywnie sądząc, Polska nie mogła postąpić inaczej, gdyż alternatywą byłaby samotna tym razem walka przeciwko Niemcom, co wobec toczącej się już wojny z Rosją bolszewicką byłoby jednoznaczne z samobójstwem narodowym.

IV

Nowy ład wprowadzony w Europie przez mocarstwa sprzymierzone i zwany ogólnie „systemem wersalskim” od pierwszych lat narażony był na niebezpieczeństwo zwichnięcia lub obalenia przy zastosowaniu środków dyplomatycznych — czy mówiąc ogólniej: politycznych — z rozpętaniami nowej wojny włącznie, w razie gdyby środki polityczne okazały się niedostateczne. Niebezpieczeństwo groziło „systemowi wersalskiemu” z dwóch stron. Ze strony pokonanych Niemiec, które uznały podpisany przez siebie Traktat Wersalski za „dyktat”, z którym nie zgadzały się w oparciu o argument „krzywdy”, nigdy zresztą w sposób logiczny nie dający się uzasadnić, lecz zakorzeniony mocno w umysłach większości społeczeństwa niemieckiego. Był to argument irracjonalny, lecz miał ogromną siłę oddziaływania na psychikę. Znaleźć to miało swe praktyczne uzewnętrznienie w latach trzydziestych, gdy władzę w Niemczech zdobył Hitler, posługujący się ideologią zupełnego obłędu, która zyskała jednak posłuch właśnie z uwagi na swą psychologiczną czy psychopatyczną bazę oddziaływania propagandowego.

Z drugiej strony ładowi czy „systemowi” wersalskiemu przeciwstawiał się Związek Sowiecki, uzasadniając to na rozmaite sposoby, choć często przemilczając przyczynę podstawową. Uzasadnienia trzymały się z jednej strony argumentacji ideologicznej. W niej powtarzały się tego rodzaju twierdzenia jak utworzenie przez „system wersalski” przeszkody na drodze do rewolucji „proletariackiej” w całej Europie. W tym ujęciu pokój wersalski razem ze swymi postanowieniami na temat prawa do samostanowienia narodów i zasad zbiorowego bezpieczeństwa w oparciu o Ligę Narodów miał być tylko jedną z kolejnych faz „walki

klas” w perspektywie historycznej. Z tej argumentacji wynikać miało, że „system wersalski” był narzędziem kapitalizmu w walce z proletariatem. Względnie narzędziem „kapitalizmu i demokracji”, żeby się trzymać wiernie ówczesnego słownika dialektyki komunistycznej, który między „kapitalizmem” i „demokracją” stawiał znak równania.

Obok argumentacji propagandowo-idealistycznej wrogi stosunek Związku Sowieckiego do „systemu wersalskiego” uzasadniano — rzadziej na pokaz, częściej na użytek planowania politycznego — koniecznością obalenia bariery geograficznej na drodze do bezpośredniego i nieskrępowanego niczym styku między terytorium Rosji i terytorium Niemiec. Oparcie Rosji o Niemcy było założeniem polityki leninowskiej od pierwszych dni zdobycia władzy, zwornikiem całej polityki zagranicznej. Na nim skupiał się cały wysiłek propagandowy i — jeśli można użyć takiego określenia — ideologiczny nowego państwa rosyjskiego. Komunistyczne Niemcy a nie Rosja rewolucyjna miały być sercem, twierdzą i bazą światowej rewolucji, na nich, a nie na Rosji miał się według myśli Lenina i innych „ojców rewolucji” oprzeć nowy porządek świata. Zaniesienie rewolucji do Niemiec — na ostrzach bagnatów Armii Czerwonej, skoro nie udało się inaczej — było najpierwszym zadaniem politycznym i wojskowym Związku Sowieckiego.

Nie czyniono wówczas z tego żadnej tajemnicy, a z licznych oświadczeń i wypowiedzi wystarczy przytoczyć słowa Lenina wypowiedziane 2 października 1920 roku, gdy Armia Czerwona cofała się już po całkowitej klęsce zadanej jej przez wojska polskie: „Gdyby Polska stała się sowiecka, gdyby robotnicy warszawscy otrzymali od Rosji Sowieckiej pomoc, na którą czekali i którą z radością witali, pokój wersalski zostałby rozbity i cały system międzynarodowy, ustanowiony dzięki zwycięstwu nad Niemcami, runąłby. Oto dlaczego dotarcie wojsk czerwonych pod Warszawę znamionowało kryzys międzynarodowy, oto dlaczego poruszyło to tak całą prasę burżuazyjną. Sprawa wzięła taki obrót, że jeszcze kilka dni, dni zwycięskiej ofensywy Armii Czerwonej, a nie tylko Warszawa zostałaby zdobyta (co nie byłoby tak istotne), lecz rozbity zostałby pokój wersalski”.

Trudno o bardziej szczerze słowa. Rosja ustawiała się u boku Niemiec jako państwo także rzekomo w Traktacie Wersalskim pokrzywdzone. Powstawał w ten sposób mocny front antywersalski.

„Krzywdą” Rosji wynikająca z Traktatu Wersalskiego była oczywiście zupełną fikcją. Jej nienawiść do systemu wersalskiego

nie wynikała z żadnej krzywdy, lecz z faktu, że przy całej niedoskonałości tego systemu dążył on do ustalenia i uchwiania ładu pokojowego. Tymczasem nie pokój, nie ład pokojowy, lecz stan ciągłego niepokoju i chaosu był — w przekonaniu komunistów — warunkiem potrzebnym dla bujnego rozwoju atmosfery „walki klasowej” prowadzącej do rewolucji, a w przekonaniu komunistów moskiewskich warunkiem dalszej rozbudowy imperium rosyjskiego w komunistycznej szacie. Gdyby nie pomoc Związku Sowieckiego w postaci wrogiego stosunku do ładu wersalskiego, niemieckie pragnienie rewanżu i niemieckie przeciwko Wersalowi protesty nie mogłyby były wywichnąć pokoju i spokoju w Europie. I to pomimo niedoskonałości „systemu wersalskiego”. Niedoskonałość ta wyrażała się w okulawieniu strony wykonawczej systemu bezpieczeństwa zbiorowego ucieleśnionego w organizacji Ligi Narodów. Bo zasady „systemu wersalskiego” spreeczowane pod wpływem Wilsona nie były złe. Przede wszystkim dlatego, że zakładały samostanowienie narodów o sobie i zakładały poszanowanie niepodległości poszczególnych państw. Zastosowano je tylko w odniesieniu do Europy. Nie zastosowano do obszarów kolonialnych. Także w Europie lub na jej bezpośrednim pograniczu zastosować ich nie umiano w stosunku do wszystkich narodów. Nie zastosowano ich w stosunku do Kaukazu i Ukrainy, pozostawiając je w ramach imperium rosyjskiego. Lecz zastosowano w szerokim pasie Europy środkowo-wschodniej i północno-wschodniej, dzięki zresztą własnej inicjatywie narodów tam zamieszkałych, przede wszystkim dzięki Polsce, która też i z tego właśnie względu była głównym przedmiotem niechęci i Niemiec, i Związku Sowieckiego — dwóch państw „antywersalskich” pozostających ze sobą w stosunku współpracy politycznej.

Powiedzieliśmy już, że „system wersalski” od samego początku musiał kuleć z powodu niedostatecznej strony wykonawczej. Liga Narodów egzekutywy nie posiadała, a także jej autorytet zmalał natychmiast, gdy Stany Zjednoczone odmówiły poparcia swemu prezydentowi, który Ligę stworzył. Nieobecność polityczna Ameryki w Europie w okresie międzywojennym była też decydującym czynnikiem słabości „systemu wersalskiego”.

Podważył go także kierunek w jakim poszły dzieje gospodarcze okresu międzywojennego. Polityczna strona „systemu wersalskiego” miała znaleźć swe odbicie i swą podstawę we współpracy gospodarczej państw świata, a przynajmniej Europy. Do tego rodzaju współpracy Europa nie była dojrzała. Wysiłki, by ją stworzyć, nie dawały rezultatu.

GÓRNY ŚLĄSK

Skrawek zaledwie ziemi śląskiej wszedł w granice odrodzonego w roku 1918 państwa polskiego. Była nim część Górnego Śląska. Ze wszystkich dzielnic Rzeczypospolitej Górny Śląsk musiał o swą przynależność do niepodległej Rzeczypospolitej najdłuższą walczyć. Walka trwała trzy lata, a jej wynik aż do samego końca był niewiadomy. Odrodzenie narodowe było tam świeższe stosunkowo daty, a kulturalne narzędzia walki o polskość ograniczały się do kilku zaledwie gazet. Lud śląski nie miał poza tym żywej tradycji przynależności państwowej do Rzeczypospolitej przedrozbiorowej. I pozbawiony był całkowicie polskiej elity przywódczej.

Użyłem określenia „lud śląski”. Uczyniłem to celowo. Określenie to najlepiej odpowiada ówczesnej rzeczywistości społecznej na Górnym Śląsku. Polacy byli rzeczywiście „ludem” w tym znaczeniu, że nie było prawie polskiej klasy posiadającej, z wyjątkiem chłopów na „Śląsku Zielonym”, czyli w powiatach rolniczych. Na pewno zaś nie było warstwy w jakikolwiek sposób uprzywilejowanej. Nie było polskich urzędników, polskich ziemian — była tylko bardzo nieliczna grupa inteligencji, wywodzącej swój rodowód ze wsi i z proletariatu robotniczego. Ślązak-Polak pracował albo na roli, albo w kopalni czy w przemyśle. Warstwa posiadająca i warstwa kierownicza były nieomal w stu procentach niemieckie. Nawet kler, z bardzo nielicznymi wyjątkami i to też prawie wyłącznie w parafiach wiejskich w okolicach rolniczych, był niemiecki — jeśli nie z pochodzenia, to z przekonania. Świadomość narodowa polska w ludzie śląskim miała więc tylko niekiedy, daleko nie zawsze, pożywkę w religii katolickiej. Inaczej niż w Poznańskiem czy na Pomorzu. Na Śląsku ksiądz Polak, jeśli chciał prowadzić polską działalność kulturalną, walczyć musiał nie tylko z niemieckim urzędnikiem, nauczycielem, fabrykantem czy właścicielem ziemskim, lecz także z przedstawicielami własnej hierarchii, z potężnym arcybiskupstwem wrocławskim na czele.

Były więc niewątpliwie na Śląsku elementy łączące dążenia narodowe z walką klasową. Zwłaszcza w środowisku robotniczym. Lecz i tu aspiracje narodowe nie znajdowały sprzymierzeńca ani w opanowanych przez Niemców związkach zawodowych, ani w stronnictwach politycznych. Przeciwnie, niemieckie kierownictwo ruchu robotniczego polskie aspiracje narodowe zwalczało nie gorzej, a na pewno skuteczniej niż ugrupowania

prawicowe czy katolickie „centrum”. Sytuacja nie uległa w tym względzie poprawie, lecz pogorszeniu z chwilą, gdy po przegranej Niemiec w wojnie ze sprzymierzonymi zachodnimi wybuchła rewolucja i na Śląsku — podobnie jak w innych częściach Rzeszy — powstały rady robotniczo-żołnierskie. W przeciwieństwie do Poznańskiego rady były i w charakterze, i pod względem kierownictwa organizacjami niemieckimi. Taka była zwłaszcza centralna rada utworzona dla Górnego Śląska pod przewodnictwem osławionego Otto Höringa, który z czasem przejął faktyczną administrację kraju, prowadząc ją w duchu antypolskim i przy pomocy tych samych urzędników, którzy wstawili się już przedtem jako bezwzględni wrogowie polskiego języka i polskiej kultury. Bezwzględnie antypolski był również niemiecki ruch komunistyczny. Wśród pierwszych „spartakusowców” na Górnym Śląsku było nieco Polaków. Z nielicznymi wyjątkami odżegnali się oni od tego ruchu z chwilą, gdy powstała Komunistyczna Partia Niemiec, która jako jeden z podstawowych punktów programu dla Górnego Śląska ogłosiła walkę przeciwko wszelkim próbom oderwania go od państwa niemieckiego.

Stanowisko antypolskie było w zgodzie nie tylko z teoriami Róży Luksemburg, lecz przede wszystkim z dyrektywami rządu Lenina. Jeśli rząd bolszewicki występował przeciwko wyzwoleniu Poznańskiego i Pomorza, a chęć oddania Gdańska Polsce nazywał zbrodnią, to tym bardziej nie godził się na przyłączenie do Polski Śląska. Komuniści niemieccy na Śląsku, w pełnym porozumieniu z Komunistyczną Partią Robotniczą Polski, będą więc prowadzić zaciętą propagandę antypolską. A gdy z kolei powstanie odrębna Komunistyczna Partia Górnego Śląska przy współdziałaniu komunistów polskich, jej pierwszym aktem będzie ogłoszenie się za część składową Komunistycznej Partii Niemiec i podporządkowanie się jej pod względem organizacyjnym i finansowym.

Wynikało z tego, że polski robotnik na Śląsku mógł liczyć na pomoc komunizmu w walce klasowej przeciwko kapitałowi tylko pod warunkiem odżegnania się od polskość i rezygnacji ze swych aspiracji narodowych.

Warunku tego robotnik polski na Śląsku nie przyjął. Nie przyjął go też polski chłop na Śląsku. Wskutek tego komunizm stał się w jego oczach sprzymierzeńcem Niemiec. Był też nim w istocie w latach od 1918 począwszy.

W tym położeniu tym większa stawała się dla robotnika śląskiego atrakcyjność państwa polskiego. Gdyż poczucie jed-

ności narodowej i tęsknotę do własnej kultury wzmacniała świadomość, że właśnie państwo polskie wprowadziło w życie te reformy społeczne, których potrzebował. Był to czynnik, który niejednemu pomógł miał w powzięciu trudnej decyzji wyrażenia swej polskości w głosowaniu plebiscytowym lub jeszcze trudniejszej decyzji porwania za broń w powstaniach śląskich. Bo walka z niemieckim pracodawcą utożsamiać się zaczęła z walką o wyzwolenie narodowe i prawo zjednoczenia z Polską.

Popełnilibyśmy jednak wielki błąd, zbyt dużą przywiązując wagę do elementu klasowego w walce Śląska o wyzwolenie, w myślach i pragnieniach ludu śląskiego. Rolę o wiele istotniejszą spełniała tak niedawno przebudzona świadomość narodowa i wola jej utrzymania, nawet za cenę wyrzeczeń materialnych. Bo robotnik na Śląsku miał się bez porównania lepiej pod względem warunków bytowych niż jego brat w kopalniach Zagłębia Dąbrowskiego czy w fabrykach łódzkich. Mieszkał lepiej, jadł lepiej, pracował w lepszych warunkach. Pod wieloma względami należał do grupy uprzywilejowanej także w porównaniu z innymi dzielnicami wojennych Niemiec. Ponieważ pracował na potrzeby przemysłu wojennego, otaczano go opieką. Oszczędzano go nawet przy poborze do wojska. Zakłady pracy nie uległy dewastacji. Nie groził im też zastój na przyszłość. Robotnik śląski żył we względnym spokoju, mógł przewidzieć, co go czeka jutro i pojutrze.

Decyzja zjednoczenia się z młodym państwem polskim natomiast kryła w sobie wiele zagadek i wiele niewiadomych. Polska była gospodarczo zrujnowana. Była też gospodarczo krajem niedoświadczonym. Jej byt polityczny nie był wcale zabezpieczony. Propaganda niemiecka szerzyła niewiarę w zdolność utrzymania się niepodległości. Propaganda komunistyczna głosiła potrzebę zagłady tej niepodległości. Armia Czerwona walczyła z bronią w rękę o realizację tego właśnie celu. Wymagało wielkiego patriotyzmu, by w tych warunkach opowiedzieć się za zjednoczeniem Śląska z Polską. Zwłaszcza, że także sprzymierzeni zachodni nie byli wcale zdecydowani poprzeć dezyderaty polskie na Śląsku.

Polacy na Górnym Śląsku musieli więc pokonać przeszkody bez porównania większe niż w każdej z pozostałych dzielnic Polski. Bo nie tylko stawali twarzą w twarz z potęgą niemiecką, która — choć pokonana przez sprzymierzonych — miała w swej dyspozycji zarówno siłę fizyczną i środki nacisku gospodarczego jak i bogaty arsenał argumentów znajdujących posłuch w stolicach zachodnich. Musieli się także liczyć z wrogiem nastawieniem tak

krańcowo sprzecznych ze sobą interesów jak interes kapitału międzynarodowego i dezyderaty polityczne ośrodków rewolucji komunistycznej w Rosji i w Berlinie. Musieli się także liczyć z faktem, że ich żądanie przyłączenia do Polski było zupełną nowością w opinii światowej. Po prostu nie wiadano o nim lub nie dowierzano jego istnieniu. I to nie tylko na zachodzie Europy i nie tylko w Niemczech, lecz także w Polsce, gdzie dla wielu było zupełną nowością, na pewno radosną, lecz trudną do wycenienia i do wyciągnięcia praktycznych wniosków.

Jedynie Poznańskie orientowało się dobrze w stosunkach panujących na Górnym Śląsku. Dlatego, że brało pośredni, lecz przecież czynny udział w pracy nad rozbudzeniem świadomości narodowej Ślązaków i wiedziało, jak wielkie ona poczyniła postępy. Dzięki Poznańskiemu głos polski ze Śląska rozbrzmiewał z trybuny parlamentu niemieckiego i parlamentu pruskiego nie w odosobnieniu, lecz w sprawnym przymierzu z posłami polskimi z Wielkopolski i Pomorza.

Żądanie zjednoczenia Górnego Śląska z odrodzoną Polską postawione zostało formalnie 24 października 1918 roku przez Wojciecha Korfante go na posiedzeniu Parlamentu Rzeszy. W przemówieniu, które już cytowaliśmy, Korfanty stwierdził, że Górny Śląsk podpada bezwzględnie pod zasadę rozgraniczenia państw na podstawie etnicznej, gdyż należy do obszarów „zamieszkałych przez ludność bezsprzecznie polską”. Wywołało to burzę w *Reichstagu*, pełną niedowierzania z początku. Lecz wnet cała nieomal Rzesza zmobilizowała siły przeciwko niebezpieczeństwu, które — choć niespodziane — stało się zupełnie realne.

Z kolei z obrad Sejmu ziem zaboru pruskiego w Poznaniu 3 grudnia wynikało jak najwyraźniej, że zarówno Wielkopolska i Pomorze jak i Śląsk Górny, a także Mazury i Warmia są nierozdzielnie związane z Polską na mocy woli Polaków tam zamieszkałych. Górny Śląsk był reprezentowany na zjeździe poznańskim wcale licznie. Ogromną wagę gatunkową miała postać Korfante go — zadzierzysta, energiczna, przepojona patriotyzmem w słowie i w czynie. Korfanty był niejako ucieleśnieniem woli Śląska, symbolem i wyrazem tęsknot narodowych przebudzonych tak niedawno do bujnego życia. Lecz i nim, tak jak politykami Poznańskimi, kierowała roztropność polityczna, która nie szła w smak żywiołom bardziej zapalnym i przedkładającym politykę faktów dokonanych nad legalistyczne metody odczekania na ostateczne decyzje sprzymierzonych zachodnich.

Na zjeździe powołano do życia podkomisariat poznańskiej Naczelnej Rady Ludowej dla Górnego Śląska z siedzibą w Byto-

miu. Na jego czele stanął adwokat Kazimierz Czapla. Podkomisariat prowadził bardzo ważną pracę organizacyjną i propagandową. Dla Ślązaków stał się w zimie 1919 roku widomym znakiem możliwości praktycznego zrealizowania postulatów narodowych. Zwłaszcza gdy Powstanie Wielkopolskie przerodziło się wnet w zwycięską wojnę z Rzeszą Niemiecką. Podkomisariat wydał na wiosnę 1919 roku znamienne odezwę, w której czytamy między innymi: „W imieniu prawie dwumilionowej ludności polskiej Górnego Śląska podnosimy nasz głos do całego świata: chcemy być złączeni z braćmi tej samej mowy, tej samej krwi i tego samego ducha. Chcemy się wydostać z niewoli niemieckiej, chcemy być panami we własnym domu. Chcemy należeć do wolnej, niepodległej, zjednoczonej polskiej Ojczyzny”.

Lecz powstanie w Wielkopolsce nie rozprzestrzeniło się na Śląsk, tak jak nie ogarnęło Pomorza. Przyczyn było wiele. Najważniejszą wszakże było stanowisko Naczelnej Rady Ludowej, uzgodnione w tym względzie ze stanowiskiem Komitetu Narodowego Polskiego, a po utworzeniu rządu Paderewskiego także ze stanowiskiem naczelnych władz Rzeczypospolitej Polskiej. Stanowisko to wyrażało się w postanowieniu odczekania na decyzję konferencji pokojowej w sprawie wytyczenia granic między Niemcami i Polską. Wszelkie wystąpienia zbrojne mogły zdaniem Komitetu Narodowego Polskiego i Naczelnej Rady Ludowej utrudnić pracę dyplomatyczną zmierzającą do uzyskania jak najkorzystniejszych warunków pokojowych dla Polski. Rozejm w Trewirze z 16 lutego wiązał ręce wojskom wielkopolskim i uniemożliwiał wszelką ich interwencję na rzecz Śląska, podobnie jak na rzecz Pomorza. Oznaczało to w praktyce zajęcie pozycji wycoekujących, co pozwalało Niemcom ochłonąć z oszołomienia i wystawiało na próbę cierpliwość Ślązaków. Do zachowania cierpliwości wzywał Korfanty w swej odezwie z 30 grudnia 1918 roku. Jednocześnie jednak przestrzegał Niemców przed ekscesami i żądał natychmiastowego równouprawnienia języka polskiego w szkołach i urzędach regencji opolskiej. Wezwanie to znalazło częściowy oddźwięk.

Niemniej władze berlińskie zarządziły 13 stycznia stan wyjątkowy, a drobne ustępstwa na rzecz swobody używania języka polskiego równoważyły z nadatkiem obsadzenie Górnego Śląska przez sto siedemnaście dywizję piechoty niemieckiej, przemianowaną wnet dla niepoznaki na dywizję ochrony pogranicza.

Tymczasem Komitet Narodowy Polski zabiegał o sprawę Śląska u „Wielkiej Czwórki” sprzymierzonych. Formalnie po raz pierwszy zgłoszono roszczenia do całej Opolszczyzny w memoriale

Erazma Piltza z 4 listopada 1918 roku, a więc jeszcze przed poddaniem się Niemiec. Sprecyzowanie tych roszczeń nastąpiło w przemówieniu Dmowskiego w Paryżu 29 stycznia. Obszerne uzasadnienie złożono przed Komisją Cambona 28 lutego.

Komisja ta oparła się na statystykach niemieckich z roku 1910. Jej orzeczenie było zupełnie wyraźne: większość ludności Opolszczyzny przyznaje się do narodowości polskiej, stąd na podstawie zasady samostanowienia Górny Śląsk powinien przyspaść Polsce. W grę jednak wchodziły także inne względy. Jednym z nich, przemawiającym rzekomo przeciwko żądaniom polskim, był fakt, że Śląsk nie posiadał polskiej tradycji państwowej. Nie należał do Polski w chwili rozbiorów. Stąd wysuwano argumenty, że Ślązacy mogą nie wiązać pojęciowo swej przynależności narodowej z pragnieniem zjednoczenia z państwem polskim. Strona niemiecka, dążąc do wymuszenia decyzji plebiscytowej zamiast zwykłego nakazu oddania Górnego Śląska, wysuwała też argumenty tego rodzaju jak istnienie rzekomego patriotyzmu lokalnego Ślązaków, jak ich dwujęzyczność i nawyki kulturalne niemieckie. Najmocniejsze okazały się jednak argumenty gospodarcze. Nimi też głównie posłużyli się Niemcy odpowiadając na przedstawiony im 7 maja 1919 roku brulion traktatu pokojowego, według którego cała Opolszczyzna przyspaść miała Polsce. Niemcy twierdzili, że bez przemysłu śląskiego nie będą mogli zapłacić odszkodowań wojennych na rzecz mocarstw zachodnich, gdyż Śląsk wydobywa na przykład 22 % węgla niemieckiego. Bez Śląska i jego surowców przemysłowi Rzeszy grozi stagnacja, co pociągnie za sobą nieobliczalne konsekwencje gospodarcze.

Argumenty te przyjęła do wiadomości delegacja brytyjska, ściślej — wbrew zdaniu własnych rzeczoznawców — premier Lloyd George. Pokonał on opór prezydenta Wilsona i Francji i przeforsował decyzję plebiscytu. Twierdził zresztą, że Polska ma doskonałe w plebiscycie szanse i że wygrawszy go rozbroi raz na zawsze pretensje niemieckie. Zarówno Francuzi jak i Amerykanie wypowiadali się sceptycznie na temat plebiscytu, twierdząc, że nacisk niemieckiej administracji i niemieckich pracodawców sparaliżuje wolę głosujących. Tym niemniej klauzula o plebiscycie na Śląsku została bez porozumienia z Polską wstawiona do Traktatu Wersalskiego i delegacja polska, gorąco protestując, Traktat ten podpisała.

Spowodowało to rozgoryczenie w całym kraju i opozycję przeciw ratyfikacji Traktatu Wersalskiego w Sejmie, podjętą przez PPS i „Wyzwolenie”. Traktat jednak ratyfikowano razem z arty-

kułem 97, ustalającym procedurę plebiscytową. Procedura ta przewidywała objęcie zarządu nad obszarem plebiscytowym przez Komisję Międzysojuszną, wycofanie wojska, lecz nie policji i administracji niemieckiej, oraz swobodę prowadzenia propagandy przez obie strony. Przepisem wyraźnie niekorzystnym było dopuszczenie do głosowania każdego, kto się na Górnym Śląsku urodził, a nie tylko rzeczywistych jego mieszkańców. Przy braku odpowiedniej kontroli przepis ten faworyzował stronę niemiecką.

Reakcją społeczeństwa polskiego na Śląsku był 17 sierpnia wybuch powstania zbrojnego. Poprzedził je strajk generalny.

Pierwsze powstanie śląskie miało charakter symboliczny. Prace przygotowawcze Polskiej Organizacji Wojskowej trwały zbyt krótko, by stworzyć siły zdolne do opanowania kraju. Krwawe walki pod Paprocunami i Mysłowicami nie przyniosły rezultatów. Po kilku dniach powstanie upadło i zaczęły się represje.

Rząd polski nie mógł interweniować zbrojnie na rzecz powstania, gdyż oznaczałoby to pogwałcenie podpisanego Traktatu i rzucenie wyzwania nie tylko Rzeszy niemieckiej, lecz i sprzymierzonym. Wpłynął jednak na przyspieszenie przybycia Komisji Międzysojusznicy na Śląsk. Od października 1919 roku zaczął się więc dla Górnego Śląska okres przygotowań do plebiscytu. A także okres zbrojnego pogotowia obu stron.

WSCHÓD: POCZĄTEK KONFLIKTU

I

W styczniu 1919 roku opinia publiczna w Polsce upraszczała sobie zagadnienia międzynarodowe. Uznanie rządu Paderewskiego, przychylność z jaką świat powitał ukonstytuowanie się Sejmu Ustawodawczego jako suwerennej i demokratycznej władzy państwowej, wreszcie roztropne postanowienia Małej Konstytucji legalizujące stanowisko Naczelnika Państwa w osobie Józefa Piłsudskiego z jednej strony uspokajało obawy co do bezpośredniej przyszłości, z drugiej zaś napawało społeczeństwo optymizmem,

wyrażającym się wiarą, że potęga mocarstw sprzymierzonych we sprze słabe siły Polski w obliczu nierozstrzygniętych problemów zjednoczeniowych i granicznych. Optymizm ten był silniejszy na prawicy niż w ugrupowaniach lewicowych. Bo prawica, obdarzając pełnym zaufaniem Komitet Narodowy Polski w Paryżu, przeceniała także jego możliwości i wpływy. Błąd podstawowy dotyczył w tym wypadku nie zagadnień związanych z wytyczeniem granicy z Niemcami, lecz całokształtu spraw wschodnich.

Piłsudski, a z nim część polskich polityków lewicowych, zwłaszcza tych ze szkoły PPS, nie liczył ani na zrozumienie zagadnień Europy wschodniej wśród kierowników państw zachodnich, ani na ich konkretną pomoc dla polityki polskiej na tym kierunku. Decydując się na konieczny dla Polski kompromis polityczny z Komitetem Narodowym i na powołanie rządu Paderewskiego, przewidywał konieczność rozdzielenia polskiej polityki zagranicznej na dwa człony czy kierunki. Jeden miał dążyć do zabezpieczenia interesów na zachodzie, drugi do znalezienia rozwiązania politycznego w stosunku do ziem położonych między polską granicą etniczną i granicą etniczną osiedlenia rosyjskiego. Mówiąc inaczej, chodziło o przyszłe losy ogromnego pasa nierosyjskich terytoriów byłego imperium carów. Część tych ziem wchodziła niegdyś w skład Rzeczypospolitej polsko-litewskiej w granicach sprzed pierwszego rozbioru. Stanowiąc to mogło pewnego rodzaju punkt zaczepienia w rozumieniu prawa międzynarodowego. Nie był to pogląd całkowicie wyzuty z praktycznego znaczenia politycznego. Rząd Lenina ogłaszając dekret z 28 sierpnia 1918 roku unieważniał traktaty rozbiorowe w stosunku do Polski. Absurdem jest twierdzić, że właśnie ten akt przywracał Polsce niepodległość. W sensie negocjacyjnym stanowił jednak niewątpliwe potwierdzenie ze strony Rosji, że nie ma ona tytułu prawnego do zajmowania ziem, które przed rozbiorem Polski właśnie do Polski, a nie do Rosji należały.

Ważniejsze od tego dekretu było dobrowolne odstąpienie nie tylko przedrozbiorowych ziem polskich i litewskich, ale znacznie rozleglejszych obszarów, dokonane przez Rosję na rzecz Niemiec 3 marca 1918 roku w traktacie pokojowym w Brześciu. Po kapitulacji Niemiec Lenin unieważnił ten traktat aktem jednostronnym w dniu 17 listopada 1918 roku. Także sprzymierzeni zachodni wyłączyli z góry możliwość zachowania przez pobite Niemcy jakiegokolwiek części zawojowanych przez nie terytoriów na Wschodzie. Nakazali im jednak w punkcie dwunastym rozejmu i zawieszenia broni przeprowadzać ewakuację zajętych obszarów *Ober-Ost*'u dopiero na ich wyraźny rozkaz.

Ten punkt umowy rozejmowej był całkowitą fikcją — zarówno pod względem praktycznego wykonania, jak i koncepcji politycznej. Gdy o praktyczne wykonanie chodzi, Niemcy zaczęli ewakuować poszczególne strefy swej okupacji na własną rękę i w porozumieniu bądź to z rządem bolszewickim, bądź z miejscowymi namiastkami narodowych władz państwowych. Już w grudniu 1918 roku wytworzyła się sytuacja, w której postanowienia mocarstw zachodnich traciły wszelką moc praktyczną. Armia Czerwona maszerowała na zachód i lada chwila mogło nastąpić zetknięcie między nią a wojskiem polskim i to nie na Białorusi, lecz na Suwalszczyźnie lub na linii Bugu.

Rząd Lenina nie czynił w tym okresie tajemnicy ze swych zamierzeń. Rozkaz operacyjny wydany Armii Czerwonej nakazywał jej marsz do dolnego Bugu i Wisły dla wybicia sobie drogi na terytorium niemieckie w celu zbrojnego wsparcia rewolucji komunistycznej w Niemczech.

Pierwsze starcia armii polskiej i Armii Czerwonej nastąpiły dopiero w lutym 1919 roku na terenie Nowogródzczyzny. Prawie jednocześnie doszło do potyczek na Wołyniu. W tym okresie, a zresztą i w poprzednich miesiącach, Polska nie uważała, że jest w stanie wojny z Rosją Sowiecką. Przeciwnie — dążyła do jej uniknięcia. Rząd Lenina był innego zdania już od grudnia 1918 roku, gdy wszedł w życie rozkaz o „Operacji Wisła”.

Jest to oczywiście zaprzeczenie urzędowej wersji historiografii komunistycznej w ZSSR, PRL i gdzie indziej o „pokojowym” nastawieniu Lenina do nowopowstającej Polski. W rzeczywistości jego „nastawienie” wobec Polski ulegało zmianom jak w kołowrotku, w zależności od koniunktury wewnętrznej w Rosji i od nadziei na rozpętanie rewolucji w innych krajach Europy, przede wszystkim w Niemczech.

Niepodległa Polska była na drodze do Niemiec zawałdą. Jej usunięcie czyli podporządkowanie rządowi bolszewickiemu było celem niezmiennym.

I tak w styczniu 1919 roku „nastawienie” Moskwy uległo nowej zmianie. Pochód Armii Czerwonej w głąb Niemiec stawał się czasowo nieaktualny wskutek niepowodzeń rewolucji komunistycznej w Niemczech. Likwidacja Polski w tym nowym położeniu była dla szarpanej wstrząsami Rosji niedogodna. Rząd Lenina ograniczył więc swe cele polityczno-wojskowe na odcinku Polski do gwałtownych i aktywnych protestów przeciw wyzwoleń zaboru pruskiego i do opanowania całości Białorusi i Litwy.

Był to w porównaniu z poprzednim program minimalistyczny. Wśród jego przyczyn wymienić należy fakt, że niepowodze-

nie spotkało komunistów nie tylko w Berlinie, lecz przede wszystkim w Polsce. Ich jawne i gwałtowne wystąpienia przeciwko niepodległości państwa polskiego nie mogły być popularne w polskiej klasie robotniczej, rozentuzjasmowanej niepodległością. Co więcej, społeczeństwo polskie opowiedziało się w wyborach do Sejmu Ustawodawczego za ustrojem demokratyczno-parlamentarnym.

Oceniając położenie lepiej niż komuniści warszawscy, kierownictwo rosyjskie skłaniało się do przeczekania złej koniunktury w Polsce, wyzyskując ten czas na zdobycie Białorusi, Litwy i państw bałtyckich. Stąd próby nawiązania kontaktów z rządem w Warszawie przy jednoczesnym zajmowaniu coraz to dalszych obszarów pomiędzy Polską a Rosją. W pierwszych dniach stycznia Niemcy wydają władzom bolszewickim Wilno.

Dylemat stający przed Polską wymagał jakichś środków zaradczych — wytknięcia sobie jakiejś linii politycznej, która miałaby szanse praktycznego wykonania. Podstawowe warunki bezpieczeństwa wymagały odsunięcia Armii Czerwonej od granic etnicznych Polski i od możliwości jej zetknięcia z państwem niemieckim — obojętnie, czy czerwonym czy demokratycznym. Zwłaszcza, że słabość sił rewolucyjnych na Ukrainie tylko chwilowo zabezpieczała Polskę od tej strony.

Trudność położenia Polski określił lapidarnie Piłsudski w wywiadzie udzielonym po roku francuskiemu dziennikowi *L'Echo de Paris*:

„W sprawach wschodnich jesteśmy zdani na własne tylko siły, ponieważ Europa nie wie, co robić. Anglia może czekać, obmyślać plany, przyglądać się wypadkom. Może nawet odnieść jakieś z tego korzyści. Lecz my, Polacy, jesteśmy sąsiadami Rosji. I wszystko, co się nam może przydarzyć, zależy od naszej decyzji”.

Konieczna więc była własna polska polityka wschodnia. Dla stworzenia podstaw pod tę politykę nie wystarczały argumenty prawno-historyczne w rodzaju unieważniania granic rozbiorowych. Należało się dostosować do rzeczywistości narodowej i kulturalnej na obszarach między Polską i Rosją. Lenin tworzył tę podstawę w oparciu o swą teorię samostanowienia narzucanego przez grupkę komunistów proletariatu i wiodącą do „federacji” z Rosją. Odpowiedzią polityczną na federalizm w wydaniu komunistycznym i rosyjskim mógł być tylko federalizm oparty o zasady demokratycznego wyrażenia woli zainteresowanych społeczeństw.

II

Powołując się na deklaracje bolszewickie z okresu pertraktacji o pokój brzeski Polska Partia Socjalistyczna pisała do KC partii bolszewickiej w liście podpisanym przez Mieczysława Niedziałkowskiego 4 marca 1919 roku:

„Gdy o sprawę granic chodzi, chcemy ją załatwić na podstawie samostanowienia ludności zamieszkującej sporne terytoria, przede wszystkim na Litwie i na Białorusi. Domagamy się wycofania wszystkich obcych wojsk z tych terenów i przeprowadzenia natychmiastowych wyborów w warunkach całkowitej swobody. Twierdzenie, że klasa robotnicza Litwy rzekomo już wyraziła wolę przyłączenia się do Rosji na zasadzie federacji trzeba uznać za zwykłą fikcję, gdyż nie odbyły się żadne swobodne wybory ani na Litwie, ani na Białorusi”.

List ten jest tylko jednym z wielu dokumentów dowodzących, że lewica polska, a z nią oficjalna polityka rządu polskiego, głosiła także zasady samostanowienia i także szukała rozwiązań w koncepcji federacyjnej — podobnie jak rząd Lenina. Różnica polegała jednak na treści, jaką obie strony tym samym słowem nadawały. I ta różnica właśnie leży u podstaw polskiej polityki wschodniej tego okresu — ta różnica była przyczyną konfliktu zbrojnego między Polską i Rosją.

A przynajmniej jedną z przyczyn. Bo ważniejsze dla zorientowanych w wydarzeniach były fakty niż deklaracje, które — gdy o stronę rosyjską chodzi — spełniały podwójną rolę: propagandowego przygotowania do tworzenia faktów dokonanych i znajdywania uzasadnienia dla faktów już dokonanych.

Pierwsze starcie zbrojne między oddziałami polskimi i Armią Czerwoną nastąpiło w rejonie Berezy Kartuskiej i na wschód od Grodna 17 lutego 1919 roku, w chwili gdy zniknęła zasłona wojsk niemieckich, która umożliwiła rządowi bolszewickiemu rozpoczęcie działań okupacyjnych już w listopadzie roku poprzedniego. W lutym w rękę rosyjskim było już i Wilno, i Mińsk, a dalszy marsz Armii Czerwonej prowadził na Bug. Polska, ograniczona do terenu Królestwa i Galicji Zachodniej, miała się „dobrowolnie” połączyć węzłem federacyjnym z Rosją. Wolę Polski miała wyrazić KPRP — na modłę „woli” Białorusi i Litwy, gdzie Armia Czerwona usadowiła „rządy” złożone z kilkunastu Rosjan i miejscowych komunistów. Także w Warszawie, gdyby ją Armia Czerwona zajęła, nie powinno być większych trudności z wprowadzeniem w życie tej interpretacji „samostanowie-

nia", jaką wykladał Stalin, ówczesny komisarz spraw narodowości. Przypominamy ją w skrócie: „samostanowienie” jest wyłącznym przywilejem proletariatu robotniczego, „klasy posiadające” łącznie z 70 % ludności chłopskiej w Polsce, a 90 % na Białorusi, nie mają prawa wyrażania swojej woli.

W styczniu 1919 roku położenie — jak mówiliśmy — uległo zmianie o tyle, że rewolucja komunistyczna w Niemczech była już pokonana. Następowwała zmiana taktyki. Należało zachować wspólną granicę między Rosją i Niemcami przez opanowanie całej Litwy i państw bałtyckich. Polska w ten sposób oskrzydłona czekać by musiała na okupację rosyjską do chwili okrzepnięcia sił Armii Czerwonej i ponownego wybuchu w Niemczech. Należało wyczekać okazji, by móc powrócić do podstawowej koncepcji „zanieśienia do Europy rewolucji z zewnątrz”. Przeczekać — to znaczy uspić czujność Polski, rozbroić jej nieufność wobec Rosji.

Dotykamy tu samego rdzenia polityki Lenina w stosunku do Polski. Przeczekać wymagało zahamowania wystąpień jawnie poddających w wątpliwość prawo Polski do niepodległości. Rząd Lenina gotów był zatem pertraktować z Polską — taką, jaka już istnieje, co wprowadziło zamieszanie w umysłach komunistów polskich. Oczywiście — pertraktować nie tracąc dogodnych pozycji strategicznych. A więc utrzymując ile się da z terytoriów między Polską a Rosją. Ile się da, a więc nie wszystko. Lenin nie wahał się odstępować potężnych połaci ziemi nierosyjskiej, ilekroć tego wymagała taktyka. Gotów był to uczynić w zimie 1919 roku, jesienią tegoż roku, na wiosnę 1920 roku i po klęsce pod Warszawą w Pokoju Ryskim. Lecz zawsze było to ustępstwo tylko i wyłącznie taktyczne, do czasu uzyskania przewagi militarnej. Z chwilą osiągnięcia jej zapomniano o ustępstwach i wracano do planu pierwotnego, zwykle w dwóch fazach. Faza pierwsza to podejście pod granice etniczne Polski i pozbawienie jej w ten sposób możliwości skutecznej obrony. Faza druga — opanowanie Polski właściwej.

Jaka w tym położeniu mogła być polityka państwa polskiego?

Były trzy możliwości. Pierwsza — to rezygnacja z niepodległości, a nawet ze zjednoczenia Królestwa i Galicji z zaborem pruskim w jeden obszar narodowy. Możliwość druga — ta miała zwolenników — to zdanie się na dobrą wolę mocarstw zachodnich w nadziei, że wystąpią w obronie Polski etnicznej. Wybór tej możliwości oznaczałby tragiczne w skutkach przyłączenie się do interwencji w wewnętrzne sprawy rosyjskie po stronie kontrrewolucji, w interesie Rosji „białej”, także dla Polski niebez-

piecznej, bo nie uznającej niczego więcej niż autonomiczność Polski etnicznej. I wreszcie — możliwość trzecia: odsunięcie Rosji — obojętnie, jakiej maści byłaby to Rosja — od granic Polski. Cel ten można było osiągnąć tylko przy użyciu własnej siły zbrojnej. Nie po to, by w drodze podboju dojść do granic przedrozbiorowych, lecz po to, by umożliwić narodom zamieszkałym między Polską i Rosją zdobycie niepodległości bez perspektywy jej natychmiastowej utraty w drodze „federacji” z Rosją. Zamiar ten odpowiadał polskiej tradycji, a także polskim ambicjom.

Lecz nie cele dyktowane przez moralność czy ambicje zaważyły na decyzji odepchnięcia Armii Czerwonej od Bugu. Zaważył przede wszystkim cel polityczny. Tym było osłabienie Rosji przez oderwanie od niej jak największej części podbojów carskich po to, by odebrać imperializmowi rosyjskiemu siły potrzebne do dalszej agresji. Rozumiano, że im dalej odsunie się Rosję od granic ówczesnych Niemiec, tym większe będzie bezpieczeństwo Polski. Jej polityka wschodnia zapoczątkowana w roku 1919 nie była kruczatą przeciwko komunizmowi. Była samoobroną. Można oczywiście dyskutować nad tym, czy Polska miała dostateczne siły, by móc tę politykę realizować.

III

Położenie na obszarach Litwy i Białorusi zmuszało polski rząd do szybkiego działania bez oglądania się na przebieg narad w Paryżu. Bo nieobecność Rosji na konferencji wersalskiej nie oznaczała braku zainteresowania sprawami tej połaci Europy wśród mocarstw zachodnich. Interesował się nimi szczególnie wódz naczelny armii koalicyjnych, marszałek Ferdynand Foch. Należał do ludzi, którzy woleli, by dyktować pokój cesarskim Niemcom w Berlinie zamiast rozprawiać nad nim przy paryskim stole konferencyjnym. Reakcją Focha na odchodzenie sił niemieckich z frontu wschodniego była propozycja natychmiastowego wysłania 50 dywizji francuskich, brytyjskich, amerykańskich i innych spośród sił sprzymierzonych do Europy wschodniej, by tam postawić tamę pochodowi bolszewików, w oczekiwaniu na „późniejsze” załatwienie sprawy rosyjskiej. Wśród wojsk tych miały się też znaleźć dywizje armii polskiej we Francji. Zwolennikiem tej koncepcji był Roman Dmowski, widząc

w niej nie tylko korzyść polityczną w sensie międzynarodowym, bo osłoneżenie przed Niemcami i bolszewicką Rosją, lecz także sposób podważenia „monopolu wojskowego”, jak go w jego otoczeniu nazywano, którym *de facto* cieszył się Piłsudski.

Wielka ekspedycja pomysłu Focha okazała się jednak nie-realna. Nie tylko z powodu ogromnych trudności kwatermistrzowskich i transportowych. Także politycznie przetrzymywanie masy wojsk spieszących się do demobilizacji po wyczerpującej wojnie w imię obrony nie bardzo dla żołnierzy zrozumiałych interesów było projektem, który nie przeszedłby próby ognia ani w parlamentach, ani w prasie krajów demokratycznych.

Ocecił to bezbłędnie Piłsudski i przekonał do swej myśli Paderewskiego. Tłumaczył mu w obecności Leona Wasilewskiego, że w tej chwili jest koniunktura na zatrzymanie bolszewików czyli ich pochodu w głąb Europy przez Polskę własnymi tylko jej siłami — a to przez tworzenie faktów dokonanych, które będą zrozumiałe i będą mogły liczyć na aprobatę całego Zachodu. Faktami tymi miały być: po pierwsze skuteczne odepchnięcie nacierającej Armii Czerwonej dostatecznie daleko od ziem polskich, by nie mogła dotrzeć do Niemiec, a po drugie przeciwstawienie koncepcjom bolszewickim politycznej wizji prawdziwego samostanowienia narodów z możliwością tworzenia związków federacyjnych lub bez nich dla ludów mieszkających między polskim a rosyjskim obszarem etnicznym.

Strona wojskowa zadania została załatwiona nie bez trudności, lecz przecież z pełnym powodzeniem. Na Wielkanoc 1919 roku wojska polskie zajęły Wilno okupowane przez dwa kolejne rządy bolszewickie. Po operacji wileńskiej odbył się szereg następnych na Białorusi. Zajęto i oddano Łotyszom Dzwinsk, w lipcu zajęto Mińsk, wówczas zwany litewskim częściej niż białoruskim, potem umocniono się na linii górnego Dniepru i Berezyny z kilkoma węzłami kolejowymi jako punktami kluczowymi. Na południu wojska polskie posunęły się na Wołyniu daleko ku wschodowi, tworząc także bazę operacyjną w oparciu o Kamieniec Podolski i działając wspólnie z Rumunami, mającymi własne ukraińskie troski na Bukowinie i gdzie indziej.

Na linii tej wojska polskie stanęły, gdyż ani Piłsudski, ani jego przeciwnicy polityczni w Polsce nie zamierzali słuchać namów alianckich, przede wszystkim francuskich, by maszerować dalej. Strategicznie oceniano w Polsce odrzucenie wojsk bolszewickich na osiągniętą linię za wystarczające zabezpieczenie; politycznie zdawano sobie sprawę, że dopóki armia polska stoi na

tej linii, niepodległość państw bałtyckich łącznie ze spierającą się z Polakami Litwą jest zabezpieczona.

Operacje te odbywały się bez nadmiaru komentarzy przez cały czas pertraktacji pokojowych w Paryżu i ustały dopiero w październiku 1919 roku, gdy cele strategiczne polskie w tej fazie polityczno-wojskowej zostały osiągnięte. Bolszewicy zresztą, którzy na przemian przechodzili okresy powodzeń i upadków na frontach swej własnej wojny domowej, nie odpierali zbyt stanowczo wojsk polskich, dopóki trwali w przekonaniu, że Warszawa walczy o własne tylko cele, nie dając posłuchu inspiracjom, by wzięła decydujący udział w zachodniej interwencji w wewnętrzne sprawy rosyjskie. Inspiracji takich dalej nie brakło, a wśród inspiratorów był także Foch. W Paryżu mówiono wprost o uzbrojeniu pełnym sprzętem i wyposażeniem pięćsettyśięczonej armii polskiej z zadaniem wyręczenia Zachodu w dziele interwencji. Nie było przy tym jasne, czy chodziło o wskrzeszenie caratu, czy o odtworzenie liberalnej lecz nacjonalistycznej republiki rosyjskiej, która przecież miała zastrzeżenia nawet do niepodległości Polski. Interwencja ta mogła też ograniczać się do pomocy któremuś z „białych” generałów rosyjskich.

Jednakże od tej strony, gdy o postawę Polski chodzi, rząd Lenina czuł się — i słusznie — bezpieczny.

W obliczeniach tych się nie zawiódł. Polska nie zamierzała bowiem popierać białych generałów carskich. Zawiodło się natomiast wiele czynników na Zachodzie, w czym też szukać można zmiany jego nastawienia do polityki Polski wobec Rosji, zmiany tak charakterystycznej, gdy porównać entuzjastyczną niemal pierwszą fazę do połowy 1919 roku z dalszymi miesiącami czy z następnym rokiem. Zresztą mobilizacja sił prorosyjskich na Zachodzie przeciwko myśli o samostanowieniu narodów między Polską i Rosją odbyła się szybko, była sprawna i dobrze zgrana, choć — rzecz jasna — nie zgrana oficjalnie z podobną mobilizacją polityki i propagandy bolszewickiej. Tu bowiem, w tym zagadnieniu, a nie w posunięciach strategicznych, nawet niebywale ważnych, tkwił klucz całego zagadnienia: tutaj ważyły się losy i przyszłość narodów wschodnioeuropejskich, tu krzyżowała się wizja przyszłości Piłsudskiego z koncepcją komunistyczną i z brakiem zrozumienia zagadnień tej części świata w krajach Zachodu daleko od niej położonych.

W swej odezwie do „mieszkańców byłego Wielkiego Xięstwa Litewskiego” Piłsudski nie obiecywał wiele i nie podejmował konkretnych i szumnych zobowiązań wszelkiego szczęścia pod

hasłem „wskrzyszania świetlanej, wspólnej przeszłości”. Przede wszystkim politycy polscy, na pewno nie wszyscy, lecz ci co byli zorientowani w sprawach Europy środkowo-wschodniej wiedzieli, że „wspólna przeszłość” była kamieniem obrazy dla Litwinów i że ci jak najmocniej chcieli się od niej odciąć w przyszłych stosunkach, zwłaszcza z Polską. Wspólna przeszłość chłopów białoruskich i polskich, ziemian lub inteligencji twórczej też kryła w sobie więcej znaków zapytania niż pomyślnych horoskopów na przyszłość. Zagadnień był legion, gdyż nawet sprawa ludności żydowskiej tych ziem stwarzała problemy, na które niełatwo było o odpowiedź. W tej sytuacji „Odezwa” Piłsudskiego kładła głównie nacisk na rzeczy naprawdę istotne. Fragment jej brzmiał:

„Kraj wasz od stu kilkudziesięciu lat nie zna swobody, uciskany przez wroga przemoc rosyjską, niemiecką, bolszewicką — przemoc, która nie pytając ludności narzucała jej obce wzory postępowania, krępujące wolę, często łamiące życie. Ten stan ciągłej niewoli, dobrze mi znany osobiście jako urodzonemu na tej nieszczęśliwej ziemi, raz nareszcie musi być zniesiony i raz wreszcie na tej ziemi, jakby przez Boga zapomnianej, musi zaplanować swoboda i prawo wolnego, niczym nie skrępowanego wypowiedzenia się o dążeniach i potrzebach... Chcę dać wam możliwość rozwiązania spraw wewnętrznych, narodowościowych i wyznaniowych tak, jak sobie życzyć tego będziecie, bez jakiegokolwiek gwałtu lub nacisku ze strony Polski”.

Jednocześnie ustanowiony został Zarząd Cywilny w osobie generalnego komisarza cywilnego przy Zarządzie Wojskowym Kresów Wschodnich. Na stanowisko to mianowano Jerzego Osmałowskiego. Polska podejmowała też obietnicę obrony wojskowej na wypadek nowego najazdu, nie rozciągając jej zresztą w sposób wyraźny na ziemie pozostające w bezpośredniej administracji litewskiej. Utworzono nawet namiastkę „litewsko-białoruskich” sił zbrojnych — naprzód jako jedną, potem jako dwie dywizje tej właśnie nazwy, oczywiście podległe operacyjnie wojsku polskiemu.

Odezwa Piłsudskiego ograniczała się do mieszkańców byłego Wielkiego Xięstwa Litewskiego. Nie wspominała więc nawet ogromu zagadnień ukraińskich, które przecież musiały być główną kością niezgody między wizją przyszłej Rosji leninowskiej a polskimi koncepcjami ułożenia stosunków między Bałtykiem i Morzem Czarnym. Była to wstrzemięźliwość ze wszech miar wskazana i tak została oceniona przez ludzi obradujących w Paryżu, którzy — jak profesor Lord — naprawdę rozumieli te zagadnienia.

Z podobnych względów głuchym milczeniem odpowiadano w Warszawie na propozycję przewodniczącego komisji do spraw Europy wschodniej Cambona, by dać Polsce wolną rękę aż po granicę pierwszego rozbioru, zwłaszcza, że przecież uznali to także bolszewicy. Sprawy nie były tak proste, a operowanie argumentami historyczno-prawniczymi wolał rząd polski pozostawić na odpowiedni po temu czas.

9 kwietnia 1919 roku przybył do Paryża Ignacy Paderewski, by uporawszy się z utworzeniem rządu wystąpić jako jeden z naczelnych przedstawicieli Polski na konferencji pokojowej. Drugi z nich — Roman Dmowski — nie aprobował różnych pociągnięć dokonanych już w Polsce przez Piłsudskiego w porozumieniu z Paderewskim. Do nich należało ustanowienie Zarządu Cywilnego w Wilnie i cała „gadanina” o federacjach, której Dmowski konsekwentnie przeciwstawił memoriały domagające się po prostu inkorporacji ziem wschodnich jako niezdolnych do samodzielnego działania i myślenia. Polska miała je w tym zastąpić i to w imieniu własnym, dzieląc się resztą obszarów z Rosją — nie wiadomo jeszcze, jaką. Natomiast Paderewski przyjeżdżał z gotową receptą demokratycznego ułożenia stosunków, uzbrojony w odezwę wileńską, nieformalną zresztą z punktu widzenia prawa, oraz w uchwałę o błogosławieństwach idei federalnej podjętą przez Sejm Ustawodawczy w Warszawie.

Witano go w Paryżu z entuzjazmem, który udzielał się po części koncepcji idei federacyjnej na wschodzie Europy. Ale zając się nią bliżej nie było już komu, bo konferencja pokojowa weszła w wir zbijania kontrargumentów pokonanej Rzeszy niemieckiej, broniącej swego stanu posiadania kosztem przede wszystkim interesów polskich.

Przez ten cały czas, dopóki milionowe tłumy nie powitały hukiem wiwatów starego „tygrysa” Clemenceau przemawiającego z balkonu pałacu wersalskiego, Rosja bolszewicka prowadziła na wschodzie Europy swą politykę faktów dokonanych z myślą o odległej lecz realnej przyszłości. Przeciwstawiała się jej Polska swą własną wizją polityczną. Wczorajsze śniegi? Cóż nad nimi rozmyślać? Tak powie cynik. Wizja polska, wizja Piłsudskiego nie ostała się pod naciskiem historii. Czy jednak nie miała żadnej szansy? To inne pytanie, także ważne, jeśli do dziejów ludzkich dołączać można dzieje moralności międzynarodowej. I pytanie ważniejsze: czy z polskiej wizji politycznej dla Europy środkowo-wschodniej naprawdę nic nie pozostało? Chyba tak nie jest.

W roku 1919 sympatia do rewolucji rosyjskiej — tam, gdzie w Polsce była — ustąpiła powszechnemu przerażeniu. Wiadomości o tym co się w Rosji dzieje szły teraz ogromną falą, a ich potwornego charakteru nie trzeba było wzmacniać przy pomocy propagandy czy wielogębnej plotki. Prawda była gorsza niż wszelkie wyolbrzymienia. Pojawia się w całej Europie, lecz przede wszystkim w Polsce, słowo „bolszewizm” jako zagrożenie wszelkiej kultury i wszelkiego ładu — jako symbol bezprzykładnego terroru, nędzy i chaosu, a jednocześnie jako zapowiedź niebezpieczeństwa dla niepodległości państwowej.

W Polsce groza przed „bolszewizmem” rosyjskim sięga głębiej. „Bolszewizm” łączy się bowiem z pamięcią o imperializmie rosyjskim. Gdy Sejm przystępuje do pracy nad tworzeniem nowego ustroju, wojsko polskie już bije się z Armią Czerwoną na ziemiach położonych tuż przez miedzę, ziemiach, które w przekonaniu wielu Polaków są historycznie polskie, a w przekonaniu innych zasługują na prawo samostanowienia, lecz w żadnym wypadku nie są częścią Rosji. Nie bez znaczenia jest też fakt, że ofiarą terroru komunistycznego na tych właśnie ziemiach jest przede wszystkim ludność polska. A jeśli nawet los ziemian, oficjalistów czy lekarzy i urzędników polskich w Mińsku lub Kijowie niepokoi ich krewnych czy znajomych w Warszawie lub Krakowie, lecz nie porusza chłopów pod Łomżą czy Rzeszowem, to wiadomości o walce z religią i o powszechnej nędzy pod rządami „komisarzy” — jak to wówczas potocznie nazywano — oburzają i chłopów, i robotnika.

Widmo „bolszewizmu” wzmacnia determinację całego społeczeństwa polskiego, by do „bolszewizmu” u siebie nie dopuścić. Jednocześnie jednak zagrożenie zewnętrzne wywiera hamujący wpływ na rozwój, zakres i kierunek reform społecznych. Zupełnie słusznie Sejm nie odkłada ich do zakończenia rozważań nad konstytucją państwową. Bo są pod wieloma względami ważniejsze. Ustawodawstwo dotyczące opieki społecznej i ochrony pracy Sejm uchwała jeszcze w poczuciu nieodzowności tych reform, które rząd zapoczątkował zanim Sejm został wybrany. Lecz początkowa w tym kierunku energia zaczyna ustępować ostrożności i wahaniom, co odbija się najgorzej na reformie rolnej. Ów duch ostrożności czy kompromisu powoduje zarzuty ze strony socjalistów i ich odmowę uczestniczenia w rządzie koalicyjnym, gdyż nie zapewnia on zwycięstwa w walce klasowej

o interesy robotnicze. Ostrożność Sejmu, jego obawa przed pociągnięciami zbyt radykalnymi jest w dużej mierze reakcją na widmo „bolszewizmu” — reakcją nieuzasadnioną, gdyż widmo to grozi od zewnątrz, a nie od wewnątrz. Lecz szermuje nim coraz głośniejsza prawica sejmowa, podczas gdy lewica stara się uniknąć wszystkiego, co by mogło wzbudzić w opinii podejrzenia o sympatie czy chęć naśladownictwa powszechnie znieawidzonych wzorów rosyjskich.

Powoduje to ciążenie poszczególnych stronnictw i posłów do tak zwanego centrum sejmowego. Odchodzą z prawicy, by nie znaleźć się na froncie przeciwnym reformom, odchodzą z lewicy, by nie dopuścić do reform radykalnych. W ciągu roku 1919 zmienia się układ sił w Sejmie. Ulega osłabieniu prawica, od której odłączają się różne ugrupowania połączone dotychczas z Narodową Demokracją w Związek Ludowo-Narodowy. Powstaje przede wszystkim Chrześcijańska Demokracja, stronnictwo typowo centrowe. Także część ugrupowań chłopskich przechodzi z prawicy do centrum, inne do tegoż centrum przesuwać się z lewicy. Rezultat jest taki, że na początku roku 1920 prawica ze 140 posłów spada do 70 i do tej samej liczby ogranicza się lewica, oddając centrum ponad 30 posłów. Centrum zdobywa w ten sposób bezwzględną większość ponad 230 głosów na ogólną liczbę 400. Jest to z korzyścią dla możliwości powoływania rządów złożonych z fachowców bez wyraźnego oblicza politycznego.

Ale zło leżało gdzie indziej. Owo „centrum” było wynikiem kompromisów i układów. Nie reprezentowało żadnej określonej myśli politycznej, nie było stronnictwem. Łączyło je w jeden blok głosujących zrozumienie potrzeby tworzenia rządu i przekonanie, że czasy jakie Polska przeżywa nie sprzyjają zbyt radykalnym reformom. Wiadomo było także, że gdy tylko nastaną czasy spokojniejsze, koalicja centrowa ustąpi miejsca innemu układowi, w którym każde stronnictwo przystąpi do walki o własny program z bardzo małą szansą jego przeprowadzenia. Potrzebne więc będą nowe kompromisy. Tak się stać miało już przy uchwaleniu ustawy konstytucyjnej. Będzie ona bezsprzecznie demokratyczna, lecz nie uwzględni wszystkich potrzeb typowo polskich. Ugruntowując parlamentaryzm, nie wytyczy jasnego kierunku reform strukturalnych. Nie zapobiegnie też skutkom braku doświadczenia politycznego większości obywateli, który wyrazi się w zbytym rozdrobnieniu pogładowym, utrudniającym powstanie programu mogącego liczyć na poparcie większości w Sejmie i poza nim.

Pierwszy Sejm Ustawodawczy był pod tym względem w lepszym położeniu niż następne. Był też jednolitym Sejmem polskim pod względem narodowym. Zasiadało w nim tylko 13 przedstawicieli mniejszości narodowych — 11 Żydów i 2 Niemców. Inaczej będzie w Sejmach następnych.

PO ROKU NIEPODLEGŁOŚCI

Miesiące letnie 1919 roku przyniosły umocnienie pozycji Polski na arenie międzynarodowej. Niepewność, co przyniesie dzień następny, a jednocześnie bolesne poczucie słabości ustąpiły ocenom trzeźwiejszym. Wynikające z nich wnioski nastrajały optymistycznie. Było to tym cenniejsze, że przesłanki, na których wnioski te opierano, zaliczyć mógł każdy obserwator do rzędu konkretnych i realnych osiągnięć.

Nie stanowiły one co prawda pasma triumfów, które by kazały zapominać o zawodach towarzyszących powodzeniom. Przeciwnie, przegrane odczuwano bardzo boleśnie. Lecz ogromny wybuch entuzjazmu po pamiętnym dniu 11 listopada wyzwolił wśród Polaków dostateczny zasób energii, by na przegrane nie odpowiadać apatią i zniechęceniem, lecz przemyśliwać nad sposobami odrobienia własnych zaniedbań lub przeciwstawienia się każdej groźbie zewnętrznej.

Właśnie te dwie cechy charakteryzowały nastroje i wysiłki narodu polskiego w pierwszym roku niepodległości. Z jednej strony niespożyta, zawadiacka może, lecz niemniej jak najbardziej pozytywna wiara we własne siły, z drugiej trzeźwa ocena sytuacji. Z nich wypływała czujność i zrozumienie potrzeby dalszej wyętej pracy, a także gotowość ponoszenia dalszych ofiar z własnego interesu materialnego.

Wyrazem tej gotowości było chętne współdziałanie większości narodu w dziele rozbudowy sił zbrojnych. Instynktownie jak gdyby społeczeństwo polskie przywiązywało największe znaczenie do posiadania takiej siły zbrojnej, by mogła ona podjąć zadanie obrony granic i poparcia dążeń i interesów narodowych nawet gdyby Polska znalazła się w całkowitym odosobnieniu. Linia polskiej polityki zagranicznej stawała się funkcją posiadania i właściwego użycia sił zbrojnych. Nawet w środowiskach,

które przed kilku jeszcze miesiącami odnosiły się z całkowitym i naiwnym zaufaniem do sprzymierzeńców zachodnich, wymowa faktów nakazywała rewizję dotychczasowych poglądów. Przyczyn było wiele. Jedną z nich był Traktat Wersalski. Jego tekst ostateczny, podyktowany Polsce w większym stopniu niż był dyktowany pokonanym Niemcom, powstał w trybie przyspieszonym w ostatnich niemal dniach paryskiej konferencji pokojowej. Dawał Polsce chwilowe przynajmniej zażegnanie groźby wojny z Niemcami, która aż do lipca 1919 roku wiązała najlepiej zorganizowane części wojska polskiego, to jest armię wielkopolską, a także nakazywała utrzymanie w zbrojnym pogotowiu części sił tworzonych tak ogromnym wysiłkiem organizacyjnym na terenie Kongresówki. Niebezpieczeństwo zbrojnego ataku niemieckiego na Wielkopolskę było zupełnie realne aż do końca czerwca. Niemcy dysponowały jeszcze prawie milionową armią — częściowo zamaskowaną pod takimi nazwami jak *Grenzschutz*, *Heimatschutz* czy *Sicherheitspolizei*. Jej największe skupienia istniały w rejonie Bydgoszczy i na Pomorzu, na Śląsku, a także na terenach Suwalszczyzny oraz na Litwie Kowieńskiej i w krajach bałtyckich. Podpisanie Traktatu Wersalskiego nie zwalniało z obowiązku czujności, zwłaszcza wobec plebiscytowych postanowień dotyczących Śląska, lecz dawało tę przynajmniej rękojmię, że niemieckie wystąpienie zbrojne przeciwko ziemiom Polsce przyznany pociągnęłoby za sobą sankcje zbrojne ze strony zwycięskich mocarstw zachodnich. One też gwarantowały pokojowe przekazanie w ręce władz polskich przyznanego Polsce obszaru Pomorza.

Lecz na tym kończyły się korzyści Traktatu Wersalskiego. System bezpieczeństwa międzynarodowego w ramach organizacji Ligi Narodów był w najlepszym razie pieśnią przyszłości. W konkretnej chwili nie wzmacniał ani na jotę bezpieczeństwa Polski z tego przede wszystkim względu, że nie przewidywał niczego, co by mogło osłonić Polskę od wschodu.

Dla przywódców „białej” Rosji — czy to Denikina, czy Kołczaka, czy Sazonowa w Paryżu — „Polska” była „priwiliniskim krajem”, co najwyżej obdarzonym jakąś autonomią, lecz mającym pozostawać w ścisłym przymierzu z Rosją i w całkowitej od Rosji zależności. Dla przywódców Rosji „czerwonej” Polska miała być republiką sowiecką na modłę Karelii lub Turkiestanu. Zachowanie więc całkowitej neutralności wobec toczącej się w Rosji wojny domowej stawało się pierwszym przykazaniem wschodniej polityki Polski. O nieprzejednanym stanowisku Denikina wobec Polski przekonany się misja wojskowa generała Karnic-

kiego i handlowa ministra Jerzego Iwanowskiego, obie wysłane z Warszawy do Taganrogu w lipcu 1919 roku. Obaj wysłannicy stwierdzili, że wszelka współpraca będzie niecelowa, bo „biali” Rosjanie żądają od Polaków rezygnacji z popierania dążeń wolnościowych narodu ukraińskiego i domagają się też, by zarząd nad Wilnem Polska sprawowała w imieniu Rosji. W tej sytuacji Naczelnik Państwa odmówił nawet lokalnego współdziałania taktycznego na styku wojsk polskich i białorusyjskich pod Mozyrzem.

Nie ulegała również Warszawa naiwnym nadziejom Paryża, że rządy komunistyczne w Rosji legną w gruzy w ciągu najbliższych miesięcy. Wierzono, że rząd bolszewicki pogodzi się z istnieniem Polski niepodległej. I chociaż zarówno w Sejmie, jak i w prasie zarysowywały się daleko idące różnice poglądów, polityka wojskowa Naczelnego Wodza i Naczelnika Państwa w jednej osobie nie budziła zastrzeżeń. Zarówno zwolennicy inkorporacji ziem zabużańskich na prawicy, jak i zwolennicy dopomożenia Ukraińcom i Białorusinom w wywalczeniu samodzielności narodowej doceniali potrzebę wysunięcia wojsk polskich na Dźwinę, Berezynę i Dniepr, gdyż wymagało tego bezpieczeństwo państwa bez względu na to, czy zwyciężą w Rosji „biali” czy „czerwoni”.

Ku zdumieniu wrogów i przyjaciół wczesna jesień 1919 roku zastała Polskę w pozycji mocnej. Stała się ona najważniejszym czynnikiem politycznym w środkowo-wschodniej Europie. Dopięta tego własnymi siłami. Stąd traktowanie jej jako klienta mocarstw sprzymierzonych było praktycznie niemożliwe. Mocarstwa fakt ten uznały.

Powodzenia armii polskiej, sięgającej już pół miliona ludzi pod bronią, z czego nieomal połowa była zdolna do służby frontowej, podważyły też przekonanie, zwłaszcza angielskie, że jedynie Niemcy są zdolne w razie zwycięstwa bolszewickiego w rosyjskiej wojnie domowej stawić czoła marszowi rewolucji na zachód. Miało to skutki praktyczne i to na kilku odcinkach. Po pierwsze, ułatwiało starania o kredyty i pomoc materiałową tak bardzo Polsce potrzebną. Po drugie, skłaniało mocarstwa zachodnie do bardziej sprawiedliwego stanowiska w ciężkiej walce plebiscytowej, zwłaszcza o Śląsk. Mocarstwa sprzymierzone dopilnowały też ewakuacji wojska i władz niemieckich z terenu wolnego miasta Gdańska. Jego utworzenie jako terytorium poddanego kontroli Ligi Narodów i Polski jednocześnie, z uprawnieniami portowymi dla Polski oraz w granicach polskiego obszaru celnego było najboleśniej i najtragiczniej dla Polski postanowieniem traktatu pokojowego. Najwięcej też wywołało goryczy.

Niemniej zbliżając się do pierwszej rocznicy odzyskania niepodległości naród polski patrzył w przyszłość z ufnością. Prawie każdy dzień przynosił nowe wydarzenia, na ogół pomyślne. Poznzańskie łączyło się formalnie z resztą Polski. Likwidowała się Naczelna Rada Ludowa jako odrębny rząd dzielnicowy. Część jej agend przejmowało ministerstwo byłej dzielnicy pruskiej, na którego czele stanął Władysław Seyda. Dokonało się uroczyste zjednoczenie wszystkich polskich formacji wojskowych w jednolite siły zbrojne, czego punktem kulminacyjnym było spotkanie Piłsudskiego z Hallerem na Błoniach Krakowskich. Sejm mógł się wykazać podziwu godnym dorobkiem w dziedzinie ustawodawstwa społecznego, ochrony pracy i ramowych postanowień reformy rolnej. Fala strajków zaczynała odpływać. Poprawiała się zwolna tragiczna przed kilku miesiącami sytuacja aprowizacyjna. Nie zwalczono nędzy i nie uzdrowiono gospodarki narodowej. Było to niewykonalne w tak krótkim okresie czasu, zwłaszcza wobec trwającego chaosu walutowego i budżetowego. Zrobiono jednak bardzo dużo we właściwym kierunku.

Co ważniejsze, odsunięto niebezpieczeństwo wojny na własnych granicach i na własnym obszarze. Wiele też wskazywało na to, że uda się zakończyć wojnę z bolszewikami zapewniając ludności Litwy Środkowej i Białorusi możliwość zadecydowania o swym losie w oparciu o siłę wojskową polską i o polski Zarząd Cywilny Ziem Wschodnich.

MIKASZEWICZE

I

Pod koniec sierpnia 1919 roku wojska polskie podeszły pod Połock i zdobyły twierdzę Bobrujsk nad Berezyną. W ciągu września dokonano szeregu poprawek linii frontu na Polesiu, Wołyniu i Podolu, wysuwając ją na dalsze przedpole wzdłuż linii rzeki Stucz i rzeki Utyczy. Powodzenia letniej ofensywy polskiej odbiły się głośnym echem w stolicach państw zachodnich. Wzbudziły zaufanie do zdolności obronnej Polski na wypadek ponowienia bolszewickich prób wdarcia się siłą na teren Niemiec

i w basen naddunajski. Tym samym osłabła koncepcja przetrzymywania oddziałów niemieckich na terenie Łotwy i Litwy kołwieńskiej. Oddziały te, w częściowej współpracy z „białymi” Rosjanami, uchodziły dotychczas za bardzo potrzebny element kordonowy przeciwko ekspansji rewolucyjnej. Ich istnienie niczego w rzeczywistości nie zabezpieczało. Przeciwnie, były zagrożeniem dla niepodległości Estonii, Łotwy i Litwy. Rząd polski — zarówno premier Paderewski, jak i Naczelnik Państwa Piłsudski — domagał się stanowczo ich wycofania i rozbrojenia.

Piłsudski przekonał o słuszności swego stanowiska przede wszystkim Anglików, którzy w podziale sfer wpływów zastrzegli sobie ziemie nadbałtyckie. Argument strategicznego odsunięcia Armii Czerwonej nad Dźwinę i Dniepr przemówił Anglii do przekonania. Niemcom nakazano wykonanie postanowień Traktatu Wersalskiego, armia von der Goltza ewakuowała Łotwę i w dalszej kolejności Litwę. Niepodległość Łotwy i Estonii została w ten sposób zabezpieczona, co umożliwiło Łotyszom oczyszczenie swego terytorium także z wojsk bolszewickich.

Powodzenia wojenne Polski zaważyły też na sytuacji w Galicji Wschodniej i na Ukrainie. Mocarstwa zachodnie akceptowały stan faktyczny powstały po klęsce wojsk Ludowej Republiki Ukrainy Zachodniej. Paderewskiemu nie udało się co prawda uzyskać zgody na inkorporację Galicji Wschodniej. Sprzymierzeni stali na stanowisku tymczasowości zarządu polskiego, domagając się zobowiązań, które by dawały ludności ukraińskiej pewne minimum autonomii. Paderewski nie przeciwstawił się tym żądanom zbyt gwałtownie, będąc najprawdopodobniej przeświadczony o ich słuszności. Miało to spowodować zaciekle przeciwko niemu atak prawicy sejmowej, który przyspieszył jego ustąpienie ze stanowiska premiera, co nastąpiło 27 listopada. Upadek jego gabinetu był zresztą skutkiem ogólnej krytyki płynącej zarówno z prawych, jak i z lewych ław sejmowych. We wrześniu i październiku Paderewski utracił też sporo z wielkiego kapitału zaufania, jakim cieszył się w Paryżu wśród członków Najwyższej Rady sprzymierzonych.

Przyczyną było jego stanowisko w sprawach dotyczących Rosji, zwłaszcza Rosji „białej”. Na tym odcinku założenia polityki polskiej rozchodziły się całkowicie z planami i nadziejami żywionymi w stolicach zachodnich. Jesienią 1919 roku nawet premier Lloyd George, reprezentujący dotychczas koncepcję wyczekującą i próbujący nawiązać stosunki handlowe i polityczne z rządem bolszewickim, przechylił się na stronę zwolenników obalenia rządów bolszewickich. Powstawało jednak i to nie po

raz pierwszy pytanie: czyimi siłami miało się to dokonać i w czym interesie?

Ku dużemu niezadowoleniu sprzymierzonych Paderewski to właśnie pytanie zadał Radzie Najwyższej 3 września. Stwierdził na wstępie, że Polska i nie chce, i nie może prowadzić wojny z Armią Czerwoną w nieskończoność. Nie widzi celu dalszego prowadzenia wojny zwłaszcza w tym wypadku, gdyby powstała możliwość porozumienia z rządem Lenina. Co stanowiło warunek takiego porozumienia? Nad tym Paderewski nie potrzebował się zbyt długo rozwodzić. Znana była jego koncepcja federacyjna, będąca bardziej radykalną odmianą koncepcji Piłsudskiego. Obie nie były dla nikogo tajemnicą, gdyż stanowiły przedmiot gorących debat sejmowych i temat ciągle powracający na łamy gazet, nie tylko w Polsce.

Piłsudski precyzował zresztą swoją koncepcję także w rozmowach z dyplomatami zagranicznymi, przede wszystkim z Rumboldem, posłem Wielkiej Brytanii w Warszawie, i z Percy Wyndhamem, półoficjalnym reprezentantem politycznym rządu brytyjskiego dla spraw bałtyckich. W rozmowach tych Piłsudski stwierdzał, że polityczny cel Polski na wschodzie polega na zabezpieczeniu praw i aspiracji narodowych tych wszystkich narodów podbitych przez Rosję carską, które na dalsze rządy rosyjskie nad sobą nie chcą się zgodzić. Widział w tym warunek ładu i pokoju europejskiego oraz lepszą — nie mówiąc już o tym, że sprawiedliwszą — metodę stworzenia równowagi sił między Rosją i Niemcami. „Polska” — mówił Piłsudski — „nie jest i nie chce być żandarmem Europy. Ma zamiar bronić tylko swoich interesów i prowadzić taką politykę, jaka odpowiada jej racji stanu”.

Rozmowy z Rumboldem i Wyndhamem wywoływały sporo niepokoju w Londynie i niepomiernie większy niepokój w Paryżu. Piłsudski poruszał bowiem także temat dla dyplomacji zachodniej w tym momencie najważniejszy, mianowicie sprawę szans zwycięstwa sił kontrrewolucyjnych w rosyjskiej wojnie domowej. Naczelnik Państwa polskiego i jego Wódz Naczelny mówił o tych szansach z nietajonym sceptycyzmem. Dostrzegał w środowisku Denikina, Kołczaka czy Wrangla brak konkretnej siły wojskowej i to pomimo odnoszonych sukcesów. Widział przede wszystkim całkowitą pustkę ideologiczną i brak konstruktywnej myśli politycznej. „Biała” Rosja była zwykłą reakcją w najjaskrawszym carskim wydaniu, reakcją przede wszystkim społeczną. Stąd zupełny brak poparcia ze strony mas chłopskich nawet na terenach opanowanych przez oddziały „białych” Rosjan.

Gdy o moralną i humanitarną stronę rosyjskiej wojny domowej chodziło, Piłsudski stwierdzał, że obie strony pastwią się nad ludnością idąc ze sobą w zawody pod względem okrucieństwa i terroru. Dodawał, co było faktem dobrze znanym, lecz niedocenianym na Zachodzie, że powodzenia wojskowe „białych” były możliwe tylko dzięki pomocy materiałowej Francji czy Anglii.

W świetle tych oświadczeń Piłsudski, podobnie jak Paderewski, stawiał konkretne pytanie: jaka jest polityka aliantów wobec Rosji? Odpowiedź Rumbolda była może poprawna dyplomatycznie, lecz nie była odpowiedzią polityczną. Ustami swego posła Wielka Brytania stwierdzała, że polityki wschodniej dotychczas nie sprecyzowała i że woli uzależnić ją od rozwoju wypadków. Usłyszał wówczas z ust Naczelnika Państwa, że być może Zachód ma czas i widzi jakąś korzyść w przewlekaniu sprawy, Polska natomiast czasu nie ma. Ma natomiast własną myśl polityczną, całkowicie niezgodną z zamiarami „białej kontrrewolucji”.

Nie były to puste słowa.

Liczono zapewne w Paryżu, podobnie jak w kwaterze głównej Denikina, że konsekwentne stanowisko polityczne Polski zostanie osłabione lub zgoła obalone drogą faktów. Przecież pomimo braku współpracy wojskowej nawet na szczeblu taktycznym Polska była w stanie wojny z Rosją bolszewicką, z tą samą armią i z tym samym rządem, z którym walczyli „biali” Rosjanie wspomagani w ten czy inny sposób przez dwa mocarstwa zachodnioeuropejskie. W dodatku Polska odniosła ogromny sukces militarny. Jej ofensywa była w pełnym rozmachu, a strategiczne wyzyskanie tego rozmachu wydawało się pokusą nie do przeciężenia.

Zdawała sobie z tego sprawę również strona bolszewicka. Ponoсила w tym okresie klęski na wszystkich frontach. Denikin podchodził pod Kursk, Judenicz stał w odległości strzału od Piotrogradu, Kołczakowi na Syberii powodziło się gorzej, lecz i on stanął przed poważnym zagrożeniem. Gdy Denikin twierdził, że jedno uderzenie polskie skoordynowane z jego ruchem ku północy przyniesie mu całkowite zwycięstwo, Lenin szedł w ocenie jeszcze dalej. Miał stwierdzić już po wojnie, że gdyby słabiutkie siły estońskie dopomogły Judeniczowi, los jego rządów nad Rosją byłby przesądzony.

Estończycy nie pomogli Judeniczowi, gdyż podobnie jak bolszewicy nie uznawał ich prawa do niepodległości. Dodajmy: do niepodległości już wywalczonej i ugruntowanej, nie bez pośredniej pomocy polskiej.

Polska też nie pomogła Denikinowi i nie dała sobie narzucić krucjaty przeciwko bolszewikom. Jej motywy były oczywiście głębsze i skutki tej decyzji ważniejsze.

Na przełomie września i października po osiągnięciu kilku drobnych poprawek front polsko-bolszewicki zamarł w bezruchu. Pełnym niepokojem, a niekiedy oburzeniem indagacjom zarówno w Sejmie, jak i w kularach dyplomatycznych, Naczelne Dowództwo polskie dawało odpowiedź powołującą się na konieczność organizacji tyłów, opanowania trudności komunikacyjnych, uzupełnienia stanów, reorganizacji armii, wyszkolenia nowopowołanych roczników. Było w tych odpowiedziach sporo prawdy, lecz nie cała prawda. Ostatecznie sama 14 dywizja wielkopolska stojąca w Bobrujsku dochodziła bez większego trudu do Dniepru w licznych wyprawach rozpoznawczych. Na Białorusi bolszewicy nie mogli przeciwstawić Polakom nawet porządnej osłony przedniego skraju swej pozycji obronnej.

Właściwe wytłumaczenie przyczyn zawieszenia działań na froncie polsko-bolszewickim leżało w zupełnie innej niż względy wojskowe dziedzinie. Toczyły się mianowicie rokowania pokojowe w miejscowości Mikaszewicze na Polesiu wołyńskim po polskiej stronie frontu. Były to rozmowy nieoficjalne. Strona polska otaczała je tajemnicą z kilku powodów. Jednym z nich była obawa przed rozpętaniem nagonki prawicowej w Sejmie. Dla prawicy sejmowej rozmowy z rządem bolszewickim były czymś w rodzaju zdrady narodowej. Zwłaszcza że łączyły się w pojęciu oddanych stronników Francji z obawą o zadrażnienie stosunków z tym właśnie mocarstwem, które znaczny odłam polityków prawicowych darzył bezgranicznym niemal zaufaniem. Innym powodem zachowywania tajemnicy była uzasadniona obawa Piłsudskiego, że bolszewicy pragną tylko wygrać na czasie i że żadna propozycja przez nich wysunięta nie znajdzie pokrycia w faktach, za to każda zostanie wyzyskana propagandowo. Rozbudzenie nadziei na pokój w zmęczonym wojną społeczeństwie polskim mogło osłabić wysiłek nad dalszą rozbudową sił zbrojnych. Tym większa zaś byłaby gorycz, gdyby nadzieje zostały rozwiane po przewlekłym okresie wyczekiwania na wyniki pozytywne.

„Mają być fakty, a nie puste słowa”. Tak w skrócie brzmiała podstawowa instrukcja Piłsudskiego dla Ignacego Boernera, któremu zlecił prowadzenie rokowań. Jego partnerem — i w pewnym sensie inicjatorem rozmów w Mikaszewiczach — był także Polak, reprezentujący rząd bolszewicki. Był nim Julian Marchlewski.

Jakie były przesłanki strony bolszewickiej, gdy uchwyciła się okazji spotkania przedstawicieli Czerwonego Krzyża obu walczących ze sobą państw w celu omówienia wymiany jeńców? Bo taką zasłonę zastosowano dla rokowań.

II

Rosja bolszewicka znajdowała się w bardzo ciężkim położeniu strategicznym. Wojnę z Polską rozpoczął był rząd Lenina nie ukrywając jej celu politycznego. Celem tym było przeciwstawienie się polskiej koncepcji dopomożenia dążeniom wolnościowym narodów niegdyś podbitych przez carat, nad którymi rząd bolszewicki chciał obecnie rozciągnąć swą władzę. Na tym jednak cele wojenne Armii Czerwonej się nie kończyły. Zamierzenia polityczne szły dalej i obejmowały likwidację w zarodku niepodległości państwa polskiego.

Na przełomie roku 1918 i 1919 zamierzenia te miały w przekonaniu rządu bolszewickiego szanse realizacji. W Piotrogradzie, później w Moskwie, wiązano wiele nadziei z odruchami rewolucyjnymi w Niemczech, a także na Węgrzech. Zdawano sobie sprawę, że ośrodki komunistyczne w tych krajach nie zdołają opanować władzy inaczej niż przy pomocy rosyjskiego rządu rewolucyjnego. Fizyczne zbliżenie się Armii Czerwonej ku środkowi kontynentu europejskiego było jedynym sposobem udzielenia tej pomocy.

Nowopowstała przegroda terytorialna w postaci niepodległej Polski była więc głównym przedmiotem ofensywy propagandowej i militarnej rządu bolszewickiego. W propagandzie starano się działać na niekorzyść Polski, zakładając głośnie i uroczyste protesty przeciwko jednoczeniu się z nią ziem zaboru pruskiego i twierdząc, że ziemie te zrosły się już na zawsze z państwem niemieckim pod względem gospodarczym, kulturalnym i politycznym. Miało to rozbroić nieufność robotników niemieckich w stosunku do komunizmu, jednocześnie zaś przez schlebienie nacjonalistycznym tendencjom pokonanych Niemiec usposobić je przychylnie do rządu bolszewickiego.

Ten kierunek politycznej propagandy bolszewickiej wiązał się ściśle z atakiem na samo istnienie niepodległej Polski. Trwał on nieprzerwanie przez cały czas obrad paryskiego kongresu pokojo-

wego i nie skończył się po podpisaniu Traktatu Wersalskiego. Lenin nazwał ten Traktat „traktatem rozbójników i grabieżców”.

Nie mogło więc być i nie było po stronie polskiej żadnych złudzeń co do właściwych intencji rządu bolszewickiego. Deklaracje o samostanowieniu narodów wydawane przez Lenina oraz dekret Rady Komisarzy Ludowych z 29 sierpnia 1918 roku „unieważniający rozbiory” nie miały żadnego znaczenia, nawet propagandowego. Tym bardziej, że towarzyszyły tym aktom interpretacje dodatkowe, wydawane z monotonną prawie regularnością, w których prawo „samostanowienia” przyznawano jedynie „przedstawicielom proletariatu”.

Zniszczenie Polski i poparcie dla Niemiec, w mniemaniu Lenina dojrziałych do rewolucji, chciała Rosja bolszewicka osiągnąć w drodze zwycięstwa militarnego. Sytuacja nie rozwinęła się jednak po myśli sztabu Armii Czerwonej i rządu bolszewickiego. Wojska polskie stawiały Armii Czerwonej skuteczny opór. Odrzuciły ją. W tym samym czasie Rosja zrezygnować musiała ze swych nadziei zanieśienia rewolucji na teren Niemiec czy Czechosłowacji. W Niemczech stłumiono rewolucję krwawo i bezwzględnie, za co jednak Lenin rządu Rzeszy nie potępił, upatrując w nim ewentualnego sprzymierzeńca w dalszej rozgrywce z Polską.

Co istotniejsze, wojna domowa w Rosji przybrała rozmiary i obrót zagrażający utrzymaniu się u władzy partii komunistycznej. W lecie i wczesną jesienią nie tylko w kołach kontrewolucjonistów rosyjskich, lecz i we wspierających ich stolicach zachodnich uważano upadek Moskwy za przesądzony.

Sam Lenin nie taił obaw. Zdawał sobie rzecz jasna sprawę, że Piłsudski i Paderewski prowadzą politykę polską, a nie występują w roli narzędzia zachodniej Ententy. Wiedzano też w kierownictwie moskiewskim, że Polska nie zamierza pomagać „białej” Rosji, dopóki ta nie wyrzeknie się swych carskich tradycji „jednej i niepodzielnej”. Lenin bał się za to dwóch ewentualności. Pierwsza polegała na tym, że Polska postanowi wykorzystać zarówno swe zwycięstwo jak i trudne położenie wewnętrzne Rosji dla wystąpienia w roli arbitra przemawiającego z pozycji siły. Wówczas mogłaby podyktować swe warunki każdej ze stron walczących o władzę nad Rosją. Ewentualność druga polegała na niebezpieczeństwie ustępstw politycznych ze strony „białych” Rosjan i udzieleniu Polsce pomocy materiałowej i wojskowej przez rządy zachodnie w zamian za „zaprowadzenie w Rosji porządku”, by użyć modnego wówczas określenia dziennikarskiego.

Stąd zgoda Lenina na pokojową inicjatywę Juliana Marchlew-

skiego. Marchlewski jako przywódca Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy zwalczał ideę niepodległości Polski, zwłaszcza zaś przeciwstawiał się dążeniom wolnościowym zaboru pruskiego. Lecz z drugiej strony nie krył się ze swą polskością i miał wśród Polaków znajomych i przyjaciół. Na wiosnę musiał uciekać z Niemiec. Umożliwiono mu przejazd przez Polskę i przeprowadzono go przez linię frontu. Już wtedy zapewne dojrzała w nim myśl pogodzenia się z rzeczywistością, jaką była niepodległa Polska, choćby po to, by pozwolić rządowi bolszewickiemu skupić siły potrzebne w walce z kontrrewolucją wewnętrzną. Pierwsze wstępne rozmowy z kilkoma urzędnikami polskimi przeprowadził w lipcu. W październiku otrzymał daleko idące pełnomocnictwa od Lenina i polecenie wyzyskania dla pertraktacji pokojowych pobytu misji rosyjskiego Czerwonego Krzyża w Mikaszewiczach. Przybył tam 6 listopada i rozpoczął rozmowy z Ignacym Boernerem. Jednocześnie nastąpiło przerwanie działań zaczepnych wojsk polskich przeciwko Armii Czerwonej.

W instrukcji dla Boenera Piłsudski stwierdzał, że swe własne cele na wschodzie Polska już osiągnęła. Może więc zawrzeć pokój pod warunkiem zaprzestania nie tylko działań wojennych ze strony bolszewickiej, lecz także wyrażenia przez rząd bolszewicki zgody na samostanowienie ludności Białorusi i Ukrainy. Stawiał też wyraźnie sprawę trwałości ewentualnego porozumienia. Z góry zastrzegał się przeciwko deklaratywnym oświadczeniom w typie propagandowym.

W odpowiedzi na oświadczenie Marchlewskiego, że Lenin upoważnił go do „rozmawiania we wszystkich sprawach, które wynikły lub mogą wyniknąć między Polską a RSFRR”, Boerner zakomunikował mu warunki wstępne właściwych pertraktacji pokojowych. A mianowicie: oddziały Armii Czerwonej cofną się 10 kilometrów od linii frontu, rząd bolszewicki zobowiąże się nie prowadzić agitacji politycznej na terenie Polski, Armia Czerwona przestanie napierać na oddziały ukraińskie atamana Petlury i odda Dyneburg wojskom łotewskim.

Marchlewski po powrocie z Moskwy przywiózł zgodę na dwa pierwsze warunki. Natomiast nie uzyskał wyraźnej zgody na pozostałe. Lenin twierdził, że są to sprawy wybiegające poza zakres wzajemnych stosunków polsko-rosyjskich.

Piłsudski jednak rozmów nie zerwał. Powtórzył jedynie dwa odrzucone warunki. Boerner dodawał w jego imieniu, że Polska nie będzie prowadzić „pertraktacji za wszelką cenę”.

Warunek dotyczący Dyneburga był zresztą o tyle nieistotny,

że jego zdobycie przez Łotyszów i współdziałające z nimi dywizje polskie było i tak przesądzone. Natomiast sprawa zaprzestania działań przeciwko wojskom Ukraińskiej Republiki Ludowej była sprawą zasadniczą. Oznaczałoby to w rzeczywistości uznanie prawa narodu ukraińskiego do stanowienia o swym losie. Bez spełnienia tego warunku cała koncepcja ideologiczna polityki polskiej uległaby zwichnięciu za wątpliwą korzyść pokażnej zdobyczy terytorialnej na Białorusi. Na tym polegały „fakty”, jakich domagał się od Lenina Piłsudski. Otrzymywał tylko słowa. Bo pertraktacje toczyły się dalej. Marchlewski przebywał w Mikaszewiczach do 22 grudnia. Lecz nie rozmawiał już z Boernerem, któremu Piłsudski rozmów zakazał, dopóki Lenin nie wyrazi zgody na warunki podstawowe. Bez nich Polska pokoju zawrzeć nie chciała. Narażałaby się na całkowite zerwanie z mocarstwami zachodnimi, które się pokojowi opierały, nie uzyskując w zamian żadnych możliwości prowadzenia dalszej polityki wyzwolenczej w stosunku do Ukraińców.

W grudniu jednak Denikin zamiast spodziewanego marszu na Moskwę był w odwrocie, Kołczak był pokonany, a oddziały Judenicza pod Piotrogradem w rozsypce. Pokój z Polską przestał być dla rządu bolszewickiego sprawą życia lub śmierci. Lecz pozostał hasłem propagandowym pozwalającym mu wygrywać na czasie. W Mikaszewiczach cel ten rząd bolszewicki osiągnął tylko połowicznie wskutek właściwej oceny jego zamiarów przez stronę polską.

III

Wiadomości o pertraktacjach między Boernerem i Marchlewskim przeciekały do wiadomości opinii polskiej oraz do stolic zachodnich. Treść ich oraz podstawowe warunki strony polskiej nie były jednak znane. W tym względzie Piłsudski dotrzymywał umowy wstępnej między dwiema stronami, które uznawały, że dochowanie tajemnicy leży we wspólnym interesie. Lenin i komisarz spraw zagranicznych Cziczerin podkreślali wówczas, że Polska w ówczesnej sytuacji międzynarodowej nie może zawierać formalnego pokoju z Rosją bolszewicką, gdyż z jednej strony narazi ją to na natychmiastowy konflikt z zachodnimi rządami koalicji i z Radą Najwyższą, z drugiej zaś strony może wywołać niechętną reakcję kół prawicowych w Sejmie.

Po upadku gabinetu Paderewskiego 13 grudnia powstał nowy rząd o charakterze centrowym pod przewodnictwem Leopolda Skulskiego. W sejmowej komisji spraw zagranicznych natomiast utrzymało się przewodnictwo Stanisława Grabskiego i przewaga Narodowej Demokracji. Miało to duże znaczenie i to z dwóch powodów. Komisja sejmowa gotowa była uznać linię frontu polsko-bolszewickiego na Białorusi i Ukrainie za ostateczną granicę między Polską i Rosją. Pokrywała się ona z grubsza z tak zwaną „linią Dmowskiego” opracowaną w czasie konferencji pokojowej i pomyślaną jako najdalej wysunięta rubież polskich pretensji terytorialnych na wschodzie. Lecz tu właśnie powstawała różnica poglądów między zwolennikami inkorporacji i koncepcji federalnej reprezentowanej przez Piłsudskiego i Paderewskiego. Koncepcja federacyjna głosiła zasadę, że przedrozbiorowe ziemie polskie na wschód od zwartego obszaru polskiego osiedlenia mają prawo wypowiedzieć się dobrowolnie o swym przyszłym losie. Zadaniem państwa polskiego jest zabezpieczyć im możliwość dokonania wyboru w drodze plebiscytu. Ten cel polityczny sprecyzowała uchwała Sejmu Ustawodawczego już 4 kwietnia 1919 roku. Paderewski powtórzył ją imieniem Polski 5 czerwca przed Radą Najwyższą. Piłsudski powoływał się na nią stale zarówno w rozmowach z postępowym angielskim Rumboldem w Warszawie, jak i z wysokim komisarzem koalicji przy rządzie białorusyjskim MacKinderem, a także w wypowiedziach publicznych — między innymi w Wilnie w kwietniu i w Mińsku w sierpniu 1919 roku. Powtarzał je też na użytek opinii zachodniej w licznych wywiadach udzielanych korespondentom prasy francuskiej, angielskiej i amerykańskiej. Tym samym koncepcja plebiscytowa była zobowiązaniem międzynarodowym państwa polskiego. Jednocześnie zaś tłumaczyła w sposób nie pozostawiający wątpliwości wojskowe cele Polski.

Fakt ten był powszechnie znany zarówno w kołach „biało”-rosyjskich, jak i w rządzie bolszewickim, a także na Zachodzie.

Na tej przesłance politycznej osnute były podstawowe warunki pertraktacji w Mikaszewiczach. Zgoda na nie mogłaby być stworzyć realne podstawy pokoju. Gdyby rząd Lenina wyraził na nie zgodę, Polska gotowa była pokój zawrzeć nie oglądając się na naciski mocarstw zachodnich i przechodząc do porządku nad utratą tak jej potrzebnej pomocy gospodarczej i dostaw materiałowych. Byłby to ów zespół „faktów”, o których mówił Piłsudski Boernerowi, a Boerner Marchlewskiemu, odcinając się tym samym od werbalizmu, niejasnych deklaracji i tym podobnych sposobów grania na zwłokę. Lecz rząd Lenina wolał

grać na zwłokę. Gdy wskutek tego pertraktacje w Mikaszewiczach zakończyły się niczym, postanowił potrzebną mu zwłokę zdobyć dalszymi wysiłkami o charakterze propagandowym, ujętymi wszakże w kształt działania politycznego.

Czas był rządowi bolszewickiemu potrzebny dla konsolidacji wewnętrznej i dla zbudowania silnej maszyny wojskowej, która pozwoliłaby na ponowne podjęcie ofensywy poprzez Wisłę z punktem docelowym nie w Warszawie, lecz w centrum Europy. Moment tego rodzaju nastąpić miał w marcu 1920 roku. Wybuchł wówczas w Niemczech tak zwany „pucz Kappa” — próba zamachu sił skrajnie prawicowych. Przeciwno niemu nastąpiła gwałtowna reakcja robotnicza w postaci strajku generalnego, nad którym pieczę i przywództwo objął usiłowali komuniści. Powtarzała się zatem sytuacja z grudnia 1918 roku. Rewolucja w Niemczech znowu mogła utorować Armii Czerwonej drogę do serca Europy.

Nawet przewidując, że zgodnie z „dialektyką” każdy traktat z Polską zostanie zerwany w korzystnym dla Rosji momencie, rząd bolszewicki nie chciał się zgodzić na podstawowy polski warunek pokojowy, mianowicie na uznanie zasady samostanowienia narodów, na przyznanie prawa do niepodległości Białorusinom i Ukraińcom. Plebiscyt w granicach Polski przedrozbiorowej byłby wydarzeniem tak doniosłym historycznie, że pozbawiłby propagandę bolszewicką atutów, jakimi posługiwała się w urabianiu opinii Zachodu nie gorzej, a raczej znacznie lepiej niż czynili to przedstawiciele „białej” reakcji. Na przełomie roku 1919 i 1920 dziedziczyła Rosja „czerwona” kapitał błędnych pojęć i fałszywych ocen zbudowany na Zachodzie wysiłkiem „białych” Rosjan. Denikin był pokonany. Resztki jego wojsk spływały ku Krymowi. W Londynie i w Paryżu rozwiewały się nadzieje na szybkie „uporządkowanie” spraw rosyjskich. Nadzieje te budziły niechęć do Polski. Raz dlatego, że odmawiała wmięszania się do rosyjskiej wojny domowej po stronie „białych” i dla obrony interesów kapitalizmu, zwłaszcza francuskiego. Po wtóre dlatego, że zaprzeczała ważności zasady „jednej i niepodzielnej” Rosji, głosząc zamiast niej koncepcję wolności tych narodów, których praw i potrzeb nie uznawały ani Rosja, ani Zachód.

Koncepcja wolnościowa reprezentowana przez Polskę nie znajdowała ani poparcia, ani zrozumienia. Godzono się co najwyżej na jej zastosowanie wobec już wyzwolonych i zwyciężonych w wojnie z Armią Czerwoną państw nadbałtyckich, to jest wobec Łotwy, Estonii i Finlandii, z tym, że podobnie jak Polska po-

winy one — zdaniem Francji — trwać z bronią u nogi w ramach „kordonu sanitarnego” wokół Rosji bolszewickiej.

Konkretnym skutkiem tych poglądów były uchwały Rady Najwyższej z 7 i 13 grudnia 1919 roku. Mówiły one o „zarządzie polskim” na wschód od jej granic, których w dalszym ciągu nie określano, lecz odżegnywały się od plebiscytu i od przyznania praw do samostanowienia Białorusinom i Ukraińcom. W wypowiedziach publicznych polityków, w artykułach prasowych, w deklaracjach wiecowych nazywano ich „Rosjanami”, a ich ziemię „Rosją”. Propaganda komunistyczna podniecała rzecz jasna te poglądy i umacniała fałszywe historyczne i demograficzne, oskarżając jednocześnie Polaków o „imperializm”, o „reakcyjne próby ochrony obszarników i burżuazji”. Innymi słowy, oskarżano państwo polskie o chęć inkorporowania ziem białoruskich, ukraińskich czy litewskich.

W Warszawie sejmowa komisja spraw zagranicznych skłaniała się ku inkorporacji, łudząc się, że polityka inkorporacyjna, będąca w istocie rozbiorem ziem białoruskich i ukraińskich, prędzej czy później zadowolili zainteresowaną ludność i że Rosja nie będzie miała ani siły, ani ochoty na wznowienie ofensywy przeciwko Polsce. W ciągu kilku tygodni nastąpiło w Warszawie przejście od postawy bezwzględnej wrogości wobec rządu bolszewickiego do błędnego poglądu, że cele Polski w wojnie z nim już zostały osiągnięte. Gdy pogłoski o pertraktacjach mikaszewickich witano okrzykiem „zdrada”, propozycje Cziczierina z 22 grudnia, Lenina i Trockiego z 28 stycznia i Kalinina z 5 lutego przyjmowano za dobrą monetę.

Propozycje te przekazywano z Moskwy do Warszawy drogą radiową. W powodzi gołosłownych zapewnień o pokojowych zamiarach, o bezsprzecznym prawie Polski do niepodległości, Rosja proponowała ni mniej ni więcej tylko inkorporację przez Polskę ziem wschodnich aż do linii tysiąc sześćsetkilometrowego frontu po Berezynę i Słucz. W razie zgody Polski na pokój na tych właśnie warunkach korzyści dla Rosji byłyby ogromne. Warto je wyliczyć.

Przede wszystkim oznaczałoby to pogrzebanie idei samostanowienia narodów białoruskiego i ukraińskiego, wykreślenie ich istnienia i ambicji z ludzkiej pamięci.

Po wtóre wystawiałoby na szwank czystość intencji politycznych Polski. Inkorporacja dawałaby argumenty wrogom Polski pomawiającym ją o imperializm i reakcyjność.

Po trzecie osłabiałoby Polskę od wewnątrz i od zewnątrz. Bo nastąpić by musiała demobilizacja, a przynajmniej wstrzyma-

nie rozbudowy polskich sił zbrojnych. Jednocześnie zaś rządy zachodnie wstrzymałyby wszelką dla niej pomoc gospodarczą jako karę za zawarcie pokoju z rządem Lenina, a być może odmówiłyby przychylnego stanowiska wobec zbliżającego się plebiscytu na Górnym Śląsku. Utrzymanie tej dzielnicy przy Niemczech było jednym z głównych celów politycznych rządu Lenina. Podobnie mogłoby się być stać z Pomorzem.

I wreszcie — dawałoby Rosji ów bezcenny czas potrzebny na przygotowanie ofensywy. O pretekst do niej rząd bolszewicki nie musiałby się troszczyć; wystarczałby manifest jakiejś komórki komunistycznej w Mińsku, Wilnie czy Piotrkowie.

W odpowiedzi na propozycje Cziczierina strona polska stwierdziła gotowość zawarcia pokoju, z tym jednak, że domagała się całkowitego przekreślenia traktatów rozbiorowych, formalnie przecież już przez Rosję unieważnionych. Polegać to powinno jednak na konkretnym uznaniu prawa ludności zainteresowanych obszarów do swobodnego powzięcia decyzji o swym przyszłym losie. Probierzem była tu niewątpliwie nie tyle sprawa Białorusi, ile sprawa Ukrainy. Po pokonaniu Denikina Rosja zajęła Kijów i wprowadziła tam własny rząd komunistyczny Rakowskiego. Nie zaprzestała działań przeciwko wojskom Petlury i rządowi Ukraińskiej Republiki Ludowej. Polska rząd ten uznawała i wojskom ukraińskim udzielała schronienia za linią frontu. Uważała rząd Ukraińskiej Republiki Ludowej za jedyne przedstawicielstwo Ukraińców, chociażby tylko tymczasowe. Komisja spraw zagranicznych po pewnych wahaniach poparła tekst odpowiedzi polskiej. Z każdym dniem bowiem docierały do Polski wiadomości o przygotowaniach wojennych Czerwonej Armii z kierunku ataku na zachód. W marcu 1920 roku Armia Czerwona osiągała gotowość bojową, a zapowiedzi rewolucyjne w Niemczech sprawiły, że rząd Lenina uznał dalszą grę na zwłokę za zbytęcną.

Po stronie polskiej wiedziano już, że środkami politycznymi nie uda się dalszej wojnie zapobiec. Wyciągano też z tego logiczne konsekwencje wojskowe i polityczne.

PRZED WZNOWIENIEM WOJNY

Spokojnie, choć ze zrozumiałym napięciem śledzono w Warszawie kolejne pociągnięcia rządu Lenina na szachownicy walki

propagandowej przeciwko Polsce. Gdy jeszcze w styczniu i w lutym sejmowa komisja spraw zagranicznych gotowa była dawać wiarę hałaśliwym bolszewickim deklamacjom o gotowości zawarcia pokoju, w marcu 1920 roku nastrój ten zaczął ustępować zniecierpliwieniu. Zarówno wśród entuzjastów pertraktacji pokojowych rekrutujących się z ław prawicy sejmowej jak i wśród szerokich kół społeczeństwa tak bardzo zmęczonego wojną i zaprząt-niętego bolesnymi kłopotami codziennego życia pojawiało się coraz więcej wątpliwości co do szczerości intencji rządu Lenina. Wątpliwości te miały swe źródło w mgławicowości oświadczeń Cziczeryna, Trockiego, Kalinina i pomniejszych osobistości rosyjskich władz partyjnych i państwowych.

Propozycje Cziczeryna ani nie wypowiadały się na temat przyszłej granicy polsko-rosyjskiej, ani nie poruszały sprawy przyszłych stosunków między obydwoma państwami. Żądały jedynie zawieszenia broni na linii frontu i rozpoczęcia rokowań bez żadnego porządku dziennego. Innymi słowy dążyły do przewleczenia ulubionego przez Lenina i bardzo dla Rosji wygodnego stanu „ani wojny ani pokoju” aż do momentu, gdy Armia Czerwona osiągnie zdecydowaną przewagę nad wojskami polskimi i będzie mogła uderzyć w kierunku na Wisłę oraz przez Wisłę na teren Niemiec.

Zamiary te nie były oczywiście tajemnicą dla Naczelnika Państwa, dla sztabu głównego i dla rządu polskiego. Nie uchodziły też uwagi obserwatorów mocarstw sprzymierzonych i to nie tylko wojskowych. W angielskiej Izbie Gmin Winston Churchill, ówczesny minister wojny, odpowiadając na interpelację jednego z posłów podawał dokładne liczby koncentracji wojsk rosyjskich za frontem białoruskim. Mówił, że w ciągu stycznia i lutego siły te wzrosły z 80 do 134 tysięcy. Z właściwą sobie dokładnością wyjaśniał, że chodzi o „bagnety i szable” pierwszej linii, z czego należało wnosić, że całość sił sięga 400 tysięcy ludzi. Dodawał, że wszystko wskazuje na przygotowania do wielkiej ofensywy przeciwko Polsce. Stąd — zdaniem Churchilla — rząd polski, a zwłaszcza tak wielki znawca Rosji jak Piłsudski, mają sporo racji nie dowierzając pokojowym wypowiedziom bolszewickim. Czynią też słusznie nie chcą się wdawać w rokowania o nieokreślonym celu.

Churchill był raczej odosobniony w swej rzeczowej ocenie sytuacji. Oficjalne stanowisko rządu brytyjskiego formułował przeciw Lloyd George, przemieniony z nieubłaganego wroga komunizmu w zwolennika nawiązania stosunków handlowych z rządem bolszewickim. Rozbieżności i brak jasno określonej polityki

wśród państw sprzymierzonych opisywał najlepiej poseł Stanów Zjednoczonych w Warszawie Hugh Gibson w swych raportach do Waszyngtonu. Gdy Anglicy namawiają Polaków, by prowadzili pertraktacje, Francuzi wywierają na nich nacisk, by rokowań nie prowadzili, utrzymując jednocześnie „stałą obronę” na swej linii frontu. Nie obiecują jednak żadnej pomocy — ani politycznej, ani wojskowej czy gospodarczej. Włosi z kolei — pisał Gibson — namawiają Polaków do wznowienia działań zaczepnych. W tej sytuacji — zdaniem Gibsona — Polacy są w rzeczywistości zdani tylko i wyłącznie na własne siły.

Tak też było w istocie, o czym świadczy także podróż polskiego ministra spraw zagranicznych Stanisława Patka do stolic zachodnich dla wybadania reakcji na ewentualne pertraktacje pokojowe z rządem Lenina. Jakby w odpowiedzi na jego misję Rada Najwyższa sprzymierzonych uchwala z 27 lutego zalecała Polsce „defensywę” jako właściwą politykę i strategię. Nie obiecywała żadnej pomocy, a na dobitkę oświadczała, że rządy zachodnie nie sprzeciwia się pokojowi z Rosją, lecz ani go nie zamierzają gwarantować, ani też same „nie mogą nawiązać stosunków z rządem sowieckim, gdyż mają na uwadze bardzo złe w tym względzie doświadczenia”.

Defensywa — czyli trwanie na pozycjach stałego frontu — była dla Polski koncepcją nie do przyjęcia. Przyczyny wyjaśniał Piłsudski w wywiadzie udzielonym prasie już po wznowieniu działań wojennych. Mówił między innymi, że utrzymanie stałego frontu obronnego długości tysiąca kilometrów od Bałtyku aż po Ukrainę przekraczało siły małej armii polskiej, niedostatecznie uzbrojonej i niedoszkolonej. Front stały oznaczał fortyfikacje. Cały polski tabor kolejowy nie mógłby przewieźć nawet drutu kolczastego potrzebnego na zasieki na przedpolu. Nie mówiąc już o tym, że nigdzie tyle tego drutu nie można by zdobyć.

Oczywiście zasieki nie były podstawową przesłanką decyzji wojskowych. Wywiad polski działał bardzo sprawnie. Na podstawie dostarczanych przez niego danych sztab główny w Warszawie orientował się nie tylko w dyslokacji oddziałów Armii Czerwonej i w postęпах dokonywanej za frontem koncentracji, lecz także w planach operacyjnych naczelnego dowództwa rosyjskiego. Gdy 20 stycznia Rosja mogła przeciwstawić siłom polskim wszystkiego 4 dywizje, 20 kwietnia zgrupowała już 20 dywizji piechoty i 3 dywizje kawalerii na bezpośrednim zapleczu. Na tyłach koncentrowały się dalsze dywizje piechoty i armia konna Budiennego, ściągana z frontu walczącego z zepchniętymi na Krym resztkami białych wojsk Denikina pod wodzą generała

Wrangla. Już w lutym doświadczony sztabowiec carski na służbie bolszewickiej, generał Szaposznikow, opracował plan kampanii ofensywnej przeciwko Polsce. Został on aprobowany 10 marca na konferencji pod przewodnictwem naczelnego wodza Armii Czerwonej Kamieniewa. Plan ten przewidywał uderzenie na Polskę przez Białoruś siłami trzech lub czterech armii. Dwie armie miały zachowywać się obronnie na ukraińskim, czyli wołyńsko-podolskim odcinku frontu, paraliżując jak najwięcej sił polskich, by w miarę postępów ofensywy północnej przejść do natarcia w kierunku na Galicję i dalej przez Bug na Lubelszczyznę.

Według pierwotnych przewidywań sztabu polskiego strona bolszewicka mogła zakończyć koncentrację w maju. Z tym, że po wyruszeniu ofensywy mogła ją zasilać świeżymi siłami i uzupełnieniami, które podniosłyby stany bojowe do prawie 700 tysięcy ludzi. W początkach kwietnia zaczęły jednak napływać bardziej alarmujące wiadomości. Koncentracja bolszewicka odbywała się szybciej. Szybciej też postępowała mobilizacja nowych sił. W dodatku polepszało się z dnia na dzień wyposażenie Armii Czerwonej, głównie wskutek ogromnych zdobyczy sprzętu francuskiego i angielskiego, porzuconego przez rozbite wojska Denikina i Kołczaka.

Sytuacja w sensie wojskowym stawała się z każdym dniem groźniejsza. Siły polskie także wzrastały, a zajęcie Pomorza bez zbrojnego oporu ze strony Niemiec pozwalało na skierowanie znacznych rezerw na front wschodni. Niemniej w dyspozycji Naczelnego Wodza było wszystkiego 18 dywizji, z czego tylko 14 w pierwszej linii. Nie wszystkie były wypróbowane w boju, bardzo niejednolite było ich uzbrojenie, szwankowała praca sztabów, zwłaszcza na pośrednich szczeblach dowództw armii. Co ważniejsze, trudno było marzyć o dalszej rozbudowie wojska w tempie podobnym do bolszewickiego. Na przeszkodzie stawał nie tylko niedostatek uzbrojenia i sprzętu, lecz po prostu brak ludzi. Z każdym dniem szala przechylałaby się na korzyść nieprzyjaciela.

Zdawał sobie z tego dobrze sprawę Lenin. Na dziewiątym zjeździe komunistycznej partii Rosji 29 marca przestał czynić tajemnicę z narastania bolszewickiego potencjału wojennego, a także z jego przeznaczenia. Oto jego słowa:

„Wiemy, że każdy miesiąc przynosi nam gigantyczny wzrost sił. Siły te nie przestaną wzrastać... Mamy przed sobą formalną propozycję pokojową przedstawioną przez Polaków. Musimy sobie stanowczo powiedzieć, że bez względu na propozycje pokojowe

nie odrzucamy możliwości wojny. Stąd nasze wysiłki pokojowe powinny postępować równoległe z wyteżonym przygotowaniem do wojny”.

Trudno o wyraźniejsze odkrycie kart. Lenin mógł sobie nie pozwolić, gdyż nie zaskakiwało to już nikogo. Czy rzeczywiście miał przed sobą konkretne polskie propozycje pokojowe? Przecież ówczesna propaganda komunistyczna na Zachodzie utrzymywała, że Polacy na pokojową inicjatywę rosyjską odpowiadają milczeniem. To samo stanowisko zajęła później historiografia sowiecka. Lenin jednak nie kłamał. Wiedział, jakie są warunki pokoju przedstawione przez stronę polską. I z góry je odrzucał. Odrzucał przede wszystkim żądanie, by o tym czy na Ukrainie rządzić ma Dyrektoriat Ukraińskiej Republiki Ludowej czy fikcyjna Ukraińska Republika Rad decydowali tylko i wyłącznie Ukraińcy, gdy dokonają wolnych i powszechnych wyborów do własnej Konstytuanty.

Warunki polskie uchwaliła sejmowa komisja spraw zagranicznych w porozumieniu z rządem. Nie obyło się bez sprzeciwów Stanisława Grabskiego, szczególnie nieprzyjawnego Ukraińcom. 23 kwietnia ustąpił on ze stanowiska przewodniczącego komisji. Na jego miejsce obrano przywódcę Polskiej Partii Socjalistycznej, Ignacego Daszyńskiego.

Dwa dni przedtem Polska uznała formalnie rząd Ukraińskiej Republiki Ludowej, a kilka dni później zawarła konwencję wojskową z naczelnym wodzem ukraińskich sił zbrojnych, atamanem Symonem Petlurą. Uczyniła to w chwili, gdy rząd Lenina rozwiązał ostatnie złudzenia co do swych intencji pokojowych.

Nastąpiło to na tle drobnego z pozoru incydentu, jakim była tak zwana sprawa Borysowa. Położony na linii frontu polsko-rosyjskiego Borysów został upatrzony przez stronę polską na miejsce rokowań pokojowych. Zakomunikował to Cziczerinowi Patek 27 marca. Stąd Lenin miał formalne prawo oświadczyć na dziewiątym zjeździe partii, że ma przed sobą polskie propozycje pokojowe. Patek proponował także 10 kwietnia jako dzień rozpoczęcia rozmów. Nie było to już na rękę stronie bolszewickiej. Wygodniejsza znacznie była dotychczasowa sytuacja, w której można było głosić, że Polska nie chce pertraktować. A jednocześnie wykańczać przygotowania do ofensywy wojennej. Cziczerin odmówił więc zgody na spotkanie w Borysowie. Zamiast Borysowa proponował do wyboru kilka miast, łącznie z Tallinnem w Estonii i z Londynem, gdzie delegacji bolszewickiej w ogóle by nie dopuszczono.

Lecz strona polska z równym uporem obstawała przy Borysowie. Istotnie było to miejsce wygodne, zwłaszcza komunikacyjnie. Nie ulega jednak wątpliwości, że rząd polski nie sprzeciwiłby się żadnemu innemu miejscu spotkania, gdyby nie posiadane informacje o mającej lada chwila nastąpić ofensywie Armii Czerwonej. Borysów jako miejsce spotkania paraliżowałby możliwość zaskoczenia wojskowego. Położony w samym centrum frontu białoruskiego, byłby objęty zawieszeniem broni. Utrudniałoby to działania czwartej, piętnastej i szesnastej armii bolszewickiej, które właśnie kończyły koncentrację. Z drugiej zaś strony nie wiązałoby rąk dywizjom polskim na froncie południowym, to znaczy na Ukrainie. Stały one w pogotowiu jako jedyny skuteczny sposób ubiegnięcia agresywnych planów bolszewickich.

Spory o Borysów jako miejsce spotkania obu delegacji przelewały się przez trzy tygodnie kwietnia. Rozwiała też resztki nadziei, jakie mógł jeszcze żywić Naczelnik Państwa polskiego co do szczerości intencji rosyjskich. Depesze i oświadczenia Ciczeryna ani na chwilę nie wstrzymały napływu dywizji rosyjskich na linię frontu. Między obydwoma sztabami toczyła się gra myślowa o wiele ważniejsza od jałowych przygotowań do pertraktacji pokojowych. Gra toczyła się o dni i o godziny. Toczyła się o inicjatywę operacyjną. Jest ona zawsze atutem wojennym. Dla strony słabszej, jaką była Polska, uchwycenie inicjatywy stanowić mogło jedyny ratunek.

Józef Piłsudski inicjatywę tę uchwycił. 25 kwietnia, ubiegając wojska bolszewickie, ruszyła ofensywa polska na froncie ukraińskim. Miano ją nazwać „wyprawą kijowską”.

SOJUSZ Z UKRAINĄ

Polska ubezpieczała swe stanowisko w sprawie Galicji Wschodniej w drodze układu o charakterze międzynarodowym. Nie zawierała go z władzami Zachodnio-Ukraińskiej Republiki Ludowej, lecz z rządem Ukrainy Naddnieprzańskiej, na którego czele stał *de facto* Symon Petlura. Układ wstępny, zawarty już 24 maja przez premiera Paderewskiego z przedstawicielem Ukraińskiej (Naddnieprzańskiej) Republiki Ludowej Kurdybowskiem nie został wszakże ratyfikowany przez żadną ze stron i posłużył jedynie jako ramowa wytyczna dla dalszych pertraktacji.

Położenie Petlury i Ukrainy Naddnieprzańskiej było bardzo ciężkie. Skończył się okres powodzeń w walce na dwa jednocześnie fronty, to znaczy przeciwko wojskom Denikina i przeciwko Armii Czerwonej. Armia Petlury została zepchnięta na Podole i na Wołyń, w pobliże linii obsadzonej przez wojska polskie.

Były premier Zachodnio-Ukraińskiej Republiki Ludowej Petruszewycz znalazł się tymczasem na krótko w Kamieńcu Podolskim. Szukał nowych rozwiązań. Klęska wojskowa w wojnie z Polską skłoniła go do zmiany dotychczasowego stanowiska. Zwątpiwszy w przychyłość sojuszników zachodnich, godził się na poddanie resztek swych wojsk rozkazom Denikina. Zapewne brał za dobrą monetę zapewnienia białych emigrantów rosyjskich, że po zwycięstwie nad bolszewikami nowa „biała” Rosja dostanie także Galicję Wschodnią, którą Polacy dzierżą tymczasowo. Petruszewycz sądził, że „biała” Rosja da Ukraińcom w Galicji Wschodniej więcej niż im dać zechce Polska.

Tym samym jednak poświęcał bez zastrzeżeń los Ukrainy Naddnieprzańskiej. Jego drogi rozchodziły się definitywnie z drogami Petlury. Dla Petlury porozumienie z Rosją, obojętnie czy miała nią być Rosja „biała” czy „czerwona”, oznaczało przekreślenie nie tylko ukraińskich ambicji państwowych, lecz także zagładę narodową. Był w tym przekonaniu konsekwentny. Nie ulegał naciskom aliantów zachodnich, gdy skłaniali go do porozumienia z Denikinem. Nie miał się zresztą czego spodziewać w Paryżu, skoro traktowano go ciągle jako jednego z „przeciwników bolszewizmu”, lecz odmawiano uznania jego rządu i — co ważniejsze — podkreślano uporczywie, że „zagadnienie ukraińskie” jest wewnętrznym zagadnieniem rosyjskim. Także i teraz, gdy los bratniej Republiki Ludowej Zachodniej Ukrainy był przesądzony, Petlura nie widział powodów, by z nią razem zaprzepaszczać wszelką nadzieję. Decydował się na jedyne możliwe rozwiązanie: było nim zawarcie sojuszu z Polską, odnoszącą się, podobnie jak on sam, z równym niedowierzaniem do Denikina jak do bolszewików.

Zresztą Denikin zakończył także swój sezon powodzeń, które tyle nadziei wywoływały w Paryżu i w Pradze. Jego armia była w odwrocie pod naciskiem Armii Czerwonej. Strzelcy Siczowi z armii galicyjskiej, którzy poddali się pod jego rozkazy, pozostawieni sami sobie na Podolu poddali się z kolei dwunastej armii bolszewickiej, by po kilku miesiącach przejść na stronę Petlury. Jedyne były dowódca armii zachodnio-ukraińskiej, generał Omeljanowicz-Pawlenko, nie zaprzestał walki partyzanckiej, przedarł-

szy się na Zadnieprze, zgodnie z rozkazami Petlury. Własne oddziały Petlury walczyły z coraz większym trudem w wąskim paśmie między oddziałami bolszewickimi i polskimi. Z Polakami zaprzestano walki w początku września. W grudniu Symon Petlura wraz z rządem Ukraińskiej Republiki Ludowej przekroczył polską linię frontu i otrzymał gościnę w Chmielniku. W Warszawie rozpoczęto pertraktacje nad sojuszem wojskowym i politycznym między Rzeczypospolitą Polską i Ludową Republiką Ukraińską.

Sojusz, zawarty 21 kwietnia 1920 roku, podpisał ze strony polskiej kierownik MSZ Jan Dąbski, ze strony ukraińskiej Andrej Lewyckij. Konwencję wojskową podpisano po kilku dniach. Dokumenty te uznawały Dyrektoriat Ukraińskiej Republiki Ludowej za jedyny pełnoprawny rząd ukraiński. Ukraina rezygnowała z pretensji do Galicji Wschodniej i do Wołynia po rzekę Styr. Polska ustępowała Ukrainie wszelkie prawa do ziem na wschód od tej linii, lecz tylko do polskiej granicy przedrozbiorowej. Był to punkt bardzo istotny. Oznaczał, że w działaniach wojennych Polska nie przedłuży swej pomocy dla Ukraińców poza Dniepr, w myśl zasady, że uznaje prawo ludności do samostanowienia o swym losie w granicach Polski przedrozbiorowej, lecz że tylko w tych granicach gotowa jest ludności tej bronić przed najazdem rosyjskim. Polska udzieli koniecznej pomocy dyplomatycznej i materiałowej rządowi ukraińskiemu. Jego administracja obejmie natychmiast w posiadanie te ziemie ukraińskie, które już się znalazły bądź też znajdują się we władaniu wojska polskiego. Konwencja wojskowa przewidywała pomoc w organizowaniu i uzbrojeniu armii ukraińskiej oraz zasady współdziałania operacyjnego.

Postanowienia traktatu i konwencji wojskowej wprowadzono natychmiast w życie. Ośrodek szkoleniowy w Brześciu zdołał w krótkim czasie uformować ukraińską dywizję piechoty i szereg mniejszych oddziałów, złożonych po największej części z jeńców wziętych w czasie wojny w Galicji Wschodniej. Formowały się też i reorganizowały wojska ukraińskie na Podolu.

Traktatowi towarzyszyło ogłoszenie dwóch odezwo. Jedną, skierowaną do „mieszkańców Ukrainy”, podpisał Piłsudski, drugą — „do Narodu Ukrainy” — Petlura. Czytamy na jej wstępie: „Dotychczas naród ukraiński walczył sam, dzisiaj bezprzykładne czyny naszego poświęcenia znalazły oddźwięk w sercach wolnego już narodu polskiego”.

Spośród zapalczywych krytyk traktatu polsko-ukraińskiego zasługuje na uwagę zdanie Reszetera, autora dzieła „Rewolucja

Ukraińska”: „Traktat ten był całkowitym pogwałceniem odwiecznej tradycji wrogości panującej w stosunkach polsko-ukraińskich”. Trudno o większy komplement!

Niewątpliwie wyrzeczenie się Galicji Wschodniej nie było dla Petlury decyzją łatwą. Z jej też powodu spotkały go wyrazy potępienia ze strony ukraińskich „maksymalistów”. Z innych powodów traktat krytykowała prawica polska — najgłośniejsi Stanisław Grabski. Jego zdaniem Ukraina nie była warta zadrażnienia stosunków z Rosją bolszewicką. Lecz oceniając sprawę obiektywnie przypomnieć trzeba, że w chwili podpisywania traktatu z Ukrainą wojna polsko-bolszewicka trwała już od roku, a wszelkie próby zawarcia pokoju nie dawały rezultatów. Traktat z Ukrainą był przy tym zawierany w jak najbardziej odpowiednim momencie.

Krytyka późniejsza, zarówno polska jak i zachodnia, stawiała zarzut stronie polskiej, że przeliczyła się w swych rachubach na wpływy Petlury we własnym narodzie i że pomagając mu zaangażowała się ryzykownie w „wyprawę kijowską”. Ostateczny wynik wojny był jednak dla Polski zwycięski. Przegrali ją nieszczęśliwie tylko sojusznicy ukraińscy. Rząd Petlury miał po prostu za mało czasu, by okrzepnąć w kraju spustoszonego, szarpanego wstrząsami społecznymi, gdzie ludność straciła zaufanie do kogośkolwiek, z własnym rządem włącznie. Nie brak dojrzałości „państwowotwórczej” Ukraińców był przyczyną niepowodzeń organizacyjnych rządu Petlury, lecz zbyt krótki czas, jaki miał do dyspozycji.

Także niektóre sformułowania traktatowe pozostawiały dużo do życzenia. Pomyślano wprawdzie o klauzuli równouprawnienia dla Ukraińców w granicach Polski i dla Polaków w granicach Ukrainy, lecz jednocześnie wspomniano bardzo ogólnie o zabezpieczeniu polskich interesów gospodarczych, co w umysłach podejrzliwych mogło oznaczać tylko jedno: powrót na Ukrainę wielkiej własności ziemskiej Polaków. Nie wydaje się, by było to czymkolwiek zamysłem, na pewno nie było zamysłem Petlury, lecz budziło obawy, zrzęcznie wyzyskane przez wrogów porozumienia polsko-ukraińskiego.

Zarówno Piłsudski jak i Petlura interpretowali treść traktatu w ten sposób, że po zabezpieczeniu Kijowa i dostatecznie dużych połaci Ukrainy prawobrzeżnej rząd ukraiński zacznie działać zupełnie samodzielnie. Piłsudski wyrażał pogląd, że rzeczą Konstytuancy ukraińskiej jest postanowić o stosunku Ukrainy do innych niż Polska sąsiadów, to znaczy o stosunku do Rosji. Nie brał też na Polskę ciężaru wspomaganie Ukrainy, gdyby zechciała od-

zyskiwać ziemie położone za Dnieprem przy użyciu siły. Strona polska zabezpieczyła się więc starannie przed ryzykiem zbyt dalekiego zaangażowania.

Po zwycięstwie polskim pod Warszawą bolszewicy szli w rokowaniach pokojowych na jak najdalsze ustępstwa. Obstawiali tylko przy jednym — tym mianowicie, by delegacja polska uznała Ukrainą Republikę Rad za kontrahenta na równi z Rosją. Dopiero po pewnym czasie przypomnieli sobie także o sowieckiej Białorusi.

Obiektywny wyrok historii brzmieć może tylko tak: Polska porzuciła w Traktacie Ryskim swego sprzymierzeńca. Inną jest sprawą, czy mogła postąpić inaczej i czy powinna była prowadzić dalej wojnę, tym razem nie w obronie własnej lecz dla dotrzymania przysięgi z Petlurą. Jest to pytanie, które pozostawiam bez odpowiedzi.

WYPRAWA KIJOWSKA

I

Są dwa aspekty wyprawy kijowskiej, rozpoczętej przez 9 polskich i 2 ukraińskie dywizje 25 kwietnia 1920 roku. A mianowicie aspekt wojskowy i polityczny. Oczywiście istniała między nimi współzależność, przy czym sukces strategiczny lub jego brak decydowały o powodzeniu celu politycznego. Niemniej popełnia błąd, kto przypisuje zbyt wiele wagi jednemu z nich, lekceważąc drugi.

Błędu tego nie ustrzegła się także niezależna i bezstronna historiografia. Co ważniejsze, popełniała go współczesna opinia. Nie tylko na Zachodzie, gdzie znajomość spraw tej części Europy była — najdelikatniej powiedziawszy — mglista, wskutek czego posługiwano się prymitywnymi uproszczeniami w formułowaniu sądów. Także w Polsce prawdziwe lub pozorne niepowodzenia wojskowe na Ukrainie wywołały płytką w swej krytyce reakcję kół prawicowych, które pod wpływem koncepcji geopolitycznych Romana Dmowskiego i innych przywódców widziały ideał polskiej polityki wschodniej w podziale ziem ukraińskich między

Polskę i Rosję. Obojętnie jaką Rosję, gdyż w przekonaniu na przykład Stanisława Grabskiego każda Rosja chętniej się zgodzi na istnienie względnie silnej Polski, nawet ze znacznie ku wschodowi wysuniętą granicą, niż na penetrację idei wolnościowych, ukraińskich czy białoruskich, wśród ludności przedzielającej swym obszarem zasiedlenia ziemie etnicznie polskie od ziem etnicznie rosyjskich.

Tok rozumowania prawicy polskiej znajdował ze zrozumiałych powodów dość wierne odbicie w propagandowych założeniach polityki bolszewickiej. Subtelności tej nie dostrzegano ani w stolicach zachodnich, ani na prawicowych ławach Sejmu Ustawodawczego w Warszawie. Przyjmowano i tu, i tam za dobrą monetę tak zwane kompromisowe propozycje rosyjskie, kuszące ustępstwami terytorialnymi na rzecz Polski za cenę wyrzeczenia się „idei federacyjnej”.

Termin ten utarł się na oznaczenie kierunku politycznego, nad którym pracował Piłsudski, a który tak entuzjastycznego wyznawcę znalazł w osobie Paderewskiego.

Termin ten wymaga wszakże korektury, na którą po upływie przeszło pół wieku łatwiej się jest zdobyć w oparciu o bardziej beznamiętną analizę faktów. Federacyjność w postaci ściślejszych związków politycznych i gospodarczych z Polską obejmowała w koncepcji Piłsudskiego Litwę Środkową. Pierwotnie myślał o całej Litwie. Lecz ocenił trzeźwo zaciętość młodego nacjonalizmu litewskiego na Żmudzi i Kowieńszczyźnie i gotów był — by użyć jego własnych słów — „nie leżać tam, gdzie nas nie chcą”, ograniczając tym samym koncepcję federacyjną do Wileńszczyzny, to jest do obszaru o przewadze etnicznej żywiołu polskiego. Obejmował też koncepcją federacyjną Białoruś, lecz tu miała ona oznaczać co innego. Miała być czymś w rodzaju tymczasowego mandatu polskiego na obszarze wydzielonym w sposób nie pozostawiający wątpliwości z właściwego obszaru państwowego polskiego. Mandat ten miał trwać dopóty, dopóki naród białoruski nie wyłoni dostatecznie silnej grupy przywódczej zdolnej do samodzielnej pracy państwowej.

Natomiast w stosunku do Ukrainy Piłsudski nie narzucał ani nawet nie wysuwał koncepcji federacji z Polską. Nie tylko dlatego, że była to koncepcja niepopularna wśród licznych przeciwników i dobrze zorganizowanych ośrodków ukraińskiej myśli politycznej i kulturalnej. Nie tylko dlatego, że dopiero co zakończona — i, trzeba o tym pamiętać, wcale nie łatwa — wojna z Zachodnio-Ukraińską Republiką Ludową pozostawiła głębokie i dla współ-

pracy z Polską niechętnie tradycje wśród Ukraińców galicyjskich. W stosunku do trzydzieści kilka milionów liczącego narodu ukraińskiego przesłanki myślenia politycznego były zupełnie inne niż w stosunku do kilku milionów Białorusinów. Ukraina miała już za sobą kilka lat namiastkowej chociażby tradycji państwowej. Miała pełną świadomość swej odrębności państwowej i narodowej, nie miała wahań pojęciowych, gdy chodzi o swą odrębność od narodu rosyjskiego. Miała względnie liczną warstwę inteligencji o dużym ładunku patriotyzmu, miała kulturę o zdecydowanym obliczu, bogatą literaturę i tradycję walk wolnościowych, sięgającą co najmniej XVII wieku, jeśli nie wcześniej.

Gdy chodzi o stosunek Ukraińców Naddnieprzańskich do Rosji, charakteryzują go najlepiej słowa Trockiego wygłoszone przed moskiewskim Sowietem 20 sierpnia 1921 roku, a więc już po zakończeniu wojny z Polską i po obezwładnieniu Ukrainy przez rząd bolszewicki. Według Trockiego na Ukrainie w przeddzień wyprawy kijowskiej i bezpośrednio po niej „dominowała bezwzględnie Petlurowszczyzna. Obejmowała ona nie tylko kulałków, lecz sięgała głęboko w masy proletariatu, zwłaszcza wiejskiego, nie wyłączając najuboższych”.

Inne dowody: rząd tak zwanej Ukraińskiej Republiki Rad był przez całe społeczeństwo traktowany wrogo. Uważano go za władzę obcą, którą był w istocie, narzuconą krajowi przez Armię Czerwoną. Rządził terrorem, straszniejszym niż w Rosji, a sprawności aparatu Czerezwyczajki pilnował po zajęciu Kijowa przez wojska bolszewickie Feliks Dzierżyński. Z równą niechęcią odnosili się Ukraińcy do rządów „białych” Rosjan, Denikina czy Wrangla, pomimo chwilowych i taktycznych tylko sojuszków wojskowych. Wrzenie i stan ciągłego „powstania” — terminu tego używano wówczas powszechnie — trwały nieprzerwanie od czasów okupacji niemieckiej. Znajdowały ujście w ekscesach, lecz nie tylko w nich. Oddziały atamana Machny potrafiły walczyć skutecznie przeciwko bolszewikom, przeciwko wojskom Denikina, a także przeciwko Polakom, niekiedy jednocześnie. Społecznie były to ruchy chłopskie, skierowane przeciwko wielkiej własności, a więc także przeciwko wielkiej własności polskiej, lecz politycznie były to ruchy narodowe ukraińskie.

W kwietniu 1920 roku rząd Ukraińskiej Republiki Ludowej i jej siła zbrojna były już w przymierzu z Polską. Była to ze strony Ukraińców decyzja logiczna. Z dwóch powodów. Po pierwsze, Polska była jedyną konkretną siłą wojskową, zdolną stawiać opór Armii Czerwonej i odnosić zwycięstwa nad nią.

Po wtóre, ona jedna ze wszystkich państw europejskich uznawała rząd ukraiński i państwo ukraińskie. W przeciwieństwie do niej państwa zachodnie, a nawet pobliska Czechosłowacja, poddawały w wątpliwość istnienie narodowości ukraińskiej, traktując język ukraiński jako dialekt rosyjski. Po trzecie, Polska proponowała Ukrainie konkretny plan wspólnej akcji politycznej i wojskowej, dążący do zapewnienia jej niepodległości, bynajmniej nie w formie przymusowej federacji czy wymuszonego związku z Polską. Wspólne było tylko to samo niebezpieczeństwo grożące od strony Rosji i jej rządu bolszewickiego.

Przejmując po Stanisławie Grabskim przewodnictwo sejmowej komisji spraw zagranicznych Ignacy Daszyński miał za sobą całą lewicę i centrum sejmowe, a także te koła prawicowe, które nie kierowały się w swych poczynaniach założeniami politycznymi Narodowej Demokracji. W decydującym momencie zatem koncepcja obmyślona przez Naczelnika Państwa znajdowała poparcie większości opinii polskiej. Koncepcja ta znalazła wyraz w dokumentach przymierza polsko-ukraińskiego, a także w kilku instrukcjach i wypowiedziach Piłsudskiego. Wśród nich najcenniejszy jest przebieg jego rozmów z Leonem Wasilewskim.

Piłsudski stwierdzał, że obecność wojsk polskich na Ukrainie może trwać tylko, dopóki będzie potrzebna w ramach wspólnego, polsko-ukraińskiego planu operacyjnego. Administracja cywilna, zarząd kolei, sprawy gospodarcze zostaną przekazane władzom ukraińskim natychmiast po stworzeniu kompetentnych urzędów ukraińskich. Będą one pozostawały w kontakcie z polskim dowództwem etapów, lecz nie będą mu podlegać. „Czerwońce” jako waluta ukraińska będą jedyną walutą obiegową. Postanowienia te zostały powtórzone w dwóch odezwach, podpisanych osobno przez Piłsudskiego i przez Petlurę.

W sensie historycznym ważniejsze były postanowienia bardziej ogólne. Wojska polskie nie posuną się poza granicę pierwszego rozbioru, chyba że wymagać tego będą lokalne konieczności taktyczne, uzgodnione z Ukraińcami. To skrępowanie ruchu, niewygodne wojskowo, stanowiło wyraźny dowód, że wyprawa na Ukrainę przeciwko wojskom bolszewickim nie jest inwazją Rosji. Polska wyciągała jedynie wnioski z uchwały Rady Komisarzy Ludowych, na którą propaganda komunistyczna stale się powoływała, a która unieważniała traktaty i granice rozbiorowe. Tym samym Rosja formalnie zrzekała się obszarów zagarniętych wówczas kosztem przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. Z ich części Polska czyniła prezent narodowi ukraińskiemu, gdyż był tej części właściwym gospodarzem i na niej organizował się państwo.

Mówiąc o celach swej polityki ukraińskiej Piłsudski stwierdzał, że strona rosyjska albo dobrowolnie (dla uniknięcia dalszej wojny), albo przymuszona środkami wojennymi powinna postąpić tak samo w stosunku do obszarów Ukrainy położonych na wschód do Dniepru, które w czasie rozbiorów do Polski nie należały. Swobodnie wybrani przedstawiciele obu części Ukrainy mają postanowić wspólnie, jaki chcą mieć ustrój. „Ukrainie Rakowskiego przeciwstawiła się Ukraina Petlury” — mówił Piłsudski Wasilewskiemu. — „Nie naszą jest rzeczą decydować, która Ukraina jest prawdziwą”. Mają o tym zdecydować Ukraińcy sami, w swej stolicy Kijowie, który powinien zostać zdemilitaryzowany na czas obrad Konstytuanty. Cokolwiek Ukraińcy postanowią, oba państwa — to jest Rosja i Polska — muszą uszanować. Polska ich wolę uszanuje także w tym wypadku, jeśli postanowią związać się w jakiegokolwiek formie z Rosją. Lecz muszą mieć możność wypowiedzenia swojej woli, czego im odmawiają rząd bolszewicki i tak zwany rząd Ukraińskiej Republiki Rad Rakowskiego.

Petlura i rząd Ukraińskiej Republiki Ludowej godzili się na tę koncepcję i na tę interpretację. Nie znaczy to, by godzili się z lekkim sercem. Podpisując układ z Polską Petlura ponosił ofiary terytorialne. Opłacał tą ofiarą stawkę wolności i niepodległości państwa ukraińskiego. A o nią chciał walczyć do upadłego i do upadłego walczył.

Widzimy więc, że wielka wizja polityczna Polski utrwalona w dokumencie przymierza polsko-ukraińskiego nie polegała na wymuszaniu nierealnych koncepcji federacji polsko-ukraińskiej. Zakładała jako myśl wtórną możliwość przyszłej współpracy gospodarczej i przyjaźni obu państw. Lecz nie był to ani warunek, ani przyczyna przymierza, i nie był to cel polityczny wyprawy kijowskiej.

Celem tym było urządzenie Europy środkowo-wschodniej na mocnych moralnie i politycznie podstawach. W tym widział Piłsudski gwarancję bezpieczeństwa państwa polskiego. Gwarancji takiej nie znajdował w propagandowych hasłach bolszewickich. Czy walcząc o niepodległość Ukrainy walczył o osłabienie imperium rosyjskiego? Niewątpliwie tak. Polska i Rosja toczyły ze sobą wojnę na śmierć i życie. Lecz śmierć grozić mogła tylko Polsce, bo przegrana dla Rosji byłaby tylko przegraną, jedną z wielu. Naczelnik Państwa, rząd i Sejm polski mieli święty obowiązek dążyć do osłabienia przeciwnika, w sensie trwałym i skutecznym, politycznym i wojskowym. Przymierze z Ukrainą

i wyprawa kijowska były środkiem do tego celu. Historycznie tym donioślejszym, że był to środek uzasadniony moralnie, jako akt wyznania wiary w prawo narodów do samostanowienia o sobie. Tym bardziej, że narodem tym byli Ukraińcy, dzielący z Polakami od setek lat dzieje i mający wspólny bilans wydarzeń radosnych i tragicznych, czynów dobrych i złych.

II

Różne deklaracje polskie składane były w tym okresie na forum sejmowej komisji spraw zagranicznych, a także na łamach prasy krajowej i zagranicznej oraz w notach i interpelacjach krążących między Warszawą a stolicami zachodnimi. Ostatni z tych sposobów był obliczony na niedyskrecje, które docierając do wiadomości Moskwy informowały ją o polskich warunkach pokojowych bez ostatecznego wiązania się oficjalnym oświadczeniem.

Strona bolszewicka stosowała podobną metodę. Z tym wszakże, że określała swe warunki czy — aby użyć innej nomenklatury — swe „cele pokojowe” w sposób jak najbardziej zagmatwany i niejasny, licząc przede wszystkim na efekt propagandowy, który zresztą osiągnęła i to w środowiskach jak najbardziej do siebie niepodobnych. Mianowicie w słabo lub wcale się nie orientujących w rzeczywistości Europy wschodniej i prawdziwych celach politycznych rewolucyjnej Rosji środowiskach socjalistycznych na Zachodzie oraz w zdecydowanie zachowawczej prawicy sejmowej w Polsce.

Popępiały one dwa błędy, przed którymi ustrzegł się rząd polski i Naczelnik Państwa, a które starała się wyzyskać strona bolszewicka. Po pierwsze gotowe były uwierzyć w celowość przewlekłych rokowań bez ustalonej z góry tematyki i bez uzgodnionych preliminarów, przy jednoczesnym zawieszeniu broni, co pozbawiłoby stronę polską możliwości wyzyskania już osiągniętych korzyści strategicznych, gdyż oznaczałoby *de facto* rozbrownienie zamiast umacniania potencjału wojennego. Po drugie zakładały wyczerpanie Rosji bolszewickiej, co miało rzekomo odebrać jej i możność, i ochotę do jakiegokolwiek akcji ofensywnej, albo też wierzyły naiwnie, że dotychczasowe niepowodzenia rewolucyjne poza obszarem rosyjskim kazały rządowi bolszewickiemu zrezygnować z ponownego podboju tych części Ukrainy, Białorusi czy Litwy, które znalazły się już po polskiej stronie frontu.

W żadnym zaś wypadku nie chciały dopuścić myśli, by polityczne cele rosyjskie sięgały nie tylko po Mińsk czy Dubno na Wołyniu lecz także — jeśli nie przede wszystkim — po Warszawę, Poznań i Kraków. Przy tego rodzaju ocenach rozwiązanie przewlekłego impasu wojennego widziały w wytyczeniu granicy terytorialnie korzystnej dla Polski, bez żadnych trwałych gwarancji.

Były to bardzo niebezpieczne błędy. Jak bardzo były niebezpieczne, wykazały długofalowe skutki traktatu zawartego w Rydze. W Rydze jednak Rosja rzeczywiście potrzebowała pokoju, chociaż nie miała zamiaru go dotrzymać po kilku czy kilkunastu latach. Na wiosnę roku 1920 położenie było zupełnie inne. Rosja nie chciała pokoju, chciała tylko zyskać na czasie dla dokończenia koncentracji wojskowej, która dawałaby jej całkowitą nad Polakami przewagę, umożliwiając wykonanie „operacji Wisła”, rozpoczętej w grudniu roku 1918. Z wykonania tej operacji rząd bolszewicki nie rezygnował ani przez chwilę.

Naczelnikowi Państwa i rządowi polskiemu także zależało na wygraniu na czasie. Lecz w ich wypadku stawką było wyprzedzenie przeciwnika w uchwyceniu inicjatywy. Bo czas musiał grać na korzyść strony bolszewickiej. Zarówno w sensie wojskowym, jak i politycznym.

Zacznijmy od odcinka politycznego. Nowopowstałe państwo polskie kształtowało swą politykę zagraniczną w oparciu o przesłanki, wśród których wiele określić należało jako niewiadome. Niewiadoma była na przykład do końca roku dziewiętnastego przyszłość Rosji. Czy z anarchii i chaosu wojny domowej, z zupełnej ruiny gospodarczej i bezprzykładnego terroru wyłoni się Rosja rewolucyjna czy reakcyjna? Niepewność i wahania sprzymierzonych zachodnich wznagły liczbę znaków zapytania. Gdy chodziło o interesy Polski Piłsudski nie czynił rozróżnienia między Rosją „białą” lub „czerwoną”. Wiedział, że każda Rosja — z odmiennych, lecz nie we wszystkim sprzecznych pobudek — dążyć będzie do podporządkowania sobie Polski. Odrzucał też zdecydowanie koncepcję Francji, by z Polski stworzyć coś w rodzaju państwa buforowego. Bezpieczeństwo Polski wymagało innej polityki. Wymagało stworzenia takiego układu sił, w którym Rosja, każda Rosja, przestałaby dysponować absolutną przewagą. Rosja osłabiona nie byłaby też atrakcyjnym partnerem dla Niemiec, co lepiej zabezpieczało interesy Polski od strony jej zachodniego, nieprzyjaznego sąsiada, niż wątpliwej wartości gwarancje i sojusze z Francją, od których zresztą Francja się w początkowym okresie odcinała.

W zimie 1920 roku — zgodnie z przewidywaniami Piłsudskiego — możliwość powstania Rosji „białej” przestała istnieć. Pozostawała na placu Rosja „czerwona” jako siła z każdą chwilą groźniejsza. Jej cele polityczne, na dłuższą czy na krótszą metę, mieściły w sobie likwidację niepodległości Polski. Rokowania miały służyć tylko jednemu celowi: dalszej koncentracji wojskowej, odczekaniu na skutki agitacji propagandowej i uchwyceniu mocną ręką tych obszarów, które dopiero co zdobyła na Ukrainie. Ruch narodowy i wolnościowy ukraiński stał się jedynym poważniejszym ruchem oporu przeciwko władzy bolszewickiej. Lecz słabł z każdą chwilą, w miarę rosyjskiego nacisku fizycznego. Udzielenie pomocy temu najważniejszemu ośrodkowi walki narodowo-wyzwoleńczej było wielkim celem moralnym. Lecz miało także znaczenie polityczne. To znaczy mogło je mieć, jeśli Polska zdołałaby wygrać wyścig z czasem. Należało więc działać, zanim terror Czerezwyczajki nie sparaliżuje woli ukraińskich działaczy niepodległościowych. Czy ten eksperyment polityczny będzie uwieńczony powodzeniem, trudno było przewidzieć, lecz na pewno należało mu dać szansę.

Tutaj splatały się ze sobą długofalowe cele polityczne i bezpośrednie cele strategiczne. Nawet gdyby Konstytuanta ukraińska opowiedziała się za jakimś związkiem z Rosją, nie byłoby to w żadnym wypadku polską przegraną wojskową, gdyż wolny rząd ukraiński w Kijowie i odtworzona armia narodowa ukraińska skracaly front polsko-bolszewicki do linii łączącej Dźwinę z porzeczem poleskiej Prypeci.

Na tym polegał plan wojskowy polski, aprobowany przez Piłsudskiego jako Naczelnego Wodza. Nakazał przyspieszyć jego wykonanie na 25 kwietnia nie dlatego, by nie wiedział o koncentracji głównych sił bolszewickich nie na Ukrainie, lecz właśnie na Białorusi. Wywiad polski działał tu doskonale, a analiza sztabowa była bezbłędna: przewidywała uderzenie z rejonu Witebska i zza Berezyny w kierunku na Mińsk i Wilno. Uprzedzić tego uderzenia w sposób ofensywny armia polska nie mogła. Oznaczałoby to bowiem wciągnięcie dywizji polskich głęboko w obszar rosyjski, nie dając w zamian żadnych korzyści. Marsz na Smoleńsk czy na Moskwę był przy istniejącym układzie sił zupełnym absurdem. Armia bolszewicka mogła na tym kierunku zadać Polsce klęskę po prostu nie przyjmując bitew i wycofując się coraz dalej. Na dobitkę znaczna część sił polskich musiałaby trwać w pasywnej obronie na froncie ukraińskim, skąd Rosja mogła w każdej dogodnej chwili dokonać przeciwwuderzenia. Trzeba się było pokusić o jedyne logiczne rozwiązanie.

Wojskowy plan polski — podkreślam: wojskowy, a nie polityczny — polegał na szybkim uderzeniu na Ukrainie aż do linii Dniepru z ewentualnym wydłużeniem w kierunku Odessy. Siły polskie miały rozbić dwie stosunkowo słabe armie bolszewickie — dwunastą i czternastą. Potem *gros* sił polskich miano przetrzucić na front białoruski, by zrównoważyć możliwości oporu przeciwko ofensywie Armii Czerwonej od północo-wschodu. Rozkazy operacyjne przewidywały odejście dwóch dywizji polskich, czwartej i piętnastej, z Ukrainy na Białoruś już w czwartym i siódmym dniu natarcia na Kijów. Nie przewidywano też użycia i nie użyto na Ukrainie polskich sił rezerwowych, kończących reorganizację i liczących 6 dywizji. Siły te miały pójść i poszły na front białoruski, podobnie jak i dalsze dwie dywizje użyte w wyprawie kijowskiej.

Termin rozpoczęcia ofensywy bolszewickiej na Białorusi przewidywano początkowo na lipiec. Lecz już w kwietniu zmieniono tę ocenę na podstawie świeższych wiadomości, oceniając, że uderzenie Armii Czerwonej nastąpi w drugiej dekadzie maja. W rzeczywistości rozpoczęło się 14 maja. Do tego terminu wyznaczone cele strategiczne na Ukrainie powinny były już być osiągnięte. To znaczy powinien był powstać front obronny na linii Dniepru, a od wysokości Wasylkowa przedłużony przez Braclawszczyznę i Podole do Dniestru. Dwie armie bolszewickie powinny były być osłabione do tego stopnia, by dać się utrzymać w szachu siłami 3 lub 4 dywizji polskich oraz 6 dywizji ukraińskich. Na sformowanie tego pierwszego rzutu armii ukraińskiej przewidywano 6 tygodni. Był to termin krótki, lecz realny. Bo istniały już załączki. Były nimi 6-ta dywizja ukraińska generała Bezruczki, sformowana w Brześciu i wymagająca tylko uzupełnienia stanów, oraz oddziały bohaterskiego generała Omeljanowicza-Pawłenki, skoncentrowane w rejonie Kamieńca Podolskiego, gdzie mieściły się Naczelne Dowództwo i Rząd Ukraińskiej Republiki Ludowej.

Szybkość operacji była podstawowym warunkiem powodzenia. Osiągnięcie Kijowa i rozbięcie dwunastej armii bolszewickiej nastąpić miało do 7 maja. Terminu tego dotrzymała działająca na tym kierunku trzecia armia polska, a zwłaszcza jej grupa uderzeniowa pod dowództwem generała Śmigłego-Rydza. Działając siłami doświadczonej i świetnie wyposażonej 1-szej dywizji piechoty legionowej, stosunkowo niedawno sformowanej 7-ej dywizji piechoty oraz 1-ej brygady kawalerii, grupa uderzeniowa osiągnęła w dwóch pierwszych dniach natarcia rejon Żytomierza, rozbijając przy tym dwunastą armię bolszewicką. Zdobycie Kijo-

wa mogło w tych warunkach nastąpić jeszcze szybciej niż nakazano, gdyż była to tylko sprawa wysiłku marszowego. Trzecia armia zatrzymała się jednak na krótko, dla podciągnięcia etapów i dla wyrównania linii frontu z czyniącymi wolniejsze postępy drugą i szóstą armią. Różnica tych dwóch czy trzech dni miała jednak zaważyć na losach całej kampanii.

III

W nocy z 25 na 26 kwietnia grupa uderzeniowa 1-ej dywizji piechoty legionów zajęła Żytomierz. W ciągu dwóch następnych dni dywizja legionowa oraz 7-ma dywizja piechoty osiągnęły w kilku miejscach linię rzeki Teterew, zabezpieczając przeprawę. Na przedpolu wycofywały się poturbowane bolszewicka 58-ma dywizja piechoty i 17-ta dywizja jazdy. Spodziewając się całkowitego rozbitcia, nie próbowały oporu aż do samego Kijowa, ściślej już na lewym brzegu Dniepru.

W tym samym czasie działająca na północ od polskiej grupy uderzeniowej 4-ta polska dywizja piechoty oraz grupa podhalańska pułkownika Rybaka i 3-cia brygada kawalerii odrzuciły dywizje bolszewickie poza Owrucz i Korosteń, wydłużając uderzenie na miejscowość Malin. Tylko brak koordynacji poszczególnych członów natarcia polskiego — a przyczyną było ich rozrzucenie w terenie, co przy szybkości marszu utrudniło łączność — ocalił dwunastą armię bolszewicką od całkowitej klęski. Zaskoczenie było jednak całkowite. W ręce polskie dostawały się tysiące jeńców, wiele sprzętu bojowego i przede wszystkim tabor kolejowy. W Owruczu na przykład zagarnięto ponad tysiąc załadowanych wagonów i 50 lokomotyw. Zdobywcza była wyjątkowo cenna z tego także względu, że ułatwiała organizację oddziałów ukraińskiej armii ludowej.

Nastroje ludności pozwalały przypuszczać, że armia ukraińska nie będzie miała trudności rekrutacyjnych, nawet jeśli Petlura nie ogłosi poboru i ograniczy się do zaciągu ochotniczego. Ten sposób nakazywały z jednej strony ostrożność, z drugiej zaś ograniczone możliwości organizacyjne. Pobór zarządzony po sześciu latach wojny lub okupacji, przy krańcowym wyniszczeniu gospodarki krajowej i przy zmęczeniu ludności mógł ostudzić zapał, zwłaszcza w tych okręgach, gdzie świadomość narodowa, choć rozbudzona, ustępowała często miejsca pragnieniu, by mieć na-

reszcie spokój. Radość z pozbycia się bolszewików nie zawsze oznaczała entuzjazm w stosunku do wojsk polskich, w których widziano przede wszystkim potencjalnych opiekunów ludności polskiej, wcale licznej po miastach. Łączyła się też z obawą powrotu polskiego ziemiaństwa do spustoszonych po największej części dworów i majątków, bądź stojących odłogiem, bądź zagospodarowanych przez okolicznych chłopów. Nastrojom tym mógł zapobiec czas, który by przekonał podejrzliwych, że zarówno odezwy Piłsudskiego i Petlury jak i praktyka codzienna nie tylko gwarantują ludności ukraińskiej niepodległość polityczną, lecz także zabezpieczają ją przed zahamowaniem już dokonanych przeobrażeń społecznych.

W odezwie do „mieszkańców Ukrainy” Naczelnik Państwa polskiego nie precyzował rzecz jasna szczegółów konwencji wojskowej polsko-ukraińskiej ani traktatu przymierza między dwoma państwami. Stwierdzał jedynie, że „wszystkim mieszkańcom Ukrainy bez różnicy stanu, pochodzenia i wyznania wojska Rzeczypospolitej Polskiej zapewnią ochronę i opiekę”. Jednocześnie podkreślał tymczasowość pobytu wojsk polskich na Ukrainie w następujących słowach: „Wojska polskie pozostaną na Ukrainie przez czas potrzebny po to, by władzę na ziemiach tych mógł objąć prawy rząd ukraiński. Z chwilą gdy rząd narodowy Rzeczypospolitej Ukraińskiej powoła do życia władze państwowe, gdy na rubieży staną zastępy zbrojne ludu ukraińskiego, zdolne uchronić kraj przed nowym najazdem, a wolny naród sam o losach swych stanowić będzie mocen, żołnierz polski powróci w granice Rzeczypospolitej Polskiej”.

Podobne stwierdzenia zawierała odezwa Symona Petlury. Jego zarządzenia szły już w kierunku praktycznym. Jedno z nich mówiło po prostu: „Rozkazuje się poczynić przygotowania do mobilizacji”.

Konwencja wojskowa polsko-ukraińska w swym punkcie ósmym przewidywała wyraźnie współpracę polskich władz wojskowych z urzędami i władzami ukraińskimi: „Z chwilą rozpoczęcia wspólnej ofensywy i zajęcia nowych terenów prawobrzeżnej Ukrainy, położonych na wschód od obecnej linii frontu polsko-bolszewickiego, Rząd Ukraiński organizuje na takowych swój zarząd i administrację cywilną i wojskową. Tyły wojsk polskich ochraniać będzie polska żandarmeria polowa i polskie władze etapowe; złuzowanie przez władze ukraińskie nastąpi na zasadzie osobnej umowy po sformowaniu ukraińskiej żandarmerii oraz ukraińskich władz etapowych. Rząd Ukraiński organizuje

swój aparat administracyjny i w miarę jego organizowania władza na tych terenach... przechodzi w ręce Rządu Ukraińskiego”.

Dowódcą etapów armii polskiej miał zostać generał Romer. Było to jedno z najtrudniejszych zadań. Do jego obowiązków należało wiele zagadnień o charakterze politycznym, co wynikało z konwencji wojskowej. Chodziło bowiem nie tylko o zapewnienie zaopatrzenia na bardzo szerokim froncie i przy szybkim ruchu naprzód, lecz także o zapewnienie praktycznych możliwości tworzenia wojsk ukraińskich i terenowej administracji ukraińskiej. Ponadto dowództwo etapów musiało zapewnić środki transportowe dla dywizji polskich mających przejść z frontu ukraińskiego na front północny natychmiast po osiągnięciu wyznaczonych celów natarcia. Powodzenie planu polskiego wymagało utworzenia co najmniej 6 dywizji ukraińskich, które byłyby zdolne w oparciu o słabe stosunkowo siły polskie utrzymać się obronnie na Dnieprze i na dalekim przedpolu Odessy. To z kolei wymagało powodzenia planu politycznego. To znaczy jak najszybszego uruchomienia administracji ukraińskiej na całym obszarze operacyjnym i tym samym wytworzenia wśród ludności przekonania, że pojawienie się wojsk polskich i załazkowych oddziałów ukraińskich między Dnieprem i Dniestrem jest rzeczywistą zapowiedzią niepodległości państwowej, a nie jeszcze jedną chaotyczną operacją wojskową.

Stąd nie tylko wojskowe, ale i polityczne znaczenie jak najszybszego zajęcia Kijowa. W Kijowie rząd Petlury miał prawdziwe szanse poruszenia narodu ukraińskiego i możliwości pracy organizacyjnej. Po zajęciu stolicy Ukrainy hasło zwołania Konstytuanty stawało się czymś uchwytnym i konkretnym zamiast być mglistą zapowiedzią.

Zdawała sobie z tego doskonale sprawę strona bolszewicka. Na wiadomość o ruszeniu ofensywy polskiej na Ukrainie i o błyskawicznym powodzeniu wojsk polskich zapanowała w Moskwie panika. Ocena sytuacji wojskowej wypadła fatalnie. Dwunasta armia bolszewicka przestała istnieć w sensie operacyjnym. Na biurku Piłsudskiego w kwaterze głównej w Żytomierzu znalazła się na przykład depesza dowódcy tej armii, nadana *clair'em*, a skierowana do dowódców dywizji, z zapytaniem, gdzie który z nich jest. I przechwycona odpowiedź dowódcy 58-ej dywizji, że jest z radiostacją w takim to a takim lasku, lecz nie tylko nie wie, gdzie są inne dywizje, ale i o położeniu swoim nic dokładniejszego donieść nie może.

Przyspieszenie ofensywy północnej było niewykonalne. Tu-

chaczewski nie chciał się na nie zgodzić, przewidując słusznie zmarnowanie wielomiesięcznych przygotowań w razie próby uderzenia przed zakończeniem koncentracji. Pojawiły się więc podejrzenia co do zdolności i lojalności wyższych dowódców bolszewickich. Były to podejrzenia jak najbardziej niesłuszne. Niemniej w Moskwie powołano radę rzeczoznawców wojskowych z udziałem generałów i ministrów carskich, pod przewodnictwem byłego wodza naczelnego armii carskiej, generała Brusilowa. Uprawnienia tej rady były bardzo szerokie. Wydała ona też szereg bardzo celowych zarządzeń wojskowych, przyspieszając koncentrację armii rezerwowych. Pierwsza z nich była gotowa do odjazdu na front już 6 maja. Rada służyła także celowi politycznemu. Miała mobilizować rosyjskie uczucia patriotyczne przeciwko wolnościowym dążeniom ukraińskim. Brusilow apelował do oficerów armii carskiej, by wyszli z ukrycia i zaciągali się do Armii Czerwonej „zapomniawszy o doznanych krzywdach”. Gdyż — jak pisał dalej Brusilow — „winniście nie szcędząc życia i ze wszystkich sił bronić drogiej nam Rosji i nie dopuścić do jej uszczuplenia. W przeciwnym razie może ona zginąć bezpowrotnie. Gdyż celem Polaków jest oderwanie od Rosji Ukrainy”.

Określenie celu polskiego w odezwie Brusilowa było zupełnie słuszne. Stanowiło jednocześnie publiczne przyznanie rządu bolszewickiego, że dotychczasowe jego deklamacje o prawie do samostanowienia narodów, między innymi Ukraińców, nie mają żadnego praktycznego znaczenia. Hasła rewolucyjne ustępowały jawnemu przyznaniu, że jedynie interes Rosji jako Rosji jest na prawdę decydujący politycznie.

Stanowiło to już poważny sukces polityczny, jako potwierdzenie założeń koncepcji reprezentowanej przez Piłsudskiego i Petlurę. Mogło też posłużyć jako ważny argument w umysłach niezdecydowanych w społeczeństwie ukraińskim, zwłaszcza tych elementów, które bądź z niechęci do Polski, bądź też z pobudek idealizmu rewolucyjnego zastanawiały się nad koncepcją autonomii narodowej w ramach nowego, rewolucyjnego i rzekomo socjalistycznego państwa budowanego przez Lenina.

Ogrom klęski bolszewickiej zaskoczył jednak także dowództwo polskie. 28 kwietnia wiedziało już ono o rozbiciu dwunastej armii bolszewickiej. Natomiast działająca na południe od niej czternasta armia zachowała zdolność operacyjną, którą sztaby polskiej armii drugiej i szóstej przeceniły. Co prawda już po dwóch dniach ofensywy 15-ta dywizja wielkopolska zdobyła Ber-

dyczów i współdziałając z dywizją kawalerii opanowała ważny węzeł kolejowy w Koziatynie. 13-ta dywizja hallerowska miała także duże sukcesy w ruchu na Bar i Winnicę, podobnie jak 6-ta dywizja ukraińska. Najbardziej ku południu wysunięta armia szósta nie napotykała na poważniejszy opór. Ona też opanowała Winnicę i Zmerynkę. Nieprzyjaciel poniosł duże straty w ludziach i sprzęcie. Potężnym ciosem było przejście na stronę Petlury trzech brygad Strzelców Siczowych oraz jednego pułku kozaków orenburskich. Strzelcy Siczowi, złożeni z weteranów wojny polsko-ukraińskiej w Galicji, zaliczali się do nieprzejednanych nieprzyjaciół Polski. Podporządkowanie się przez nich Petlurze miało duże znaczenie propagandowe, które zresztą Petlura umiejętnie wykorzystał.

Lecz wiadomości o sukcesach poszczególnych dywizji docierały z opóźnieniem do sztabów armii, a jeszcze później do wysuniętego rzutu Naczelnego Dowództwa w Zytomierzu. Dokonanie prawidłowej analizy osiągniętych sukcesów przy jednoczesnym nagromadzeniu się problemów związanych z okupacją ogromnych połaci terytorium, gdzie siłą rzeczy administracja ukraińska nie mogła powstać z niczego w ciągu kilku dni, nakazywało konsolidację przed ryzykownym dalszym ruchem naprzód. Ponadto Piłsudski chciał wykorzystać oszołomienie przeciwnika, by odebrać mu swobodę ruchu także na innych, wojskowo dla armii polskiej bardziej niebezpiecznych odcinkach frontu. Chodziło mu mianowicie o sparaliżowanie koncentracji nad średnim biegiem Dniepru, skąd słusznie przewidywał uderzenie. Celowi temu miało służyć uderzenie 9-ej dywizji generała Sikorskiego wzdłuż Prypeci przez Dniepr oraz wypad 14-ej dywizji wielkopolskiej z Bobrujska przez Berezynę. Chwilowe zatrzymanie natarcia na Ukrainie mogło skusić bolszewików do przerwania części swych sił właśnie z tego odcinka na przedpolu zagrożonego Kijowa.

Nastąpiła więc prawie dziesięciodniowa przerwa w działaniach trzeciej armii polskiej. Zbliżała się ona z wolna do Kijowa, licząc na bitwę z rezerwami bolszewickimi. Bolszewicy jednak ewakuowali pospiesznie Kijów. 7 maja oddziały polskie nie napotykając prawie oporu wkroczyły do stolicy Ukrainy. Zdarzył się przy tym humorystyczny nieomal wypadek. Podjazd pierwszego pułku szwoleżerów, gdy jeszcze toczyły się utarczki na przedmieściach, dotarł do śródmieścia przesiadłszy się z koni na zarekwirowany tramwaj...

Był dzień 7 maja 1920 roku. Losy Europy wschodniej, a może całej Europy, zadrgały na szali dziejów. Toczyła się roz-

grywka, która mogła raz na zawsze utracić fundament rosyjskiego imperializmu. Jej pierwsza faza kończyła się zwycięstwem Polski i sprzymierzonej z nią Ukrainy.

IV

Ważniejsze oczywiście i to w skali naprawdę historycznej było osiągnięcie celu politycznego. W oparciu o fakt posiadania Kijowa przymierze polsko-ukraińskie stawało się rzeczywistością, z którą każdy musiał się liczyć. Zapowiedź powstania niepodległego państwa ukraińskiego na obszarze stanowiącym bazę żywnościową dotychczasowej Rosji, obszarze o ogromnych potencjalnych możliwościach rozwoju przemysłowego, przestawała być propagandową pogroźką. Przekształcała się w rzeczywiste zagrożenie dla Rosji. Bez Ukrainy Rosja, pozostając potęgą, przestawała być potęgą przytłaczającą wszystkich sąsiadów, a w dalszej konsekwencji także inne państwa europejskie. Choć w zmieniających warunkach i przy większym niż niegdyś potencjale ludzkim i gospodarczym, Rosja, tracąc Ukrainę, cofała się na swe imperialne pozycje wyjściowe. Te same, jakie zajmowała przed epoką Piotra Wielkiego. Jednocześnie zaś niepodległa Ukraina stwarzała pożyteczną równowagę sił, którą cała Europa środkowa i wschodnia powitać by mogła bez niepokoju. Chociażby z tego względu, że niepodległa Ukraina nie oznaczała bynajmniej nadmiernego w stosunku do możliwości wzrostu wpływów państwa polskiego. Polsce zapewniała bezpieczeństwo, tak jak i innym krajom. Lecz nie zapewniałaby wcale pozycji mocarstwowej w prawdziwym znaczeniu tego słowa. Polacy musieliby się liczyć z Ukrainą w stopniu równie silnym co Ukraina z Polską. Musieliby się liczyć nawet z konfliktami interesów. A także z tym, że potencjał rozwojowy przyszłego państwa ukraińskiego byłby większy niż jej własny.

Były to wszakże względy drugorzędne wobec perspektywy stworzenia warunków pokojowej równowagi sił na przyszłość oraz zażegnania niebezpieczeństwa utraty własnej niepodległości.

Defilada zwycięskich wojsk polskich i ukraińskich, maszerująca ulicami Kijowa w dniu 9 maja, uprzytamniała te ogromne możliwości zarówno społeczeństwu ukraińskiemu jak i polskiemu. A także obserwatorom zagranicznym. Uprzytamniała je też rządowi bolszewickiemu. Poza przeciwdziałaniem propagandowym

rząd ten wiązał teraz największe nadzieje z rozbudzonym nacjonalizmem rosyjskim, a znacznie mniejsze ze skutecznością hasła walki sił rewolucyjnych przeciwko reakcji rzekomo reprezentowanej przez Polskę. Jedynym konkretnym sposobem ratunku było rozstrzygnięcie wojskowe. Lecz nie na froncie ukraińskim, tylko tam, gdzie go szukano od dawna. Czyli na froncie północnym. Naczelne dowództwo polskie przewidywało uderzenie na połowę maja i zgodnie ze swym planem operacyjnym rozpoczęło przegrupowania potrzebne do stawienia mu czoła już w czasie marszu na Kijów. Obecnie przegrupowanie miało być przyspieszone. Wyrażało się w wycofaniu z frontu ukraińskiego 3 dywizji polskich oraz w skierowaniu 6 dywizji armii rezerwowej z kierunku południowego na kierunek północny. Na samej zaś Ukrainie zarządzono zatrzymanie dalszych ruchów zaczepnych, budując jedynie przyczółek obronny na lewym brzegu Dniepru, na przedpolu Kijowa. Ewentualne dalsze natarcie w kierunku na Odessę odbyć się miało już siłami ukraińskimi, wtedy gdy będą gotowe do samodzielnego działania. Na to był potrzebny czas, znacznie więcej czasu niż go było w dyspozycji.

W Kijowie i w innych ośrodkach wyzwolonej części Ukrainy nastroje były dobre. Społeczeństwo było pod silnym wpływem odezw Petlury i wiadomości o przymierzu polsko-ukraińskim. Rozpoczęła się praca polityczna i społeczna. Doskonałe wrażenie zrobiła w Kijowie obecność 6-tej ukraińskiej dywizji piechoty generała Bezruczki, a także przyjazd Petlury z jego kwatery wojennej w Winnicy. Lecz zdawano sobie sprawę, że okres 6 tygodni jako potrzebny na stworzenie sześciu bojowych dywizji ukraińskich będzie na pewno zbyt krótki. W rozgrywce, w której każdy dzień miał znaczenie, stronie polsko-ukraińskiej mogło zabraknąć owych 10 dni przerwy w działaniach poświęconych na konsolidację sił po oszałamiających zwycięstwach. Tak też się stało w istocie.

W planach operacyjnych nie wzięto pod uwagę możliwości manewrowych bolszewickiej armii konnej Budiennego. Wiedzano o jej zbliżaniu się na Ukrainę znad Donu. Lecz 10 maja nie znalazła się jeszcze w zasięgu ówczesnych możliwości rozpoznania lotniczego. Sięgały one wówczas odległości 500 kilometrów, licząc od przedniego skraju własnych pozycji głównych. Ponadto, do czego wyraźnie przyznaje się Piłsudski w swych „Pismach”, lekceważono jej możliwości operacyjne. Piłsudski użył wyrażenia „neglizowano”. Wielkim zmasowaniem kawalerii przyznawano możliwości dalekiego rozpoznania, a nawet zagonów zagrażających liniom komunikacyjnym, lecz odmawiano zdolności sa-

modzielnych działań o znaczeniu operacyjnym. Tak głośno doświadczenia z pierwszej wojny światowej, także z walk na tym samym ukraińskim terenie strategicznym. Piłsudski był tu zresztą ostrożniejszy od nowomianowanego dowódcy frontu południowego, generała Listowskiego. W swym rozkazie obronnym Piłsudski zakazywał tworzenia stałych linii obronnych, nawet przesłonowych, żądając tworzenia ośrodków oporu, dostatecznie elastycznych, by móc prowadzić obronę ruchomą. Poza innymi względami system ten wpływał ze szczupłości sił na tak długim froncie. Nie wszędzie rozkazy te zostały wprowadzone w życie, z tym rezultatem, że armia konna Budiennego, dotarwszy 28 maja w rejon na południe od Białejcerkwi, miała do wyboru cały szereg możliwości przerwania polskiej linii frontu i wdarcia się całością sił na dalekie tyły.

Pierwsza próba skończyła się niepowodzeniem Budiennego. Natarł frontalnie na zgrupowanie 13-tej hallerowskiej dywizji piechoty w rejonie Koziatyna. W pięciodniowej bitwie poniósł straty i celu nie osiągnął. Stratą moralną było poddanie się, a raczej przejście na polską stronę brygady kozackiej z jego 14-tej dywizji jazdy. Lecz zwycięstwo polskie było tylko zwycięstwem taktycznym. Odparto nieprzyjaciela — nie zdołano go rozbić, co zresztą było niewykonalne siłami jednej dywizji piechoty i niepełnej brygady kawalerii. Budienny wycofał się i przegrupował do następnej akcji, która polegała nie na natarciu, lecz na przejściu całością sił na tyły polskie z wyminięciem ośrodków obrony. Warto zaznaczyć, że Budienny wraz ze współdziałającym z nim dowódcą czternastej armii bolszewickiej nie dostrzegali jeszcze własnych możliwości. W tym względzie optymizm sztabu polskiego na wiadomość o jego klęsce pod Koziatynem zbiegał się z pesymizmem Budiennego. Domagał się on zadowolenia się akcją o znaczeniu lokalnym do czasu nadejścia na front aż dwóch bolszewickich armii rezerwowych. Zmuszenie go do natarcia było zasługą częściowo Woroszyłowa, a częściowo Kamieniewa, który nakazał Budiennemu nacierać bez względu na konsekwencje.

Na tę decyzję wpłynęło trudne położenie wojsk bolszewickich na Białorusi.

14 maja ruszyła główna ofensywa bolszewicka. Przyspieszono ją o kilka dni. Armia piętnasta odniosła sukcesy, uderzając w kierunku na Święciany i Mołodeczno i spychając o 130 kilometrów oddziały pierwszej armii polskiej. Przeciwuderzenie polskiej armii rezerwowej generała Sosnkowskiego uratowało sytuację. Lecz decydujące było niepowodzenie szesnastej armii bolszewickiej w natarciu na Ihumeń i Mińsk. Zagrożona od południa

przez grupę generała Skierskiego, załamała się i zaczęła się cofać na pozycje wyjściowe. Wydawało się dowództwu bolszewickiemu, że niesłuchanie starannie montowane decydujące uderzenie, mające przynieść pełne zwycięstwo i otworzyć drogę do Warszawy skończy się klęską, w sensie wojskowym o wiele ważniejszą niż polska ofensywa na Ukrainę. Lecz opanowanie sytuacji kosztowało stronę polską użycie armii rezerwowej oraz tych sił, które już wycofano z Ukrainy, co nie pozwoliło na realizację planu uderzenia czterema doborowymi dywizjami przez Dniepr na Żłobin i Rohaczew. A na tę właśnie operację liczył Naczelnny Wódz, widząc w niej szansę rozerwania łączności sił bolszewickich na Białorusi i na Ukrainie oraz przeszkodzenia przerzuceniu na północ bolszewickiej armii czternastej. Na ten ważny ruch zaczepny stronie polskiej zabrakło już sił. Zwłaszcza, że naczelnne dowództwo bolszewickie powzięło słuszną decyzję odciążającego uderzenia na Ukrainie. Tak więc 5 czerwca Budienny wykonał rozkaz Kamieniewa i wzmocniony samochodami pancernymi i piechotą zmotoryzowaną na sprzęcie francuskim zdobytym na Denikinie przerwał improwizowaną obronę polską pod Samhorodkiem i Skwirą i dezorganizując tyły polskie zagroził w kierunku na Żytomierz i Zwiahel.

Jedynym logicznym pociągnięciem ze strony polskiej był w tym położeniu rozkaz odwrotu na Ukrainie na szereg kolejnych linii oporu. Odwrót ten, opóźniający w swym charakterze, miał trwać do połowy sierpnia w ścisłej zależności od położenia głównego frontu operacyjnego, na którym Armia Czerwona przystąpiła 24 czerwca do wielkiej ofensywy.

Odwrót wojsk polskich z Ukrainy był zakończeniem nie tylko wyzwolenia Ukrainy. Była to wielka szansa, jedna z największych w historii. Wymagała ryzyka. Ryzyko okazało się zbyt wielkie. Czy można było i czy należało podjąć je ponownie po zwycięstwie warszawskim, jest innym zupełnie zagadnieniem.

Wyprawa kijowska wyzyskana została przez propagandę bolszewicką jako dowód polskiego „imperializmu”. Wiemy, że niczym podobnym nie była. Ukraińcy przywiązywali do niej wielkie nadzieje, może największe w swej bolesnej historii narodowej. Zrozumiały więc było ich rozczarowanie, a nawet zarzuty pod adresem Polski, że odwrót przekreślił te nadzieje, nie pozwoliwszy nawet na utworzenie planowanych ukraińskich sił zbrojnych, a zaledwie na rozbudowanie jednostek już istniejących. Sam Petlura i generalicja ukraińska rozumieli dobrze konieczności wojenne i wytrwali wiernie przy sojuszu wojskowym. Z ciężkim

jednak sercem opuszczała stolicę swej ojczyzny wyborowa 6-ta dywizja ukraińska.

Rozkaz opuszczenia Kijowa wywołał konsternację w dowództwie trzeciej armii polskiej, obsadzającej rejon Kijowa. Nie była pobita i nie czuła się zagrożona. Generał Śmigły-Rydz, jej dowódca, nie znał — jak przyznaje jego szef sztabu, późniejszy generał Kutrzeba — ogólnego położenia. Przeraziły go natomiast skutki polityczne. Proponował utrzymanie Kijowa jako stolicy wolnej Ukrainy nawet w okrażeniu do czasu poprawienia się koniunktury wojskowej. Wiele wskazuje na to, że miał szanse do utrzymania obietnicy. Historia jednak nie zna słów „co by było, gdyby”. Trzecia armia opuściła Kijów na kateryczny rozkaz 10 czerwca 1920 roku. Bolszewikom nie udało się jej rozbić w marszu odwrotowym. Dołączyła w pełnej wartości bojowej do linii frontu, cofniętego już na Wołyn.

RADA OBRONY PAŃSTWA

Miesiąc czerwiec 1920 roku mijał w Polsce w nastroju podniecenia, w którym zaczęły się pojawiać oznaki daleko posuniętego niepokoju. Wojna przybierała zły dla strony polskiej obrót. Przyzwyczajono się już do niej jako do stanu ciągłego wyczekiwania na pokój, którego zdaniem dużej części społeczeństwa nie można było zawrzeć dlatego przede wszystkim, że nie wiadomo było, z kim go zawierać. Trwałość rządu Lenina wydawała się problematyczna.

Ale jak dotychczas wojna przynosiła stosunkowo łatwe sukcesy wojskowe. Front, odsunięty bardzo daleko, gdy wziąć pod uwagę ówczesne środki komunikacji, zdawał się frontem całkowicie bezpiecznym. Zasilano go w ludzi i w materiał wojenny w granicach arcyskromnych możliwości. Komunikaty sztabu generalnego o drobnych działaniach taktycznych straciły już dawno zdolność wzbudzania entuzjazmu podobnego do wiadomości z poprzedniego roku po zdobyciu Wilna, Mińska czy Bobrujska.

O wiele więcej zainteresowania, niepokoju i troski wzbudzały zagadnienia wykonania postanowień Traktatu Wersalskiego — przejmowanie władzy na Pomorzu, przygotowania do plebiscytu czy do powstania na Górnym Śląsku czy nie załatwiony ciągle

spór z Czechosłowacją o Śląsk Cieszyński. Sytuacja gospodarcza była ciężka, proces odbudowy kraju ledwo zaczęty. Obrady Sejmu obracały się dokoła reformy rolnej, prac nad konstytucją, zagadnień walutowych i mieszkaniowych. Nawet zagadnienia takie jak organizacja tymczasowego zarządu kresów wschodnich mniej zajmowały uwagi niż problemy codziennego życia. O koncepcjach nazywanych ogólnie „federacyjnymi” w przeciwstawieniu do „inkorporacyjnych” myślano mniej niż by wymagała doniosłość tego zagadnienia.

Oferty pokojowe czy rozejmowe Cziczierina przyjmowano z niedowierzaniem. O pertraktacjach toczonych z Marchlewskim w Mikaszewiczach nie wiadomo prawie nic. Nieco ożywienia wywołała „sprawa borysowska”. Prasa socjalistyczna i część ludowej ganiły Naczelnika Państwa i rząd za mały zapał do rokowań, prasa prawicowa i wyłącznie informacyjna, której było dużo, wykazywały do rokowań jeszcze mniej zapału niż Piłsudski. Niemniej, gdy w kwietniu front polski ruszył się z inicjatywy polskiej, naprzód na dalekim Polesiu, a później w postaci ofensywy na Kijów, w społeczeństwie nie było protestów, gdyż oceniono prawidłowo cele strategiczne tych operacji. Mniej znacznie było zgody, ale też i mniej zainteresowania polityczną stroną „wyprawy kijowskiej”.

Zdobycie Kijowa przygłuszyło krytyki Naczelnego Wodza nawet na prawicy sejmowej. Sukces wojskowy schlebiał dumie narodowej, czego najlepszym wyrazem było entuzjastyczne przyjęcie Piłsudskiego po jego powrocie z Kijowa do Warszawy. Zatrzymanie ofensywy polskiej na Ukrainie, ożywienie się frontu na północy, próba Tuchaczewskiego zajęcia Mińska i Ihumienia przyjęte zostały spokojnie, zwłaszcza że — jak się wydawało — plany sztabu Armii Czerwonej załamały się wobec energicznego przeciwdziałania strony polskiej. Lecz nadeszła połowa czerwca, klęska na froncie północnym, przebicie się Budiennego na Ukrainie, odwrót z Kijowa, a w ślad za nim opuszczenie linii Berezyny i ogólny odwrót ku środkowi kraju znakowany załamaniem się kolejnych planów oporu i przegrywaniem bitew.

Stawało się jasne, że wojna toczy się nie o „politykę wschodnią”, lecz o niepodległość, o istnienie państwa. Stawało się też jasne, że przewaga po stronie nieprzyjacielskiej jest bezwzględna. Zmieniły się nastroje. Krytyka Piłsudskiego i wyprawy kijowskiej jako rzekomej przyczyny niepowodzeń z rzeczowej zamieniała się w historyczną. Dołączała się świadomość niechętnego przechylenia się opinii na Zachodzie, zarówno w prasie, jak w parlamentach i w oświadczeniach rządów. Polacy awansowali

do rangi awanturników. Zamiast zachęt do „obalenia bolszewizmu” pojawiły się zachęty do zawarcia natychmiastowego pokoju na warunkach niemal dyktatu. Misja — rzekomo handlowa — Krasina i Kamieniewa w Londynie i jej mniej rzutkie odpowiedniki w innych stolicach zaczną w lipcu precyzować warunki tego dyktatu, w ten jednak sposób, by stały się niemożliwe do przyjęcia. Wiedziano w Polsce o niechętnym nastawieniu konferencji mocarstw w Spa w Belgii, gdzie sprawa pomocy dla Polski miała być zdecydowana najpewniej w sensie negatywnym, jeśli nastroje klęskowe wezmą górę nad właściwą oceną położenia Polski, jej interesów, praw i bezpieczeństwa na przyszłość.

Świadomość grozy położenia nie była jeszcze powszechna na przełomie czerwca i lipca. Zdawali sobie jednak z niej sprawę i Naczelnik Państwa, i sztab generalny, i rząd, i Sejm. Tylko absolutna mobilizacja wszystkich sił moralnych i materialnych całego narodu mogła zapobiec nieszczęściu. Gdyż tylko własnym wysiłkiem można było pokonać nieprzyjaciela, opierając się jednocześnie naciskom w kierunku ustąpienia dyktatowi bolszewickiemu, co było w istocie rzeczy warunkiem pośrednictwa mocarstw zachodnich.

Na czele rządu stał — po upadku gabinetu Leopolda Skulskiego — Władysław Grabski. Na jego wniosek 1 lipca Sejm jednogłośnie uchwalił powołanie Rady Obrony Państwa jako organu nadrzędnego, obdarzonego władzą niemal dyktatorską i ucieleśniającego zasadę całkowitej zgodności narodu w obliczu niebezpieczeństwa.

Rada powstawała w składzie Naczelnika Państwa jako przewodniczącego, prezesa Rady Ministrów, Marszałka Sejmu, trzech ministrów delegowanych przez rząd, trzech przedstawicieli wojska wyznaczonych przez Naczelnego Wodza oraz 10 posłów wyznaczonych przez Sejm. Z głosem doradczym Rada mogła kooptować, kogo uważała za potrzebne. W Radzie znaleźli się więc ludzie największej w ówczesnej Polsce miary, jak Wojciech Trąmpczyński, Władysław Grabski, później Wincenty Witos, Leopold Skulski, generałowie Sosnkowski i Rozwadowski, Maciej Rataj, Jan Stapiński, Roman Dmowski. Ten ostatni z Rady miał wystąpić po przegłosowaniu *votum* zaufania dla Naczelnika Państwa, w którym padł tylko jeden głos przeciwny. Dmowski zaprzeczył później, jakoby to był jego głos.

Rada Obrony Państwa istniała od 1 lipca do 1 października, odbywając 24 posiedzenia. Pierwszym jej krokiem było uświadomienie społeczeństwu niebezpieczeństwa. 3 lipca Piłsudski imieniem Rady podpisał następującą odezwę:

„Obywatele Rzeczypospolitej!

Ojczyzna w potrzebie!

Wrogowie otaczający nas zewsząd skupili wszystkie siły, by zniszczyć wywalczoną krwią i trudem żołnierza polskiego niepodległość naszą. Zastępy najeźdźców ciągnące aż z głębi Azji usiłują złamać bohaterские wojska nasze, by runąć na Polskę, strącić nasze niwy, spalić wsie i miasta i na cmentarzysku polskim rozpocząć swoje straszne panowanie.

Jak jednolity, niewzruszony mur stanąć musimy do oporu. O pierś całego narodu rozbić się ma nawała bolszewizmu. Jedność, zgoda, wyjężona praca niech skupi nas wszystkich do wspólnej sprawy.

Żołnierz polski, krwią broczący na froncie, musi mieć to przeświadczenie, iż stoi za nim cały naród, każdej chwili gotowy przyjść mu z pomocą.

Chwila ta nadeszła.

Wzywamy tedy wszystkich zdolnych do noszenia broni, by dobrowolnie zaciągali się w szeregi armii, stwierdzając, iż za Ojczyznę każdy w Polsce z własnej woli gotów położyć krew i życie.

Niech spieszą wszyscy: i ci, młodość i siłę czujący w żyłach, co żelazem odpierać będą najazd wroga, i ci, którzy stanąć mogą do pracy w instytucjach wojskowych, by zwolnić z nich i zastąpić tych, co na froncie przydatni być mogą. Niech na wołanie Polski nie zabraknie żadnego z jej wiernych i prawych synów, co wzorem ojców i dziadów pokotem położą wroga u stóp Rzeczypospolitej.

Wszystko dla zwycięstwa! Do broni!”.

Te wzniosłe słowa, przypominające żywo odezwy Komitetu Ocalenia Publicznego z czasów rewolucji francuskiej, spotkały się z wyjątkowo przychylnym odzewem. Cała prasa bez względu na poglądy przyjmowała powstanie Rady z zadowoleniem. Pisał krakowski *Ilustrowany Kurier Codzienny* 3 lipca:

„Rada Obrony Państwa sprawować będzie władzę dyktatorską...”

Zaiste była już ostatnia pora, by powstał rząd, który by nie gadał, lecz działał, umiał zmobilizować siły narodu i mógł nakazać posłuch bezwzględny.

Ojczyzna w niebezpieczeństwie. Chcąc mieć pokój musimy wojnę wygrać”.

Na podkreślenie zasługuje ostatnie zdanie. Precyzuje ono i dezyderat powszechny Polaków, to jest zawarcie pokoju, i warunek jego osiągnięcia: „musimy wojnę wygrać”. Taka była rzeczywistość i treść szczytowych chwil wojny polsko-bolszewickiej i taki też jej wynik.

Na czym polega zasługa Rady Obrony Państwa? Nie tylko na usymbolizowaniu jedności narodu, co pozwoliło na całkowite uznanie jej autorytetu i rzeczywistą mobilizację wszystkich sił. Kompetencje Rady ustawa ujmowała bardzo szeroko:

„Wszystkie sprawy dotyczące prowadzenia i zakończenia wojny i zawarcia pokoju, wydawanie w tych sprawach zarządzeń i rozporządzeń. Wszystkie rozporządzenia i zarządzenia Rady Obrony Państwa podlegają natychmiastowemu wykonaniu. Rozporządzenia wymagające załatwienia przez Sejm mają być na najbliższym posiedzeniu Sejmu załatwione”.

Nie zawieszano więc właściwej maszyny prawodawczej. Dawano jednak Radzie prawo i nakładano na nią obowiązek szybkich decyzji i wymuszania szybkiego działania na organach państwowych. Rada nie była „rządem”, choć tak ją w zapale nazwała gazeta krakowska, lecz dzięki niej właśnie możliwe było powołanie rządu jedności narodowej z Wincentym Witosem na czele. Dzięki niej dokonać można było koniecznej koordynacji wszystkich funkcji państwowych z działalnością gospodarczą i z pracą sztabu generalnego. Rada dysponowała ogromnym kapitałem zaufania, co wzięta pod uwagę opinia zagraniczna i co było bardzo przydatne w toku obrad konferencji mocarstw w Spa. Rada powołała też między innymi do życia armię ochotniczą, a swymi zarządzeniami i odezwaniami potrafiła usprawnić produkcję przemysłową i zapobiec chaosowi gospodarczemu.

Właśnie elastyczność i ramowość uprawnień Rady stały się jej siłą. Bo nie naruszając żadnej z zasad legalizmu mogła interweniować natychmiast na każdym odcinku, który wydawał się niesprawny. I jest rzeczą charakterystyczną, że interwencja mogła się ograniczać do wytknięcia błędów lub do odezw, których ogłoszono kilka. Taka była siła jedności narodowej w obliczu śmiertelnego zagrożenia niepodległości i bytu narodowego, której wyrazem była Rada Obrony Państwa.

Lipiec był dla Polaków miesiącem klęski. Odwrót zamieniał się w szereg nieskoordynowanych marszów, często graniczących z paniką. Żadna z przewidzianych linii czy ognisk oporu nie dała się zrealizować. W pierwszych dniach sierpnia siły bolszewickie osiągnęły Łomżę, Ostrołękę i szły na Wisłę na przeprawy w Toruniu i Płocku. Co gorzej, generał Sikorski nie zdołał utrzymać Brześcia Litewskiego, na którym Piłsudski opierał plan obrony na Bugu. Równocześnie siły sowieckie dochodziły do Radzimina czyli na przedmieścia Warszawy. Na południu front zbliżył się do Zamościa i Lwowa.

Nastroj w kraju był poważny. Zdawano sobie sprawę z położenia. Dokonano zmiany rządu, stawiając na jego czele Wincentego Witosa, z Ignacym Daszyńskim jako zastępcą. Do Warszawy zjechała francuska misja wojskowa, która nie mogła zastąpić dostaw broni zatrzymywanych przez strajki w Anglii, Niemczech, Gdańsku i Czechosłowacji. Misja wymieniała memoriały z polskim szefem sztabu, generałem Rozwadowskim, projektując obronę w oparciu o nie dające się zastosować doświadczenia z pozycyjnej, okopowej pierwszej wojny światowej. Nie było do dyspozycji ani Sommy, ani Marny, ani twierdzy w Verdun, ani czterech czy pięciu milionów żołnierzy. Strona polska potrafiła zmobilizować łącznie z armią ochotniczą około 700 tysięcy ludzi, z których w pierwszej linii boju znaleźć się mogło najwyżej 200 tysięcy. Dodać trzeba, że armia Tuchaczewskiego nie była wiele liczniejsza, choć ogólne stany Armii Czerwonej sięgały 5 milionów.

Upadek niepodległego państwa polskiego zdawał się przesądzony. Rząd bolszewicki uważał, że staje przed końcową fazą swego wielkiego planu politycznego. Plan ten polegał na obaleniu ładu europejskiego, tworzonego przez zwycięską koalicję po pierwszej wojnie światowej. Miało to być wstępem do rewolucji komunistycznej w Niemczech. W wykonaniu planu los zgotowany Polsce w razie zwycięstwa nad nią Armii Czerwonej był w umyśle Lenina i jego towarzyszy tylko fragmentem. Lecz jednocześnie był warunkiem realizacji całości planu. Na początku sierpnia ten fragment był w przekonaniu Rosji nieomal osiągnięty. Miał on polegać na wcieleniu okrojonej od wschodu i od zachodu

du Polski do Związku Sowieckiego. Zadanie to w oparciu o Armię Czerwoną, która w mniemaniu Moskwy miała się za kilka dni zamienić w armię okupacyjną, wykonać miał urzędujący już w Białymstoku Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski z Marchlewskim, Dzierżyńskim, Unszlichtem i Konem na czele.

Oczywiście istniała jeszcze możliwość interwencji mocarstw zachodnich w razie pokonania Polski, właśnie z uwagi na niebezpieczeństwo obalenia ładu wersalskiego. Lecz niebezpieczeństwo to zdawało się maleć z każdym dniem począwszy od połowy lipca, gdy rząd Lenina zaczął wysuwać drogą przez Londyn tak zwane propozycje pokojowe pod adresem Polski. Nie przeszkadzało mu to rzecz jasna przygotowywać opanowania Polski przy pomocy wspomnianych już polskich komunistów, o których przyszłej roli propozycje składane w Londynie nie wspominały ani słowem. Przebywająca w Londynie misja handlowa zapewniała Anglików, że Rosja nie zagraża niepodległości Polski i że Polska może się ostać jako państwo pod warunkiem, że się natychmiast podda, wyrażając zgodę na wycofanie wojsk o 20 wiorst od linii frontu w dniu podpisania rozejmu. 20 wiorst zamieniło się w depesze iskrowych między Moskwą a Warszawą już 30 lipca na wiorst 50, co w tym dniu oznaczałoby opuszczenie linii Wisły. Ważniejsze wszakże były inne warunki wysuwane w tych propozycjach. Wśród nich mowa była o natychmiastowej demobilizacji do liczby 50 tysięcy wojska z jednego tylko rocznika, o wydaniu całego uzbrojenia w ręce rosyjskie i — warunek będący jawną ingerencją w wewnętrzne sprawy państwa polskiego — o oddaniu straży nad, jak to określano, „bezpieczeństwem wewnętrznym” w ręce tak zwanej milicji, nazywanej niekiedy cywilną, a niekiedy robotniczą. Był to słabo zakamuflowany sposób, jakim rząd Lenina posługiwał się tworząc rozmaite republiki rad na obszarach zamieszkałych przez nierosyjskie narodowości. Milicja oparowywała z reguły cały aparat rządzenia, powoływała rady robotnicze złożone z wyznaczonych przez Moskwę agentów i radom tym, zgodnie z wzorem rewolucji październikowej, oddawała w ręce całą władzę. Taka była praktyka leninowskiej koncepcji samostanowienia narodów.

Nazwano to wszystko propozycjami pokojowymi i tak je też zupełnie poważnie komentowała część prasy zachodniej. Tak było w Londynie. Z tym jednak, że duża część społeczeństwa i parlamentu przyjmowała z oburzeniem łatwowierność lub też ugodowość premiera Lloyd George'a. Sam Lloyd George określał swe stanowisko jako „realistyczne”, uzasadniając to tym, że wojnę z Rosją Polska już przegrała i że nie ma dla niej innego ratunku

niż przyjęcie propozycji bolszewickich. Dopiero w mglistym wypadku, gdyby strona bolszewicka nie dotrzymała któregoś z przedstawionych przez siebie warunków, Anglia z innymi swymi sprzymierzeńcami gotowa była ofiarować Polsce bliżej nieokreśloną pomoc materiałową, zastrzegając się wszakże, że nie wystąpi zbrojnie przeciwko Rosji bolszewickiej. Nie ulegało wątpliwości, że wszelka tego rodzaju pomoc byłaby spóźniona, z czego Lloyd George zdawał sobie sprawę.

Były jednak w Anglii także koła polityczne lepiej zorientowane w metodach rządu bolszewickiego. Rozumiały one, iż póki w takim kształcie nie oznaczał nic innego jak likwidację państwa polskiego i tym samym przekreślenie Traktatu Wersalskiego. Koła te, obawiając się realizacji dalszej fazy planu Lenina, to znaczy zrewolucjonizowania Niemiec, Czechosłowacji, Austrii i Węgier, rozważały inną koncepcję postawienia tamy temu niebezpieczeństwu. Koncepcję dla Polski co najmniej równie niebezpieczną, bo polegała na utworzeniu wspólnego frontu państw zachodnich i Niemiec przeciwko dalszemu pochodowi rewolucji komunistycznej. W Niemczech koncepcja ta, choć nigdzie nie sformułowana oficjalnie, znajdowała pewien odzew. Silniejsza wszakże była tendencja wyzyskania zwycięstwa bolszewickiego bez wiązania się z Zachodem i bez wiązania się z Rosją. Wyznawcą tej myśli był stojący na czele nierozbrojonego jeszcze całkowicie wojska generał von Seeckt. Przygotowywał się na wszelki wypadek do zbrojnego zajęcia Poznańskiego i Pomorza, choć zdawał sobie sprawę, że może to pociągnąć za sobą daleko idące komplikacje ze strony aliantów zachodnich, łącznie z rozszerzeniem obszaru okupacji Niemiec zachodnich. Rząd niemiecki, uporawszy się już z licznymi rewoltami komunistycznymi na własnym terytorium, uważał, że zanim plan leninowski nowej rewolucji będzie mógł wejść w fazę realizacji, nastąpią po upadku Polski poważne zmiany w całym układzie europejskim, które niebezpieczeństwo komunizmu od Niemiec odsuną. Natomiast w bezpośredniej przyszłości po klęsce Polski przesądzony będzie nie tylko los obszarów plebiscytowych Górnego Śląska, Warmii i Mazur, lecz także los już zjednoczonych z resztą Polski dzielnic byłego zaboru pruskiego. O losie tych ziem propozycje bolszewiczne nic nie wspominały. Wspominały jednak instrukcje polityczne rządu leninowskiego, rozkazy operacyjne Armii Czerwonej, a także wypowiedzi i odezwy komunistów polskich i niemieckich. Nie było więc tajemnicą, że po zwycięstwie Armia Czerwona nie przekroczy byłej granicy między Cesarstwem Rosyjskim a Cesarstwem Niemieckim. Zabór pruski, do czego między in-

nymi jak najgorliwiej nawoływał Julian Marchlewski, miał wrócić do Niemiec.

Tak więc przyszła Polska Republika Rad miała obejmować terytorialnie tylko dawną Kongresówkę oraz Małopolskę Zachodnią.

Na początku sierpnia rządu bolszewickiego nie interesowały już własne propozycje składane przed kilku tygodniami w Londynie. Tam wszakże uważano je w dalszym ciągu za wiążące. W oparciu o nie wywarto nacisk na rząd polski, by prowadził pertraktacje z Rosją. Pod tym naciskiem Anglii, a przy dość niepewnym poparciu Francji, rząd polski wysłał 14 sierpnia delegację rozejmową do Baranowicz, a później do Mińska. Zarówno jednak premier Witos, jak i minister spraw zagranicznych Eustachy Sapieha nie czynili tajemnicy w rozmowach z dyplomatami brytyjskimi, francuskimi i włoskimi, a także z posłem Stanów Zjednoczonych, że jest to ze strony polskiej gest dobrej woli, na którym nie należy niczego budować, gdyż ze strony bolszewickiej zarówno określenie celów wojny jak i brzmienie tak zwanych propozycji pokojowych jest zupełnie inne niż deklaracje składane przez Kamieniewa w Londynie. I tak też było rzeczywiście. Porównanie jednocześnie składanych oświadczeń i deklaracji rządu bolszewickiego z tego okresu daje rezultaty zdumiewające. Porównania tego dokonano zresztą w Londynie z tym rezultatem, że Kamieniewa określono niedwuznacznie w prasie i w parlamencie jako oszusta, a rząd brytyjski zażądał jego wyjazdu, zapowiadając z góry, że mu nigdy na terytorium Anglii wrócić nie pozwoli. Stało się to jednak dopiero we wrześniu. Oczywiście nie Kamieniew był oszustem, lecz oszustwem jako metodą działania politycznego posługiwał się już wówczas rząd sowiecki. Nie rozumiano jeszcze tego w stolicach Europy zachodniej. Rozumiano to jednak doskonale w Warszawie.

Inaczej niż w Londynie wyglądała sytuacja w Paryżu. Tam nie godzono się tak łatwo na perspektywę obalenia Traktatu Wersalskiego i likwidacji Polski. Lecz środki zaradcze były równie mgliste jak w Londynie. Istniała natomiast jedna wielka różnica. Rząd premiera Milleranda nie wyzbył się jeszcze złudzeń, że ustrój bolszewicki jest zjawiskiem przejściowym i że jego upadek jest nieunikniony i to nie z powodu wojny z Polską, tylko w oparciu o siły wewnętrznej kontrrewolucji. Stąd niespodziewane uznanie przez Francję komitetu działającego przy „białej” armii generała Wrangla za przedstawicielstwo legalne państwa rosyjskiego. Było to pociągnięcie polityczne dla Polski jak najbardziej niewygodne, gdyż stanowiło akt krańcowo niezgodny

ze stanowiskiem Polski, odmawiającym jakiegokolwiek pomocy wszelkim poczynaniom przeciwników komunistów na terenie Rosji. Wojskowo poparcie Wrangla, do czego tak wielką wagę przywiązywał przebywający w Warszawie szef Alianckiej Misji Wojskowej, generał Weygand, niczym Polsce nie pomógł, gdyż pomimo klęsk w wojnie z Polską Armia Czerwona uporządkowała się z armią Wrangla już w pierwszej połowie października.

Stanowisko Anglii i Francji nie bez wielkich trudności zostało jednak uzgodnione, gdy o sprawy polskie chodzi, z tym wynikiem, że także rząd francuski nakłaniał Warszawę do traktowania w sposób poważny pseudo-pokojowych propozycji pochodzących z Moskwy. Trzeba dodać, że przebywający na miejscu w Warszawie dyplomaci brytyjscy i francuscy przyczynili się waleśnie do rozwiania złudzeń na temat dobrej woli Rosji bolszewickiej.

II

6 sierpnia Józef Piłsudski wydał „Rozkaz przegrupowania”. O autorstwo tego rozkazu spierano się długo, przypisując między innymi fantastyczne zasługi generałowi Weygandowi, który niekiedy się ich wypierał, a niekiedy — na starość — przytakiwał.

Armie polską podzielił Piłsudski na front północny pod dowództwem generała Sikorskiego, który miał operować „nad Wisłą i Wkrą” (cytuję tu tytuł książki Generała), i odcinek środkowy, najlepiej wyposażony w artylerię i grupujący połowę sił polskich, który miał bronić Warszawy pod dowództwem generała Józefa Hallera. W Małopolsce Wschodniej i na Wołyniu na dalekim południu pozostawała armia szósta wraz z dywizją ukraińską, by bronić Lwowa i utrudniać komunikację między Jegorowem i Budiennym a Tuchaczewskim.

Najważniejsze zadanie przypadło grupie uderzeniowej, złożonej z dywizji wybranych spośród najlepszych. Były to pierwsza i trzecia legionowe, czternasta wielkopolska, szesnasta pomorska i dwudziesta pierwsza podhalańska, zwana jeszcze „dywizją górską”. Nad grupą uderzeniową dowództwo objął osobiście Piłsudski. Została ona zebrana nad rzeką Wieprzem, co wymagało ryzykownego i niewiarygodnie ciężkiego wysiłku marszowego wszystkich pięciu dywizji. Czternasta wielkopolska musiała się oderwać od nieprzyjaciela pod Brześciem i maszerować przed jego

frontem, trzecia legionowa musiała przybyć na miejsce z pobliza Zamościa. Warunkiem powodzenia było uderzyć na siły Tuchaczewskiego z lewego skrzydła i wejść na jego tyły, zanim dołączy doń uderzając przez Lublin armia konna Budiennego. Tuchaczewski tłumaczył swe niepowodzenie niewykonaniem rozkazu Lwa Trockiego. Wbrew jego rozkazowi kazał Budiennemu zdobyć Lwów i maszerować na Węgry jego komisarz polityczny. Był nim Józef Stalin. Dodajmy nawiasem, że bez związku z klęską Tuchaczewskiego armia konna Budiennego została rozbita pod Zamościem przez trzynastą dywizję hallerowską i pod Komorowem przez zgrupowanie polskiej kawalerii generała Rómmla.

14 sierpnia zaczęły się walki na północy nad Wkrą. 15 sierpnia Radzymin i linia obronna Warszawy przechodziły z rąk do rąk, lecz zostały utrzymane w ręku polskim. 16 sierpnia wyruszyło znaną Wieprza natarcie grupy uderzeniowej, rozbijając lewe skrzydło Tuchaczewskiego i maszerując na jego tyły. 18 sierpnia front Tuchaczewskiego był w pełnym odwrocie, tracąc kilkadziesiąt tysięcy jeńców i wywożąc ze sobą z Białegostoku Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski z ostatnią, nie wydrukowaną jeszcze jego odezwą.

Tuchaczewski zdał sobie sprawę z rozmiarów klęski 18 sierpnia, gdy jego skrzydło południowe przestało już istnieć jako zorganizowana siła bojowa. Licząc od południa, bolszewicka grupa operacyjna nazywana mozyrską oraz armie szesnasta i trzecia były w pełnym i chaotycznym odwrocie. Jedyną prawdziwą przeszkodą dla kontrofensywy polskiej były przestrzeń i wysiłek marszowy. Plan polski zawarty w rozkazie Piłsudskiego z 6 sierpnia przewidywał odcięcie całości sił bolszewickich od ich rezerw i baz zaopatrzenia na linii od granicy Prus Wschodnich po Grodno. Plan ten nie został w stu procentach wykonany z tego przede wszystkim powodu, że czwarta armia bolszewicka, najdalej na północ i na zachód wysunięta, nie zdawała sobie sprawy z sytuacji i zaczęła się wycofywać dopiero na rozkaz Tuchaczewskiego 17 sierpnia. Armia czwarta wraz z korpusem Gaja została rozbita, przechodząc w znacznej części granicę Prus Wschodnich. Władze niemieckie rozbroiły ją tylko częściowo, pozwalając większości oddziałów przejść przez swoje terytorium i dołączyć do rezerw bolszewickich. Ocalały jako zwarte, choć uszczuplone i zdemoralizowane jednostki, cała piętnasta armia bolszewicka i niektóre dywizje armii trzeciej. Te jednostki właśnie oraz rezerwy, podciągnięte do rejonu na wschód od Wilna oraz Lidy i Baranowicz, stały się trzonem następnej operacji bolszewickiej, na której powodzenie liczone zarówno w kwaterze głównej Tu-

chaczewskiego jak i w Moskwie. Operacja ta polegać miała na zatrzymaniu marszu polskich dywizji i związaniu ich w walce pozycyjnej na tak długo, aż uda się zmontować nową maszynę ofensywną przeciwko Polsce.

Lenin nie chciał w tym okresie dopuszczać myśli o rozejmie czy pokoju — w przeświadczeniu, że ogromne w porównaniu z polskimi zasoby ludzkie i materiałowe pozwolą sytuację na froncie opanować. Z przekonania tego nie wyprowadziły go nawet powodzenia polskie na froncie południowym, gdzie w końcu sierpnia i w pierwszych dniach września dokonał się ostateczny pogrom armii konnej Budiennego łącznie z dwunastą i czternastą armią bolszewicką. Rozumowanie sztabu Armii Czerwonej było słusne w tej części, która odrzucała możliwość nowej wielkiej ofensywy polskiej na Ukrainie. Nie pozwalały na to środki, jakimi strona polska dysponowała, nie przewidywał jej też dalszy plan wojskowy polski, który dojrzał w umyśle Naczelnego Wodza już 18 sierpnia. Naczelne dowództwo polskie wiedziało, że niebezpieczeństwo zagrażać może w dalszym ciągu tylko na północy i że tylko przedłużenie wysiłku polskiego na tym właśnie kierunku zapewnić może pełne wykorzystanie już odniesionego pod Warszawą zwycięstwa.

III

Odwroćcie się sytuacji było dla wielu ludzi w Polsce tak zdumiewające i niespodziane, że wdzięczność swoją ujęli w słowa „cud nad Wisłą”. tak jak by w grę wchodziły siły nadprzyrodzone. Niewątpliwie nad Wisłą bronił żołnierz polski i niepodległości swego kraju i jego kultury, wolności osobistych i religii.

Nazwa „cud nad Wisłą” była więc wyrazem wdzięczności Bogu. Niestety starano się ją niekiedy wyzyskać w sposób podły, polityczny, by obniżyć zasługę Naczelnego Wodza. Bitwa Warszawska „cudowność” swą zawdzięczała wysiłkowi żołnierza — wysiłkowi, który wydawał się nieosiągalny. Było to pierwsze decydujące zwycięstwo polskie od czasu odsieczy wiedeńskiej, lecz o ileż od odsieczy tej dla Polski ważniejsze. Zawdzięczamy mu nie tylko dwudziestolecie szczęśliwej niepodległości, lecz i fakt, że dzisiaj także istnieje państwo, które, choć jego ustroj narodowi nie odpowiada, jest przecież państwem polskim, a nie związkową republiką sowiecką.

Fakty dotyczące Bitwy Warszawskiej są raczej dobrze znane i nie podlegają dyskusji nawet w publicystyce komunistycznej. Bo także i ona przyznaje dziś, że w sierpniu 1920 roku solidarna postawa całego narodu polskiego bez względu na podziały społeczne i polityczne umożliwiła względnie ułatwiła żołnierzowi polskiemu wykonanie planu strategicznego, który doprowadził do całkowitej klęski północnego zgrupowania armii bolszewickich na froncie sięgającym od Działdowa i Brodnicy po bieg średniego Bugu. Jest chyba tylko jedna — niezbyt istotna — różnica, że w przeciwieństwie do historyków niezależnych publicyści komunistyczni starają się przedstawić przebieg wypadków jak najbardziej pobieżnie, pomniejszając lub przemilczając wiele ważnych szczegółów. Tych przede wszystkim, które uwypuklają wytrzymałość i patriotyzm żołnierza polskiego i całego społeczeństwa. Łączy się z tym tendencja do żonglowania cyframi dotyczącymi stanów wojsk walczących — po to, by w ten sposób „odbrzązować” rozmiary zwycięstwa polskiego i „wybielić” rozmiary klęski wojsk sowieckich.

Nie sądzę jednak, by warto było nad sprawą liczb się zastanawiać — zwłaszcza wobec obiektywnej trudności wynikającej z chaotycznego systemu tabel i wykazów wówczas stosowanych i to dość dowolnie w obu walczących ze sobą wojskach. Narzekał na ten chaos Piłsudski, gdyż utrudniał mu orientację, czy i kim w danej chwili konkretnie dysponuje. Wystarczy jeśli stwierdzimy, że z przeznaczeniem operacyjnym przeciwko Polsce udało się Kamieniewowi, głównodowodzącemu rosyjskiemu, wystawić milion 40 tysięcy, podczas gdy strona polska zmobilizowała około 700 tysięcy ludzi. Z tym ważnym dodatkiem, że do Bitwy Warszawskiej dowództwo polskie mogło rzucić więcej ludzi niż Tuchaczewski, co rzecz jasna dobrze świadczy o sprawności strony polskiej, gdyż na zyskaniu przewagi w miejscu i w czasie przez siebie wybranym polega tajemnica zwycięstw wojskowych od czasów Aleksandra Wielkiego. Ograniczmy się więc, gdy o stronę fachowo-wojskową Bitwy Warszawskiej chodzi, do stwierdzenia, że w momencie decydującym dowództwo sowieckie popełniło więcej błędów niż dowództwo polskie i to na wszystkich szczeblach. Wyraziło się to przede wszystkim w braku koordynacji działań Budiennego na południu z operacją Tuchaczewskiego nad Wisłą. Zrozumiał to i wykorzystał Piłsudski wydając swój „Rozkaz przegrupowania”. Świadomość, że nieprzyjaciel popełnia błąd strategiczny, była jedną z przesłanek planu, który przyniósł zwycięstwo stronie polskiej.

ROZEJ M

Do drugiej połowy września nie było w ogóle mowy ani w prasie rosyjskiej, ani w prasie zachodniej o możliwości zakończenia wojny. To samo można powiedzieć o gorączkowej wymianie depesz dyplomatycznych między rządami różnych państw. Oceniano tam położenie polskie w dalszym ciągu jako trudne i domagano się niekiedy pomocy dla Polski, niekiedy zaś wywarcia nacisku na rząd polski, by wykorzystał zwycięstwo warszawskie i zgodził się na warunki bolszewickie, przedstawione w lipcu. Ale warunki te miały charakter prowokacji i były tak sformułowane, by ich Polska przyjąć nie mogła.

Sytuacja zmieniła się radykalnie po 21 września. Dzień ten był punktem kulminacyjnym bitwy niemeńskiej. Była to operacja wojskowa na skalę większą nawet niż operacja warszawska, a jej rezultat, choć może mniej błyskotliwy i mniej dla każdego oczywisty niż odrzucenie Armii Czerwonej znad Wisły, zdecydował jednak o wyniku wojny. I tym samym o pokoju. Rezultat wojskowy bitwy niemeńskiej polegał na całkowitej demoralizacji wojsk bolszewickich i pokrzyżowaniu wszystkich wykonalnych planów strategicznych. Marsz armii polskiej na wschód odbywał się już odtąd prawie bez oporu. Gdy zaś o negocjacje rozejmowe czy pokojowe chodzi, dopiero po bitwie niemeńskiej zapadła w Moskwie decyzja, do której skłonił się Lenin, by rozmowom z Polską odebrać ich charakter propagandowo-agitacyjny a nadać tempo szybkie i realne.

O jakie rozmowy chodziło? Polska delegacja pod przewodnictwem Jana Dąbskiego, która już od 14 sierpnia, to znaczy od przedednia Bitwy Warszawskiej, przebywała w Mińsku Litewskim, wyjeżdżała w atmosferze przygnębienia, ze świadomością bezcelowości swojej misji, gdyż strona bolszewicka nie robiła w tym czasie tajemnicy, że żadnego pokoju nie chce i że o losie Polski i całej Europy środkowej zadecyduje sama, po — jak się zdawało — nieuniknionym zwycięstwie Armii Czerwonej. Wspomnieć warto, że Piłsudski nieoficjalnie przestrzegwał Dąbskiego, by „niczego nie podpisywał przed 18 sierpnia”, gdyż tego dnia powinien przez radio otrzymać wiadomość o całkowitej zmianie sytuacji wojennej.

Ale już w dniu przybycia polskiej delegacji rząd bolszewicki przestał się interesować nawet własnymi propozycjami, będąc pewnym całkowitego zwycięstwa wojskowego. Nie chciał żad-

nych rozmów, gdyż wprowadzał w życie alternatywę — okupację Polski po granicę dawnego zaboru pruskiego.

W tej sytuacji delegacja polska stawiała się dla strony rosyjskiej niepotrzebną zawadą. Zaczęto więc ją szykanować, czego najlepszym, a raczej najjaskrawszym przykładem była proklamacja z podpisem Tuchaczewskiego rozlepiona na ulicach Mińska. Nazywała ona delegację polską zbiorowiskiem szpiegów i wzywała ludność do sprzeciwienia się jej pobytowi w Mińsku. Miejscowy komendant Czerezwyczajki odwiedził wówczas Dąbskiego, by oświadczyć, że wobec oburzenia ludności nie może gwarantować Polakom bezpieczeństwa.

Komedię tę odegrano 19 sierpnia, to jest w chwili, gdy klęska Armii Czerwonej pod Warszawą była ostatecznie przypieczętowana. Nie zdawano sobie jednak z niej sprawy nie tylko w Mińsku, ale i w Moskwie. Misja polska miała ze sobą stację nadsłuchawczą, lecz użyć jej nie mogła, gdyż gospodarze na to nie pozwolili. O zwycięstwie pod Warszawą delegacja dowiedziała się z miejscowych plotek w Mińsku i z faktu, że nagle delegaci bolszewicy przystąpili do pertraktacji, co polegało na gwałtownym domaganiu się zgody na coraz to inne, niekiedy fantastyczne sformułowania. Już zresztą 20 sierpnia rozmiary klęski Armii Czerwonej były oczywiste. Traktowano ją w Moskwie i w kwaterze głównej Tuchaczewskiego jako koniec ofensywy i fakt ten analizowano jak najbardziej rzeczowo w sensie wojskowym i politycznym. Wniosek był bardzo prosty. Trzeba zdobyć czas na reorganizację sił, podciągnięcie rezerw i stworzenie bezpiecznej bazy operacyjnej na głównym froncie wojny, to jest na froncie północnym. W oparciu o nową koncentrację należy wznowić ofensywę i to możliwie szybko, najlepiej jeszcze przed zapadnięciem zimy. Nie może być mowy o rezygnacji z wielkiego planu obalenia ładu wersalskiego w Europie, do czego potrzebna jest likwidacja państwa polskiego. W Radzie Komisarzy Ludowych nie było pod tym względem wahań. Nawet Rykow, do niedawna przeciwnik wojny z Polską, stwierdzał, że „plan raz wprowadzony w ruch musi być doprowadzony do końca”.

Lecz po to, by móc zmontować nową ofensywę, trzeba zyskać trochę czasu. Co prawda Tuchaczewski zapewniał, że ma dostateczne rezerwy, by przyjąć bitwę obronną w rejonie Lidy czy Wilna, lecz zdania jego dowódców armii — zwłaszcza najbardziej zdolniejszego, Siergiejewa — nie były tak optymistyczne. Stąd wniosek dalszy: należy Polakom odebrać inicjatywę i stworzyć

taką sytuację, by w następnej fazie wojny byli znowu w defensywie i to na jak najgorszych dla siebie pozycjach.

Naczelne dowództwo rosyjskie liczyło jeszcze na działania swego frontu południowego nad górnym Bugiem i na przedpolu Lwowa, gdzie zarówno armia konna Budiennego, jak i armie dwunasta i czternasta były nienaruszone i ciągle jeszcze w natarciu. Liczono, że ściągną na siebie znaczne siły polskie, co osłabi ich uderzenie na kierunku północnym. Obliczenia te zawiodły, gdyż polski front południowy wywalczył sobie sam zwycięstwo, nie naruszając rezerw strategicznych. Tak jak trzy armie bolszewickie na południu nie pomogły Tuchaczewskiemu nad Wisłą, tak też w niczym mu nie pomogą nad Niemnem.

W Moskwie uznano, że ważniejsze po stokroć i skuteczniejsze będzie zdobycie koniecznego dla nowej ofensywy czasu przy użyciu środków politycznych. I oto następnego dnia po wizycie komendanta Czerezwyczajki u przewodniczącego delegacji polskiej Rosjanie zgłaszają nagle gotowość pertraktacji rozejmowych. Tymczasem Komitet Rewolucyjny Marchlewskiego tłucze się na wozach taborowych wycofujących się spod Warszawy resztek trzeciej armii sowieckiej. Jest w tej chwili na nic w Moskwie nieprzydatny. Po prostu zapomina się o jego istnieniu i o jego gromkich odezwach białostockich. Bo oto równolegle z propozycją rozmów w Mińsku misja Kamieniewa w Londynie i depesze Cziczera do stolic europejskich wznowiają propozycje pokojowe, zapewniają o pacyfistycznym nastawieniu i o chęci poszanowania niepodległości Polski, ciągle jednak pod warunkiem zatrzymania wojsk polskich na rzekomej granicy etnograficznej, czyli na tak zwanej linii Curzona, której zresztą angielski mąż stanu tego nazwiska nigdy nikomu nie proponował jako granicy państwa polskiego. Rząd Lenina liczy, że nacisk mocarstw zachodnich wymusi na zmęczonej wojną Polsce zatrzymanie kontrofensywy, co pozwoli na bezpieczne dokonanie nowej koncentracji Armii Czerwonej za osłoną pertraktacji rozejmowych czy pokojowych. Przerwie się je lub się ich nie przerwie w zależności od oceny Moskwy.

Jednocześnie propaganda komunistyczna stara się pomniejszyć rozmiary poniesionej pod Warszawą klęski. Cel jest oczywisty: należy przedstawić rząd Lenina jako pokojowy i wielkoduszny, a nie jako rząd państwa zagrożonego klęską wojskową. W jednym ze swych telegramów Cziczera pisze: „Radio polskie i francuskie szerzą fałszywe wiadomości o jakimś zwycięstwie polskim. W rzeczywistości siły rosyjskie są nienaruszone i wycofują się w całkowitym porządku”. A 8 września Kamieniew składa

notę Balfourowi w angielskim Foreign Office. Oto jej tekst: „Zdaje się, że pozostaje Pan pod iluzorycznym wrażeniem, iż nastąpiła jakaś zmiana w położeniu wojskowym Polski i Rosji. To, co się naprawdę stało, to tylko niepowodzenie w jednej z operacji wojskowych, co może oznaczać najwyżej opóźnienie osiągnięcia wyznaczonego naszym wojskiem zadania... Przewaga naszych sił nad polskimi jest taka sama, jaka była; a gdy o położeniu na froncie chodzi, stosunek przechyla się jeszcze bardziej na naszą korzyść dzięki dosyłaniu rezerw”.

A więc umizgi wzmacniane pogroźkami. Kampania prasowa wzywa Polskę do „stosowania umiaru”, do zatrzymania ofensywy, gdyż zwycięstwo pod Warszawą daje najlepsze szanse natchmiastowego pokoju. Wojnę Polacy już właściwie wygrali, bo ocalili swą stolicę. Ze strony bolszewickiej nic już im nie grozi, bo tak przecież zapewnia rząd bolszewicki.

Propaganda bolszewicka nie znajduje już zbyt wielu bezkrytycznych słuchaczy. Przyczyniają się do tego ujawnienie rozbieżności szeregu jednocześnie składanych deklaracji, zwykłe kłamstwa, niekiedy naiwne, niekiedy aroganckie, a także relacje dziennikarzy i oficerów zagranicznych misji wojskowych o zwierzających okrucieństwach popełnianych przez Armię Czerwoną i Czerezwycząjkę. Co do wznowienia propozycji pokojowych w Mińsku, także w rządach państw zachodnich panuje przeświadczenie, że tym razem są one dowodem słabości, a nie pokojowości. Niemniej z Paryża i Londynu, a także z Waszyngtonu płyną wezwania do Warszawy, by z nich skorzystać. W Paryżu i Waszyngtonie dominuje w dalszym ciągu przekonanie, że rząd bolszewicki pomimo wszystko ustąpi miejsca przyszłej demokratycznej Rosji, której interesów należy bronić. Dołączają się do tego oświadczenia i zapewnienia, że gdyby Rosja „czerwona” także tym razem nie dotrzymała własnych obietnic, wówczas mocarstwa na pewno Polsce pomogą.

Nasuwa się pytanie: w czym pomogą? Czy w zatrzymaniu następnej ofensywy bolszewickiej, jeśli płytka obrona polska gdzieś nad Bugiem z pozostawieniem Grodna i Brześcia nieprzyjacielowi się załamie? Takiej gwarancji nikt dać nie może i nie daje, choć bezsprzecznie mocniejsze stanowisko Anglików wobec Niemiec i Gdańska pozwala z mniejszym niepokojem oglądać się na Niemcy. Flota brytyjska przetarła też siłą drogę dostaw przez wrogi Polsce Gdańsk. Lecz nie zmienia to istoty położenia. Zmienić je może tylko obezwładnienie Armii Czerwonej, przekreślenie możliwości ponownej ofensywy.

Operacje będące bezpośrednim następstwem Bitwy Warszawskiej trwały mniej więcej do końca sierpnia. Szczupłość sił polskich na ogromnych przestrzeniach manewrowych nie pozwoliła na utworzenie szczelnego kotła wokół pobitych armii Tuchaczewskiego. Dwie były całkowicie rozbite i niezdolne do walki, lecz pozostałe dwie już po 10 dniach wchłaniają rezerwy w rejonie między Grodnem i Białymstokiem. Jedna z nich — jest to armia trzecia — stanowi pokaźną siłę bojową. Bolszewicka armia czwarta, która najpóźniej zaczęła się cofać znad Drwęcy i spod Płocka, przechodzi przez Prusy Wschodnie i granicę litewską do terenu nowej koncentracji rosyjskiej. Pokażna to liczba — około 80 tysięcy ludzi. Inne straty Tuchaczewskiego, sięgające około 150 tysięcy, wyrównują z nawiązką podciągnane posiłki. Już po zaczęciu bitwy niemeńskiej 15 września pisze wojenny korespondent londyńskiego *Times'a*: „Bolszewicy skoncentrowali ogromne siły na północno-wschodnim skrzydle polskiego frontu. Siły przeznaczone do obrony Grodna składają się w 20 % z doborowych oddziałów komunistycznych... Ofensywa polska uprzędziła tylko ofensywę bolszewicką. Wypadki dowodzą, że ani o minutę za wcześniej. Opóźnienie mogło być fatalne”.

Przegrupowanie polskie do nowej operacji zakończone zostało 10 września. Utworzono grupę uderzeniową z dwóch armii, drugiej i czwartej, pod osobistym dowództwem Naczelnego Wodza. Jednocześnie przekierowano linię frontu z północnego wschodu na wschód. Inne armie, przede wszystkim pierwsza i części piątej, miały zabezpieczać natarcie od północy na odcinku dość trudnym nie tylko militarnie, lecz i politycznie, gdyż na tym kierunku wywiązała się walka z nowym nieprzyjacielem, to jest z Litwą. Armie bolszewickie wydały były Wilno, a także Suwalszczyznę, Litwinom, głównie jako dywersję polityczną przeciwko Polsce, gdyż Armia Czerwona operowała w dalszym ciągu na tym terenie, w przypadkowym zresztą współdziałaniu z Litwinami. Opanowanie Grodna i Augustowa było koniecznością wojenną, gdyż od niego zależało powodzenie natarcia polskiego na koncentrację Tuchaczewskiego. Cel ten osiągnięto 25 września. Wojska polskie wyszły na skrzydło bolszewickie i przecięły jego komunikacje. Od czoła zdobyły Wołkowysk i Lidę, na południu Pińsk. Tuchaczewski nie mógł wyzyskać swej przewagi i 28 września zarządził odwrót, tracąc kolejne punkty oporu — Nieśwież, Stołpce i Nowogródek. Najcięższe walki toczyły się przy forsowaniu rzeki Szczary.

Odwrót przekształca się w całkowitą panikę, ogarniającą niezliczone oddziały tyłowe, ośrodki zapasowe i wojska w trans-

portach na zachód. Prowadzony energicznie pościg doprowadza wojska polskie do Kojdanowa, Słucka i Mińska. Tam zastaje je rozkaz przerwania działań, gdyż 12 października podpisano w Rydze rozejm. Rozmowy przeniesiono tam na żądanie polskie. Po bitwie niemeńskiej rząd Lenina uznaje dalszą walkę za beznadziejną. Pisze Trocki, wysłany na front przez Lenina: „Spędzono nasze wojska 400 kilometrów i więcej w tył. Dowództwo frontu zapewnia, że ma dostateczne rezerwy, przewagę artylerii i tak dalej. Ja stwierdzam, że na froncie zachodnim mamy tylko pobite dywizje, w które wlewamy coraz to większą masę surowego materiału ludzkiego. I choć Lenin upierał się jeszcze przy dalszym prowadzeniu wojny, czynił to już bez przekonania i bez wiary”. Tyle Trocki, jeden z niewielu, którym Lenin ufał.

Na przeniesienie rozmów z Mińska do Rygi zgodziła się strona bolszewicka 17 września. Rozmowy, zaczęte trzy dni później, z powolnych przemieniały się w coraz szybsze w miarę napływania wiadomości z frontu. Od bitwy niemeńskiej strona bolszewicka dokładała starań, by osiągnąć porozumienie jak najszybciej. Było dobrą wolą strony polskiej, że się temu pośpiechowi nie sprzeciwiała, choć tempo pertraktacji dyktowali nie delegaci w Rydze, lecz żołnierze dywizji legionowych, wielkopolskich, pomorskiej, podhalańskiej i litewsko-białoruskiej nad Niemnem i nad Szczarą.

W I L N O

Kiedy wojska polskie weszły w styczność bojową z wojskami Republiki Litewskiej na swym skrajnym skrzydle północnym, wywiązały się na obszarze Suwalszczyzny walki, w których Litwini bili się razem z dywizjami Armii Czerwonej przeciwko Polakom. Bezpośrednia przyczyna tego starcia była prosta.

4 lipca 1920 roku rząd polski postanawia zakończyć przewrót w stosunkach z Litwą. Wileńszczyzna otrzyma prawo samostanowienia. Lecz rząd litewski w Kownie jest faktem dokonanym, choć jego istnienie zależy od trwałości polskiej przestopy wojskowej od strony zagrożenia rosyjskiego. Warszawa uznaje oficjalnie niepodległość Republiki Litewskiej. Jakby na przekór Litwini zawierają 12 lipca „traktat pokojowy” z Rosją. Jest on pogwałceniem umów i konwencji, jakie tymczasem za-

wały państwa bałtyckie i Finlandia, zabiegające zresztą usilnie o ułożenie stosunków między Litwą i Polską. Jednocześnie jest przyznaniem, że między Litwą i Rosją trwał dotychczas stan wojenny. Na mocy traktatu Rosja „ceduje” na rzecz Litwy obszar zamieszkały przez około miliona mieszkańców, w czym tylko 60 tysięcy Litwinów, wraz z miastem Wilnem. W zamian za to rząd litewski wyraża zgodę na operacje wojskowe Armii Czerwonej na swym terytorium, starym i nowym, i na wprowadzenie wojsk sowieckich do Wilna. Po ciężkich walkach — trwa przecież ofensywa Tuchaczewskiego na Warszawę — 14 lipca Wilno dostaje się po raz drugi we władanie Armii Czerwonej, nie bez czynnej pomocy oddziałów litewskich, których „neutralność” — cytuję słowa Tuchaczewskiego — „zamieniła się we wrogość w stosunku do Polaków, gdy tylko Armia Czerwona zaczęła odnosić zwycięstwa”.

Był to gest nieobliczalny, który dowodził zaślepienia — niektórych zresztą tylko — polityków litewskich. W Kownie nie było bynajmniej gruntu psychicznego do współpracy z Rosją. Przeciwnie — podnosiły się głosy, że w razie upadku Polski los Litwy będzie przesądzony bez względu na takie czy inne traktaty. Nawet w pierwszym swobodnie wybranym sejmie litewskim — wybory odbyły się w maju — przeważała opinia, że jest to ostatni moment na dogadanie się z Polską. Dodatkowym bodźcem było postępowanie wojskowych i cywilnych władz bolszewickich, które Litwinów w ogóle nie dopuściły do zarządu cedowanych Litwie ziem łącznie z Wilnem. Wszystko rozbijało się jednak o dogmatyczną tezę, że Polska przyłączyć się musi do litewskiej teorii narodowościowej i uznać Polaków mieszkających w Wilnie — wbrew ich woli — za Litwinów.

Nastąpiła klęska bolszewicka pod Warszawą i paniczny odwrot Armii Czerwonej. Wypadki toczą się bardzo szybko. 27 sierpnia bolszewicy wpuszczają władze litewskie do Wilna. Tuchaczewski, przygotowując nową koncentrację przeciwko Polsce, chce sobie zabezpieczyć od tej strony skrzydło. Moskwa przypomina sobie o traktacie z Litwą, uznając, że jest to doskonały sposób przysporzenia Polsce kłopotów — politycznych i wojskowych. Bo jeśli Polacy nie zechcą doprowadzić do starcia z Litwinami, ich podstawy operacyjne w bitwie niemeńskiej zawisną w powietrzu, tym niebezpieczniej, że wojska rosyjskie nie opuściły Augustowa i Grodna pomimo obecności na Suwalszczyźnie wojsk litewskich. Jeśli Polacy uderzą w tym kierunku, to choć operacyjnie będzie to tylko kierunek uboczny i ubezpieczający ich skrzydło, niemniej powstanie konflikt polityczny z Litwi-

nami. A raczej konflikt trwający już od dwóch lat się ożywił z możliwością dalszych komplikacji międzynarodowych.

Wojska polskie na Suwalszczyznę uderzyły, gdyż była to konieczność wojskowa. Ponadto strony polskiej nie obowiązywał traktat rosyjsko-litewski. Obowiązywał natomiast rozejm sprzed roku, zawarty z Litwinami i wyznaczający linię demarkacyjną, zwaną „linią Focha”, pozostawiający Suwalszczyznę w ręku polskim. Walki z Litwinami trwały zresztą tylko kilka dni, gdyż położył im kres nowy rozejm. Tymczasem w ciągu następnych kilku dni została rozstrzygnięta bitwa niemeńska. Pertraktacje w Rydze kazały się spodziewać szybkiego zakończenia wojny. Strona bolszewicka zgłosiła *désintéressement* sprawą Wilna, nie wspominając nawet o swym traktacie pokojowym z Litwą. Lecz Litwini byli w Wilnie. 9 października nastąpił tak zwany „bunt Żeligowskiego”, zajęcie Wilna przez oddziały polskie przy słabym oporze litewskim i ogłoszenie powstania tworu państwowego pod nazwą Litwy Środkowej.

Opinia polska, a tym mniej opinia na Zachodzie, nie zdawała sobie w pełni sprawy, na czym polega szczególna litewska doktryna narodowościowa. Natomiast w rządzie polskim zrozumiano od razu, że obawa Litwinów przed polonizacją jest czynnikiem decydującym o ich polityce i że wobec tego wszystkie próby nawrotu do idei „unii lubelskiej” należy zarzucić. Proponowano natomiast dwie możliwości praktycznego rozwiązania sprawy. Jedną byłoby utworzenie tworu państwowego litewskiego o narodowości mieszanej, to znaczy bez przewagi żywiołu litewskiego, lecz nazwanego Litwą. Twór ten mógłby być w jakimś związku z Polską, posiadając jednak pełną samodzielność polityczną i kulturalną, opartą o całkowite równouprawnienie wszystkich grup ludnościowych. Drugą koncepcją było uznanie niepodległości litewskiej w jej granicach etnicznych. To znaczy bez Wilna, bez Grodna i oczywiście bez Białegostoku czy Nowogródka.

Koncepcję pierwszą, nazywaną dość niechętnie „federacyjną”, podtrzymywał Piłsudski dość długo, z tym, że ulegała modyfikacji w kierunku utworzenia na ziemiach byłego Wielkiego Xięstwa Litewskiego trzech członów narodowo-terytorialnych: litewskiego na ziemiach Litwy etnicznej i reprezentowanego przez władze młodej Republiki Litewskiej, białoruskiego o organizacji mgławicowej, a poddanego faktycznemu zarządowi cywilnemu sprawowanemu przez władze polskie, oraz członu polskiego złożonego z Wileńszczyzny. W samym mieście Wilnie Polacy byli w bezwzględnej większości. Drugą grupę stanowili Żydzi. Litwinów było w Wilnie mniej niż 2 %.

Po klęskę bolszewickiej Wilno było jednak w ręku litewskim. W dodatku zalecenia i naciski zachodnich sprzymierzonych szły w kierunku pozostawienia go Litwinom aż do późniejszych rozstrzygnięć. Skoro jednak rozstrzygnięcia te, pomijając ich bezterminowość, brały pod uwagę interesy przyszłej „demokratycznej” Rosji nie licząc się z rzeczywistością i nie uznając wyraźnie ani niepodległości Litwy, ani trwałości ustroju komunistycznego w Rosji, ani interesów polskich na jej wschodnim przedpolu, Polska na tego rodzaju rady i porady oglądać się nie mogła. Wygrała wojnę bez pomocy, bez pomocy pertraktowała o pokój z Rosją. Musiała też sama załatwić swój spór z Litwą o Wilno.

Piłsudski zdecydował się na formę zakamuflowaną. Wilno ma zająć żołnierz z Wileńszczyzny i z Białorusi. Walczył on bohatercko w ochotniczych dywizjach litewsko-białoruskich. Choć dumna ze swej przynależności do armii polskiej, pierwsza dywizja litewsko-białoruska zachowała swój odrębny charakter. Dywizja ta, zgrupowana wraz z dwoma pułkami ułanów — trzynastym i dwieście jedenastym ochotniczym — pod wodzą Wilnianina generała Żeligowskiego, „buntuje” się 9 października idzie wywalać swą „miłą ojczyznę”, według słów odezwy swego dowódcy. Zajmuje Wilno ku niewypowiedzianemu entuzjazmowi społeczeństwa, które tworzy rząd Litwy Środkowej. „Bunt” Żeligowskiego nawet w sztabie polskim traktowano przez kilka dni zupełnie poważnie. Poza Żeligowskim i Piłsudskim o prawdziwym jego podłożu wiedział tylko dowódca armii, generał Sikorski.

Był to fakt dokonany. Wilno decyduje o swym losie po myśli Polski, a nie po myśli Litwy. Lecz popełnilibyśmy błąd uważając „bunt Żeligowskiego” za wstęp do inkorporacji Wilna. Koncepcja „Litwy Środkowej” zawierała w sobie resztki planów swobodnej federacji obszarów położonych między Polską a Rosją. Rosja zgłosić miała w Traktacie Ryskim swoje *désintéressement*. Trwały za to protesty litewskie zarówno w Radzie Ambasadorów, która przejęła funkcje wykonawcze w sprawach wynikających z postanowień Traktatu Wersalskiego, jak w Lidze Narodów. Litwa odrzucała też propozycje kompromisowe, nie godząc się przede wszystkim na plebiscyt. Nie obyło się przy tym bez sporów w łonie polskiego społeczeństwa Wileńszczyzny. Poważna jego część pragnęła utrzymać status autonomiczny, także jako otwarte drzwi do przyszłych pertraktacji z Litwą, gdy i jeżeli odstąpi od swego krańcowo szowinistycznego stanowiska. Większość jednak przeważyła. Wilno stało się stolicą województwa w granicach Polski, lecz stan wrogości między Litwą a Polską miał trwać jeszcze następnych piętnaście lat.

P O K Ó J

I

12 października 1920 roku Rosja bolszewicka nie była w sensie operacyjno-wojskowym zdolna do żadnego oporu. Gdyby delegacja bolszewicka w Rydze tego dnia rozejmu nie podpisała, armia polska mogła była maszerować dalej na wschód aż do momentu, gdy wydłużone komunikacje i rozrzucenie w przestrzeni nie odebrałyby jej zdolności manewrowej. Wówczas też dopiero strona rosyjska mogłaby odtworzyć skuteczną obronę, może już za Bramą Smoleńską, gdy o kierunek moskiewski by chodziło. Było mało szans, by mogło to nastąpić przed zimą, co wyraźnie stwierdzono na kilku kolejnych posiedzeniach Rady Komisarzy Ludowych na podstawie brutalnego w swej szczerości referatu Trockiego, któremu Lenin zlecił ocenę położenia. Sam Lenin zresztą pisał 15 października, że „położenie Republiki Sowieckiej jest nadzwyczaj ciężkie, co zmusza nas do jak najszybszego zawarcia pokoju, zanim mogłaby się rozpocząć przeciw nam kampania zimowa”. A 20 listopada, uzasadniając motywy, jakie skłoniły jego rząd do podpisania rozejmu w przekonaniu, że jest wstępem do zawarcia pokoju z Polską, wyraził się jeszcze dobitniej: „Po wspaniałych zwycięstwach ponieśliśmy druzgocącą klęskę pod Warszawą”.

Trocki ze swej strony odmawiał Armii Czerwonej zdolności ponownego działania ofensywnego przeciwko Polsce, wskazując nie tyle na brak środków materiałowych i zasobów ludzkich, ile na rozprężenie organizacyjne, zły schemat dowodzenia i całkowity upadek ducha w wojsku, w którym dezercje sięgały setek tysięcy żołnierzy. Stwierdzenia te były tylko reasumpcją wiadomości z frontu, które kazały Radzie Komisarzy Ludowych i samemu Leninowi radykalnie zrewidować dotychczasowy polityczno-wojskowy plan wojny z Polską.

Do drugiej połowy września przygotowaniom wojskowym, ściąganiu rezerw i materiału wojennego z głębi Rosji na front towarzyszyło umacnianie i rozszerzanie podstaw współpracy politycznej i wojskowej z rządem niemieckim. Główną rolę w tej akcji, gdy o stronę niemiecką chodzi, odgrywał minister spraw zagranicznych Rzeszy Walter Simons, kontaktujący się z rządem bolszewickim przez nieoficjalnego przedstawiciela Lenina w Berlinie nazwiskiem Kopp, a z bolszewickim dowództwem frontu

przez majora Wilhelma Schuberta. Wymiana korespondencji pod osłoną zapewnień o całkowitej neutralności przewidywała już od pierwszych dni sierpnia przeszkodzenie wszelkimi dostępnymi sposobami dostawom materiału wojennego i żywności na potrzeby armii i ludności Polski, co w praktyce dotyczyło także dostaw drogą przez Gdańsk. Ważniejsze były bolszewickie zobowiązania nieprzekraczania granicy byłego zaboru pruskiego. W razie konieczności operacyjnej — co miało zresztą miejsce w Działdowie i Brodnicy — zarząd cywilny miał być pozostawiony miejscowym Niemcom. Simons nie posunął się co prawda w oświadczeniach oficjalnych poza możliwość rewizji granic wersalskich tam wszędzie, gdzie chodzić mogło o większość niemiecką na odstąpionych Polsce obszarach, lecz w praktyce generał Seeckt przygotowywał okupację wojskową całego Pomorza i Poznańskiego.

Było to w zgodzie ze stanowiskiem rządu Lenina, który nie uznawał postanowień Traktatu Wersalskiego, zwłaszcza gdy chodziło o zachodnie granice Polski. Dalsze plany na wypadek upadku Warszawy i objęcia rządów przez komunistów przewidywały bezpośrednie pertraktacje niemiecko-rosyjskie — tajne według propozycji Koppa. Tym porozumieniom na najwyższym szczeblu towarzyszyło wiele porozumień lokalnych między armią bolszewicką i władzami cywilnymi i wojskowymi, na terenie Prus Wschodnich zwłaszcza. I choć rząd w Berlinie wykazywał dużą ostrożność w wypowiedziach, głosy prasy niemieckiej wspominały o przymierzu z Rosją, które po likwidacji niepodległego państwa polskiego zapewni obalenie Traktatu Wersalskiego.

Klęska pod Warszawą nie przekreśliła automatycznie tych dalekosiężnych planów. Jeżeli nawet zwiększyła ostrożność w Berlinie, to nie spowodowała zmiany oceny sytuacji w Moskwie, gdzie zresztą z zadowoleniem widziano brak przeszkód ze strony władz niemieckich przy przekraczaniu granicy Prus Wschodnich przez oddziały armii Tuchaczewskiego w ucieczce przed dywizjami polskimi, a w marszu do nowych rejonów koncentracji nad środkowym Niemnem.

Zmianę podstawową spowodowała dopiero klęska Armii Czerwonej w bitwie niemeńskiej w trzeciej dekadzie września. Po niej doszło do rewizji planów nie tylko dalszej wojny z Polską, lecz całokształtu polityki rządu bolszewickiego. Rewizja ta odbyła się bardzo szybko i nie można odmówić rządowi Lenina i jemu samemu umiejętności logicznego i trafnego wycenienia zmiany położenia Rosji i całej Europy w następstwie zwycięstwa polskiego. I tak, gdy jeszcze 18 i 19 września delegacja bolszewicka przybyła do Rygi odwlekała rozpoczęcie rozmów z delega-

cją polską, już po kilku dniach, gdy natarcie polskie ogarnęło rejon Grodna i przesunęło kierunek z północnego na wschodni, rozmowy te się rozpoczęły właśnie z inicjatywy bolszewickiej. Po 28 września toczyły się wnikliwie i sprawnie, przy czym zajęcie Wilna w dniu 9 października przez „zbuntowaną” dywizję litewsko-białoruską generała Żeligowskiego na tempo rokowań i ich charakter nie wpłynęło.

Cóż się właściwie stało? Oto strona bolszewicka zdała sobie sprawę, że strona polska nie ugięła się pod naciskami mocarstw zachodnich, by zgodzić się na rozmowy stając na linii frontu nie dającej żadnej gwarancji bezpieczeństwa w razie nowej ofensywy bolszewickiej. Przeciwnie — zdobyła się na wysiłek wytrącenia z ręki nieprzyjaciela możliwości nowej ofensywy. Zajęcie Wilna nie tylko wprowadzało nowe napięcie w stosunkach z Zachodem, lecz ponadto — i bolszewicy ocenili to trafnie — stwarzało zaporę terytorialną między Rosją i Niemcami, co przy niezdolności Armii Czerwonej do dalszego skutecznego oporu przekreślało wszelkie plany wspólnej akcji rosyjsko-niemieckiej czy to przeciwko Polsce, czy też przeciwko całemu porządkowi europejskiemu utworzonemu w Wersalu.

Co istotniejsze, rząd Lenina zdał sobie sprawę, że Polska, wywalczwszy sobie zwycięstwo wojskowe własnymi siłami, chce także bez niczyjego pośrednictwa zawrzeć taki pokój, który brałby pod uwagę tylko jej interesy oraz interesy tych sąsiadów, których bezpieczeństwo wiąże się bezpośrednio z jej własnym bezpieczeństwem. Stanowisko i postępowanie Polski w krótkim lecz przełomowym okresie bitwy niemeńskiej otwierało przed rządem leninowskim nowe perspektywy. Oczywiście plan pierwotny, w imię którego rząd ten prowadził wojnę z Polską, plan jej podboju i przerzucenia swych wpływów przy pomocy siły wojskowej daleko na zachód przestawał być wykonalny. Lecz Polska gotowa była zawierając pokój wyzwolić Rosję spod zmyru najtragiczniejszych skutków przegranej wojny. Mianowicie spod zmyru przedłużenia stanu „ni to wojny ni pokoju”, który przestał dla Rosji być korzystny, gdyż pociągał za sobą widmo nowych interwencji ze strony państw zachodnich i nowych ruchów kontrrewolucyjnych ze strony rosyjskich przeciwników komunizmu. Dotychczas Polska konsekwentnie odmawiała współdziałania z „białą” Rosją Denikina, Kołczaka, Judenicza czy Wrangla; odmawiała nie tylko współdziałania, lecz nawet moralnej pomocy w akcjach interwencyjnych. Było to głównym, jeśli nie jedynym powodem zdrażnień z mocarstwami zachodnimi. W Moskwie wiedzano dobrze, że przeciwstawianie się Paryżowi czy Londynu,

a nawet Waszyngtonu, zarówno przesuwaniu granic Polski na wschód od linii zwartej osiedlenia ludności polskiej, jak i polityce wyzwoleniczej w stosunku do Ukraińców i Białorusinów wypływało z chęci zabezpieczenia interesów Rosji niekomunistycznej, w której powstanie ciągle w stolicach tych wierzone. Stąd wpływała chęć wciągnięcia Polski w politykę „ni to wojny ni pokoju”. Traktat pokojowy miał być rozejmem i niczym więcej. Polska miała nie nawiązywać stosunków z Rosją leninowską. Miała czekać, aż mocarstwa zachodnie uznają, że nadeszła odpowiednia po temu chwila, albo też, że dojrzał moment nowej interwencji.

Stanowisko to najbardziej uporczywie reprezentowała Francja, nie tylko w roku 1919 i pierwszej połowie 1920, lecz także we wrześniu i w październiku. Dla niej prawowitym przedstawicielem Rosji był Wrangel i jego wojsko na Krymie. Dla Polski Wrangel był jednak tylko jeszcze jednym „białym” generałem. Jego operacje wojskowe nie miały, wbrew mirażom roztaczanym przez Weyganda i przez rząd francuski, żadnego związku z wojną polsko-bolszewicką, a jego polityka, jeśli o niej w ogóle można mówić, była w sprzeczności z dotychczasową polityką polską, zwłaszcza na odcinku zagadnienia niepodległości Ukrainy.

Dlatego też — z czego rząd Lenina dobrze sobie zdawał sprawę — rządy brytyjski i francuski najchętniej pośredniczyłyby przy zawarciu rozejmu polsko-rosyjskiego, lecz z najwyższą niechęcią przyglądałyby się zawarciu pokoju między Polską i Rosją bez niczyjego pośrednictwa, i to głównie dlatego, że pociągałoby to uznanie i *de facto*, i *de iure* ustroju rewolucyjnego w Rosji. Z okazji zawarcia takiego pokoju wobec załamania się wielkich planów rozprzestrzenienia rewolucji na całą Europę rząd Lenina postanowił skorzystać.

Zwłaszcza, że nie pociągało to za sobą konieczności przyłączenia się do systemu wersalskiego w sensie formalnym. Pokój polsko-rosyjski uzupełniałby w rzeczywistości system wersalski. Mówiąc inaczej, był warunkiem funkcjonowania systemu wersalskiego. Lecz nie wiązał rąk ani propagandzie, ani polityce rosyjskiej, zwłaszcza na odcinku współdziałania z rzekomo w Wersalu pokrzywdzonymi Niemcami. Trudno było stronie polskiej przewidzieć umowę z Rapallo. Natomiast nie ulegało dla niej wątpliwości, że zwycięstwo nad Rosją nie tylko ocaliło niepodległy byt Polski, lecz także zabezpieczyło, skuteczniej niż podpis niemiecki pod traktatem w Wersalu, przynależność Pomorza i Poznańskiego do Polski. Bitwa pod Warszawą i bitwa nad Niemnem toczyły

się nie tylko o Białystok i Wilno, lecz także o Poznań, Bydgoszcz i Toruń.

Bitwa niemeńska przyniosła możliwość pokoju, na który godziły się i Polska, i Rosja. Polska widziała w nim pokój trwały, Rosja — jak każdą umowę międzynarodową — traktowała go „dialektycznie”, to znaczy jako obowiązujący do czasu kolejnej zmiany koniunktury. Lecz tego strona polska w roku 1920 nie wiedziała. Troszczyć się też musiała tylko o to, jakie korzyści będzie mogła w pertraktacjach osiągnąć i jaka będzie ich cena.

II

Pertraktacje rozejmowe w Rydze trwały około trzech tygodni. Podzielić je można na dwa wyraźne podokresy. Pierwszy rozpoczął się 21 września, gdy delegacja rządu bolszewickiego wyraziła nagle gotowość rozpoczęcia rozmów z delegacją polską, dając przy tym do zrozumienia, że nie będzie się upierała przy dotychczasowych warunkach. Druga faza rozmów rozpoczęła się 3 października, gdy w rozmowie między Joffem, przewodniczącym delegacji bolszewickiej, a Janem Dąbskim, Stanisławem Grab- skim, Norbertem Barlickim i Władysławem Kiernikiem z dele- gacji polskiej Joffe postawił pytanie, czy Polska chce traktować rozejm jako wstęp do trwałego pokoju czy też jako sposób zys- kania na czasie dla przygotowania wspólnej z mocarstwami za- chodnimi interwencji w wewnętrzne sprawy rosyjskie.

Pytanie Joffego sformułowane było w ten sposób: jakie gwarancje może dać Polska, że nie da się popchnąć przez mocar- stwa zachodnie do dalszej wojny przeciwko Rosji komunistycznej, tym razem już nie w obronie własnej niepodległości i własnych granic, lecz w ramach planu państw kapitalistycznych, chcących obalić młody ustrój rewolucyjny w Rosji właściwej? Sformuło- wanie pytania jest o tyle ważne, iż odstępując od metody propa- gandowego przeinaczania faktów rząd Lenina przez usta swego delegata przyznawał się do trzech rzeczy. Po pierwsze, że wojna polsko-bolszewicka był skutkiem agresywnych planów rosyjskich w stosunku do Polski. Plany te się nie udały, gdyż Polska od- nosiła własnymi siłami zwycięstwo. Po drugie, że Polska dotych- czas nie dawała się wciągnąć w żadne plany interwencyjne na rzecz Rosji „białej” i że jej polityka wschodnia nie była w żad- nym stopniu związana z planami politycznymi snutymi w Paryżu

czy w Londynie. I wreszcie po trzecie, że Polska w oczach rządu leninowskiego jest w obecnej sytuacji jedynym przeciwnikiem naprawdę dla Rosji groźnym, gdyż tylko przy jej współdziałaniu nastąpić by mogło zachwianie czy nawet obalenie siłą nowego reżymu rewolucyjnego.

Według zapisków Grabskiego odpowiedź polska stwierdzała, że najlepszą gwarancją dla Rosji powinna być prawidłowa ocena interesu Polski. Interes ten polega na ustaleniu takich granic, które zapewniałyby jej bezpieczeństwo. Byłoby szaleństwem ze strony polskiej, gdyby chciała przyczynić się do obalenia takiego rządu rosyjskiego, który granice tego rodzaju gotów jest Polsce zapewnić, po to, by jego miejsce zajął inny rząd rosyjski, który gotów byłby granice te zakwestionować. Polska nie dała się dotychczas wciągnąć do żadnej akcji interwencyjnej przeciwko ustrojowi komunistycznemu w Rosji właśnie dlatego, że nie leżało to w interesie państwa polskiego. Stan ten nie może ulec zmia- nie także dlatego, że Polska nie zgodzi się nigdy na współpracę z Niemcami przeciwko Rosji, a bez współdziałania Niemiec inter- wencja innych państw kapitalistycznych nie ma żadnych fizycz- nych szans powodzenia.

W innych rozmowach półoficjalnych dawała przy tym dele- gacja polska do zrozumienia, że wśród warunków własnego bez- pieczeństwa stawia na pierwszym miejscu zapobieżenie wszelkim nowym próbom współdziałania Rosji z Niemcami, chociażby na wzór współdziałania zapoczątkowanego w rozmowach i korespon- dencji między rządem Lenina a ministrem spraw zagranicznych Simonsem, których skutkiem zapobiegło zwycięstwo polskie pod Warszawą i nad Niemnem. Stąd sprawa Wileńszczyzny nie jest dla Polski tylko zagadnieniem uczuciowym, lecz także wynikiem konieczności zapobieżenia powstaniu bezpośredniej granicy rosyj- sko-niemieckiej, a nawet swobodnego szlaku przemarszu przez terytorium Litwy.

W wyniku rozmowy z 3 października — jak pisze Grabski — Joffe oświadczył, że zwróci się do Rady Komisarzy Ludowych z propozycją udzielenia mu pełnomocnictw do zawarcia rozejmu tak pomyślanego, by mógł być podstawą traktatu pokojowego. Decyzję tę Joffe otrzymał z Moskwy 5 października. Zawierała zgodę na wyznaczenie takiej granicy polsko-rosyjskiej, jakiej do- maga się strona polska pod warunkiem obniżenia do 30 milio- nów rubli udziału Polski w zapasach złota przechowywanych w dawnym Państwowym Banku Cesarstwa Rosyjskiego. Nie bez ironii pisał Grabski: „Rosji zależało znacznie bardziej na nie

uszcuplaniu swej rezerwy kruszcowej niż na terytoriach, jakie gotowa była uznać za należne Polsce”.

Moskwa wiedziała, że wojna jest przegrana, i bała się jej przedłużenia. A także jej wznowienia. Stąd decyzja jak najszybszego zawarcia rozejmu z jednoczesnym uzyskaniem zapewnienia, iż będzie on wstępem do traktatu pokojowego. Stąd rozmowa Joffego z delegatami polskimi i decyzja zgody na warunki polskie. Gdy o sprawę granic chodzi, rząd Lenina uważał ją istotnie za drugorzędną. Przewidywał, że granicą będzie linia osiągnięta przez wojska polskie w dniu podpisania rozejmu. Instrukcje wysyłane Joffemu przez Radę Komisarzy Ludowych pozwalały mu na ustępstwa aż po wytyczenie granicy na rzece Berezynie. Wysunął je zresztą Joffe, może nazbyt pochopnie, 5 października, proponując po prostu, by Polacy wzięli sobie Mińsk. Spotkał się z odmową, którą sformułował przewodniczący delegacji sejmowej w ramach ogólnej delegacji polskiej, Stanisław Grabski. Uczynił to nawet z „niepohamowaną furją”, jak napisze kiedyś inny delegat polski, Adam Ładoś. Sam Joffe skomentował to ironicznie, że „profesorowi Grabskiemu na terytoriach nic a nic nie zależy”.

Czy chodziło rzeczywiście o terytoria? Gdyby tylko o nie chodzić miało, Grabski i nie tylko on trzymałby się tylko wiernie instrukcji sejmowych, „by dążyć do pokoju i do ustalenia bezpiecznej granicy bez zbytnich nabytków terytorialnych”.

Lecz większości sejmowej, a ją właśnie Grabski reprezentował, szło o co innego. Grabski obawiał się, że nadmierna liczba mniejszości w granicach polskich uniemożliwi ich polonizację, że będzie zarzewiem przyszłych sporów i incydentów. Sądził, że o to właśnie Rosji chodzi. Wychodził z założenia, że przyszłe stosunki między Polską i Rosją układać należy usuwając wszystkie przyczyny niepokoju rosyjskiego. Dążenia wolnościowe narodów położonych między etnicznym obszarem polskim i rosyjskim były podstawową przyczyną niepokoju Rosji. Dążenia te nie mają szans realizacji. Podsycić je i wykształcić może tylko pomoc polska. Jeśli więc Rosja przekona się, że Polska pomocy takiej nie ma zamiaru udzielić ani teraz, po zwycięskiej wojnie z Rosją, ani w przyszłości, zniknie powód do obawy przed Polską i tym samym uzasadnienie wrogiego do niej stosunku. Sposobem usunięcia tych obaw jest uznanie fikcji sowieckiej Ukrainy i sowieckiej Białorusi oraz zgoda, by te dwa fikcyjne państwa kładły podpis pod traktat pokojowy.

A formalnie pertraktacje toczyły się właśnie w imieniu także

Białoruskiej Republiki Rad i Ukraińskiej Republiki Rad i te dwie sowieckie republiki związkowe miały ostateczny tekst Traktatu Ryskiego podpisać. Mówiąc ściśle, podpisano je w ich imieniu, gdyż w delegacji bolszewickiej w Rydze nie tylko nie było Ukraińców ani Białorusinów, lecz nie było nikogo, kto by mógł przetłumaczyć teksty polskie i rosyjskie na język ukraiński.

Lecz stronie rosyjskiej nie chodziło ani o granice tych republik związkowych, ani o wolę ich mieszkańców po obu stronach ustalonej granicy. Chodziło jej tylko o wyrzeczenie się przez Polskę zasady samostanowienia tych narodów. Był to jedyny warunek, od którego rząd komunistyczny nie chciał odstąpić i nie odstąpił, ryzykując nawet przedłużenie wojny z wszystkimi tego konsekwencjami. Wyrzeczenie się zasady samostanowienia było podstawową ceną, jaką zapłaciła Polska za tak bardzo upragniony pokój. Była to cena, która zaważyła na przyszłości całej Europy wschodniej, a tym samym całej Europy. Rosja odnosiła tu nie tylko formalne zwycięstwo. Oczywiście przesłanką podstawową była kontynuacja imperializmu carskiego, który Ukrainę i Białoruś wprowadził siłą w ramy Rosji. Lecz łączył się z tym postulat nie mniej ważny, który był wynalazkiem nowym — wynalazkiem leninowskiej koncepcji ustroju komunistycznego. Chodziło o to, by karykatura zasady samostanowienia narodów, jakim była leninowska teoria reprezentowania narodu przez proletariat, proletariatu przez partię komunistyczną, a partii komunistycznej przez aparat partyjny, wsparty, gdy potrzeba, siłą Armii Czerwonej, znalazła formalne uznanie w stosunkach międzynarodowych. Pierwszym tego rodzaju uznaniem były sformułowania rozejmu i Traktatu Ryskiego podpisane przez Polskę.

Dodajmy, że podpisując tę formułę Polska odstępowała od własnej koncepcji dopomożenia narodom położonym między polskim obszarem zasiedlenia i obszarem etnicznie rosyjskim. To prawda, że koncepcja ta nie była w Polsce popularna, między innymi i dlatego, że duża część społeczeństwa nie zdawała sobie sprawy z jej istoty. Większość sejmowa, większość polityków była jej po prostu przeciwna, choć z różnych powodów. Najlojalniejszą i najwyraźniejszą swą niechęć do koncepcji niepodległej Ukrainy i ewentualnej niepodległej Białorusi uzasadniała szkoła myślenia reprezentowana w teorii przez przywódcę Narodowej Demokracji Romana Dmowskiego, a w praktyce w okresie pertraktacji ryskich przede wszystkim przez Stanisława Grabskiego. Nie miała jednak ta szkoła racji w swych nadziejach, że przeciwstawienie się dążeniom wolnościowym Ukraińców usunie wszel-

kie punkty tarcia między Rosją i Polską i stworzy nienaruszalne podstawy sąsiedzkiego współżycia.

Z dużym niepokojem wyczekiwano w Moskwie na odpowiedź Polski w sprawie uznania sowieckich republik, białoruskiej i ukraińskiej, za legalne przedstawicielstwa tych narodów. Delegacja polska ustami swego przewodniczącego Jana Dąbskiego zaprzeczyła, jakoby rządy narzucone siłą przez Armię Czerwoną reprezentowały wolę tych narodów, tłumacząc przy tym w mocnych słowach różnicę między pojęciem samostanowienia narodów a leninowską karykaturą tego pojęcia. Lecz już 28 września było jasne, że delegacja polska zgodzi się na fikcję podpisów ukraińskiej i Białoruskiej Republiki Rad pod aktem rozejmowym. Tak się też stało. Zanim jeszcze rozejm został podpisany, kazano wojskom ukraińskim sprzymierzonym z armią polską albo złożyć broń, albo przejść przez linię frontu.

Formalnie polsko-ukraiński traktat przymierza nie wymagał wypowiedzenia, gdyż nie doszło do jego ratyfikacji ani w Sejmie polskim, ani w Konstytuancie ukraińskiej, która się nie zdążyła zebrać w czasie krótkiego pobytu wojsk polskich i ukraińskich w Kijowie. Nie było też w traktacie klauzuli wzbraniającej zawarcia odrębnego pokoju. Niemniej przymierze polsko-ukraińskie było faktem historycznym i pociągało za sobą zobowiązania moralne. Jego jednostronne zakończenie stworzyło nowe źródło pretensji narodu ukraińskiego do Polski. Była to także część ceny, jaką Polska zapłaciła za upragniony pokój.

Korzyści z szybkiego wyzyskania zwycięstw wojskowych nad Rosją kazały o cenie tej zapomnieć lub pozwalały o niej nie myśleć. Uczciwość historyka każe o nich mówić w oparciu nie o mądrość następnych dziesięcioleci, lecz o rzeczywistość roku 1920, który był siódmym rokiem wojny, zniszczeń i ciągłego zagrożenia narodu polskiego i jego walki o niepodległość.

Petlura tymczasem postanowił prowadzić dalej beznadziejną już walkę o niepodległość Ukrainy. Przeszedł Zbrucz i odniósł na Podolu kilka lokalnych sukcesów, lecz 17 listopada 1920 roku musiał walki zaprzestać. Część jego wojska przeszła do Czechosłowacji, większość internowano w Polsce w kilkunastu obozach, wśród których największym było Szczypiorno, to samo Szczypiorno, gdzie cztery lata przedtem Niemcy wzięli polskich legionistów. Podobny los czekał oddział białoruski generała Bałachowicza.

15 maja 1921 roku odwiedził obóz w Szczypiornie Piłsudski. Stanąwszy przed frontem oficerów ukraińskich, po chwili mil-

czenia Naczelnik Państwa polskiego przedstawił krótko postanowienia Traktatu Ryskiego, by zakończyć słowami: „Ja was przepraszam, Panowie, ja was bardzo przepraszam”.

Te przeprosiny — „rycerskie”, jak je określił najstarszy oficer ukraiński, generał Bezruczko — zamknęły dzieje sojuszu Rzeczypospolitej Polskiej z Ludową Republiką Ukraińską.

III

Dokument rozejmowy podpisany w Rydze 12 października 1920 roku nazwano od razu „preliminariami pokojowymi”, co odpowiadało sformułowaniom dokumentu oraz — jak zakładano — woli obu stron. Rozejm miał wejść w życie 18 października, przy czym linia frontu o świcie tego dnia miała przekształcić się w linię demarkacyjną między wojskami obu państw i stać się w ogólnym zarysie przyszłą granicą. Tak się też stało w istocie, jeśli nie liczyć drobnych poprawek, zresztą na korzyść Polski, uzgodnionych w czasie dalszych pertraktacji, tym razem określanych jako pokojowe, które toczyły się w Rydze aż do dnia podpisania właściwego traktatu, co nastąpiło 18 marca 1921 roku. „Front” jest zresztą w tym wypadku określeniem umownym, bo opór Armii Czerwonej załamał się całkowicie. Wojska polskie miały przed sobą jedynie zdemoralizowane i pozbawione łączności szczytkowe dywizje bolszewickie. Tak przynajmniej było na Białorusi, to jest na głównym teatrze operacyjnym.

I choć pertraktacje w Rydze miały się jeszcze toczyć przez sześć miesięcy, dotyczyć już miały tylko szczegółowych postanowień i dodatkowych umów między Polską a Rosją w takich sprawach jak konwencja handlowa, oddanie Polsce zrabowanych przez rządy carskie skarbowo-kultury oraz wypłacenie Polsce odszkodowania za straty poniesione w czasie pierwszej wojny światowej. Gdy o istotne zagadnienia chodziło, zarówno rządy walczących stron jak i opinia publiczna w Polsce zdawały sobie sprawę, że rozejm jest w rzeczywistości zakończeniem dwuletniej bez mała wojny z Rosją, a jednocześnie końcem zawieruchy wojennej przebiegającej przez ziemie polskie od pierwszego dnia pierwszej wojny światowej.

Nic też dziwnego, że reakcja społeczeństwa polskiego na wiadomość o rozejmie była radosna. Uczucie ulgi potęgowała świa-

domość, że sytuacja Polski uległa radykalnej zmianie na lepsze w ciągu dwóch zaledwie miesięcy, licząc od dni śmiertelnego zagrożenia jej niepodległego bytu.

Opinia zachodnia odnosiła się sceptycznie do możliwości zakończenia wojny, pomimo zwycięstwa polskiego. Było to o tyle zrozumiałe, że przebieg pertraktacji w Rydze nie był dokładnie znany. Nie zdawano sobie przede wszystkim sprawy z ugodowego nastawienia delegacji rosyjskiej, stojącego w całkowitej sprzeczności z żądaniami wysuwanymi w czerwcu i lipcu.

W Rydze — a więc po klęsce — nie było już mowy o dawnych żądaniach. Przeciwnie, delegacja sowiecka wyrażała gotowość odstąpienia Polsce całej Białorusi z Mińskiem włącznie, zgłaszała *désintéressement* w sprawie ułożenia stosunków między Polską i Litwą i unikała starannie czegokolwiek, co by mogło wyglądać na ingerencję w sprawy wewnętrzne. Podstawowym dezyderatem było już tylko zaprzestanie działań wojennych czyli przerwanie marszu wojsk polskich dalej na wschód niż Berezyna i podpisanie ostatecznego traktatu pokojowego.

Przyjęcie postulatów rosyjskich przegłosowano w łonie delegacji polskiej większością głosów przy sprzeciwie Leona Wasilewskiego, Witolda Kamienieckiego i Jana Dąbskiego. Co chcieli przez to osiągnąć? Na pewno nie myśleli o przedłużeniu wojny w drodze zerwania pertraktacji. Nie mogło być o tym mowy w osiągniętej fazie rozmów, wobec wyraźnego nastawienia społeczeństwa polskiego i instrukcji sejmowych, przeciwko którym Naczelnik Państwa formalnie nie protestował. Trzej delegaci reprezentowali po prostu pogląd, że Rosja i tak na pokój się zgodzi. Nie chcieli zaś dawać jej więcej niż żądała — przynajmniej na Białorusi.

Bez wątpienia w grę wchodzić tu mogło nagłe ożywienie myśli federacyjnej w związku z zajęciem Wilna przez generała Żeligowskiego. Wydawać się mogło, że w oparciu o tę nową rzeczywistość polityczną można będzie znowu pomyśleć o idei wielonarodowościowego państwa litewsko-białoruskiego związanego z Polską. Celowi temu stawałoby na przeszkodzie uznanie Białoruskiej Republiki Sowieckiej. Celowi temu pomóc mogło utrzymanie Mińska, zajętego 14 października, w rękę polskim.

Koncepcje wyrastające wokół Litwy Środkowej nie dały, jak się miano wkrótce przekonać, żadnego rezultatu wskutek zdecydowanie wrogiej postawy Republiki Litewskiej. Czy znalezienie się większości etnicznego obszaru Białorusi w granicach Polski, co można było w Rydze osiągnąć zamiast jej przepołowienia,

zmieniłoby sytuację, trudno dociec. I jeśli część opinii polskiej z bólem przyjęła wiadomość o odstąpieniu Mińska, obsypując Grabskiego i innych delegatów gradem złorzeczeń, to powodem nie były rozmyślenia polityczne i wizje federacyjne, lecz świadomość wydania na zagładę miliona Polaków pozostałych „po tamtej stronie”.

Linia rozejmowa, linia demarkacyjna i wreszcie linia graniczna pokrywały się w przybliżeniu z granicą drugiego rozbioru. Polska rezygnowała z wszelkich pretensji terytorialnych na wschód od tej linii. Na zachód od niej z pretensji terytorialnych w jakiegokolwiek postaci rezygnowały wspólnie Rosja oraz sowiecka Ukraina i sowiecka Białoruś. Granica nazwana ruską zapewniała Polsce bezpośredni styk z Łotwą na północy i z Rumunią na południu. Biorąc ten fakt pod uwagę, należy ją uznać za korzystną. Nie z powodu przyłączenia tego lub innego miasta czy powiatu, lecz dlatego, że odcinała Rosję od Niemiec.

Z tych względów według ówczesnych koncepcji strategicznych można ją było uznać za granicę bezpieczną. Lub raczej zapewniającą możliwość skutecznej obrony ziem etnicznie polskich w razie nowej agresji rosyjskiej. Oczywiście tylko wtedy, gdyby Rosja występowała przeciwko Polsce sama, bez sojusznika napaści od strony Niemiec.

Pod tym względem niebezpieczeństwo z sierpnia 1920 roku, gdy wystąpienie Niemiec przeciwko Polsce było tylko kwestią dni, a raczej kwestią zdobycia Warszawy przez Armię Czerwoną, stawało się niebezpieczeństwem czysto teoretycznym. Tak przynajmniej sprawę oceniano w Warszawie po podpisaniu rozejmu w Rydze. Owszem, obawiano się konfliktu z Niemcami na tle Górnego Śląska, zwłaszcza po drugim powstaniu śląskim. Jedną z przesłanek, która spowodowała milczącą zgodę Piłsudskiego na rozejm, była właśnie obawa wojny z Niemcami. I zanim jeszcze rozejm z Rosją wszedł w życie, zaczęto przerzucać oddziały z frontu na granicę zachodnią. W krótkim czasie znalazło się tam 16 dywizji, gdy na linii demarkacyjnej rosyjsko-polskiej pozostało ich tylko 12. Lecz rozejm w Rosję pozwalał patrzeć spokojniej na niebezpieczeństwo konfliktu z Niemcami. Oceniano to jako wielką i bezpośrednią korzyść.

Ocena ta była słuszna, choć oczywiście dotyczyła tylko krótkiego okresu czasu i określonej sytuacji. Koła militarystyczne w Berlinie — generał Seeckt, minister Simons i kanclerz Wirth — ochłodyły w swym zapale po klęsce Rosji. Lecz już w grudniu 1920 roku wznowiono utrzymywane w tajemnicy rozmowy na temat ewentualnej pomocy Rosji w razie zbrojnego starcia między

Niemcami i Polską. Nastąpiło więc odwrócenie planu sprzed kilku miesięcy z zachowaniem tego samego celu. Wystąpić przeciwko Polsce miały Niemcy w pierwszej, a Rosja w drugiej fazie.

Odbiło się to na przebiegu pertraktacji pokojowych w Rydze. Stanowisko rosyjskie zaczęło się usztywniać, pośpiech ustąpił miejsca przewlekaniu rozmów nad poszczególnymi sformułowaniami. Opinia polska, zajęta przede wszystkim sprawą Górnego Śląska i debatami Sejmu nad projektami konstytucji, nie dostrzegała wahań rosyjskich przy stole narad w Rydze, uważając zawarcie pokoju za sprawę pewną. Lecz przewlekania rozmów w sztabie polskim nie lekceważono. Nie lekceważono także w Paryżu. Prezydent Millerand, premier i minister spraw zagranicznych Briand i minister spraw wojskowych Barthou trafnie ocenili niebezpieczeństwo obalenia pokoju wersalskiego w razie wystąpienia Niemiec przeciwko Polsce, zwłaszcza gdyby nastąpiło przy współdziałaniu Rosji. Rezygnując więc z mglistych jak dotychczas pomysłów utworzenia bloku państw środkowej i wschodniej Europy, mających w teorii stanowić przeciwwagę dla Niemiec, przyspieszyli wlokące się ospale rokowania o porozumienie wojskowe z Polską.

Na zaproszenie prezydenta Francji Naczelnik Państwa Piłsudski wyjechał do Paryża. Już nazajutrz po jego przyjeździe, 4 lutego 1921 roku, ustalono zasady układu o wzajemnej pomocy wojskowej. Wbrew zwyczajom ogłoszono te zasady w publicznej deklaracji przed ich przedyskutowaniem. Mówiły one, że „rządy polski i francuski, w jednakim stopniu dbając o utrwalenie swego bezpieczeństwa, jak również pokoju w Europie, postanawiają skoordynować wysiłki w celu wspólnej obrony swych najważniejszych interesów”. W dwa tygodnie później ministrowie spraw zagranicznych Francji i Polski podpisali układ sojuszniczy opatrzony konwencją wojskową. Przewidywała ona udzielenie sobie wzajemnie bezwarunkowej i bezzwłocznej pomocy w razie agresji niemieckiej. Gdyby zaś Polska została zagrożona lub napadnięta przez Rosję, Francja przez działania na lądzie i na morzu miała zapewnić Polsce bezpieczeństwo od strony Niemiec oraz udzielić jej bliżej nieokreślonej pomocy w „obronie przeciwko armii sowieckiej”.

Traktat obrony polsko-rumuński, mówiący wyraźnie o wspólnej obronie granic wschodnich obu państw, był logicznym uzupełnieniem traktatu z Francją. Podpisano go 3 marca 1921 roku w Bukareszcie.

18 marca podpisano bez żadnych już trudności ze strony

delegacji rosyjskiej traktat pokojowy w Rydze. Uwzględniwszy związek przyczynowy między sojuszem polsko-francuskim zawartym 19 lutego a złożeniem podpisów pod pokojem ryskim, stwierdzić należy, że pokój w Rydze nie tylko kończył wojnę między Polską i Rosją, lecz także zabezpieczał Polskę przed wojną z Niemcami. Była to dla niej największa z bezpośrednich korzyści z Traktatu Ryskiego.

Gdy zaś chodzi o korzyść całej Europy, Traktat Ryski stawał się niezbędnym uzupełnieniem Traktatu Wersalskiego. Nadawał mu znaczenie praktyczne — był jakby klauzulą wykonawczą jego postanowień czy jego założeń.

Nie był nią zbyt długo. Pokój w Europie nie przetrwał dwudziestu lat. Za to Polska nie ponosi winy. Ani w sensie moralnym ani politycznym. Nie mogła Polska oceniać ocalenia i umocnienia niepodległości państwowej inaczej niż w oparciu o znaną sobie rzeczywistość. W jej świetle Pokój Ryski wydawał się pożądanym osiągnięciem.

IV

Stosunkowa łatwość pertraktacji ryskich wytwarzała i w Sejmie, i w społeczeństwie nastrój graniczący z euforią. Wszystkie długofalowe wątpliwości i obawy przygłuszało pragnienie pokoju. Pokój był zresztą nie tylko pragnieniem, lecz i palącą koniecznością w obliczu narastających trudności gospodarczych i potrzeby przystąpienia do pracy nad odbudową odrodzonego państwa. „Polska ledwie zmartwychwstała i cudem uratowana potrzebuje koniecznie pokoju” — mówił Wincenty Witos w Sejmie.

Naczelnik Państwa i Wódz Naczelny rozumiał, że wygrawszy wojnę, pokój w sensie rezygnacji ze swych planów i koncepcji wschodnich przegrywał. Pisał w jednej z prac późniejszych: „Armia bolszewicka była tak rozbita, że nie miałem żadnych przeszkód wojskowych, abym mógł sięgnąć, gdzie bym chciał, na całym prawie froncie”. Zatrzymał go jednak „brak siły moralnej w społeczeństwie”. Jest w tym wiele prawdy, lecz nie cała prawda. „Brak siły moralnej” był po prostu wynikiem zmęczenia i wątpliwości, czy Polska ma dość siły, by dążyć do wielkich rozwiązań, wykraczających daleko poza jej bezpośrednie interesy. Armia Czerwona mogła się odrodzić i powiększyć swe siły, choćby to wymagało czasu, zwłaszcza, że kontrrewolucja w jej granicach

dogasała, a nowy ustrój się umacniał. Polska zaś osiągnęła już szczyt swego wysiłku. A nie było przecież ani przedtem, ani potem celem Polski mieszanie się w wewnętrzne sprawy ustrojowe Rosji. Pokój wydawał się rozwiązaniem jedynym, szczególnie że — jak się zdawało — zapewniał Polsce bezpieczeństwo.

W roku 1921 nie było jeszcze doświadczeń, które nakazywały każdy podpis rządu sowieckiego traktować z nieufnością. Nie było jeszcze katalogu stu kilkudziesięciu niedotrzymanych traktatów, układów i deklaracji sowieckich, jaki dziś mamy przed oczami. Traktat Ryski znajdzie w tym katalogu poczesne miejsce. W roku 1921 był Rosji bardziej potrzebny niż Polsce.

V

Traktat pokojowy podpisany w Rydze zmieniał radykalnie układ polityczny w Europie. Kończył okres chaosu w całej wschodniej i po części także w południowo-wschodniej i północno-wschodniej Europie. Bez tego postanowienia Traktatu Wersalskiego musiałyby pozostać martwą literą pomimo ogromnych nadziei, jakie przywiązywano do ponadnarodowej Ligi Narodów utworzonej przez Traktat Wersalski. Taki jest obiektywny sąd historii, gdy rozpatruje z perspektywy ówczesną rzeczywistość europejską.

Lecz ten logiczny związek między Traktatem Wersalskim i Traktatem Ryskim nie wydawał się ówczesnym kierownikom i twórcom polityki europejskiej oczywisty. Przede wszystkim dlatego, że Rosja nie była sygnatariuszem Traktatu Wersalskiego i nie stała się nim po zawarciu pokoju z Polską. Nie odstąpiła więc od podstawowej przesłanki polityki leninowskiej, która nakazywała współpracę z Niemcami — rewolucyjnymi, jeśli rewolucja da się w Niemczech urzeczywistnić, lub burżuazyjnymi, jeśli nie można inaczej. Koncepcje rządu leninowskiego i rządów radzieckich po jego śmierci były w tym względzie elastyczne i ulegały ciągłym zmianom, dyktowanym nie tyle rozwojem sytuacji międzynarodowej, ile rozwojem sytuacji w Niemczech. Podpisanie pokoju między Polską i Rosją przyjęto w Paryżu i Londynie z bardzo mieszanymi uczuciami. Przede wszystkim dlatego, że oznaczał on w praktyce przekreślenie ostatniej szansy obalenia ustroju komunistycznego przez interwencję z zewnątrz. Przystano już co prawda od dawna liczyć na współudział Polski

w dalszych akcjach interwencyjnych na korzyść różnych ruchów kontrrewolucyjnych, liczone jednak na to, liczyła na to najdłużej Francja, że podtrzymanie stanu wojny lub ciągłej groźby wojny między Polską i Rosją bolszewicką odsunie konieczność uznania rządu Lenina i nawiązania z nim stosunków.

Po traktacie pokojowym zawartym w Rydze tego rodzaju polityka była niemożliwa. Nie mogło to ująć uwagi żadnego z państw europejskich. Przede wszystkim nie mogło ująć uwagi Anglii i Francji. Każde z tych państw próbuje się do nowej sytuacji przystosować. Lecz każde na inny sposób. Powstaje przez to rozbieżność między Paryżem i Londynem. Jest ona o tyle niebezpieczna dla normalizacji stosunków europejskich, że jednocześnie osłabia jednolity front sprzymierzonych wobec Niemiec. Rosja przyglądać się będzie tej rozbieżności z uwagą, tym bardziej, że jednocześnie rozchodzą się drogi polityczne europejskich mocarstw zachodnich i drogi polityczne Stanów Zjednoczonych. Ameryka odmawia ratyfikacji Traktatu Wersalskiego i udziału w Lidze Narodów. Tym samym wycofuje się z Europy. Francja zaczyna szukać zastępczych sposobów reasekuracji przeciw niebezpieczeństwu niemieckiemu. Sposobów tych znajduje kilka. Faworyzuje koncepcję Małej Ententy — porozumienia rumuńsko-jugosłowiańsko-czechosłowackiego. Zawiera też — pomiędzy datami podpisania rozejmu i pokoju w Rydze — sojusz wojskowy z Polską. Jednocześnie jednak szuka poprawy stosunków z rządem sowieckim. Rząd francuski wyraża gotowość nawiązania stosunków dyplomatycznych z rządem Lenina i dopomożenia mu w przerwaniu całkowitej izolacji gospodarczej. Dla Rosji jest to konieczność. Rosja jest zdewastowana przez wojnę domową i wewnętrzną anarchię. Głód i chaos zwalczane wyłącznie terrorem grożą całkowitą katastrofą. Narody nierosyjskie w Rosji pozaeuropejskiej buntują się w dalszym ciągu. Rząd Lenina decyduje się na liberalizację gospodarczą pod nazwą NEP-u — Nowej Ekonomicznej Polityki — i szuka konkretnej pomocy gospodarczej w postaci nawiązania stosunków przynajmniej handlowych ze światem zewnętrznym. Poprzedzić je lub towarzyszyć im musi uznanie nowej władzy komunistycznej za legalny rząd rosyjski. Pokój w Rydze otworzył te możliwości. Opór lub przetargi ze strony Paryża czy Londynu będą jeszcze trwały, lecz wynik jest przesądzony. Rosja wie o tym.

Polityka Anglii jest inna. Gotowa jest po Traktacie Ryskim podjąć współpracę gospodarczą z Rosją jedynie za cenę rezygnacji z prób zbliżenia do Niemiec. Rząd brytyjski nie wierzył, by sojusze tego typu co zawarty między Francją i Polską mogły

zapewnić bezpieczeństwo i stabilizację całej Europy. Anglicy trzeźwiej oceniali skutki gospodarcze inflacji w Niemczech i ruiny gospodarczej Rosji. Stabilizacji europejskiej nie można było — ich zdaniem — osiągnąć inaczej niż łagodząc gospodarcze klauzule Traktatu Wersalskiego, zwłaszcza postanowienia o odszkodowaniach wojennych, przy których upierali się Francuzi. Anglicy byli też zdania, że po zakończeniu wojny z Polską dalsza odmowa uznania Związku Sowieckiego jest politycznym nonsensem.

Na uznanie *de iure* Rosja leninowska musiała jeszcze czekać dorywczo. Lecz uznanie *de facto* nastąpiło od razu. A z nim ostateczne przekreślenie koncepcji „kordonu sanitarnego” wokół Rosji, polityki izolacji i wyczekiwania, aż ustroj komunizmowy zawali się w obliczu trudności wewnętrznych.

Dla Rosji Sowieckiej podpisanie traktatu pokojowego w Rydze stanowiło więc moment zwrotny w jej historii. Było jednocześnie z uznaniem nowego ustroju i nowego rządu przez najsilniejsze poza Rosją państwo w tej części Europy. Czyli przez Polskę. Nawiazanie stosunków między Rosją i Polską musiało pociągnąć za sobą prędzej czy później uznanie przez Francję i Anglię. Traktat Ryski dawał Leninowi doskonały atut polityczny. Jego wartość polegała także na tym, że rząd Lenina nie będzie musiał sam zabiegać o uznanie, przez co uniknie wyrażenia zgody na niewygodne warunki, takie na przykład jak proponowana przez Anglię deklaracja przyjmująca do wiadomości postanowienia Traktatu Wersalskiego. Tego rodzaju deklaracji Rosja podpisać nie chciała z uwagi na Niemcy, z którymi stosunki utrzymać było jej najłatwiej — pomimo Traktatu Ryskiego, który opinia niemiecka przyjęła niechętnie przede wszystkim z tego względu, że uniemożliwił im użycie siły w sprawie Górnego Śląska i przekreślał nadzieje odzyskania Poznańskiego i Pomorza. Współpraca rosyjsko-niemiecka znajdzie swe ukoronowanie w układzie zawartym po roku w Rapallo. By nic mu nie stało na przeszkodzie, Rosja odrzuciła nawet następny, łagodzony warunek angielski, jakim było zaprzestanie propagandy przeciwko Traktatowi Wersalskiemu.

Za cenę przyjęcia tego warunku Anglia gotowa była uznać Traktat Ryski. Miał to być sposób pośredniego uznania Rosji komunistycznej. Lecz rządowi Lenina nie zależało na uznaniu Traktatu Ryskiego przez mocarstwa zachodnie. Rosja wiedziała, że podpis Polski zabezpiecza ją wystarczająco. Nie miała zaś nic przeciwko temu, by jej partner polski marnotrawił wysiłki w zabiegach dyplomatycznych o uznanie swej granicy wschodniej także przez mocarstwa zachodnie.

Bo tak jak dla Rosji Traktat Ryski stwarzał mocną podstawę działania politycznego na arenie międzynarodowej w oparciu o gwarancję bezpieczeństwa, tak dla Polski stwarzał nową koniunkturę międzynarodową. Podpisanie pokoju bez niczyjego pośrednictwa umożliwiło Polsce zrzuć kuratelę politycznej mocarstw sprzymierzonych. Na kuratelę tego rodzaju zgodzić się musiała pod naciskiem okoliczności w szeregu umów, a także podpisując Traktat Wersalski. Na mocy tych zobowiązań Anglia i Francja, gdyż w praktyce po usunięciu się Ameryki z Europy tylko o te dwa mocarstwa chodziło, zastrzegły sobie przywilej ostatecznego zatwierdzenia granicy państwowej z Rosją. Prawo decyzji w tej sprawie przeniesiono dość ogólnikowo na Radę Ligi Narodów, w praktyce zaś pozostawiono Radzie Ambasadorów mocarstw sprzymierzonych. Była to sytuacja paradoksalna o tyle, że to ograniczenie narzucono Polsce w okresie, gdy mocarstwa sprzymierzone broniły zastępczo interesów przyszłej Rosji „białej”. W roku 1921 wizja „białej” Rosji przeszła w dziedzinę całkowitych fantazji, a rząd Rosji „czerwonej” ani nie chciał ani nie potrzebował decyzji mocarstw zachodnich przy ustalaniu granicy z Polską.

Niemniej rząd, a raczej kolejne rządy polskie przestrzegały skrupulatnie postanowień artykułu 87 Traktatu Wersalskiego, który poddawał wytyczenie granic polskich ostatecznej decyzji mocarstw sprzymierzonych. Po Traktacie Ryskim decyzja ta mogła oznaczać tylko uznanie istniejącej granicy. Nie tyle linia graniczna z Rosją ustalona w Rydze, ile sprawa Wilna stanowiła przeszkodę przez dokonaniem tej formalności aż do maja 1923 roku. Zarzuty, że Polska zbyt dużo straciła energii politycznej na zdobycie tej aprobaty granicznej, są w dużej mierze słuszne. Owa aprobatą nie była jednak całkowicie bez znaczenia, gdyż pośrednio potwierdziła fakt, że Traktat Ryski był koniecznym uzupełnieniem Traktatu Wersalskiego dla całej Europy. Można to było tak interpretować, że Rosja podpisując Traktat Ryski przyjmowała do wiadomości Traktat Wersalski.

Jak wiemy, nie uczyniła tego formalnie. Przynajmniej do czasu przystąpienia do Ligi Narodów. Niemniej stwierdziła swym podpisem w Rydze, że swą politykę prowadzić musi w oparciu o rzeczywistość stworzoną w Wersalu. Dopiero też od podpisania traktatu w Rydze pomyśleć mogła Rosja o konsolidacji zdobywczy rewolucji. Oczywiście za cenę rezygnacji z dążeń do rewolucji międzynarodowej. Tym samym kończyła się leninowska, ideologiczna faza komunizmu rosyjskiego. Przechodził on na po-

zycje polityki państwowej. Polityki tym brutalniejszej, że nie rezygnował z propagandy komunistycznej poza granicami Rosji jako z oręża rosyjskiej polityki państwowej.

VI

Ratyfikowany przez Sejm Ustawodawczy 15 kwietnia 1921 roku traktat pokojowy z Rosją sowiecką zamykał okres największego zagrożenia bytu państwowego i narodowego Polski. Uzupelniając Traktat Wersalski, wprowadzał ostatecznie Rzeczpospolitą Polską na arenę europejską jako państwo ugruntowane w sensie politycznym, największe i najsilniejsze w tej części Europy. Wykazało ono, że posiada warunki, by stać się podstawowym elementem ładu i pokoju ogólnoeuropejskiego. Pewność tę wznaczały dwa traktaty sojusznicze, zawarte w przededniu podpisania Traktatu Ryskiego — polsko-francuski i polsko-rumuński. Pierwszy stwarzał skuteczną asekurację przeciwko Rzeszy niemieckiej, wytrącając ją z niemiecko-rosyjskiej gry polityczno-wojskowej z ostrzem skierowanym przeciwko Polsce. Drugi, o mniejszym bezsprzecznie znaczeniu, zabezpieczał jednak południowe polskie skrzydło na wypadek wznowienia agresji komunistycznej Rosji, gdyby się o nią pokusiła. Tym samym przestała Polsce grozić wojna w wielkim stylu, wojna o państwowe „być lub nie być”, wojna o stawkę najwyższą.

Lecz aż do października 1921 roku istniała możliwość interwencji zbrojnej na Górnym Śląsku z możliwością rozszerzenia na wojnę polsko-niemiecką. Było to ryzyko poważne, gdyż nie mogło być pewności, czy Francja zechce w tym wypadku wystąpić czynnie po stronie polskiej, paraliżując tym samym swobodę ruchów Drugiej Rzeszy. Bo klauzule przymierza polsko-francuskiego nie przewidywały zaczepnego wystąpienia ze strony polskiej. A taki właśnie charakter miałoby starcie polsko-niemieckie, którego możliwość osiągnęła punkt szczytowy pod koniec maja i w czerwcu.

Dopiero więc z rozwiązaniem problemu Górnego Śląska 12 października 1921 roku zniknęła ostatecznie sprzed oczu społeczeństwa polskiego groza dalszego wysiłku wojennego. Lecz i to nie oznaczało jeszcze uregulowania wszystkich zagadnień spornych typu międzynarodowego. Pozostawała sprawa ostatecz-

nej przynależności Wileńszczyzny, zorganizowanej w Litwę Środkową. Uchwała inkorporacyjna powzięta przez wileński „Sejm Orzekający” zapasć miała dopiero w marcu 1922 roku, a na jej akceptację, jak również na uznanie przez mocarstwa zachodnie granicy polsko-rosyjskiej ustalonej w Rydze, czekać trzeba było aż do maja roku 1923. Uznanie to było formalnością. Służyło jednak jako wygodny argument dla niechętnych Polsce ośrodków na Zachodzie, mający podważać zaufanie do niej jako do państwa nie trzymającego się postanowień Traktatu Wersalskiego.

Zabiegi o uznanie granicy wschodniej przez mocarstwa zachodnie pochłaniały dużo, a może zbyt dużo energii rządu polskiego, co zresztą z naciskiem podkreślał Naczelnik Państwa Józef Piłsudski. Nie mógł im się jednak sprzeciwić, gdyż jego zdania nie podzielał Sejm Ustawodawczy, a ściślej prawicowa i profrancuska w swych zapatrywaniach większość sejmowa. Argumentacja szła tu po linii wykazywania konieczności jak najlepszych stosunków z rządami zachodnimi, po to, by z jednej strony ustawić Polskę w mocniejszej pozycji na forum międzynarodowym i w Lidze Narodów jako państwo, do którego można mieć absolutne zaufanie, z drugiej zaś strony po to, by przyspieszyć uregulowanie międzynarodowej współpracy gospodarczej, na której Polsce rzeczywiście zależało. Zależało zarówno na odcinku kredytowo-inwestycyjnym, jak i na odcinku wymiany towarowej.

W ówczesnym położeniu gospodarczym Polski izolacja od świata zewnętrznego była zjawiskiem bardzo niebezpiecznym. A zagrażała jej w poważnym stopniu. O odbudowie rynku rosyjskiego, na którym opierał się przed pierwszą wojną światową przemysł Królestwa, trudno było myśleć, gdy Rosja pogrążyła się w całkowitej anarchii i nędzy gospodarczej i była jak najdalej od myśli o wymianie międzynarodowej. Stosunki handlowe z podstawowym dostawcą i odbiorcą, jakim były Niemcy, pogarszały się z dnia na dzień i to pomimo zawartej w roku 1922 konwencji górnośląskiej, pomyślanej jako ratunek dla przemysłu obu części podzielonego Śląska. Ożywienie stosunków handlowych z Francją czy Anglią, a także zdobycie w tych krajach pomocy kredytowej w skali odpowiadającej potrzebom, było grą o nieznaną stawkę, do której przystępowano w Polsce z dużą dozą nieuzasadnionego optymizmu przy całkowitym braku doświadczenia. Niemniej wysiłek w tym kierunku był uzasadniony i trudno się dziwić, że rząd próbował usunąć wszystkie prawdziwe i urojone przeszkody typu politycznego, stojące na drodze współpracy gospodarczej z bogatymi państwami zachodnimi.

POWSTANIA ŚLĄSKIE

Jesień 1919 roku upływała na Górnym Śląsku w atmosferze przygnębienia ludności polskiej. Przyczyną było niepowodzenie krótkotrwałego powstania i represje, jakie po nim nastąpiły ze strony władz i policji niemieckiej. Represje zebrały w październiku, gdy rząd niemiecki pod naciskiem aliantów ogłosił powszechną amnestię dla uczestników powstania. Obie strony przystąpiły wówczas do akcji propagandowej zmierzającej do pozyskania głosów ludności w zapowiedzianym plebiscycie.

Postanowienia Traktatu Wersalskiego mówiące o plebiscycie przewidywały zachowanie maksimum swobody w okresie poprzedzającym plebiscyt i w czasie plebiscytu. Przewidziano między innymi prawo prowadzenia propagandy i stworzenia specjalnych komisariatów plebiscytowych — polskiego i niemieckiego. Lecz wykonanie tych postanowień mogło nastąpić dopiero z chwilą objęcia zarządu przez Komisję Międzysojuszniczą. Do czasu jej przybycia tylko strona niemiecka dysponowała środkami propagandowymi i możliwością wywierania codziennego nacisku na Ślązaków.

Stan ten zmienił się w styczniu 1920 roku. Ewakuowały się wówczas regularne oddziały niemieckie oraz część oddziałów *Grenzschutz'u*. Wyjechała ze Śląska część biurokracji rządowej, przede wszystkim władze naczelne regencji opolskiej. Przestał obowiązywać w praktyce stan wyjątkowy, formalnie odwołany już poprzednio. 11 lutego zarząd obszaru plebiscytowego, obejmującego 22 powiaty, przejęła Komisja Międzysojusznicza. Jej przewodniczącym był francuski generał Le Rond, a członkami generał de Martinis z ramienia Włoch oraz pułkownik Percival z ramienia Anglii. Zaczęły też przybywać na Śląsk sojusznicze oddziały wojskowe. Większość w nich stanowili Francuzi. Jednocześnie zorganizowały się oba Komisariaty Plebiscytowe: niemiecki pod przewodnictwem doktora Urbanka w Katowicach i polski pod przewodnictwem Wojciecha Korfantego w Bytomiu. Wśród członków Komisariatu znaleźli się przedstawiciele polskich stronnictw politycznych i działacze społeczni. Trzej spośród nich — Paweł Chrobek, Alfons Zgrzebnik i przybyły z Poznania Mieczysław Paluch — byli jednocześnie kierownikami Polskiej Organizacji Wojskowej, działającej w konspiracji.

Komisariatom podlegały podkomisariaty powiatowe oraz gminne komitety mężów zaufania. W zasadzie wszelka propaganda

plebiscytowa miała się skupiać w ramach tej organizacji, zarówno po stronie polskiej, jak i niemieckiej.

Komisji Międzysojuszniczej podlegała cała administracja Górnego Śląska. Zapewniła ona sobie pełną kontrolę wojskową, polityczną i ekonomiczną obszaru plebiscytowego. Polska, Niemcy i Czechosłowacja akredytowały przy Komisji swe przedstawicielstwa dyplomatyczne. Przedstawicielem Polski był konsul generalny Daniel Kęszycki.

Przejęcie administracji przez Komisję Międzysojuszniczą przyniosło ludności polskiej niewątpliwą ulgę. Niemniej polskie możliwości działania w przygotowaniu do plebiscytu nie dorównywały możliwościom niemieckim. Nie tylko dlatego, że strona niemiecka dysponowała większymi środkami finansowymi, lecz przede wszystkim dlatego, że na miejscu pozostała niemiecka policja, bardzo rozbudowana organizacyjnie. Jej podległość władzom alianckim była raczej teoretyczna. Niemniej kampania plebiscytowa przybrała także po stronie polskiej ogromne rozmiary. Wydawano tysiące ulotek, uruchomiono prasę polską, organizowano wiece.

Nie ulega wątpliwości, że zmienne koleje wojny polsko-bolszewickiej wywierały duży wpływ na nastroje Ślązaków. W czasie ofensywy bolszewickiej w lipcu przybrały na sile trwające już od kwietnia manifestacje organizowane przez stronę niemiecką przy czynnym współdziałaniu komunistów niemieckich i polskich. Manifestacjom towarzyszyły ekscesy w rodzaju napadów na polskie lokale plebiscytowe i na poszczególnych działaczy. Szczytowym punktem tej akcji terrorystycznej był 27 maja krwawy napad na hotel „Lomnitz” w Bytomiu, siedzibę polskiego Komisariatu. Strona polska odpowiadała najskuteczniej sporadycznymi strajkami robotniczymi, a w dwóch wypadkach strajkiem powszechnym, którego nie zdołały zahamować wysiłki komunistów.

Jednocześnie nie ustawały wysiłki rządu niemieckiego na terenie międzynarodowym, by uchylić decyzję plebiscytową i zastąpić ją przyznaniem Śląska Niemcom. Argumenty niemieckie nie znajdowały posłuchu u sprzymierzonych, niemniej w społeczeństwie polskim zaczęły się szerzyć obawy, że Niemcy do plebiscytu nie dopuszczą i że poprzedzą go wystąpieniem zbrojnym.

Wrzenie osiągnęło punkt szczytowy w pierwszych dniach sierpnia. Klęska Polski wydawała się przesądzona i strona niemiecka postanowiła tę sytuację wykorzystać. Rozpoczęła się fala zbrojnych napadów, na co polski Komisariat Plebiscytowy odpowiedział wezwaniem do strajku generalnego, a dowództwo POW

zarządziło wybuch powstania na noc z 19 na 20 sierpnia. Było to drugie powstanie śląskie. Trwało 6 dni i pomimo interwencji wojsk włoskich odniosło duże sukcesy w 5 powiatach. Opór strony niemieckiej był słaby, głównie z powodu odwrócenia się szali wojny polsko-bolszewickiej, gdyż Armia Czerwona była już w panicznym odwrocie. Niemniej cele powstania były ograniczone i pokrywały się w zasadzie z żądaniami polskiego Komisarjatu Plebiscytowego. Polacy żądali po prostu likwidacji policji niemieckiej i wprowadzenia na jej miejsce „straży obywatelskiej”. Dezyderat ten Komisja Międzynarodowa postanowiła spełnić, na co zgodziła się strona niemiecka. W ten sposób 24 sierpnia oba Komisarjaty Plebiscytowe podpisały umowę, na mocy której utworzono policję mieszaną polsko-niemiecką, podległą bezpośrednio władzom alianckim. Nazywano ją w skrócie „APO” od niemieckiej nazwy *Abstimmungspolizei*. Równocześnie dla zabezpieczenia spokojnego przebiegu plebiscytu powstała parytetowa komisja polsko-niemiecka, co nie wzbudziło entuzjazmu wśród polskiej ludności Górnego Śląska. Nie rozbroiło też ani moralnie, ani organizacyjnie Polskiej Organizacji Wojskowej, której liczebność wzrosła w ciągu kilku miesięcy dzielących Śląsk od daty plebiscytu do ponad 40 tysięcy.

Do jej przeciwników należeli komuniści — także polscy. 12 grudnia 1920 roku, a więc już po zwycięstwie polskim w wojnie z Rosją, gdy rząd Lenina pertraktował w Rydze o pokój, Komunistyczna Partia Górnego Śląska na swym pierwszym zjeździe w hucie „Bismarck” potępiła walkę o zjednoczenie Górnego Śląska z Polską jako ruch nacjonalistyczny, sprzeczny z interesami rewolucji i z interesami robotniczymi. Uchwała ta w postaci „Manifestu” została wydrukowana w języku polskim w *Czerwonym Sztandarze* z dnia 24 grudnia. Czytamy w nim, że obowiązkiem polskiego proletariatu robotniczego na Śląsku i w Polsce jest zwalczanie polskiego nacjonalizmu oraz walka o utrzymanie Górnego Śląska w granicach Niemiec w imię wzmocnienia solidarności robotniczego Śląska z Rosją Sowiecką.

Plebiscyt odbył się 20 marca 1921 roku w atmosferze niesłychanego podniecenia całej prasy zagranicznej i ogromnego napięcia nerwowego w Polsce. Zdaniem rzeczoznawców — jak amerykański profesor Lord czy Anglik sir Esme Howard — z góry dawał Niemcom przewagę wskutek pozostawienia w ich ręku środków fizycznego i psychicznego nacisku, nie mówiąc już o prawie głosu udzielonym w Traktacie Wersalskim każdemu Niemcowi urodzonemu na Śląsku, choćby już tam od dawna nie mieszkał. Generał Le Rond powiedział wprost: „Plebiscyt nie

będzie wolny, bo niemieccy właściciele nie będą ewakuowani”. A prezydent Wilson tak ujął sprawę: „Moi rzeczoznawcy nie wierzą, by wola ludności mogła być swobodnie wyrażona na Górnym Śląsku. Bo ludność żyje w warunkach przemocy stojącej na usługach grupy niemieckich magnatów i kapitalistów”.

A jakie konsekwencje mogą grozić ze strony władz i pracodawców niemieckich w razie przegranej Polski w plebiscycie, Ślązacy wiedzieli dobrze z własnego doświadczenia. Działalność terrorystyczna *Grenzschutz*'u i różnych *Freikorps*, by nie wspomnieć o *Sicherheitspolizei*, w okresie przedplebiscytowym doświadczenia te wzbogaciła.

Ale prognozyki można też było uznać za dobre — chociażby na podstawie wyników wyborów samorządowych z roku 1919, w których na listy polskie padło 60 % głosów. Lecz w plebiscycie na całym obszarze nim objętym z ogólnej liczby miliona 190 tysięcy głosujących za Polską opowiedziało się 479 tysięcy, a za Niemcami 707 tysięcy. Jakie były tego przyczyny?

Najważniejszą było przybycie z Niemiec 192 tysięcy tak zwanych „emigrantów”, to jest ludzi urodzonych — lecz nie mieszkających — na Górnym Śląsku. Zarządzenia wykonawcze wydane przez Komisję Międzynarodową nie przewidywały systemu kontroli. W praktyce wystarczały osobista deklaracja pochodzenia ze Śląska i bilet kolejowy. Na transport emigrantów znalazły się w Niemczech środki. Nikt nigdy nie dojdzie, ilu wśród niemieckich emigrantów było urodzonych na Śląsku, choć tego rodzaju wątpliwości nie było wśród 10 tysięcy emigrantów-Polaków przybyłych na głosowanie przeważnie z Westfalii.

Odrzucenie głosów emigrantów zmieniało wynik i to znacznie, choć większość głosów i tak pozostawiała przewagę stronie niemieckiej. Przyczyną było oddanie głosów na Niemcy przez jedną czwartą tak zwanych niezdecydowanych, których oceniano na 200 tysięcy. Nie było to dużo, lecz odpowiadało dość ściśle liczbie tych Polaków na Śląsku, którzy byli związani w jakiś sposób z ruchem komunistycznym.

Zbyt dużo jednak było wątpliwości, by wynik arytmetyczny mógł przesądzić decyzję sprzymierzonych na korzyść Niemiec. Trudno było przede wszystkim nie uwzględnić rozkładu głosów w poszczególnych powiatach. Wysuwała się więc alternatywa podziału Górnego Śląska, ku czemu przychyłali się Francuzi. Była to — rzecz jasna — koncepcja, której uchwycił się rząd polski i polska ludność Górnego Śląska. Lecz zdawano sobie sprawę, zarówno w Warszawie, jak i na Śląsku, że żadna akcja dyplomatyczna nie da korzystnego rozwiązania, gdyż w Rzymie,

w Londynie i w Genewie, gdzie mieściła się siedziba Ligi Narodów, mówiono jedynie o przyznaniu Polsce dwóch powiatów Śląska „Zielonego” — to jest rybnickiego i pszczyńskiego.

Rozpoczęły się więc z poparciem Ministerstwa Spraw Wojskowych w Warszawie przygotowania Polskiej Organizacji Wojskowej do nowego powstania. Początkowo rozważano je tylko jako odpowiedź na wystąpienie Niemców, w razie gdyby chcieli, nie czekając na decyzje międzynarodowe, zająć cały Górny Śląsk siłą. W tym celu Niemcy utworzyli trzydziestotysięczny korpus, lecz na zaciecie akcji zbrojnej nie mogli się zdecydować. Postanowili uciec się naprzód do wzmożonego nacisku gospodarczego wobec robotników polskich ze strony poszczególnych kopalń i innych zakładów przemysłowych, co z kolei powodowało falę strajków robotniczych o charakterze wyraźnie narodowym, polskim. Niemcy zdawali sobie sprawę, że zarówno w łonie Komisji Międzysojuszniczej jak i w Radzie Ambasadorów wytworzyły się spory między stroną francuską, sprzyjającą Polsce, a Anglikami i Włochami, którzy zdecydowani byli na pozostawienie Niemcom całego okręgu przemysłowego.

W tej sytuacji zarówno generał Szeptycki, dowódca wojsk polskich na pograniczu Górnego Śląska, jak i szef wywiadu w polskim Sztapie Generalnym, pułkownik Miedziński, proponowali po prostu zajęcie wschodniej części Górnego Śląska bez oglądania się na konsekwencje. Byłoby to równoznaczne z rozpoczęciem wojny polsko-niemieckiej. Wojskowo Polska mogła ją prowadzić gdyż przesunęła już 18 dywizji nad granicę niemiecką, pozostawiając tylko 6 na nowej granicy ryskiej. Lecz skutki dyplomatyczne wojny z inicjatywy polskiej mogły być bardzo groźne. Mogły pociągnąć za sobą potępienie przez całą opinię światową. Co groźniejsze, zwalniałyby Francję z obowiązków sojuszniczych. Tym samym zniknęłyby też jedyna przeszkoda wskrzeszenia myśli o wspólnym przeciwko Polsce wystąpieniu Niemiec i Rosji bolszewickiej — i to pomimo podpisania na dwa dni przed plebiscytem śląskim traktatu pokojowego w Rydze.

Wypadki musiały się więc potoczyć inaczej. Korfanty ogłosił na 2 maja strajk generalny. Wzięło w nim udział 190 tysięcy robotników. Na noc z 2 na 3 maja pułkownik Mielżyński, dowódca śląskiej POW, zarządził wybuch powstania. Korfanty stanął oficjalnie na jego czele już następnego dnia.

Trzecie Powstanie Śląskie nie miało charakteru symbolicznego jak pierwsze lub ograniczonych celów jak drugie. Do walki

stanęło około 50 tysięcy dobrze uzbrojonych powstańców, zorganizowanych w regularne dywizje, pułki i bataliony. Stoczyć musieli trudną i ofiarną walkę, w której poległo bez mała półtora tysiąca żołnierzy. Długość frontu sięgała 150 kilometrów. Naczelnym dowódcą po pułkowniku Mielżyńskim został Kazimierz Zenkteller. Organizacja ulegała zresztą zmianom w ciągu prawie dwumiesięcznych walk. W miarę rozwijania się powstania i wprowadzania nowych sił przez Niemców coraz bardziej jawna stawała się pomoc armii polskiej, gotowej do interwencji na wypadek załamania się frontu powstańczego. Groźba interwencji oddziaływała też skutecznie na rokowania toczone się przy pośrednictwie Komisji Międzysojuszniczej, której wojska przestrzegały ścisłej neutralności. Po koniec czerwca, po wkroczeniu wojska polskiego do Katowic, doszło do rozejmu.

12 października 1921 roku Rada Ligi Narodów dokonała rozgraniczenia Górnego Śląska, dzieląc go na część niemiecką i polską. Było to rozwiązanie połowiczne, bo trudno je nazwać kompromisowym. Decyzją Rady Ambasadorów 20 października na podstawie uchwały Rady Ligi Narodów przyznano Polsce jedną trzecią obszaru plebiscytowego. Polsce przypadło w ten sposób nieco poniżej miliona mieszkańców, z których prawie jedna czwarta uważała się za Niemców. Po stronie niemieckiej pozostało nieco ponad milion mieszkańców, w tym jedna trzecia Polaków. Położenie obu mniejszości, wbrew intencjom mocarstw zachodnich i wbrew życzeniu Polski, nie było podobne. Gdy mniejszość niemiecka w Polsce, strzeżona postanowieniami traktatu o mniejszościach, cieszyła się swobodą kulturalną i językową, Polacy po stronie niemieckiej w praktyce byli mniejszością upośledzoną, a po dojściu do władzy Hitlera mniejszością prześladowaną. Ponadto położenie materialne Niemców w polskiej części Górnego Śląska było dobre, z uwagi na pozostawienie w ich rękę większości tytułów własności w przemyśle, podczas gdy Polacy w niemieckiej części Górnego Śląska stanowili proletariat robotniczy lub żyli na roli.

Granicę wytyczono przy tym w ten sposób, że stanowiła, zwłaszcza w okręgu przemysłowym, prawdziwy dziwoląg gospodarczy. Bo była to granica sztuczna, przebiegająca przez miejscowości i przez obiekty przemysłowe, niekiedy przez sztolnie w kopalniach. Odbiło się to jak najgorzej na możliwości jej obrony w razie zbrojnego konfliktu z Niemcami, jak tego dowiódł w pełni rok 1939.

Patrząc więc z perspektywy uznać można rozwiązanie sprawy

śląskiej z roku 1921 za krzywdzące Polskę, a już na pewno za niekorzystne dla niej z punktu widzenia gospodarczego, politycznego i narodowego. Nie oznaczało to bynajmniej, by Niemcy rozwiązanie to uważały za swe zwycięstwo. Bo było to zwycięstwo ludu śląskiego, który udowodnił swą polskość z bronią w ręku, gotów walczyć do upadłego o swe prawo zjednoczenia z państwem polskim.

Koniec Części Pierwszej

SPIS TREŚCI

Marek Łatyński: *Zamiast wstępu* 7

Część pierwsza

PIERWSZE LATA

<i>U progu niepodległości</i>	13
<i>Rewolucja Październikowa i niepodległość Polski</i>	27
<i>Komuniści</i>	33
<i>Demokratyczne podstawy państwa</i>	43
<i>Rząd Moraczewskiego</i>	50
<i>Rząd Paderewskiego</i>	55
<i>Powstanie Wielkopolskie</i>	63
<i>Polacy i Ukraińcy</i>	74
<i>Polacy i Litwini</i>	88
<i>Sejm Ustawodawczy</i>	94
<i>Reforma rolna</i>	102
<i>Oświata</i>	107
<i>Konferencja pokojowa</i>	111
<i>Górny Śląsk</i>	127
<i>Wschód: początek konfliktu</i>	133

237

<i>Po roku Niepodległości</i>	146
<i>Mikaszewicze</i>	149
<i>Przed wznowieniem wojny</i>	161
<i>Sojusz z Ukrainą</i>	166
<i>Wyprawa kijowska</i>	170
<i>Rada Obrony Państwa</i>	188
<i>Bitwa Warszawska</i>	193
<i>Rozejm</i>	201
<i>Wilno</i>	206
<i>Pokój</i>	210
<i>Powstania Śląskie</i>	230

ACHEVE D'IMPRIMER
LE 29 JANVIER 1981
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e).
Dépôt légal : 1^{er} trim. 1981.

**PAWEŁ
ZAREMBA**

*** HISTORIA DWUDZIESTOLECIA (1918-1939)**

F. 170